

Hans Hellmut Kirst

***Pan Bóg śpi
na
Mazurach***

OD TŁUMACZA

Będąc jako tłumacz niewolnikiem autora, mam jednak z nim pewne osobiste porachunki. Wcale też z nich nie rezygnuję. Wynikają one z tego, że kiedy pracowałem nad przekładem tej powieści, nie zawsze mogłem się z autorem zgodzić. Nadto wymaga ona, oprócz nielicznych przypisów, pewnych, jak mi się zdaje, dość istotnych wyjaśnień, omówień.

Tytuł tej książki, *Pan Bóg śpi na Mazurach*, ma swoją dwukrotnie powtarzającą się wykładnię. Zacytuję pełniejszą z tych dwóch, niemal identycznych wersji. Oto mówi jeden z bohaterów: „Jest nad nami błogosławieństwo krainy, w której pozwolono nam żyć. To najpiękniejszy skrawek ziemi na świecie. Jeszcze nie zniszczony, jeszcze wszystko, co się tu znajduje, to czysta natura. Kiedy Bóg idzie odpoczywać, kiedy chce spać, wierzę, że przychodzi do nas, żeby spać tutaj. Jeśli Bóg zechce spać, będzie sypiał u nas, na Mazurach”. Żeby było wszystko jasne: słowa te padają latem 1933 roku. Czy w pełni oddają ówczesną rzeczywistość? I tak, i nie. Tak, bo nawet dziś, pół wieku później, mówi się o Mazurach podobnie, kiedy się patrzy na jeziora, kiedy się wejdzie w las. A jednak już wtedy tak zaprezentowany wizerunek Mazur nie mógłby być przyjęty bezkrytycznie.

Sama powieściowa wioska Maule, najbliższa jej okolica mogły być jeszcze nieskażone cywilizacją, mogły urzekać czystą przyrodą. Znaleźć by można więcej takich zakątków, ale przecież do tej krainy wkroczył XX wiek z uprzemysłowieniem, nikłym wprawdzie, załazkowym, ale rzeczywistym, z wojną, która latem 1914 roku spopieliła ogromne jej połacie, z epizodem plebiscytowym 1920 roku, który przyniósł zdarzenia dramatyczne. W mazurskich miasteczkach czerwieniły się mury koszarowych kompleksów; wśród pól, lasów i jezior rozciągały się

poligony, które użytkowała i armia cesarskich Niemiec, i Reichswehra republiki.

A może jednak kłóć się z autorem niepotrzebnie? No bo, jeśli i dziś krasa tej ziemi budzi zachwyty tak wielu... Skoro sam jestem nią zauroczony od lat, po dziś dzień.

Może i w tej powieści, jak to przecież bywa, jak jest zawsze z wizerunkiem czasów i miejsc niegdysiejszych, w przywoływaniu pamięci lat i okolic młodości, jak to jest prawie z wszystkim, co za nami, przeszłość jawi się i tu w kształcie oczyszczonym, wysublimowanym i wyidealizowanym. Przecież, żeby przy mazurskim temacie tylko pozostać, najświetniejszy spośród niemieckojęzycznych piewców tej ziemi, Ernst Wiechert, też nieustannie ulegał owej regule i podporządkowywał się jej. Najwięksi polscy pisarze, poeci, żeby sięgnąć i na nasze podwórko, również przez taki pryzmat patrzyli i tak widzieli krainy swojej młodości.

Hans Hellmut Kirst akcję tej swojej powieści ulokował w mazurskiej wiosce Maule, o godzinę jazdy koleją odległej od stolicy powiatu, Olsztyna. To jawna nieścisłość. Otóż żadna miejscowość ówczesnego powiatu olsztyńskiego nie była odległa tak daleko od tego miasta, by trzeba było tam jechać godzinę.

Olsztyn był nie tylko stolicą powiatu warmińskiego, ale i stolicą rejencji, która obejmowała i powiaty mazurskie. Dlaczego autor odszedł od realiów w tej materii? Gdyby tylko w tej, w ogóle można byłoby zrezygnować z jakiegokolwiek polemiki. Dość odległy od realiów, chwilami niemal groteskowy, co niezwykle ważne, jest wątek historyczno-polityczny. Rok 1933 to pora zakorzenienia się NSDAP również na Mazurach i Warmii. A więc i w powieściowej wiosce Maule. Historia dowodzi, że wesołe to nie było.

Groteskowa jest otóż próba okpienia groźnego, prężnego ruchu narodowosocjalistycznego, zwycięskiego w Niemczech w owym 1933 roku, brutalnego i bezwzględnego. Próba ta zakończyła się niepowodzeniem, gdyż po prostu powieść się nie mogła. Hitlerowcy nie tolero-

wali takich zabaw. No i w Maulach znaleźli się przy okazji tacy, którzy wykorzystali szansę, jaką im osobiście przyniósł hitleryzm. Wszędzie dookoła wielu było takich.

Groteskowa deformacja to jednak jakby specyficzna metoda autora. Spotkać się z nią można i w znanej jego trylogii *08-15*, która przecież zrobiła wielką karierę, bo została przetłumaczona na kilkanaście języków (w tym na polski), a ponadto była adaptowana na potrzeby filmu. Można spotkać groteskę w *Fabryce oficerów*, również znanej polskiemu czytelnikowi.

Głęboka niechęć Kirsta do hitleryzmu i hitlerowców, uwidaczniająca się w tych oraz w innych jego powieściach, jest oczywista, a sposób rozliczania się specyficzny. Może Kirst chciał ukazać w ten sposób, że wiele zwykłych, szarych ludzi nie zdawało sobie sprawy z istoty hitleryzmu? Ze strasznego zagrożenia, jakie zawierał i roznosił od samego początku? Ze skrajnej totalności owego totalitaryzmu?

To fakt, że wielu nie doceniało hitleryzmu, że jeszcze więcej dało się wziąć na lep populistycznego, nacjonalistycznego, a przecież, zwłaszcza na początku, pseudosocjalistycznego oraz wszelkiego innego sztafazu. Dla większej jasności można tu posłużyć się uproszczoną syntezą zawartą w słowach innego z bohaterów tej właśnie powieści Kirsta: „Cały ten narodowy socjalizm (...) nie jest to coś dla junkrów, raczej coś pożytecznego dla starych żołnierzy, a i dla robotników też tam zbywa wiele różności. To właśnie socjalizm...”

Pamiętajmy, że słowa te padają latem 1933 roku, a potem, po „nocy długich noży”, po późniejszych (ale i wcześniejszych) ugodach z wielkim kapitałem i junkrami-obszarnikami, czego przecież nie rozgłaszało się szeroko) nawet szczątkowa nadzieja na socjalistyczne elementy w faszyzmie hitlerowskim stała się iluzją. Został tylko przymiotnik „socjalistyczna” w samej nazwie NSDAP.

Wspomniałem, że wśród społeczeństwa niemieckiego udręczonego kryzysem zaczął funkcjonować populistyczny magnes. Nacjonalizm nigdy nie był Niemcom obcy. Niemcy poszli za Hitlerem. To prawda, że niejeden obejrzał się i zorientował dopiero wówczas, kiedy już było za późno i kiedy był już wtłoczony w karny szereg. Kiedy, bywało chcąc nie chcąc, niemal każdy, kto żył w strasnej Trzeciej Rzeszy, stał się uczestnikiem, udziałowcem tego ruchu i systemu. Oczywiście, także

masowo, chcąc! Hitleryzm nie dawał się okpić. Wessał przecież dziesiątki milionów swoimi metodami, demagogią, wykorzystywaniem różnych uprzedzeń, pretensji i ciągot. Oglupianiem. Ale i terrorem. Niejeden obejrzał się dopiero w obliczu klęsk albo finałowego pogromu. Są i tacy, którzy nie obejrzeliby się po dziś dzień.

Do Bożego snu w mazurskiej krainie nawiązuje Kirst w jednym z akapitów kończących powieść. Warto przytoczyć te słowa w tym właśnie miejscu. Mówi jeden z bohaterów powieści: „Będziemy żyli tak, jak to było zawsze w Maulach”. Drugi odpowiada: „Nie będziemy już mogli tak żyć. Teraz przestałem już wierzyć, że Bóg uśmiecha się do nas. Robiliśmy rzeczy, które go zagniewały. Już niedługo będziemy za to pokutować. Wiem, że Bóg nie sypia już tutaj. Pewnego zaś dnia również i nam nie będzie już wolno spać na leżącej ukochanej ziemi”. No tak. Powieść swoją Kirst pisał na początku lat pięćdziesiątych.

Tłumacząc tę powieść Kirsta dla polskiego czytelnika pozostawiłem, z niewielkimi wyjątkami, niemieckojęzyczną nomenklaturę, jaka obowiązywała w NSDAP. Nie sądzę bowiem, by przekładanie jej na polski było celowe. Dlatego pozostawiłem w niemieckim brzemieniu takie tytuły, jak: Parteigenosse i Kreisleiter, i Ortsgruppenleiter oraz kilka innych. Celowo pisane jednak są w tekście przekładu małą literą. Inna możliwość, według mnie, nie istnieje.

* * *

Hans Hellmut Kirst a Ernst Wiechert — to kolejna sprawa warta choćby krótkiego omówienia. Są w tej powieści Kirsta nawiązania do Wiecherta. Zarówno w szcątkowych wprawdzie, ale przecież wyraźnie wiechertowskich opisach przyrody, jak i w pewnym podobieństwie postaci. Leberecht jest podobny do pana von Balka z *Dzieci Jerominów* będącego swoistą apoteozą dobrotliwego, strzegącego dawnego porządku, życzliwego uzależnionym odeń ludziom, paternalistycznego obszarnika. To typowa postać dla powieści Wiecherta.

Frycio Grzesz z kolei bliski jest Gogunowi, również z *Dzieci Jerominów*.

Pokrewieństwo obydwu autorów ujawnia się w boleśnie wręcz ogromnym sentymencie do dawnych czasów, w których ludzkie życie harmonizowało z przyrodą.

Ernst Wiechert jednak uczciwie kwituje etniczną odrębność Mazurów. Hans Hellmut Kirst nie robi tego. Ludzie z Mauli noszą polskie nazwiska, ale są „rdzennymi Prusakami”. Są „wiernymi Niemcami”. Oczywiście żadne nazwisko, zwłaszcza na Warmii i Mazurach (choć nie tylko tam), niczego nie przesądza. Szczególnie już w 1933 roku, a także kiedy przychodziło spojrzeć na ten problem przez pryzmat matematycznego wyniku plebiscytu, czy też ostatniego spisu ludności, były wioski, w których ludność mogła formalnie uchodzić za „rdzenie pruską”, ale Wiechert widział jednak tę sprawę inaczej, pełniej i uczciwiej. I jeszcze jedno, niejako na marginesie: do tego, że czarne charaktery noszą za często, jak na nasz gust, polskie nazwiska, od dawna przyzwyczajają nas literatura całego niemal świata. Również film.

Ernst Wiechert i Hans Hellmut Kirst. Czy można ich porównywać? Sądzę, że nie trzeba. Co jednak mają wspólnego? To, że Wiechert urodził się w Pierśławku pod Mrągowem, a Kirst w Ostródzie. Ale nie tylko to było dla mnie zaskoczeniem. Otóż Ernst Wiechert osiadł swego czasu w Ambach nad Jeziorem Starnberskim (Starnbergersee) w Górnej Bawarii. Tam tworzył. Oto nad tym samym Jeziorem Starnberskim, w Feldafing, zamieszkał Hans Hellmut Kirst. Jezioro Starnberskie, jego obrzeża, to okolica pisarzy wielkich i pomniejszych.

Po tym wszystkim, co napisałem, Czytelnik zechce może zapytać, czy trud przekładu podjąłem z przekonaniem, że książka ta warta będzie przeczytania. Odpowiem tak. Tę książkę warto, a nawet trzeba przeczytać.

Jej najważniejszy wątek ma przecież wymiar uniwersalny. Choć

akcja jej mogłaby rozgrywać się w innej wiosce, w całkiem innej dzielnicy Trzeciej Rzeszy, to że autor umieścił ją w okolicy zapamiętanej z lat swojej młodości i dobrze znanej paru już pokoleniom czytelników polskich, na pewno będzie dla nich zachętą.

Można i warto przekonać się więc, jak wygląda literackie wejrzenie autora na określone miejsce na mapie i na dość istotny fragment straszliwej przecież epoki.

Wielowątkowość tej powieści, będącej dziełem autora poczytnego, to dodatkowy argument przemawiający za tym, by jej nie zlekceważyć.

T. O.

— Będziesz milczeć, Friedo — powiedział zwalisty mężczyzna siedzący przy śniadaniu na tarasie. — Gadanie zmarłych nie wskrzesi. Zostawmy go w spokoju, żebyśmy sami mogli tutaj w spokoju żyć. Zrozumiałaś mnie?

— Nie nazywam się Frieda — powiedziała kobieta przykucnięta naprzeciw niego na brzeżku krzesła. — Na imię mi Elfrieda.

Zwalisty mężczyzna skrzywił twarz i zaśmiał się bezgłośnie. Nagarnął widelcem jajecznicę i uniósł do szeroko rozwartych ust. Nie zakrzuszył się, tyle że ustało rytmiczne kolebanie jego brzucha. Żuł ze smakiem, a jednocześnie przypatrywał się niemal tkliwie leżącej przed nim na stole wędzonej szynce.

— Zrozumiałaś mnie? — zapytał mężczyzna powtórnie. Kobieta nie odpowiedziała, po krótkiej przerwie dorzucił więc z lekkim naciskiem: — Elfriedo?

— Czego właściwie, Leberecht, chcesz ode mnie? — spytała kobieta. — Nie zrobiłeś tego! Byłeś ze mną w ogrodzie, kiedy to się stało.

— Ponieważ byłem z tobą w ogrodzie — powiedział otyły mężczyzna uważnie krojąc wędzoną szynkę — możesz śmiało mówić mi Johann. — Johann Leberecht zerknął na nią i uniósł w jej stronę gruby, różowy płat szynki.

— Sam możesz jeść swoje świnie — odparła Elfrieda Materna i odchyliła się.

Zwalisty mężczyzna znowu zaśmiał się bezgłośnie. — Cała wioska wyżera mi spizarnie. Z biegiem czasu przywykłem do

tego, że napycham wszystkie żołądki w Maulach. Certować się nie musisz.

— A czy certowałam się kiedykolwiek? — zapytała kobieta i ogarnęła go wzrokiem.

— Nie — rzekł Johann Leberecht, majętkarz, a jego błyszczące oczy zwięzły się, jakby oślepione porannym słońcem.

— Wtenczas, w ogrodzie, także nie.

— Ani wtenczas — potwierdziła twardo Elfrieda Materna.

— Oni rozłupywali mu czaszkę, a ja byłam z tobą w ogrodzie. Leberecht skinął z powagą wpatrując się badawczo w połyskujące tłuszczem kielbasy, które leżały przed nim w misce.

— Tak to jest — powiedział. — Ktoś kocha, ktoś inny umiera, jeden śpi, drugi zapija się do nieprzytomności, a wszystko to dzieje się w tej samej sekundzie. Rozkroił kawałek kielbasy i rzucił dożycy, która mechanicznie rozdziawiła paszczę. — Wczoraj zarzyłem cielę. A krowa, której ten cielak był, w tym samym czasie stała latując się na podwórzu i pozwalając się pokrywać.

— Nie jesteśmy zwierzętami.

— Nie — powiedział przeciągle Leberecht. — Ludźmi jesteśmy. A to często jest gorsze.

Popatrzył ponad zastawionym stołem, omijając wzrokiem Elfriedę, w głąb ogrodu, gdzie poranne słońce wysuszało nocną rosę. Na rozległych polach stało zboże, kłosa zaś miało ciężkie. Lasy wiły się wokół pól na kształt wieńców. Była to przestronna i zasobna okolica. Raziło ją upałem słońce.

— Żyjemy w ostatnim pozostawionym ludziom zakątku raju — rzekł. — Musimy go dla siebie zachować.

— To ma być raj? — zapytała opryskliwie Materna. — Przecież to jaskinia morderców!

Otyły mężczyzna popatrzył na nią przeciągle i badawczo, a w jego oczach pojawił się ledwie dostrzegalny smutek.

— Elfriedo — powiedział — tutaj wzrosłaś. Tutaj się urodziłaś, zdaje się, że w dziewięćset piątym, przed dwudziestoma ośmioma laty. Twój, ale i mój świat tu się zaczyna i tu się też kończy; dochodzi, jeśli już sięgnąć bardzo daleko, najwyżej do

Olsztyna. To nasz świat, Elfriedo. Tu pragniemy żyć w spokoju.

— Iz całym tym spokojem zabijacie ludzi!

— Ty byłaś tą, która go tu ściągnęła — rzekł spokojnie majątkarz. — Ty go poślubiłaś, a on ciebie bił; pracowałaś dla niego, a on chodził do innych kobiet.

— Co to obchodzi ciebie? Żałuję, że kiedykolwiek mówiłam ci o tym. Dlaczego nie pozwolono mi żyć, tak jak chciałam? To moje życie! Z nim mogę robić to, co uważam za stosowne.

— Oczywiście. Sprowadził jednak niepokój do naszej wioski. Kiedy pił wódkę, zwidywała mu się krew, a pijany bywał często. Ręce miał tak rozlatane, jakby chciał podłożyć ogień. Nie było nikogo, komu pozwoliliby zajrzeć sobie w oczy.

— Jestem przecież jego żoną!

— Od miesiąca już leży w ziemi; jedyne to miejsce, w którym znalazł spokój.

— Dobrze już, byłam jego żoną, ale ty jesteś jego mordercą!

— Nie jestem żadnym zbrodniarzem — powiedział otyły mężczyzna i wydawało się, że zasmuciło go to, co powiedział.

— Często go przekonywałem, ale był niepoprawny. Tylko z twojego powodu otoczyłem go opieką, lecz on podobny był do szamoczącego się zwierza. Kiedy zdjąłem z niego dłoń, umarł.

— Poszedłeś ze mną do ogrodu, bo wiedziałeś, że tam, na potańcówce zatłuką go. Leżałeś ze mną i myślałeś: teraz, teraz go zabiją.

— Czy cię przymusiłem?

— Nie.

— A czy zauważyłaś kiedykolwiek, żebym robił coś, na co nie mam chęci?

— Nie.

— A czy nie było takich chwil, w których mężowi życzyłaś śmierci?

Elfrieda Materna nie odpowiedziała. Na pełnej piersi ściągnęła cienką chustę, którą nosiła na ramionach, i wpatrywała się w wyszorowane oraz posypane białym piaskiem deski

podłogi. Z nich unosiła się ku niej zapszała woń ślęchlizny i wody.

— Wszyscy — mówił Johann Leberecht — mamy niekiedy godziny, w których moglibyśmy mordować; nierzadko sami jesteśmy tymi, których chcielibyśmy utłuc. Przyczyną tego są upalne, letnie dni wrące w krwi naszej, albo długie, zimowe noce, które odbierają nam sen. Wiemy, że tak jak zwierzęta ulegamy popędowi. Bo też tkwimy wśród natury, a tym samym w sąsiedztwie Boga. I jeszcze wiemy o dziele stworzenia albo co najmniej domyślamy się go.

— Czego ode mnie chcesz?

— Wówczas, tamtej nocy, kiedy szedłem z tobą do ogrodu, myślałem tylko o tobie.

— Nie jestem jedyna.

— Wtenczas myślałem tylko o tobie! Cokolwiek chcę zrobić, spełnia się, bo wszystko we mnie tego właśnie pragnie. Staje się naturą. Tutaj, w ostatnim zakątku tej Ziemi żyjemy jeszcze na łonie Wszechmocy. Chcę żebyśmy jeszcze długo mogli tak żyć. To szczęście niełatwe, ale jednak szczęście. I nie pozwolę go zniweczyć.

Leberecht położył dłonie na stole. Były ciężkie i mocne; narzmiwały na nich żyły. Zdawało się, że pod nimi ukrywa klejnot, którego nie chce nikomu oddać. Pod dłońmi było jednak tylko czyste drewno.

Kobieta podniosła się. Opaloną jej twarz okalało jasnoblękitne niebo. Wyprężyła pierś i nachyliła się ku siedzącemu.

— Leberecht — powiedziała spokojnie. Do ciebie należy cała ta wioska i wszystkie dookoła posiadłości. Słuchają cię mężczyźni, a z kobietami możesz robić co zechcesz. Mnie jednak, Leberecht, nie kupiłeś!

Johann Leberecht z cichym westchnieniem przeciągnął się na krześle i podniósł na nią wzrok.

— Powiniennem być bardziej zatroszczyć się o ciebie — powiedział — nie tylko wtenczas, owej nocy.

— Ona się nie powtórzy.

— Wiem.

— Ani dla ciebie, ani dla nikogo.

— Tego ci nie życzę — powiedział majątkarz. — Powinnaś żyć i kochać, Elfriedo. Tu u nas. Pijasz mleko naszych krów, żołądek twój trawi to, co wyrasta na naszych polach, wszystkie pory twojego ciała wypełnia powietrze naszej krainy. Wyrósł z naszej gleby. Nie zapominaj o tym. Ten, kto zechce cię kochać, będzie musiał obydwoma nogami stać na tej ziemi, będzie musiał umieć tutaj żyć i chcieć tu umierać. Będzie musiał czuć się tak, jak gdyby był siewnym ziarnem, będzie musiał być jak drzewo, którego nie da się już przesadzić.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nalej po gorzałce — powiedział majątkarz i mięsistą dłonią skinął w stronę kamionki wypełnionej żytniówką. — Pomoże nam strawić to, co zjedliśmy, pomoże i na to, co ci uwięzło w głowie.

Elfrieda Materna ujęła glinianą butlę, odkorkowała ją i rozlała zawartość do dwóch dużych kieliszków. Biały, przejrzysty płyn ostrą wonią przesycił poranne powietrze. Johann Leberecht odetchnął głęboko ustami i nosem. Wąchał z wielkim zadowoleniem.

Uniósł kieliszek pod słońce, uśmiechnął się do niego, przechylił do tyłu głowę i powoli wlał w siebie wódkę. Potężne jego ciało aż zadrżało z rozkoszy, tak że skrzypnęło pod nim krzesło.

— Tutaj jesteśmy szczęśliwi — powiedział. — Wszyscy razem. Albo wzrasta się wśród nas, albo się obumiera. Żyjemy na uboczu dróg i daleko od miast. We własnym świecie. I żyjemy dobrze. Tak też ma to pozostać. Rób co możesz, żeby tak zostało.

Zasłuchał się w radosne porykiwanie krów, które kolebiąc się szły na pastwisko i sztywnymi nogami wzbijały kurz rozciągający się ponad ogród. Dożyca leżąca u stóp majątkarza uniosła łeb i dotknęła nim jego dłoni, którą też zaraz opuścił.

— Co mam robić? — zapytała Elfrieda Materna.

— Milczeć! Wiesz tylko to, że on nie żyje i nic więcej. Nigdy niczego nie słyszałaś o żadnych domysłach, podejrzeniach i ta-

kich tam sprawach. On nie żyje; to wszystko. Nie będziesz więcej odpowiadała na żadne pytania.

— Nikt nie pyta.

Uniósł się ciężko.

— Do Mauli przychodzi nowy żandarm. Stary pił więcej niżli znosił i będzie przedwcześnie spensjonowany. Jako wójt mniej więcej wiem, co dzieje się w mózgownicy landrata i jego satelitów z powiatowego urzędu. Trzeba liczyć się z tym, że podjudzą tego nowego. Możliwe jest też, iż to jeden z takich, których wcale nie trzeba judzić.

Popatrzyła na niego uważnie.

— Boisz się?

— To by się zgadzało — powiedział Leberecht. — O niego się boję. On nie wie, co go tu może spotkać, jeśli będzie sprawiał kłopoty. Ale nie chcę, żebyś jeszcze raz została wplątana w sprawę, dla której nie ma żadnych pośrednich rozwiązań. Możliwe, że nie wyniosłabyś z tego całej skóry.

* * *

Punktualnie o siódmej trzydzieści dziewięć, zgodnie z rozkładem, pociąg dotarł do stacji Marcinowy Bór. Wypuszczając parę bulgotała znudzona lokomotywa. Trzy osoby opuściły swoje przedziały.

Jako pierwszy zeskoczył na peron wachmistrz żandarmerii Thiele. Nosił czako i do niego też uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Zawiadowca stacji Marcinowy Bór, jedyny pełniący tu służbę urzędnik, który był jednocześnie bileterem, nastawniczym oraz kontrolerem, nie zwrócił uwagi na tę paradną demonstrację wojskowej uprzejmości; stanął w rozkroku, pomacał palcami nie gołony podbródek i zaczął sposobić się do odgwizdania pociągu.

— Pozwoli pan — powiedział przybyły godnie i niezobowiązująco — najpierw mój koń.

Zawiadowca stacji mruknął coś niezrozumiałego i z nieza-

dowoleniem wetknął tarczę sygnalizacyjną pod pachę. Czerwoną czapkę położył na wózku stojącym samotnie na peronie, rozpiął bluzę i powiedział: — A więc ma pan i konia.

Konia Paula, nazwanego tak ku czci aktualnie funkcjonującego prezydenta Rzeszy, a niegdyś wodza, wyładowano nieporadnie, czemu przypatrywało się ze znudzeniem czterech spośród dziewięciu pasażerów pociągu. Żandarm ze zwaśnięciem sprawdził stan swego gniadosza; sprawnymi chwytami skontrolował ułożenie siodła oraz uździenicy, kiwnął przy tym kilkakrotnie a krótko głową. Następnie zwrócił się do zawiadowcy stacji-przetokowego-kontrolera, ponownie przyłożył dłoń do czaka i powiedział: — Wszystko w porządku.

Zawiadowca-kontroler-nastawniczy-bileter zezwolił na odjazd pociągu. Potem, bardziej wyprostowany niż to miał w zwyczaju, z piersią lekko wypiętą ruszył ku żandarmowi.

— Jest pan może tym nowym? — zapytał.

Żandarm Thiele dosiadł konia Paula z pięknym rozmachem. Zaskrzypiał popręg. Gniadosz parsknął nozdrzami w taki sposób, że zabrzmiało to niemal wzgardliwie.

— Tak jest, obejmuję gminę Maule.

Zawiadowca zsunął czerwoną czapkę na czoło, by osłonić się przed słońcem i lepiej widzieć. Mężczyzna siedzący na grzbiecie Paula został przez naturę obdarzony okazałą posturą, był rozrośnięty i krępy, niemal kanciasty. Na wyblakłej ciemnej zieleni jego munduru nie widać było ni pyłku, ni plamki. Brązowy pas, u którego zwisał pistolet, był świeżo wypucowany i lśnił matowo. Pod czakiem widniało opalone, energiczne oblicze z niedużym wąsikiem. Broda była co nieco wysunięta do przodu. Tylko niebieskie jego oczy połyskiwały niespodziewanie pokojowo.

Żandarm Thiele nie zaszczylił już zawiadowcy stacji ani jednym spojrzeniem. Z lewej wyłogi surduta wydobyl mapę, rozłożył ją i zaczął się orientować. Wpierw ustalił północ, następnie porównał oznaczenia z terenem. Popatrzył wzdłuż szosy ku łagodnie wznoszącym się pagórkom, pokrytym lasami. Za nimi więc, odległe o dziewięć kilometrów, leżały Maule.

- Jazda, Paul! — rozkazał żandarm. Koń posłusznie ruszył wydeptując z suchej drogi obłoczki pyłu.

Thiele notował w pamięci wszystko, co dostrzegał. Wyglądało to tak, jakby lustrował miejsce przestępstwa. Ustalił, że stacja Marcinowy Bór, na której pociąg zatrzymywał się dwa razy dziennie, składała się z szopy i przeładunkowej rampy, że znajdowała się wprawdzie w złym stanie, ale jednak, zapewne ubiegłego lata, świeżo ją pomalowano. Ruch był niewielki. Miejscowość Marcinowy Bór składająca się chyba z trzydziestu lub trzydziestu pięciu domostw położona była na prawo od szosy, w odległości kilometra i dwóch dziesiątych. Pierwsze wrażenie: zaniedbane budynki, płoty i drogi, choć ludność widomie pracowita. Nikt nie stał bezczynnie.

Szosa, nie dająca się określić jako zadbana, pełna była wybojów. Skręcała za Marcinowym Borem ostro w prawo i zaczynała biec pod górę. Z prawej i lewej pola: ziemniaki oraz zboże, w proporcji mniej więcej trzy do dwóch. Nieliczne łąki. Wszędzie laski. Po trzech i siedmiu dziesiątych kilometra, jak wskazywała mapa, powinno znajdować się jezioro zwane Policzek. W oddali dymił komin gorzelni.

Dokładnie po czterdziestu trzech minutach, co wskazał rzut oka na dziedziczny kieszonkowy zegarek, żandarm Thiele dotarł w swej samotnej jeździe do wsi Jeziorki, odległej o dwa i dziewięć dziesiątych kilometra od Mauli. Policzył domostwa, a było ich dwadzieścia trzy. Porównał notatki, które sporządził w powiatowym mieście, i zadowolony stwierdził, że się zgadzają. Było zapisane: Jeziorki, dwadzieścia trzy domostwa, osiemdziesięciu siedmiu mieszkańców, cmentarz, rybacówka.

Zachowując niezmiennie staranną postawę przejechał i przez tę wioskę. Jaskrawe słońce, które wspinało się wyżej i wyżej, nie wywierało nań żadnego wpływu. Kropelki potu wsiąkały niezauważalnie w kołnierzyk. Koń Paul poruszał się z dobrotliwą jednostajnością. Rozrośnięty, spoglądał na strzechy domostw, tak jakby lustrował uszeregowaną kompanię, którą miał przejąć.

Chłop jadący z naprzeciwka kołysał się na skrzypiącym wozie, dwa małe, skarogniade, widomie niezbyt zadbane konie zapierały się w szorach. Chłop, nie ogolony, w rozchełstanej koszuli, której koloru nie dawało się już określić, wydawał się zapatrzonego w przestwór, ale kątem oka szacował żandarma.

— Ładny dzień — powiedział Thiele i przyłożył dłoń do czaka.

— Tak, tak — odparł chłop i pojechał dalej.

Wachmistrz Thiele, który ostatnio stacjonował w bezpośredniej bliskości Olsztyna, był dostatecznie doświadczony, by się nie dziwić. Znał chłopów z tej okolicy, których tylko wódka mogła zrobić rozmownymi. Albo niezręczne trzymanie narzędzi przy pracy, albo zręcznie podłożony ogień lub skomplikowany poród w oborze. Wiedział o tym i z góry się z tym liczył. Miał bowiem mnóstwo służbowego doświadczenia i nie było dotychczas powierzonej mu gminy, z którą by sobie nie poradził. Uznawano go za funkcjonariusza niezawodnego oraz ambitnego. Był bezpośrednio przed awansem na przodownika żandarmerii, Maule zaś miały być ostatnim etapem drogi ku temu.

Thiele uśmiechnął się lekko i jeszcze bardziej się wyprostował, choć nie było to wcale potrzebne. Koń Paul dyszał teraz ciężko na krótkim podejściu pod górkę, ale już wpół drogi zobaczyli Maule.

— Stój, Paul — powiedział żandarm.

Paul zatrzymał się posłusznie i energicznie kiwnął głową. Thiele rozejrzał się. W bezpośredniej bliskości nie było nikogo, trójka ludzi pracowała na polu odległym dalej niż kilometr. Żandarm zdjął czako z głowy pewnym, niemal gwałtownym ruchem. Przez czoło przebiegała mu zaczerwieniona i głęboko odcisnięta krecha. Krótko ostrzyżone włosy lepiły się od potu. Niebieskie oczy, duże i łagodne, zmrużyły się teraz od jaskrawego słońca.

Thiele wyjął ze spodni śnieżnobiałą chustkę i popatrzył na nią. Potem złożył ją i wetknął z powrotem. Sięgnął do drugiej kieszeni i na słoneczne światło wydobył mocno pomiętą chust -

kę błękitną. Nią też osuszył czoło, lica i szyję przyglądając się przy tym Maulom.

Już pierwsze spojrzenie na wieś, do której miał się przenieść, zadowoliło go. Maule wyglądały na bardziej zadbane niżli wioski, przez które przejeżdżał do tej pory. Dostrzegwał nawet murowane oraz pokryte dachówką budynki. Kościół był mały, lecz widoczny z daleka. Blisko niego, jak mówiła mapa, znajdowała się szkoła, naprzeciwko niej stał służbowy dom, w którym miał zamieszkiwać i do którego już przedwczoraj jako forpoczty wyprawił swoją córkę. Nieco dalej, na prawo, była gospoda z salą taneczną. Za tym wszystkim krajobraz zdominowany był przez majątek Maule, z gorzelnią i mleczarnią, ze stajnikami, stodołami i spichrzami.

Maule nad jeziorem Policzek, odległe o dziewięć kilometrów od linii kolejowej, dwanaście kilometrów od szosy do Olsztyna, w 1863 roku zarejestrowane zostały jako gmina. Poczta i parafia. Trzystu sześćdziesięciu siedmiu mieszkańców, zgodnie z ubiegłorocznym, 1932 roku, spisem ludności. Ludność w całości pruska, w siedemdziesięciu trzech procentach ewangelicka. Reszta to: cztery procent katolików, nieokreślonej konfesji dziewięć procent, ale całe czternaście procent przynależnych do pewnej sekty, która zwykła modlić się wiele i zawsze na kolanach oraz unikała alkoholu.

— Nie zwlekajmy, Paul — powiedział żandarm do konia, kiedy znów włożył czako. Paul pokłusował ponaglony paroma pieszczotliwymi klepięciami po szyi. Thiele wypiął pierś i przyciągnął do niej brodę.

Przejechał koło kuźni stojącej przy wjeździe do miejscowości. Z właściwą sobie perfekcją i w żadnym wypadku nie wrogo pozdrowił kowala, który jednak szybko się cofnął. Thiele tylko przelotnie się uśmiechnął i pojechał ku krzyżówce. Badawczym spojrzeniem obrzucił kościół, następnie skierował je na szkołę, z której, jak gdyby na jego powitanie, rozbrzmiała pieśń o ojczyźnie, tej, którą nosi się w sercu i nie można o niej zapomnieć. Wyglądało na to, że ogarnie go lekkie wzruszenie; nawet Paul zwolnił i tak już niezbyt ostre tempo.

Przez drogę przemknął pies o niemożliwej do ustalenia rasie. Za nim popędziły dwa następne. Koń Paul prychnął niezadowolony. Żandarm zaś postawił sobie pytanie, czy też aby wszystkie one noszą psie znaczki.

— Boże błogosław! — zawołał chrapliwy głos spod kościelnego muru.

— Dziękuję — powiedział żandarm i automatycznie przyłożył dłoń do czaka. Pod ostre słońce spojrzął na człowieka, który go zagadnął. Dłoń uniesiona do pozdrowienia powoli opadła.

Człowiek siedzący pod cmentarnym murem miał szeroko otwarte usta z licznymi ubytkami uzębienia i wysoko, jak sztandar, trzymał w górze butelkę wódki. Jego głowę otaczały włosy rzadkie i sfilcowane na kształt badyli, broda była dziko zmierzwiona.

— Błogosławieństwo Boże z tobą! — zawołał mężczyzna i potrząsnął butelką w stronę żandarma, tak że aż zbełtała się wódka.

— Jak się pan nazywa? — zapytał dociekliwie żandarm. Wyprostowany w siodle odchylił się też, jakby przymuszony do ustąpienia drogi nacierającemu nań odorowi, choć ów człowiek spod cmentarnego muru stał w odległości wielu metrów.

— Jestem Grzesz — przedstawił się mężczyzna. — Fritz Grzesz. Wszyscy jednak nazywają mnie Fryciem.

— I upija się pan w biały dzień? — spytał surowo żandarm.

Frycio Grzesz uśmiechnął się do niego przyjaźnie. — Upijanie się w biały dzień to grzech. Wiem o tym. Unikam też grzechu. Upiłem się już poprzedniej nocy.

— Jest pan opojem! — powiedział żandarm.

— Kto chce żyć, musi pić — zaskrzeczał Frycio Grzesz. — A kto pije, musi upuszczać wodę. — I zaczął sposobić się do tego.

Nawet koń Paul odwrócił się i ruszył z miejsca. Żandarm Thiele uznał, że niczego nie spostrzega. Z doświadczenia wiedział, iż wobec pijaków nikt nie potrafi się niczym popisać, akcje przeciwko nim nie są też pozbawione określonej dozy śmieszności. Tego rodzaju kreatury mądry funkcjonariusz po-

licji załatwia mimochodem i jak się to mówi lewą ręką. Tego rodzaju człowiek niegodny jest, by stał się przedmiotem pierwszej urzędowej czynności w nowej gminie. Thiele postanowił jednak, w związku z dalszym rozeznaniem sprawy, zapamiętać następujące pytanie: kim jest właściwie Fritz zwany Fryciem Grzeszem? Dlaczego nie pracuje? Jeśli zaś nie pracuje, to skąd ma pieniądze, żeby się upijać? Co go skłania do alkoholu? Czy, kiedy wypije alkohol, staje się rozmowny, a jeśli tak, to co mógłby powiedzieć, zwłaszcza o sprawie Materny?

Pojechał w stronę małego dwupiętrowego domu stojącego naprzeciwko kościoła i szkoły, choć nieco na skos, na którym połyskiwała tarcza z orłem i okalającym go napisem, który głosił: Żandarmeria Pruska — Posterunek Żandarmerii w Maulach. Paul zarżał. Drzwi domu otwarły się i Ewa, córka żandarma Thiele, wybiegła mu naprzeciw.

— Tato! — zawołała. — Dobrze, że jesteś. Tutaj jest pięknie.

Żandarm zeskoczył z konia, zrobił lekki przysiad, a potem się wyprostował. Oddał Paula córce. Powściągliwie, ale ostrożnie i z tkliwością pogłaskał jej krągłe policzki.

— Wszystko w porządku? — zapytał następnie.

— Wszystko — powiedziała spieszenie i dodała: — prawda tato, że pięknie tutaj?

— To się jeszcze okaże — odparł żandarm.

Pastor Bachus człapał w stronę dworu. Jego chomicze policzki kołysały się, czarny surdut zwisał na ciele i tylko wystający brzuch wypinał się dziarsko do przodu rozciągając spodnie.

U drzwi dworu obwieścił pragnienie porozmawiania z panem Leberechtem, i to możliwie natychmiast. Powiedziano mu, że pan Leberecht jest w stajni, dokładnie zaś przy kłaczy imieniem Róża, która się źrebi.

Pastor Bachus nie objawił chęci złożenia swego uszanowa-

nia pani Leberecht; wiedział bowiem, że za każdym razem, kiedy się meldował, udawała, że jest chora, a także i to, że owa choroba wzięła się od sekty mojżeszowców. Była więc zbłąkaną owieczką, ale nie widział w tym tragedii. Czasy, w których jeszcze walczył o każdą rozchwianą duszę, dawno już minęły. Teraz, najważniejsze było to, by niedzielna kolekta dawała dobry przychód, by dzierżawne czynsze należne za kościelne grunty wpływały o właściwej porze, a majątkarz Leberecht nie był skąpy.

Leberecht był zaś oddany Kościołowi i pastorowi. Kiedy zauważył Bachusa w stajni, skinął na niego.

— Niech pan podejdzie, pastarze — powiedział. — Proszę siąść na skrzyni z obrokiem. W wiadrze stoi butelka wódki.

— Chciałbym, panie Leberecht, omówić z panem niedzielne kazanie.

Majątkarz nie okazał najmniejszego zdziwienia; przedstawione mu właśnie życzenie przyjął jako coś całkiem oczywistego. W Bachusie tkwiła bowiem silna potrzeba posiadania zwierzchności. Pragnął, jak to nakazywała Biblia, oddawać cesarzowi co cesarskie, ale wobec braku tegoż trzymał się Leberechta, który nie widział jednak potrzeby wyjaśnienia mu tego rodzaju religijnej pomyłki.

Leberecht pieszczotliwie głaskał boki ciężarnej kłaczy. Zwierzę o wielkich, smutnych oczach pochyliło ku niemu głowę.

— Nie może się oźrebić to biedne zwierzę — powiedział Leberecht. — Od dziesięciu godzin macica chce wyprzeć płód, ale zwierzę opiera się temu. Wstydzi się.

— Pana? — zapytał pastor Bachus. Siadł na skrzyni z obrokiem oczekując, że ten jego żartobliwy wtřęt zostanie skwitowany przez majątkarza uśmiechem. Leberecht nie zwrócił jednak na to uwagi.

— Kłacze są bardziej wrażliwe niż kobiety, zwłaszcza jeśli są to kłacze szlachetne. Kobiecie może przypatrywać się cała klinika, ale moja Róża nawet mnie przy tym nie chce. Jeśli pan, panie pastarze, wnet nie odejdzie, poród jeszcze bardziej się odwlecze.

— Chciałem się tylko dowiedzieć, czy nie ma pan jakichś szczególnych życzeń odnośnie niedzielnego kazania.'

— Niech pan powie o tym, co wyda się panu słuszne. Ogólne życiowe wskazówki, wskazanie, że tamten świat jest lepszy i takie tam różności o miłości ojczyzny, a więc jak zwykle. Proszę też wpleść tym razem wzmiankę, że wypraszam sobie kradzieże leśne.

— Każda kradzież jest grzechem. Kto występuje przeciw przykazaniom...

— Nie trzeba strzelać aż z takiej rury, pastorze. Nakazy biblijne to nie policyjne przepisy. Pan wie, co o tym myślę. Jeśli ktoś głoduje, dostanie pożywienie, jeśli nie ma nikogo, kto by mu je dał, powinien je sobie wziąć. Jeśli ktoś marznie, dostanie drewno. Nie jesteśmy ubogimi ludźmi. Nie chcę tylko, by mi ci chłopci prowadzili rabunkowe zręby. Kto bez zezwolenia zetnie drzewo, temu każę stłuc tyłek.

— Zapowiem to — skinął ochoczo Bachus.

— A o co jeszcze wzbogaci pan dusze swoich owieczek? Wygląda pan tak, jakby miał pan tym razem objawić im coś niezwykłego. Kiedy dostrzegł, że Bachus potakuje z ożywieniem, w oczach jego zagościł badawczy chłód.

— Mam zamiar przetrzepać skórę hitlerowcom. Powoli pie nią się wszędzie. W ciągu tych kilku miesięcy, przez które zasiadają w rządzie, tak rozdarli gęby, że niekiedy i u nas ich słychać. Tego nie powinniśmy znosić w przyszłości. I to właśnie trzeba w końcu powiedzieć. Chyba jest to zgodne / pańskimi poglądami?

Niech się pan napije wódki — powiedział Leberccht, a potem wysłucha mnie uważnie. — Siadł na wiązce słomy w pobliżu kłaczy. Stęknął i rozsunął nogi. Jego dłoń delikatnie głaskała rozpęczniały koński brzuch.

Pastor Bachus odkorkował butelkę, przyłożył ją do ust i solidnie pociągnął. Potem butelkę zakorkował i wywiczonym zamachnięciem rzucił ją w stronę majątkarza. Ten też się napił.

— Jeśli idzie o hitlerowców — mówił następnie Leberecht — czuję, że i po nas próbują wyciągnąć swoje brudne łapy.

— Dlatego też musimy im dać solidnie po paluchach.

Leberecht machnął dłonią.

— Na to, by zostać bojownikiem na barykadzie, jest pan, pastorze, zbyt łagodny. Ja zaś nie jestem na to dostatecznie głupi. Możemy jakimś śmierdzielowi wygarbować skórę, rozrabiacza wrzucić do sadzawki, oszczercę wykąpać w gnojówce, a potem oprószyć mąką; wypróbowaliśmy już te i podobne im sposoby.

— Ponoć zdarzyło się i to, że jednemu, który chciał przekabacić naszą wieś, zgaszono płomyk życia — rzekł pastor tonem miarkowanego wzburzenia.

— Zalecałbym panu milczenie w tej sprawie. I żadnych tam domysłów! — powiedział chłodno Leberecht.

— Ja tylko tak się zastanawiam.

— Już dobrze, panie pastorze. Niech pan jednak nie zapomina, że w przypadkach tego rodzaju ja zwykłem myśleć za całą wieś.

— Pan wie, że może pan na mnie polegać — zapewnił z oddaniem Bachus, a jego piękny, śpiewny głos przeppełnił pustą stajnię i zabrzmiał jak uroczysta przysięga.

— O zwierzchność, która troszczy się o nas i my także dbajmy. Z Bożej woli istnieje ład państwowy oraz gminny, podobnie jak zasobność i znaczenie jednych, a nędza i nicość drugich. Czy nie stosowałem się zawsze do tego?

Oczy Leberechta zabłyśły, ale na pełnym jego obliczu nie ujawnił się żaden grymas.

— Wracając do pewnej wiadomej okoliczności: mogę zubożyć całą okolicę; mogę, jeśli tylko zechcę, zamknąć gospodę; mogę spowodować przeniesienie nauczyciela, a nawet zażądać innego pastora; mogę pozamykać drogi, zasypać studnie i wygłuszyć ryby w jeziorze Policzek. Nie mogę jednak zagrać w piłkę nożną z całym państwem.

— Rozumiem, panie Leberecht. Będzie lepiej, jeśli nie wspomnę o hitlerowcach.

— Wcale mnie pan nie rozumie — powiedział majątkarz, ciągle głaszcząc brzuch klaczy. — Powinien pan mówić o hit-

lerowcach, i to pozytywnie, a myśleć pan może spokojnie przy tym, co pan zechce.

— Miałbym z ambony agitować za tymi ludźmi z piekła rodem?

— Mniej więcej. Potem zaś pan oznajmi, że również i pan postanowił wstąpić do partii.

— Ja? Również? Jakże to?

Bachus zeskoczył ze skrzyni z obrokiem. Do czarnego ubioru poprzyczepiała mu się sieczka, trzewiki pokryte miał nalo-tem otrąb.

— Panie Leberecht — zawołał — nie rozumiem pana. Przeszło dwadzieścia lat żyjemy razem w tej wiosce. Z początku pana nie rozumiałem, potem jednak rozeznałem, czego pan pragnie, i dostrzegłem, że jest pan błogosławieństwem dla tej wsi. Nasze Maule, otoczone piaskami, leżą na ogromnej bryle tłustej gleby. Jesteśmy wioską bogatą, nasze zaś bogactwo spoczywa w pana dłoniach. Pan zapragnął, żeby każdy żył tu jak zechce, żeby robił albo nie robił nic, wedle upodobania. Jest chleb dla wszystkich oraz wódka, praca zaś nie bywa szczególnie ciężka. Szczęśliwi jesteśmy. Jeśliby ktoś zechciał zniweczyć to nasze piękne, spokojne życie na krańcu świata, tego wygnamy ze świątyni. Czyż nie jest tak właśnie?

— W istocie tak jest.

— Czemu więc chce nas pan wydać hitlerowcom?

— Niech pan tak nie wrzeszczy, Bachus. Straszy mi pan konia. Poza tym wcale was nie wydaję, tylko wyprzedzam hitlerowców. Zorganizujemy tu narodowy socjalizm na naszą własną modłę. Założymy miejscową grupę, a potem będziemy robili, co tylko zechcemy. Właśnie zgłosiłem swoje przystąpienie do partii. Odnosny bonza w Olsztynie niemal płakał ze wzruszenia. Zgodnie z jego życzeniem założymy tu w ciągu kilku tygodni miejscową grupę, a potem cała ta partia będzie nas mogła pocałować w tyłek.

— Kto będzie ortsguppenleiterem?

— Znajdziemy już sposobnego idiotę.

Pastor Bachus znowu przysiadł na skrzyni z obrokiem.

Schwycił butelkę, którą rzucił mu majątkarz, a sprawność, z jaką się to stało, wskazywała na długie wprawki. Popijając starał się uporządkować myśli.

— Czy widział już pan tego nowego żandarma? — zapytał Leberecht.

— Widzieć, widziałem.

— Jakie robi wrażenie?

— Na łagodnego nie wygląda.

— Coś takiego! Lubi alkohol? Pali? Rozgląda się za kobietami? Ma jakiegokolwiek nałogi?

— Ma córkę, która prowadzi mu dom. Wygląda też na to, że żona dawno mu umarła.

— Jaka jest ta córka, Bachus? Straszdyło?

— Bynajmniej. Na taką jak ona mówi się, że to hoża dziewczucha. Ma warkocze, ma siedemnaście lat i jest w pełni rozwinięta.

Majątkarz Leberecht przestał głaskać swoją klacz.

— Skąd pan wie to tak dokładnie?

Pastor uśmiechnął się bez urazy; w ciągu wielu lat przywykł do obcesowych manier Leberechta; poza tym żył mając przecież oczy i uszy otwarte w owym jednym z niewielu miejsc na ziemi, gdzie wszystko było jeszcze czystą naturą. Bóg to urządził i tak właśnie było dobrze.

— Opowiedział mi o niej syn.

— Pański syn — stwierdził Leberecht — za mało pracuje. Przydziela mu pan zbyt mało obowiązków. Dłonie ma takie miękkie jak mieszcuch. Jego umysł też mi się taki wydaje. Nazbyt łatwo nachodzą go głupie myśli.

— Dziewczynę spotkał przypadkowo. Żandarm, jak pan wie, mieszka blisko nas. Zaistniał tu więc, jak to się mówi, sąsiedzki kontakt.

— Niech pan dobrze uważa, Bachus. Nie chcę żadnych komplikacji. Jeśli nowy żandarm jest takim człowiekiem, za jakiego muszę go uznać na podstawie informacji, które do mnie doszły, wybuchnie niby wulkan, jeśli tylko pański syn zacznie za nią latać nie obiecując z miejsca małżeństwa. Znam

tych ojców bez żony. Córki kochają jak własne życie, a czasem jak osobistą karierę. Może jednak ta mała ma już jakieś doświadczenia?

— Mój syn sądzi, że nie.

— Jeśli pański syn, Bachus, lekkomyślnie to sprawdzi, a wiem, że podskakuje gdzie się tylko da, pana osobiście uczynię za to odpowiedzialnym.

— Zwykle nie jest pan taki — powiedział z odcieniem ironii Bachus.

— To się zgadza — odparł dobitnie Leberecht. — Zazwyczaj taki nie jestem. Nowy żandarm to jednak dla nas człowiek obcy. Najpierw musimy zobaczyć, jaki się okaże. Przecież nie możemy na siłę zmuszać go do przyjęcia naszego sposobu życia. Jeśli znajdzie do nas drogę, serdecznie go powitamy. Jeśli się go jednak odstręczy, a młodziutka córka to punkt szczególnie niebezpieczny, może się zdarzyć, że utracimy kontakt. Tego zaś trzeba uniknąć. Mamy dość problemów, które nas zaprzatają.

Majątkarz znowu się podniósł. Objął rękami głowę klaczy i przytulił swą mięsistą twarz do gorącego czoła zwierzęcia. Silnymi dłońmi z wielką delikatnością gładził wilgotną od potu sierść.

Uniósł się i pastor Bachus, po czym opuścił stajnię. Popatrzwszy w niebo zamrugał. Od jaskrawego słońca zabolaly go słabe oczy.

Żandarma Thiela znamionowała nie tylko energia, ale też planowość i trzeźwy rozsądek, a więc przymioty, które nagromadził w sobie jako funkcjonariusz podczas pracy w trudnych gminach. Potrafił znieść urągania nie rumieniąc się nawet przy tym, a jeśli był zmuszony do służbowego wkroczenia w bijaćki, robił to z zimną krwią nie angażując się osobiście. Niepewny czuł się jednak wobec przełożonych i tym się też trapił.

W ogóle zaś starał się postępować tak, jak gdyby oczy wszystkich mieszkańców powierzonej mu gminy były zwrócone wyłącznie na niego. Zarówno w całkowitej ciemności, jak i podczas najgorętszych upałów zawsze był przepisowo umundurowany. Nawet siedząc w ubikacji zachowywał nienaganną postawę.

Teraz usiadł za kuchennym stołem i polecił podanie skromnej, ale pożywnej strawy. W najściślejszym rodzinnym kręgu, a więc kiedy obecna była tylko córka, pozwalał sobie czasem na rozpięcie surduta, nie zapominając jednak przy tym, żeby koszula zapięta była aż po kołnierzyk.

Jego córka, Ewa, przysiadła obok i skinęła uprzejmie.

— Mam nadzieję, że będzie ci smakowało — powiedziała.

— Będzie smakowało — stwierdził tato żandarm — gdyż wiem, że jesteś dzieciną pracowitą i dobrze wychowaną. — Nie lubił szczerzyć uznania, choć unikał pochwał. Rozmyślnie usiłował pobudzać szczególnie jej ambicję, uważając to za czynnik wychowawczy.

„Dziecina” uśmiechnęła się powściągliwie i z respektem. Kształty jej pełne doskonałych proporcji przystaniała jednorodna, zgrzebna, płócienna suknia. Unikała wypychania ku przodowi biustu, raz już bowiem została za to zganiona. Towarzyszyła temu uwaga, że wypinanie piersi to czynność przypisana mężczyznom, szczególnie zaś żołnierzom.

Podawała kaszę z wołowiną i ojciec gęsty ów „eintopf” zagarniał łyżką z przykładową regularnością nie zdradzając, czy znajduje w tym zadowolenie. Po pierwszym talerzu zażyczył sobie piwa, co już samo przez się było czymś niezwykłym.

Ewa pospieszyła do piwnicy wiedząc dobrze, iż ojciec szybkie wykonywanie poleceń uważał za oczywistość, taką samą wartość przykładając do dokładności jak i do szybkości wykonania. Wytarła butelkę aż do połysku i wzięła jego ulubioną szklanę stojącą zawsze na podorędziu, w kuchennym kredensie, z przodu, po lewej. Troskliwie nalał do niej piwa i zaczął pić ostrożnie.

— Nieźle — powiedział potem. — Krzepko uwarzone. U kogo kupujesz?

— U Wenglera.

— Czy to jedyny kupiec w tej miejscowości?

— Nie. Jest jeszcze jeden. Nazywa się Nowakowski i dzierżawi gospodę. Do właściciela sklepu kolonialnego, Wenglera, jest jednak najbliżej. To zaraz obok szkoły.

— Życzę sobie — powiedział żandarm — byś wypróbowała rzetelność obydwu kupców, a potem dała pierwszeństwo lepszemu, a więc rzetelniejszemu. Powinien tu decydować interes, a nie jakieś osobiste sympatie.

— Oczywiście, ojcze.

— Czy Wengler wywiesił cennik?

— Nie wiem. Nie dostrzegłam go.

Żandarm Thiele ostrożnie odłożył łyżkę na brzeg talerza.

— Każdy, kto świadczy usługi — powiedział — zobowiązany jest do wywieszenia cennika, i to w dobrze widocznym miejscu.

— Mogłam go przeoczyć, ojcze.

— Musi być tak umieszczony — wyjaśnił żandarm — żeby nie dało się go przeoczyć. Proszę cię, zwracaj na to w przyszłości uwagę.

— Jadł dalej równomiernymi ruchami. Kiedy znów wypił łyk piwa, spojrzął za okno. Zobaczył fragment ogrodu, a na dalszym planie posmołowane, czarnobrunatne deski ściany szopy, o którą opierał się rower córki. Przy nim siedział na piasku chłopiec i czyścił go.

— Co to za chłopak? — zapytał żandarm i postawił szklanekę na stole.

— To Karolek.

— Co za Karolek?

— Sierota. Karolek nie ma rodziców i żywi się kolejno w całej wiosce. To chłopiec miły i uczynny.

Żandarm wstał.

— Sierota — wyjaśnił — musi mieć stałych opiekunów albo też należy skierować go do zakładu wychowawczego. Inne rozwiązanie nie jest zgodne z prawem. Niech tu przyjdzie.

Ewa podniosła się bez słowa. Wiedziała, że uwagi, a złasz-

cza sprzeciw, byłyby całkowicie daremne. Przyprowadziła Karolka do kuchni, gdzie stanął przed żandarmem.

Karolek miał około dziesięciu lat, miał wesołą piegowatą buźkę i dziko rosnące, jasne jak słoma włosy, które wieńczyły jego głowę niby nowa szczotka do froterowania. Wyglądał jakby go ostrzyżono pod garnek. Uśmiechał się przyjaźnie do żandarma.

— Podejdz no bliżej, mój synu — odezwał się żandarm.

— Nie powinieneś bać się mnie.

— Nie boję się ciebie.

— Jak się nazywasz?

— Karolek.

— Nazywasz się więc Karol. A dalej?

— Tylko Karolek.

— Masz rodziców?

— Nie. Nigdy nie miałem. Jestem sam. Nawet psa nie mam, a chętnie chciałbym mieć. W Maulach wszyscy mają psy; dlaczego ty nie masz jeszcze żadnego?

— To greczny i miły chłopiec — powiedziała Ewa.

— Ty też jesteś bardzo miła i bardzo grzeczna — zapewnił prostodusznie Karolek i skinął ku niej głową.

Żandarm naburmuszył się. — Kto się tobą opiekuje?

— Wszyscy. Cała wieś.

— U kogo mieszkasz? Gdzie sypiasz?

— Wszędzie.

Żandarm był szczerze zmartwiony.

— Musisz przecież mieć jakieś stałe miejsce, w którym trzymasz rzeczy. Musi też być ktoś, kto odpowiadałby za ciebie. Przecież gdzieś stoi łóżko, w którym sypiasz?

— O, tak — zapewnił Karolek. — Teraz jestem u kowala. W następnym tygodniu mam przenieść się do gospodarza Demskiego. Ale najbardziej chciałbym zostać u Ewy.

— Ależ stosunki — zamruczał Thiele. — Jak w czasie wojny trzydziestoletniej.

— Byłeś na trzydziestoletniej wojnie? — zechciał dowiedzieć się Karolek i zaciekawiony podszedł bliżej.

— Nie — odparł żandarm. — Chętnie bym się jednak dowiedział, kto ma na sumieniu ten twój cygański żywot.

— Co to jest cygański żywot?

— Kto właściwie kieruje tym, że przenosisz się od jednego do drugiego?

— Leberecht. A któż by inny?

— Dobrze już — powiedział powściągliwie żandarm i taktownie zachował dla siebie to, co o tym pomyślał. — Ewo, umyj dzieciakowi ręce, a potem daj mu coś do zjedzenia.

— Chętnie, ojczu.

— Daj mu też jedną z moich starych koszul, tę w niebieskie paski.

— Twoje koszule są dla mnie o wiele za duże — powiedział Karolek. — Są prawie tak duże jak Leberechta. Jedna wystarcza na powłóczkę do mojej pościeli.

— Ewa przerobi ją dla ciebie.

— A czy niebieski kolor jest ładny?

— Tak, Karolku — powiedziała Ewa, objęła go i wyprowadziła na dwór. Karolek schwycił ją za rękę i tak trzymał.

— Ależ stosunki — odezwał się do siebie żandarm kręcąc głową. — Aż krzyczą o to, by wkroczyła policja. Nałogowy pijak, oszukańczy kupcy i zaniedbane dziecko. Ale ja tu już zaprowadzę porządek.

Ostrożnie odsunął od siebie pusty talerz, zamknął na wpół jeszcze pełną butelkę piwa i wstał. Sięgnął po wiszący na kuchennym krześle surdut munduru i włożył go. Pozapinał guziki, wygładził fałdy, migiem sprawdził, czy nie ma na nim kurzu. Następnie udał się do skromnie wyposażonego pokoju służbowego i zatrzymał się przy biurku.

Ułożył leżące luzem papiery, starannie, jeden na drugim i ulokował je po lewej stronie blatu. Służbowe czynności pierwszego dnia w Maulach miały charakter czysto teoretyczny. Otóż poprzeglądał akta i sporządził plan sytuacyjny. Starannie naniesione nań domostwa wioski Maule nie zostały jeszcze opisane, jednak wkrótce będą nosić liczby, znaki oraz nazwiska i będą mu mówiły, gdzie kto mieszka, co robi, ile zarabia,

czym się zajmuje i z kim jest spokrewniony, czyim jest szwagrem, z kim jest związany. Był to jego specjalny system: delikatne nitki pobiegną od domu do domu i będą mu mówiły, któredy wędrują plotki i wieści, pożywienie oraz różne skłonności. Irytowało go, że jedno z pierwszych stworzeń, z jakimi skrzyżowały się jego drogi, Karolek mianowicie, zapowiadało zakłócenie tego systemu. Malca nie można było zarejestrować. To właśnie nie pasowało do ładu żandarma, z miejsca też zmuszony był wyjaśnić tę okoliczność. Tak więc powziął postanowienie odbycia pierwszej, półurzędowej wizyty.

Doświadczenie nauczyło go, by w sprawach tego typu wybierać kierownika szkoły w danej miejscowości. Nie pastora albo jakiegoś kupca, choć obydwaj byli zorientowani, lecz na ogół jednostronnie; jeden baczył na sprawy duchowe, drugi przede wszystkim pilnował sakiewki. Również Leberecht, majątkarz i wójt, został wyeliminowany, gdyż jego punkt widzenia na sprawę Karolka nie był jednak dość jednoznaczny, a nawet, jak to się zdawało na pierwszy rzut oka, wydawał się wątpliwy. Nauczyciel tymczasem był kimś w rodzaju urzędnika, stosunkowo niezależnego, nie był nieoświecony, a więc zasobny w wiedzę o mieszkańcach wszystkich grup wiekowych; można też było domniemywać, że ci dzisiejsi opoje byli ongiś jego uczniami. Nauczyciele bywali ponadto, z racji wykonywanego zawodu, najczęściej rozmowni oraz skłonni do wystawiania bliźnim cenzurek.

Żandarm Thiele podszedł do wieszaka, wybrał gorszą spośród obydwu służbowych czapek i opiął się pasem z lekkim pistoletem. Rzucił okiem na lustro sprawdzając, czy też jest porządnie wyczyszczone, a potem wejrzał w nie. Wrażenie, jakie wywierał, uznał za zadowalające, a w istocie było ono nienaganne. Ukłonił się sobie, a potem wziął łupkową tabliczkę wiszącą u wejścia do mieszkania i napisał: „Jestem u kierownika szkoły, Neubericha. Przewidywany powrót około godziny piętnastej. Thiele, wachmistrz żandarmerii, kon." Owo „kon." znaczyło konno, w odróżnieniu od żandarma „pie.", czyli spieszono.

Wyszedł przed główne drzwi, wyprostowany, rozglądając się badawczo, świadomy tego, że uosabia to, co zazwyczaj nazywane bywa „zjawiskiem imponującym”. Doszedł do skraju wiejskiej drogi. Popatrzył badawczo w lewo; droga była pusta aż do krzyżówki, a nawet dalej, tam gdzie był staw i gdzie obejścia drobnych gospodarzy prześwitywały przez pokryte liśćmi drzewa. Następnie spojrzął w prawo, całkiem tak, jak to nakazywały przepisy ruchu drogowego. Znajdowała się tam gospoda, masarnia i wjazd do majątku. I tu droga była pusta. Zakonotował: ruch nikły.

Thiele przekroczył drogę krokiem szybszym niż zazwyczaj i wszedł na niewielkie wzgórze wspinające się ku szkole. Wkroczył do budynku i otworzył drzwi, za którymi dostrzegł klasową izbę — stan podłogi oraz woń kurzu i resztek chleba nie spodobały mu się. Na tablicy figurowało zadanie rachunkowe wraz z rozwiązaniem; przeliczył i stwierdził, że wynik się zgadza.

— Pan do mnie? — zapytał mężczyzna, który wślizgnął się za nim w gumowych butach. Minę miał strapioną, a jednocześnie znudzoną, cerę szarą i zwiędłą, poprzecinaną zmarszczkami, siwe włosy sterczały jak szczotka na różowawej czaszce. Oczy nie były zwrócone na żandarma, a jednak wydawało się, że go dostrzegają.

— Kierownik szkoły Neuberich? — zapytał żandarm powściągliwie.

— Neuberich — przytaknął. — Pan Thiele, jeśli się nie mylę?

— Tak jest. Wachmistrz żandarmerii Thiele — zamarkował ukłon, wyciągnął silną dłoń i usiłował uśmiechnąć się życzliwie. — Pozwoliłem sobie na wstępną wizytę.

— Proszę bliżej — powiedział Neuberich i ruszył do przodu. Rozcierał dłoń, gdyż uścisk żandarma był bardzo krzepki, a wyglądało to tak, jak gdyby zmarzł. — Jestem kawalerem — oznajmił Neuberich. — Od czterdziestu pięciu lat w Maulach. Tutaj, jeśli się jest urzędnikiem, nie można znaleźć odpowiedniej żony. Pan to rozumie?

— Rozumiem — powiedział Thiele. Ruszył za Neuberichem do dalszej części szkolnego budynku; tam zostały otwarte drzwi prowadzące do kuchni, z niej zaś weszli do izby mieszkalnej, a jednocześnie służbowej.

— Moje królestwo — obwieścił nie bez dumy Neuberich. Jego dłoń zakreśliła półkole, które początek wzięło od wygniecionej kanapy, przebiegło ponad stołem i krzesłami o wysokich oparciach, a zakończyło się na biurku z kilkoma książkami i stertą pudełek od cygar. — W wolnych chwilach jestem kimś w rodzaju badacza — powiedział Neuberich. Wskazał na pudełka od cygar — zbieram mchy.

— Aha — rzekł uprzejmie żandarm.

— Tylko w naszej okolicy odkryłem ponad sześćdziesiąt gatunków mchów, a mówiąc dokładnie sześćdziesiąt cztery. Wśród nich okazy, których nie wymienia nawet podręcznik botaniczny Schmeila. Ze względu na kształty nazywam je mchami gwiaździstymi.

— To bardzo interesujące.

— Nadzwyczajne — zapewnił Neuberich. — To naprawdę wyjątkowo niezwykle. Kiedyś napiszę o tym książkę.

— Dużo wolnego czasu ma pan, panie kierowniku? — dyskretnie informował się żandarm.

— Zapelniam go, panie Thiele. Zbieractwo też może być pracochłonne. Moje dzieci pomagają mi w tym.

— Dzieci? Sądziłem, że jest pan kawalerem.

— Moje szkolne dzieci! Proszę jednak usiąść. Co też mógłbym panu zaproponować? Mam wódkę. Na ogół unikam alkoholu, co mi oczywiście przysparza wrogów. Tutaj wszyscy mieszkańcy piją tego. Dlatego są mi przeciwni. Mówiono panu o mnie źle?

— Jeszcze nie — powiedział żandarm.

— Wszystko to nastąpi — zapewnił kierownik szkoły i spojrział na gościa smutnymi oczami. — Nie musi pan jednak wierzyć we wszystko, o czym się gada.

— Daję wiarę temu, co sam wiem.

— Wydaje mi się pan sympatyczny — zapewnił Neuberich.

Pochylił się i miękką dłonią poklepał muskularne ramię żandarma. — Niezwykle sympatyczny.

— Cieszy mnie to — powiedział Thiele. — Mam nadzieję, że udzieli mi pan kilku informacji.

— Wszystkich, jakich pan tylko zażąda — odparł kierownik szkoły — obydwaj jesteście przecież urzędnikami. Proszę liczyć na moją gotowość przyjścia panu z pomocą.

— Zaczniemy od razu. Kto to jest Grzesz, Frycio Grzesz?

— Opój.

— Już to zauważyłem. Czemu pije? Stać go na to?

Kierownik szkoły Neuberich delikatnie złożył dłonie.

— Grzesz miał gospodarstwo.

— Miał? Do kogo należy teraz?

— Oczywiście do pana Leberechta. Cóż zresztą nie należy tu do pana Leberechta? Frycio Grzesz przepił i dom, i gospodarkę. Przed siedmioma laty żona jego spadła podczas żniw z najwyższego sąsiedka stodoły, na widły od siana. Po siedmiu dniach umarła. Od tej pory Frycio pije. Wolno mu jednak mieszkać w swoim dawnym domu, a et) miesiąc dostaje od Leberechta rentę.

— Dlaczego?

— Dostaje ją! Proszę nie pytać, dlaczego dostaje. Pan Leberecht nigdy nie ujawnia przyczyn, dla których robi cokolwiek.

Żandarm wyprostował się odruchowo.

— Zapewne nikt do tej pory tego pana Leberechta o powody nie pytał — powiedział.

— I to jest najlepsze ze wszystkiego, co można zrobić

— odezwał się spiesznie Neuberich. — A czego jeszcze chciałby się pan dowiedzieć?

— Kto to jest Karolek? Co wyrabia się tutaj z tym biednym dzieckiem? Poinformowano mnie, że nie ma opiekunów. Czemu, jako nauczyciel, toleruje to pan?

Neuberich lekko się uśmiechnął.

— Pan nie zna Mauli — powiedział łagodnie. — Matka Karolka była pokojówką.

— U pana Leberechta?

— A któż jeszcze może tu pozwolić sobie na pokojówkę? Przybyła z daleka, zdaje mi się, że z Lecą. Umarła rodząc Karolka.

— A ojciec?

— Nie powiedziała, kto jest ojcem Karolka.

— I od samego urodzenia — powiedział surowo żandarm — Karolka przerzuca się od jednych do drugich?

— Kto panu to mówił?

— Czy się to nie zgadza? A Karolek chodzi w ogóle do szkoły?

Karolek... — zaczął Neuberich i wyglądał tak, jakby był zmartwiony tym, że musi mówić — Karolek to najmądrzejsze dziecko w wiosce. Wprawdzie do szkoły nie uczęszcza regularnie, ale też to wcale nie jest mu potrzebne. Równolatków wyprzedza o dwie klasy. Jeśli zaś idzie o opiekę, dba o niego cała wioska. Pan Leberecht wyprawia Karolka w regularnych odstępach czasu od jednego do drugiego, z tego tylko powodu, że wszyscy wydzierają go sobie.

— Z punktu widzenia prawa nie jest to nienaganne — stwierdził niezadowolony Thiele.

— O tym, co zgodne z prawem, decyduje w Maulach pan Leberecht. — Neuberich wzruszył z rezygnacją ramionami. — Tak to już jest. Czemu nie miałbym panu o tym powiedzieć? I tak pan to wkrótce zauważy.

Thiele milczał rozgoryczony. Jego skryzalizowane i w czasie długich lat służby niewzruszone poczucie sprawiedliwości zżymało się gwałtownie. W umyśle jego złożyła się gniewna wypowiedź, ale rzut oka na zmęczoną życiem w Maulach, sfatygowaną twarz nauczyciela nie pozwolił jej wypowiedzieć.

— Tutaj, w Maulach żyjemy własnym życiem, a pan Leberecht nakazuje jak je mamy wieść. Poza tym nic troszczy się o nas nikt. Raz w roku przyjeżdża inspektor szkolny. Co trzy lata wymienia się tu żandarma. Wszyscy przystosowali się, albo wymieniano ich przed czasem. Przed wyborami zawsze zjawia się kilku polityków, wypowiadających swoje zdanie, ale coraz ich mniej, o tym bowiem, kogo czy też co się wybiera,

decyduje Leberecht. Nie mogę przeciwstawić się temu i nikt nie jest w stanie zrobić tu cokolwiek.

— Godzicie się z tym?

Neuberich nie uznał nawet za potrzebne udzielenie odpowiedzi.

— Co jeszcze chce pan wiedzieć?

— Zna pan panią Maternę? Elfriedę Maternę?

— Któż jej nie zna — powiedział kierownik szkoły i ukazał popsute zęby.

— A co to było z mężem Materny?

Szczupła, długopalcą dłoń Neubericha wynurzyła się z kieszeni, przeslizgnęła w kierunku szyi i zaczęła obmacywać kołnierzyk.

— Co to było wtenczas z tym Materną?

— Panie Thiele — powiedział kierownik szkoły Neuberich z niespodziewaną gwałtownością — niechaj mnie pan o to nie pyta. Nikogo niech pan nie pyta. Radzę panu dobrze. Niech się pan trzyma z daleka od tej sprawy. Ten człowiek umarł. Gotowe. Koniec. I kropka.

— Został zabity.

— Długie palce kierownika szkoły dygotały. — Nie będę rozmawiał z panem o tych rzeczach — powiedział gwałtownie. — Nigdy. I nigdy o tym z panem nie rozmawiałem. Rozumie pan?

— Rozumiem — rzekł żandarm. Podniósł się powoli i wyprostował. — Rozumiem — powtórzył.

Elfrieda Materna w milczeniu opróżniła swój talerz i odchyliła się do tyłu. Ciemne jej oczy były na wpół przymknięte. Obserwowała czujnie dwoje ludzi siedzących z nią w kuchni, przy tym samym stole.

— Kiedy patrzysz mi na usta — odezwał się stary Fahrig — przechodzi mi apetyt.

— Nie zaszkodzi ci to — odparła złośliwie Elfrieda. — W jedzeniu mocniejszy jesteś niż w robocie.

— Płuca wypluwam — mówił z pełnymi ustami stary Fahrig czerpiąc łyżką grochówkę. Część jej wyciekała kroplami z kącików ust, ale wpychał pracowicie coraz to nowe porcje zupy do swego wnętrza. — Roboty mamy wyżej uszu. Trzeba, żeby znowu zjawił się chłop w tym gospodarstwie.

— Po co? — Elfrieda energicznie wysunęła brodę do przodu. — Żeby mi go znowu zatłukli?

Marta, służąca, pochyliła głowę. Zdawało się, że nagle zaciężała jej dłoń trzymająca łyżkę. W oczach zalśniły łzy. Okrągła i gładka jej twarz oblała się rumieńcem.

— Takiego chłopca — powiedziała — to już nie dostaniemy.

— A ty nie dość od niego dostałaś? — zapytała ostro Elfrieda Materna.

Służąca Marta wstała i wyszła z kuchni. Trzasnęła za sobą drzwiami. Drewniaki jej zaklapały na ścieżce wiodącej do stajni.

— Nie powinnaś robić jej ciągle wyrzutów — powiedział stary Fahrig. — Nie może odpowiadać za to, że twój mąż położył ją na trawie.

— Nie mam już męża — stwierdziła Elfrieda. — Nie mów ciągle o nim.

— Sam bym to chętnie zrobił — ciągnął stary Fahrig drapiąc się energicznie po piersi. — Wiązaliśmy wówczas snopy. Ona stała przed nami. Schylała się przed nami. Rozumiesz? A było gorąco. Nie miała na sobie wiele. To rusza człowieka.

— Nie opowiadaj mi o takich rzeczach — powiedziała niebezpiecznie cicho Elfrieda Materna — bo przepędzę cię z mojego obejścia. Nie chcę już o tym słuchać.

Fahrig zaśmiał się bekliwie.

— Ale ciągle to czujesz. To cię pali we wnętrzu.

— Jesteś starym świntuchem, Fahrig.

— Stary to ja jestem — rzekł. — Ale we mnie nie wychłódko. Nie dorastam jednak do ciebie. Przed trzydziestoma laty,

możliwe... tobie jednak potrzebny jest chłop jak byk. Taki jest dla przykładu Grabowski.

Elfrieda Materna popatrzyła chłodnymi oczami na starego parobka Fahriga. On zaś wydobył z kieszeni surduta pękaty woreczek, położył go na stole i żmudnie rozsypał. Ukazał się złotozółty tytoń.

— Skąd wzięłeś na to pieniądze — zapyłała kobieta.

— Nie od Leberechta.

— Od kogo więc? Odpowiedz! Od Grabowskiego?

Fahrig mrugnął na nią i wierzchem prawej dłoni potarł szczecinę na brodzie.

— Wygląda mi na to, że to by był właściwy chłop dla ciebie.

— Czemu kupił ci tytoń?

— I tobie da, czego będziesz potrzebowała. Czeka za stodołą.

— A więc ja mu dam to, czego potrzebuje — powiedziała Elfrieda Materna i podniosła się gwałtownie. Wyszła z kuchni i ruszyła przez podwórze, a potem sad, za stodołę.

Na kieracie siedział Grabowski i patrzył, jak się zbliża. Jego koścista, szeroka twarz rozciągnęła się w uśmiechu, który miał oznaczać i przychylność, i zadowolenie. Był niski i rozrośnięty. Ciężkie dłonie spoczywały na kolanach.

— Jednak jesteś — stwierdził.

— Wynoś się — zawołała groźnie Elfrieda Materna. — Nie chcę oglądać żadnego chłopca. A już najmniej ciebie!

— W rzeczy samej majątkarzem to nic jestem — powiedział.

— Nawet gdybyś dał sobie pozłocić tyłek, nie zechciałabym na ciebie spojrzeć.

— Przecież ty potrzebujesz chłopca — rzekł Grabowski. Zauważywszy jednak, że zbliża się doń z odchylną do tyłu i gotową uderzyć ręką, szybko dodał: — Do gospodarki, o tym myślę. Gospodarka zmarnieje, jeśli nie dostanie się w ręce właściwego mężczyzny.

— Ty jesteś tym właściwym mężczyzną? — spytała gniewnie Materna.

— W końcu spróbuj — powiedział Grabowski i mocniej się uśmiechnął, jeszcze bardziej rozciągając kąciki ust. — I nie odważ się mnie uderzyć. Nikt nie uderzy mnie bezkarnie. Zapomniałaś o tym? Twój mąż też chciał mnie raz uderzyć.

— Bo wyciągnęłaś po mnie swoje brudne łapy.

Grabowski wyprężył silne dłonie.

— Umyłem je pachnącym mydłem. Przez wzgląd na ciebie.

Odepchnęła dłonie, które przybliżyły się do niej.

— Twój mąż chciał mnie bić — powiedział. — Nie wyszło mu to na dobre.

Elfrieda Materna nachyliła się czujnie.

— Byłeś tam, kiedy go zabili?

— Zabili? To był udar serca. — Zaśmiał się. Śmiech jego był ochryply i szczekliwy. Przysadziste ciało balansowało na kieracie. Poskrzypując kolebał się dyszel. — To było w tłoku. Dobrze już, byłem przy tym, ale go nie tknąłem.

— Kto więc?

Grabowski znów się zaśmiał.

— Pan Bóg — powiedział. — Umiłowany Pan Bóg z Maui.

— Chodź — rzekła stanowczo kobieta. — Chcę z tobą pomówić. — Odwróciła się gwałtownie i poszła przodem.

Grabowski zsunął się z kieratu i ruszył za nią. Krępy ten mężczyzna był od niej niższy. Szedł pochylony do przodu, koścista, duża głowa zwisała mu między ramionami niby latarnia. Oczy niebieskie i matowe wpatrzone były teraz w silne barki Elfriedy Materny, w jej plecy i uwydatniający się tyłek. Rozchylił cokolwiek usta.

Pchnęła kuchenne drzwi i puściła go przodem. Stary Fahrig przyjrzał się obojgu i szeroko się uśmiechnął. Potem wstał, kilkakrotnie się uklonił i opuścił pomieszczenie.

— Zawsze tak jest z tymi babami — zamruczał i zadowolony uznał się za doświadczonego światowca i mędrca. Splunął i poczuł się dobrze. Był pewny, że przez następne tygodnie o tytoń nie będzie musiał się martwić.

— Usiądź — powiedziała Elfrieda Materna do Grabowskiego. — Co możesz mi zaoferować?

— A czego chcesz? — zapytał ochoczo Grabowski i spróbował zbliżyć się do niej. Odsunęła się, pozostał więc lam, gdzie był i odchylił się.

— A więc? — zapytała rzeczowo Elfricda. Przedstaw swoje propozycje.

Grabowski położył jedną na drugiej swoje ciężkie dłonie. Oparł brodę na piersi i zachowywał się tak, jakby koniecznie musiał się namyśleć. Oczy jego zwęziły się, kiedy przyjrzał się jej pełnym ustom, następnie bujnym piersiom, a potem dłoniom. Spróbował wyobrazić sobie, że dłonie te wyciągają się do niego, obejmują go, wczepiają się weń.

— Nie rób cielecej miny — powiedziała Elfrieda. — Chcę usłyszeć, jaką wymyśliłeś dla mnie propozycję.

— Jesteś wdową — rozpoczął nieporadnie Grabowski.

— Wiem o tym.

— Zawsze byłem na ciebie cięty.

— To też wiem.

— Oczywiście nie jestem Leberechtem.

— O tym wcale nie musisz mnie zapewniać.

— Jestem jednak od niego młodszy. Z pewnością też silniejszy, o czym mogę cię zapewnić. Nie posiadam tyle co on, ale niejednego mogę się jeszcze dorobić.

— Chcesz moje gospodarstwo wypać sobie w moim łóżku!

Grabowski uniósł ciężką dłoń i wyciągnął daleko od siebie prężąc palce do przodu.

— O to mi nie idzie. Jeśli zechcesz, możemy to uregulować sądownie. Ciebie chcę, tylko ciebie. Chcę cię poślubić. Musiałabyś tylko powiedzieć „tak”.

Elfrieda pochyliła się. Owionął go jej oddech, zaczął więc ciężiej oddychać. Naszło go pragnienie, by schwycić ją za rękę, żeby poczuć jej ciało, ale się nie odważył.

— Mam więc poślubić mordercę męża — powiedziała chrapliwie Elfrieda Materna.

Grabowski rzucił się do tyłu jak popchnięty.

— Ja go nie zabiłem — zawołał. — Ja nie. Czego właściwie chcesz. Powinnaś się cieszyć, że się go pozbyłaś!

- To nie byłeś ty?
— Nie.
— Na pewno nie?
— Przecież ci to mówię!
Elfrieda uśmiechnęła się i powiedziała:
— Nie wierzę. Musiałbyś mi tego dowieść.
— Jak mam ci dowieść?
— Całkiem zwyczajnie. Wymieniając nazwisko mordercy.
— Tego nie mogę zrobić — powiedział z trudem.
— Będę więc musiała wierzyć, że to byłeś ty.
— Na to nie pozwolę — rzekł czerwieniejąc.
— Boisz się Leberechta?
— Jego? — westchnął głęboko. — Akurat jego, tego, który odważył się stanąć mi na drodze do ciebie? Jeszcze przyjdzie dzień, w którym pokażę mu, że właśnie tego sobie nie życzę.
— A jednak boisz się Leberechta — powiedziała spokojnie Elfrieda.
— Nie — krzyknął gwałtownie.
— No to wymień nazwisko mordercy.
— Nie — powiedział cicho Grabowski.
— Zastanów się dokładnie. — Kobieta wstała i odeszła od niego. — Muszę znać to nazwisko.
— A jeślibym...
— Wtenczas zobaczymy. Ale dopiero wtenczas.

* * *

Żandarm Thiele siedział przy biurku wyprostowany w swoim drewnianym fotelu i czytał biuletyn gończy. Wiedział dobrze, że nie ma to praktycznego znaczenia, ale było zalecenie lekturę tę czyniące obowiązkową. Czytał więc, że w Królewcu dokonano przestępstwa seksualnego, a w Olsztynie był napad. W Ostródzie odnotowano dwa włamania, z powiatu leckiego natomiast meldowano o trzech nowych podpaleniach. Thiele z miejsca nabrał przekonania, że wszystkie spalone

obejścia były ubezpieczone i to dopiero od niedawna, ale za to wysoko. Podpalenia stanowiły właśnie najnowsza rozrywkę na Mazurach, przy czym tego rodzaju oszustwa ubezpieczeniowego nie można było łatwo udowodnić. Dochodzenia najczęściej nie przynosiły efektu, procesy zaś rzadko kiedy przyczyniały się do ustalenia sprawcy, ludzie bowiem byli przebiegli.

Thiele wyprostował się jeszcze o parę stopni. Smuciło go niedostateczne kryminalistyczne wykszolenie kolegów z żandarmerii i w skrytości tęsknił za tym, by choć raz samemu wyjaśnić sprawę podpalenia. Przecież znał ów, niemal wyłącznie na Mazurach stosowany, trik z łożową świecą. Zapalona świeca o ustalonym czasie palenia się — co było wypróbowane — ustawiona na kopce słomy; cała rodzina, łącznie ze starszycami, którzy już nawet chodzić nie mogli, zatrudniona na odległym polu, a potem czekanie póki ze stodoły lub obory nie buchną płomienie... Ot i cała sztuka.

Uśmiechnął się z lekka, a potem zamknął skoroszyt z listami gończymi. Postanowił odbyć kolejną zapoznawczą wizytę, by dokładniej zgłębić mentalność ludzi żyjących w Maulach. Po długim namyśle, jako tego, do którego należało pójść, wybrał kupca Wenglera. U Wenglera, powiedział sobie, córka dokonuje zakupów, a więc będzie się on starał w jakiś sposób zaprzyjaźnić. U Wenglera, pomyślał sobie następnie, jak się zdaje, wbrew przepisom cennik nie jest wywieszony, a to z miejsca kształtuje korzystną atmosferę przewagi. Doświadczenie nauczyło go też przymykania oka na to i owo, jeśli tylko obowiązujące przepisy coś takiego umożliwiały, po to właśnie, żeby z kolei mieć szeroko otwarte uszy.

Kupiec Wengler zobaczył, że żandarm zbliża się do jego kolonialnego sklepu. Byстрыm okiem sprawdził więc sklepowe wnętrze. Schował pod ladę pudełko od cygar, w którym stały odważniki, a wyłożył zestaw dopiero co zalegalizowanych. Na brudną koszulę włożył płócienny fartuch i przyklęknął w kącie udając, że intensywnie pracuje.

— Dzień dobry — powiedział żandarm.

Wengler spojrział w górę i udał zaskoczonego. Jego dobro-

duszną, małpia twarz przystroїła się w setki zmarszczek. Małe oczka lśniły, a włosy szorstkowato jeżyły się na głowie.

— Dzień dobry, panie żandarmie — odparł nader przyjaźnie. — Cieszę się, że widzę tu pana. Czym mogę służyć?

— Zakupy pozostawiam córce — rzekł żandarm. — Potrafi to lepiej niż ja.

Wengler podniósł ręce do sufitu, gdzie wisiały koszyki i worki; wyglądało to tak, jakby wpadł w zachwyty.

— Pańska córka! Gratuluję! Gdybym był jeszcze do wzięcia, sam bym ją poślubił. Natychmiast! To dziewczyna, z którą można by się ożenić, rozumie pan?

Żandarm rozumiał. Popatrzył na głębokie zmarszczki i rozbiegane oczy Wenglera i już wiedział, że ma przed sobą człowieka uważającego się za dowcipnisią. Słabość tę nie tylko potraktował przychylnie, ale też postanowił ją wykorzystać. Zadał sobie trudu, by również się roześmiać.

— Interesują mnie sprawy ogólniejsze — powiedział.

Zrozumiał to i Wengler. W istocie nie był kawalarzem ani dowcipnisiem, tylko zmiarkował, że robią to jego klienci. Uważali go za głuptasa, zawsze byli gotowi zabawić się jego kosztem, on zaś nieźle na tym zarabiał. Był także, na swój sposób, znawcą ludzi. Nie tylko tolerował ich słabostki, ale nieustannie gotowy był wykorzystywać je. Odkrył, że to się czasami opłaca.

— Mogę sobie wyobrazić, o co panu idzie — powiedział przebiegle. — Chce mnie pan obrabować.

— Przede wszystkim — rzekł żandarm — chcę zobaczyć pański cennik.

Wengler uśmiechnął się, co wyglądało tak, jakby uśmiechał się do żandarma z całą uległością. W istocie cieszył się, że jest tak przebiegły. Oto w trakcie szczególnie przyjaznej rozmowy wydobył od Ewy, córki żandarma, do czego ten przywiązuje szczególną wagę. Odpowiedź brzmiała, że do cennika. I tak też Wengler zapobiegliwie cennik przygotował. Wisiał on teraz koło drzwi i nikt z wychodzących ze sklepu nie mógł go przeoczyć.

— Oto i on! — powiedział Wengler czyniąc szeroki gest.

Uśmiechnął się niewinnie i dodał: — Jedyne cennik w całej miejscowości.

Żandarm nie zlekceważył tej wzmianki, która przecież oznajmiała, że ani kupiec kolonialny i dzierżawca gospody Nowakowski, ani też rzeźnik Matzeck nie mają cennika. Zakonotował to sobie. W tym jednak momencie interesował go tylko Wengler oraz zamysł, żeby go tak przyduśić, by dojrzał do roli informatora.

— Cennik ten — mówił służbowym tonem Thiele — wisi niewłaściwie, a więc niezgodnie z zarządzeniem. Powinien wisieć naprzeciwko kupującego, a nie za nim. Poza tym ceny nie mogą być wypisane kredą, lecz powinny być nieścieralne. W przypadku zmiany cen dawne liczby należy przekreślić i zastąpić je nowymi albo też wymienić cały cennik. Jedyne towary sezonowe, takie jak owoce, mogą być wypisane kredą.

— Tak jest, panie wachmistrzu — powiedział nie bez szacunku skonsternowany szczerze Wengler.

Thiele uśmiechnął się zadowolony.

— To jednak, panie Wengler, jeszcze nie zarzut, że nie wspomnę o policyjnym mandacie. Ja panu tylko zwracam uwagę na nieprawidłowość. Od kiedy przebywa pan w tej wiosce, drogi panie Wengler?

— Od urodzenia. Mniej więcej od czterdziestu lat.

— Doskonale — powiedział żandarm. — Zna pan więc tutaj wszystko i wszystkich.

Wengler powoli wypłynął na powierzchnię.

— To rozumiałe samo przez się — zapewnił. — Znam każdego! O każdym mogę coś powiedzieć.

— Również o Maternie?

— O nim też, choć jednak nie wszystko.

— A o Leberechcie?

— Co nieco. Przejdzie pan do pokoju na zapleczu? Tam będziemy mogli pogadać bez przeszkód.

Żandarm ociągał się. Nie lubił żadnych takich intymności. Pokój na zapleczu miał też posmak czegoś prywatnego, on zaś nie był tu przecież prywatnie. Z drugiej jednak strony Wengler

naprawdę wyglądał tak, jakby coś wiedział. Ponadto mogło się zdawać, że jest skłonny do opowiedzenia tego i owego z wszystkiego co wie.

— A jeśli przyjdą klienci? — zapytał wahając się żandarm.

— Popołudniem mało kto przychodzi. Tylko wieczorami zwalają mi się do budy. Jeśliby jednak ktoś przyszedł, obsłuży go moja żona. Pójdzie pan?

Thiele już się nie ociągał. Kiwnął potakująco i ruszył za Wenglerem, który odgarnął zasłonę i puścił gościa przodem.

Weszli do pokoju na zapleczu. Była to izba mieszkalna kolonialnego kupca. Pośrodku stał duży stół, z boku szafa. Nadto dwa krzesła i kanapa. Koło radiowego odbiornika siedziała Wenglerowa. Była blada i miała duże oczy. Wstała i gibko podeszła do żandarma. Thiele przemógł się i zaczął zachowywać się całkiem prywatnie.

Usiedli wokół stołu. Wengler przymusił żandarma do zajęcia miejsca na kanapie, a żonę posadził obok. Pachniała nieźle i zachowywała się swobodnie.

— A więc, panie wachmistrzu, czego by się pan napił? — skłonił się usłużnie Wengler. — Wódeczki się nie odmawia, ale mam i piwo. U nas w Maulach pije się zazwyczaj tak: dwa maluchy, jedno duże!

Thiele nie był daleki od zapytania się o koncesję, ale doszedł do wniosku, że w tej chwili nie zrobi to dobrego wrażenia.

— Proszę o koniak — powiedział więc szybko.

— Z trzema gwiazdkami? Taki kosztuje po dwadzieścia pięć fenigów za kieliszek.

— Z trzema gwiazdkami. I trzy kieliszki.

Wengler uśmiechnął się zadowolony. Jego „pokój na zapleczu” był tajemną konkurencją gospody. Siłą przyciągającą tu osobliwie była zaś jego żona. Niemało też było takich, którzy tutaj właśnie ze względu na żonę pozostawiali spory grosz. Nawet do ośmiu marek za wieczór wliczając najczęściej i sardynki w oliwie. Były to wieczory kosztowne choć beznadziejne, gdyż Wengler pilnował tej żony niby łańcuchowy pies.

— Przyniosę z piwnicy nową butelkę — powiedziała kobieta. Podniosła się i tanecznym niespiesznym krokiem ruszyła do drzwi. Żandarm nie zwrócił jednak na nią uwagi.

— Czy ten Leberecht również urodził się w Maulach — zapytał Thiele.

— Oczywiście — rzekł Wengler.

— Majątek odziedziczył po ojcu?

— Oczywiście, że nie — powiedział Wengler. - Był synem małorolnego chłopca; trzecim synem. Nie miał żadnych widozków na odziedziczenie czegokolwiek. Wpierw pożegłował gdzieś w świat, potem wieś uczynił niespokojną. W czasie wojny umarli jego bracia oraz ojciec; jeden poległ na froncie, pozostali dwaj stracili życie niejako nadprogramowo, przed tak zwaną bitwą na Mazurach, kiedy nawiedzili nas Rosjanie. Wtenczas też Leberecht ucapił majątek pazurami.

— Przyżenił się?

Wengler roześmiał się bezceremonialnie i zgoła przyjaźnie.

— Można to i tak nazwać. Zrobił dzieciaka jedynej córce właściciela majątku. Założyłbym się, że z rozmysłem. A potem wybawił ją od hańby.

Wenglerowa, imieniem Eryka, weszła do pomieszczenia. Postawiła na stole butelkę trzygwiazdkowego koniaku i mrugnęła do żandarma. On jednak wciąż jej nie zauważał.

Kupiec kolonialny wznosił dłoń i nisko, nad napełnionymi kieliszkami zrobił znak krzyża, tak jak to na zakończenie nabożeństwa zwykł był robić pastor Bachus. W ten sposób Wengler błogosławił swój alkohol, a czynił to regularnie przed opróżnieniem każdego kieliszka, gest ten uznając za szczególnie dowcipny.

— Na zdrowie — powiedział — i żeby nasze dzieci miały bogatych rodziców, żeby kury pilnie znosiły nam jaja, a kobiety nie zapominały, do czego są stworzone.

Thiele kieliszek swój wypił bez ociągania. Czuł się tak, jakby sam sobie wydał rozkaz, żeby pić bez sprzeciwu. Ledwie jednak odstawił kieliszek, znów zaczął wypytywać.

— Ów Leberecht, panie Wengler, jeśli dobrze pana zrozu-

miałem, swoje znaczne wpływy zawdzięcza, hm, dwuznacznej manipulacji?

— Zrozumiał mnie pan właściwie, choć wnioski wyciąga pan nieprawidłowe — powiedział przeciągle Wengler i przystroił twarz setkami zmarszczek. — To nie majątek jest tym, co Leberechta zrobiło tutaj miłościwie panującym Bogiem. To osiągnął on sam i o własnych siłach. Mogę panu szepnąć, że do tego to ma on smykałkę. A teraz przedstawia nas niby szachowe figury.

— I wszyscy się z tym zgadzają?

— Prawie każdy. Nikt go jednak nie lubi. Taki, który by mu to jednak otwarcie rzucił w twarz, nie znajdzie się tutaj. Wypijemy jeszcze po koniaku? Dobrze, a więc jeszcze trzy. Widzi pan, że cała sprawa z Leberechtem jest dość jasna. To prawdziwe błogosławieństwo, że jest on tu.

— Kupuje też u pana?

— Oczywiście. Także u mnie każe robić zakupy, pod warunkiem, że nie będę wtykał nosa w jego sprawy i będę przedkładał mu roczny bilans. On nie faworyzuje nikogo ani nikogo nie upośledza. Chce tylko o wszystkim wiedzieć. Umie też wszystko przemilczeć. Jeśli jednak wyczuwa opór, bywa nieprzyjemny.

— Często bywa nieprzyjemny?

— Rzadko — odparł Wengler i z ożywieniem popatrzył na pusty kieliszek.

Żandarm Thiele zaraz też pojął właściwie sens tego spojrzenia.

— Niech pan naleje jeszcze po jednym — powiedział.

— Tak — powiedział Wengler, zanim nie zrobił swojego krzyża nad pełnymi kieliszkami. — U nas łatwo nikt się nie męczy.

Wengler wypił i otarł usta. Pochylił się do przodu zasłaniając przy tym swoją żonę Erykę, która siedziała za stołem szczerze znudzona.

— Ten Leberecht — powiedział — to biedny zwierz. W młodości bywał na wpół żywy z przepracowania. Ojciec pił, tłukła

go matka. Nie chodził do kościoła, nie miał przyjaciół, żył w pogardzie. Kiedy miał osiemnaście lat, ojciec, podobno za nieposłuszeństwo, zbił go tak, że aż musiał przyjść lekarz, a u nas to znaczy wiele. Kiedy już mógł chodzić, wywiął. Wrócił po pięciu latach.

— Gdzie się obracał?

— Czy smakuje panu koniak, panie wachmistrzu?

— Tak. Jest dobry. Niech pan naleje jeszcze raz. Dziękuję. Na zdrowie. Wrócił więc znów po pięciu latach?

— Powiedziałem. A o tym, co mówię, wie cała wioska. Nie sypię więc żadnych tajemnic, panie wachmistrzu, a tylko pana instruuję. Wrócił więc. Z tego często bitego chłopaka zrobił się chłop. W czasie pierwszej potańcówki, jaka się nadarzyła, a było to w Jeziorzycach, wymiółł całą salę do czysta. Byli wówczas ranni, wśród nich żandarm, i od tej pory lekarz z Marcinowego Boru na stałe zatrudnia pielęgniarkę. Pańskie zdrowie, panie wachmistrzu.

Thiele wypił i dał znak, by kieliszki zostały napełnione ponownie. Wengler bez zwłoki wykonał polecenie.

— Był więc zabijaką — powiedział żandarm.

— Niech pan tak nie mówi. Raczej niech pan powie, że zaczął zaprowadzać porządek.

— Przemocą?

— Tak się to zaczęło. Kiedy zatańczył, wnet wokół niego robiło się pusto, bo nikt nie ważył się go potrącić. Baby leciały na niego. Ale był jak z żelaza. Nie zagroził żadnemu małżeństwu, chociaż łatwo mogło mu to przyjść. Nie miał trwałego związku z żadną dziewczyną. Dlaczego tak to było, stało się jasne, kiedy zaczęła chodzić z brzuchem córka właściciela majątku.

— Aha — mruknął żandarm

— I my tak mówimy — przytaknął Wengler. Zaśmiał się bezceremonialnie, a jego żona Eryka zawtórowała wysokim rozdygotanym tonem. — Wtenczas oświadczył, że gotów jest się ożenić.

— Miał szczęście.

— Nie tylko on. Również właściciel majątku, czyli ojciec owej wymienionej już panny młodej, mógł mówić o szczęściu. Ten majątek to był wówczas istny chlew okolony odłogami. Leberecht rozruszał wszystko. Po siedmiu latach majątek uchodził już za wzorowy. Po dziesięciu latach należała do niego połowa Mauli. Dzisiaj posiada prawie wszystko, co znajduje się w okolicy, co stoi albo co łązi.

Żandarm ociężałe pokiwał głową.

I z wszystkiego ciągnie korzyści.

— Przeważnie wykorzystuje dla innych. Nie tylko Maule posiada on, lecz też w Maulach wszyscy z niego żyją. Mało kto żyje tu marnie.

— Tak to więc jest — powiedział żandarm usiłując nadażyć za wynurzeniami Wenglera. Nie wszystko rozumiał, dokładnie zaś rzecz oceniając mało pojmował z tego, co właśnie usłyszał. Ów Leberecht był więc zabijaką i dobroczyńcą, łowcą posagowym i przyjacielem ludzi, miał skłonności przestępcze i był czymś w rodzaju opiekuńczego bóstwa. Diabeł by się w tym nie rozeznał! Jemu zaś potrzebne były namacalne fakty. — A jak to było z Materną?

Wengler uśmiechał się przyjaźnie, ale milczał. Jego żona zaszyła się w kącie kanapy. Na stole, przed Thielem, stała prowokująco butelka.

— Niech pan jednak należy jeszcze raz — powiedział żandarm.

— Potem też się pan niczego nie dowie — rzekł Wengler służalczym tonem. — A to z prostego powodu: ja nic nie wiem.

— Czym można by odświeżyć pańską pamięć?

Eryka Wengler zaniepokoiła się.

— Ma pan piętnaście koniaków — powiedziała. — To wynosi cztery marki i dwadzieścia pięć fenigów.

— Trzy marki siedemdziesiąt pięć — sprostował żandarm. — Co jednak będzie, panie Wengler, jeśli teraz zapytam o pańską koncesję?

Wengler zamrugał obydwojma oczami. Szczotka jego włosów zdawała się jeżyć bardziej niż zwykle.

— W takim przypadku — powiedział ugodowo — okaże się, że był pan moim osobistym gościem.

— Jeśli jednak mimo to zapytałbym o pańską koncesję? — dopytywał się stanowczo Thiele. — Co wówczas? Mogłoby to pana kosztować kilka stumarkówek.

— Możliwe — powiedział Wengler i wyglądało na to, że trochę przybladł. — Tak jednak być nie musi.

— Zaoszczędzi pan kilkaset marek, jeśli powie, co pan wie o Maternie.

Wengler przeciągnął dłonią po szczotce włosów. Jego wodniste oczy zmalowały.

— Mimo wszystko niczego się pan ode mnie nie dowie, w każdym razie nic ponadto, co wiadome jest oficjalnie. Gdyby jednak sprawa potoczyła się całkiem źle, gdyby miał mnie pan więc rzeczywiście obłozyc pieniężną karą, powiem, że znam kogoś, kto mi szkodę wyrządzoną przez pana wyrówna. Bez mrugnięcia okiem.

— Leberecht?

Wengler uśmiechnął się.

— Panie wachmistrzu, lepiej niech pan wypije jeszcze jednego. Powinien się pan pilnie pokrzepić.

* * *

Przez okno pokoju, w którym pracował, spostrzegł Leberecht bryczkę, która wjeżdżała z jego synem Alfredem na podwórze. Woźnica przywiózł „młodego pana” ze stacji, a teraz zatrzymał pojazd i Alfred wysiadł. Syn Leberechta, Alfred, nie podał woźnicy ręki, nie wziął też od niego walizeczki, nie powiedział doń przyjaznego słowa. Zeskoczył i poszedł do domu. Leberecht westchnął głęboko, był bowiem w pokoju sam. Tłustą jego twarz naznaczyło zmęczenie, a pełne, zazwyczaj lekko zaróżowione błyszczące policzki były szare i obwisłe.

Odruchowo sięgnął do stojącego na biurku pudełka z cygarami, otworzył je i zajrzał do środka. Spośród wielu gatunków, które tam leżały, wybrał po namyśle jedno, zresztą dobre, i za-

palili. Wiedział, że minie mniej więcej pół godziny, a więc mniej więcej tyle, ile trwa wypalenie cygara, zanim Alfred się zamelduje.

Tymczasem Alfred bawił u matki. Leberecht oparł się wygodnie i patrzył na wydmuchiwany pod sufit dym. Potrafił wyobrazić sobie, co będą robić matka i syn; padną sobie w ramiona, potem przyjrzą się sobie, następnie opowiedzą, co się działo. Ona zauważy, że schudł, on, że się postarzała. Ona mu to powie, on zaś swoje spostrzeżenie przemilczy. Potem porozmawiają o pogodzie, o szkole, a także, całkiem jednak krótko, o żniwach, żeby tylko zapelnąć czas potrzebny do wypicia w spokoju filiżanki herbaty.

Leberecht znów westchnął. Wielki jego brzuch poruszył się, a popiół z cygara spalonego już niemal do końca obsypał go płatkami. Ktoś zastukał do drzwi. Leberecht wyprostował się i zawołał:

— Wejść.

Jego syn, Alfred, wszedł do pokoju i skierował się w stronę ojca, który bacznie mu się przyglądał. Wydawało mu się, że syn jest zmęczony, gdyż jego krok nie był sprężysty, a ramiona ciążyły do przodu. Dłoń, która uściśnęła rękę ojcowską, nie miała szczególnej siły.

— Wygląda na to, że pobyt w mieście nie wychodzi ci na dobre — powiedział Leberecht. — To nie zarzut, ale chcę tylko stwierdzić, że jest racja w moim poglądzie, że każde zmasowanie ludzi, wszystko jedno jakiego rodzaju, prowadzi do tego, że marniej. Jak długo będą trwały twoje wakacje?

— Sześć tygodni, ojcze.

— Jakie widoki na maturę?

— Mam nadzieję, że podołam następ'nej wiosny.

— Twój nauczyciel pisze mi, że robisz mniejsze postępy. Czy to się zgadza?

— Jeśli tak pisze, to chyba tak jest. — Syn stał zmartwiony i unikał spojrzenia ojcu w oczy. Wskazujący palec jego prawej dłoni błędził po krawędzi stołu.

— Nie robię ci wyrzutów, zrozum mnie dobrze, Alfredzie.

To matka posłała cię do szkoły, a nie ja. Twoje świadectwa są mi raczej obojętne.

— Dziękuję, ojcze.

— Nie jest mi jednak obojętna zmiana twojego sposobu życia. Zanedbujesz szkołę, ale mnie to nie przeszkadza. Cemu jednak ją zanedbujesz? Co cię od niej odciąga? Sport? Jakieś inne sprawy? Kobiety?

Syn zaniepokoił się.

— Ojcze, proszę, nie rozmawiaj ze mną w taki sposób.

Leberecht uniósł nieco brodę.

— Rozmawiam z tobą, tak jak chcę. I daleki jestem od tego, żeby stosować się do upodobań syna. Co chcesz robić, kiedy już uporasz się z maturą?

— Tego jeszcze nie wiem, ojcze. Studiować.

— A co chciałbyś studiować, jeśli można spytać?

— Tego przecież jeszcze nie wiem.

Leberecht pochylił się i podparł rękami ciężkie ciało.

— Jesteś, Alfredzie, naszym jedynym dzieckiem.

— Czy to ja za to odpowiadam? — zapytał kłótliwie syn.

Leberecht uśmiechnął się z lekka. Spodobała mu się odpowiedź, jakiej sam mógłby udzielić.

— Twoja matka — powiedział ze szczerością — nie chciała mieć ze mną więcej dzieci.

— Potrafię ją zrozumieć — powiedział nieprzychylnym tonem syn. — Po tym wszystkim, co słyszałem, jestem w stanie zrozumieć matkę.

Leberecht powoli wyprostował swoje potężne ciało i poczuł za plecami oparcie krzesła.

— Wiem, że mrite nie kochasz, ale nigdy dotąd nie wyraziłeś się tak otwarcie. Od chwili twojego urodzenia zostawiłem cię matce. Wychowywała cię, a ja spełniałem każde jej życzenie związane z tobą. Miała pełną swobodę we wszystkim, co ciebie dotyczyło. Spełniając jej życzenie posłałem cię nawet do miasta, do gimnazjum.

— Żałujesz tego?

— Niczego nie żałuję — odparł Leberecht. — Nie żałuję

z zasady. Ale nieustannie, od momentu twoich narodzin miałem nadzieję i nadziei tej nadal nie tracę. Miałem otóż nadzieję, że i ty, i twoja matka zauważycie pewnego dnia, w czym tkwi największa wartość. Nie chciałem niczego wymuszać. Czekałem, że przynajmniej w tobie zwycięży zdrowy, ludzki rozsądek.

Syn nic na to nie powiedział. Leberecht sięgnął do pudełka z cygarami i nie przebijając wydobył cygaretkę, którą zapalił. Nie smakowała mu; dym wydzielany przez cygaretkę był ciemnoniebieski i cuchnął zeschniętą, żarzącą się trawą.

— Mam majątek — powiedział Leberecht po długiej przerwie. Sam go postawiłem na nogi. Dzisiaj do mnie należy prawie wszystko w siedmiokilometrowym promieniu. Łącznie z martwym i żywym inwentarzem. Mało który człowiek nie jest tu ode mnie zależny i nie ma ani jednego, o którego bym się nie troszczył. Myślę za czterystu ludzi. Starzeję się jednak i nie widzę nikogo, kto pewnego dnia przejąłby tę odpowiedzialność. Choćby takiego, który chciałby ją ze mną dzielić.

— Ja też nie widzę nikogo takiego — rzekł syn.

Leberecht przymknął na chwilę oczy, a ręce położył na brzuchu składając je tak, jakby się modlił. Zmusił się do uśmiechu.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał następnie. — Coś dzieje się z tobą.

— Możliwe — powiedział syn.

— Jesteś rozhisteryzowany. Coś cię dręczy i pęta. Nie opowiedz mi o tym?

Alfred uniósł głowę i popatrzył ojcu w oczy. Był w nich ból i to zaskoczyło syna. Zagryzł jednak zęby i nic nie odpowiedział.

— To miasto — rzekł Johann Leberecht. — Czuję to wyraźnie. Przeniknęła cię obcość. Oddaliłeś się od nas. To nie twoja matka nas rozdziela, ale coś innego. Tylko co?

Alfred, jego syn, poruszył bezradnie rękami. Zdawało się, że chce je wyciągnąć, jednak znowu je opuścił.

— Co mógłbym dla ciebie zrobić? — zapytał Leberecht.

Syn westchnął głęboko. I powiedział:

— Daj mi pięćset marek.

Zaskoczony Leberecht spojrział w górę.

— Pięćset marek? — powiedział przeciągle. — Dziesięciu ludzi, którzy żyją w moim kręgu, nie wydaje tyle przez miesiąc, a ty chcesz, żebym ci taką sumę wyłożył na stół.

— Pięćset marek wystarczy — powiedział Alfred.

— Jeśli z ich pomocą zdołasz rozsypać pęta, które odsuwają cię od nas, nie będę dla takiej kwoty robił problemów.

Wydawało się, że Alfreda opuszcza napięcie i niechęć okazywana ojcu. Złagodniał, a oczy załśniły mu łzami.

— Dziękuję ci, ojcze — powiedział wylewnie.

Leberecht usztywnił się.

— Dziękujesz mi więc. Zachowujesz się jak syn. Za pięćset marek.

Alfred poczerwieniał.

— Dziękuję ci nie za pieniądze. Za to dziękuję, że chcesz mi pomóc. Czy musisz wiedzieć, na co potrzebne mi te pieniądze?

— Nie — rzekł spiesznie Leberecht. — Nie muszę wiedzieć, chyba że powiesz mi to z własnej woli. — Ale nie uzyskał odpowiedzi. — No, dobrze — rzekł więc — kasjer wypłaci ci tę kwotę.

Majątkarz napisał zlecenie na karcie bloku, wydarł ją i podał Alfredowi.

— Załatw to — powiedział — a potem urządz sobie wakacje. Rozejrzyj się tu. Pozwól, żeby zagarnęły cię Maule. Rób co chcesz. Możesz mi wszędzie towarzyszyć. Zawsze też możesz przyjść do mnie, a ja zawsze będę dla ciebie.

— Dobrze, ojcze — powiedział syn. Sięgnął po zlecenie kasowe i wstał. Poprosił o zgodę na pożegnanie się. Uzyskał ją. Potem wyszedł.

Leberecht popatrzył za nim. Znowu zauważył jego znużony krok i przygarbioną postawę. Nawet kiedy już drzwi dawno były zamknięte, patrzył w tamtą stronę. Siedział olbrzymi, nieruchomy. Zdawało się, że przestał oddychać.

Nagle znów się poruszył. Dźwignął dłonie ku otyłej twa-

rzy i postępując zaczął ją rozcierać. Potem bezwładnie opuścił rękę.

Poszarzał, wyglądał na zmęczonego i osłabłego.

Przed gospodą Nowakowskiego leżały w piachu cztery psy wątpliwej rasy i drzemały zadowolone. Były nazbyt leniwe, by ogryzać kości, które im rzucono. Jedynie kiedy z otwartego okna rozlegał się głos pana, należący doń pies unosił trochę głowę i zdawało się, że mruga na pozostałe.

Obradowali możni z Mauli, Leberecht bowiem znowu wpadł na pomysł, żeby zebrać się na naradę. Nie zdarzało się to regularnie, a właściwie tylko wówczas, kiedy majątkarz spostrzegł, że dojrzewają jakieś ważne problemy, a nie miał czasu, żeby wyjaśniać je w indywidualnych rozmowach.

Leberecht rozparł się w kącie, na masywnym krześle i wyglądał tak, jakby go to nie interesowało. Kopcił wyjątkowo mocne cygareto, na które zdecydował się z rozmysłem. Małymi łyżkami popijał piwo i słuchał znudzony. Zmobilizował i wyposażył w dokładne wskazówki pastora oraz gorzelanego, dwóch spośród swoich zaufanych reprezentantów. Był pewny, że nic nie może się nie udać.

— Propozycja kierownika szkoły Neubericha, żeby założyć związek śpiewaczy, zostaje odrzucona — powiedział gorzelany Schwesig. - Dostyc już śpiewa się u nas w kościele i w Związku Weteranów Wojny. Starczy już tego.

— Ten śpiew nie jest dość szlachetny — wtrącił Neuberich.

— Śpiew powinien być głośny i płynąć z serca zauważył gorzelany Schwesig, który chętnie i sprawnie służył Leberechtowi jako przyboczny. -- Cała reszta jest nieistotna.

— Śpiew szkolny — dorzucił Neuberich — wyjdzie na dobre zarówno kościołowi, jak i Związkowi Weteranów Wojny.

Schwesig oparł dłonie na biodrach i obcesowo sięgnął do źródeł, które zasilają entuzjazm Neubericha.

— Po prostu chce pan zostać dyrygentem chóru oraz przewodniczącym związku i bawić się z nami w szkółkę. Nasze potrzeby w tej mierze są jednak zaspokojone.

Leberecht skinął ospale i niemal wszyscy zawołali chórem:

— Wniosek odrzucony.

Neuberich odsunął do tyłu swoje krzesło chcąc dać tym samym do zrozumienia, że nie czuje się w pełni przynależny do ich kręgu, po tym, kiedy jego wnioskowi przypisali czysto osobiste pobudki. Patrzył z wyrzutem na pastora, gdyż właśnie co najmniej po Bachusie spodziewał się poparcia. Ow jednak zdawał się nie dostrzegać niczego.

— Jedną kolejkę — powiedział cicho Leberecht. Zamówienie natychmiast zostało przekazane dalej. Przejęły je głosy donośne i szynkarz Nowakowski szybko zatroszczył się o wykonanie polecenia. Spiesznie dopijano resztek. Wkrótce też przed każdym stanął świeżo napelniony kufel piwa z niewielkim kołnierzem piany, a także podwójna żytniówka. Zadaniem wódki było rozgrzać żołądek, piwo zaś miało gasić pragnienie.

Schwesig, przyboczny, powiedział:

— Do tej pory zawsze baczyliśmy, żeby się nie rozpraszać. Róbmy też tylko to, co konieczne. Musi istnieć religia i dlatego mamy kościół, a że każdemu wolno u nas zbawiać się wedle woli, tolerujemy i sekty. Najważniejsze jednak, że wierzymy w Boga, a jak się to układa poszczególnym ludziom, to już osobista sprawa każdego.

— Na zdrowie — rzekł Leberecht.

Wlali w siebie wódkę i splukali piwem. Czulo się ogólne zadowolenie.

— Mamy też jeszcze — mówił przyboczny Schwesig — Związek Weteranów Wojny. Niektórzy żyć bez niego nie mogą, a więc musi istnieć. Nie da się pominąć straży pożarnej. Zorganizowaliśmy ją jednak w taki sposób, żeby obrońcy ojczyzny udzielali się jednocześnie jako strażacy. Tym samym zaspokojone zostało całe nasze zapotrzebowanie na wspólnotę serc i dusz.

— Daj Boże — powiedział wzruszony Fritz Grzesz, zwany

Fryciem opojem. I opróżnił kufel kierownika szkoły Neubericha, czego ów, pogrążony w myślach, wcale nie zauważył.

Leberecht patrzył na Grzeszę z pobłażliwością, jego spojrzenie łagodne i zamyślane spoczywało na tym wytrwałym pijaku. Wyglądało też na to, że wszyscy obecni podzielają tę osobliwą przychylność majątkarza.

Na znak Leberechta chciał właśnie zabrać głos pastor Bachus, ale oto odezwał się kupiec kolonialny Wengler.

— Mam pytanie — powiedział. — Czy nowego żandarma wezwie się, żeby wstąpił do Związku Weteranów Wojny, czy też powinno się czekać, aż zgłosi się sam? Pytam dlatego, że był on uczestnikiem wojny.

Gorzelany Schwesig popatrzył na Leberechta, a kiedy ten skinął przyzwalająco, przyboczny zaczął:

Unikajmy jakiegokolwiek, nawet najmniejszego przymusu. Wszystko, co się dzieje, musi dziać się dobrowolnie, bez względu na to, czy dotyczy związku weteranów, czy też kościoła. Jeśli nawet był ktoś uczestnikiem wojny, nie jest wcale powiedziane, że pragnie przynależności do Związku Weteranów Wojny.

Neuberich wysunął teraz krzesło do przodu.

Nowy żandarm powiedział zdradzając ochotę do wyrzuceń — interesuje się wszystkim, co się tu dzieje.

Leberecht trochę się wyprostował.

— Na przykład?

Neuberich uśmiechnął się złośliwie.

— Na przykład interesuje się sprawą Materny.

Wzbudziło to żywe zaniepokojenie. Niektórzy sięgnęli po kufle. Na dworze ochryple zaszczekał pies. Frycio Grzesz zwrócił z ufnością na Leberechta swoje wyblakłe, niebieskie oczy pijaka.

— Mogę to potwierdzić — powiedział Wengler. — Mnie też chciał przepytawać w tej sprawie.

Neuberich zatarł ręce. To, że zemścił się w taki sposób za udzieloną mu poprzednio odprawę, sprawiało mu rozkosz.

— Ciągłe sprowadzał rozmowę na temat Materny — powiedział.

— Sprawa Materny nie istnieje — rzekł Leberecht. — A może ktoś ma inne zdanie?

Innego zdania nie miał nikt. Również Neuberich wołał nie mieć innego zdania.

— Daj Boże — zawołał uroczyście Frycio Grzesz i natychmiast do tego wtrętu dołączył słowa: — Nie mam już nic do picia.

— Następną kolejka — wspaniałomyślnie zaproponował Nowakowski — pójdzie już na moje konto. — Tak się to utarło: dwie pierwsze kolejki były na koszt Leberechta, za trzecią płacił gospodarz. W ten sposób zaspokajano pierwsze pragnienie i zjawiał się apetyt.

— Teraz pytanie do pana, panie pastorze — powiedział Leberecht, kiedy już szkło zostało napełnione od nowa. — Co ma nam pan do opowiedzenia?

Bachus przyjął postawę dostojną.

— Drodzy przyjaciele — odezwał się swoim przyjemnym, pełnym namaszczenia głosem — uważnemu czytelnikowi Biblia, a już szczególnie Stary Testament dostarcza licznych przykładów mądrości, którą można nawet nazwać przebiegłością. Już choćby czyn Dawida, który zbrojny jedynie w procę...

— Proszę przejść do rzeczy — upomniął Leberecht.

Bachus, nie urażony w najmniejszym nawet stopniu, zastosował się do udzielonej mu właśnie rady.

— Przechodząc do rzeczy: będziemy musieli założyć miejscową grupę Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej, w skrócie NSDAP.

— Co my mamy wspólnego z hitlerowcami? — zapytał z niechęcią rzeźni k Matzeck.

— Co to właściwie za ludzie? — zapragnął dowiedzieć się Frycio Grzesz.

— W Marcinowym Borze — relacjonował Wengler — jest już osiemnastka tego gatunku. Przed trzema miesiącami było czterech.

— Idzie tu — powiedział dobrze poinformowany przyboczny Schwesig, gorzelany — o ruch, który przejął rządy.

Mistrz rzeźnicki Matzeck zirytował się.

— Czytałem o tym — rzekł. — Są, jak się to mówi, u władzy. Wątpliwe jednak, czy przy niej zostaną. Pan von Kernitz, posiadacz dóbr rycerskich w Jabłonkach i powiatowy przywódca Stahlhelmu* jest przeciwko nim.

— Jest przeciw — stwierdził dobrze zorientowany Bachus — bo nie został starostą. Starostą został nauczyciel z Nagrałów.

Neuberich ożywił się.

— To wspaniale — oznajmił. — Nareszcie świeży powiew, a nie ciągłe reakcjonisci.

— Niech no się pan uspokoi — powiedział z opanowaniem majątkarz Leberecht. — Pan nigdy nie będzie starostą.

— A któż to właściwie może wiedzieć — wtrącił mistrz rzeźnicki. — Wygląda na to, że u tych hitlerowców wszystko jest możliwe.

Neuberich z zapalem pochylił się do przodu.

— Jeśli pan pastor Bachus mówi, że powinniśmy założyć miejscową grupę, pan Leberecht zaś popiera ten pogląd, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się izolować.

Mistrz rzeźnicki Matzeck grzotnął pięścią w stół.

— Dotychczas nie troszczyliśmy się o politykę powiedział. — Uważaliśmy, że polityka wypacza charakter. Do tej pory żyliśmy zawsze spokojnie i nigdy nie żyło nam się źle. Przeganialiśmy każdego, kto próbował nam w tym przeszkadzać, a jeśli nie dało się inaczej zatykaliśmy takiemu warchołowi gębę.

Neuberich uniósł wskazujący palec i wysokim głosem zawołał: — Niech pan nie zapomina, że przypadek Materny nie istnieje! — Po czym zamilkł i to na długo, gdyż Leberecht omiółł go zimnym wzrokiem.

* Stahlhelm ~ organizacja grupująca kombatantów I wojny światowej. Piełęgnowała militarystyczne i nacjonalistyczne tradycje. (Przyp. tłum.).

- Drodzy przyjaciele — odezwał się pojednawczo Bachus — niedobrze, jeśli plon pozostawia się na polu, żeby zgnił, z tej tylko przyczyny, że młocarnia pomalowana jest farbą, która nam nie odpowiada. Ten, kto chce wierzyć w Boga, musi się też zgodzić na istnienie szatana. Kto zaś chce płynąć pod prąd, jeśli osiągnięcie drugiego brzegu łatwiejsze jest z prądem?

— Krótko i węzłowato — zawołał gorzelany Schwesig, po tym, kiedy skinął nań Leberecht śledzący z coraz większą złością kwieciste wywody pastora. — Idzie tu o rzecz następującą: NSDAP nie da się już po prostu pohamować. Jeśli nie założymy miejscowej grupy, podetknie się ją nam pod nos. Teraz jeszcze możemy wybrać ludzi, których gęby nam się podobają. Kto jednak wie, czy będzie to możliwe za kilka tygodni.

— Idzie o to — powiedział z nagłą szynkarz Nowakowski, głośno i dobierając mocnych słów — żebyśmy sprostali nakazowi chwili i poszli za głosem ojczyzny.

Wszyscy spojrzeli na wyraźnie rozentuzjzmowanego szynkarza całkowicie tym zaskoczeni. Ten zmieszał się co nieco, potem się uśmiechnął i zmrużył oko, tak jakby chciał powiedzieć: „Panowie, ale ze mnie kawalarz, co?” Rozległ się przyjazny śmiech. Nawet Leberecht przemógł kilkusekundowe zdziwienie i śmiał się długo a bezgłośnie. Wesóło podskakiwał jego brzuch.

Szynkarz Nowakowski zdawał się być w swoim żywiole. Mrugał do obecnych i śmiał się zadowolony.

— Koledzy — zawołał. — Tu idzie o Niemcy. Ten, kto się nie włączy, nie jest patriotą. Niech żyje führer!

Śmiech nasilał się. Leberecht trzymał się za boki. Polityczne solo Nowakowskiego tak rozbawiło pastora, że aż łzy nabiegły mu do oczu. Mistrz rzeźnicki zaś wykorzystał dogodną okazję, żeby udając entuzjazm walić po plecach Neubericha, i to tak mocno, że mizerny nauczyciel bliski był omdlenia.

— Wypijmy za zdrowie naszego ukochanego führera — zawołał szynkarz niby jarmarczny krzykacz.

— Daj Boże — powiedział wzruszony Frycio Grzesz. — Ponieważ z jego powodu dostanę coś do wypicia, uznaję, że jest sympatyczny.

— Jestem pewny — rzekł Leberecht ciągle się śmiejąc — że kierownikiem miejscowej grupy zrobimy Nowakowskiego. Trafił we właściwy ton.

— Będzie to go kosztować co najmniej trzy skrzynki piwa!

— Żadna cena nie jest za to zbyt wysoka — oznajmił Nowakowski i wyprężoną prawicę podniósł do oczu. — O, aż potąd się nażłopiemy.

* * *

— Mimo najlepszych chęci nie rozumiem z tego nic — powiedział gniewnie Alfred, syn majątkarza, i głęboko wsadził ręce do kieszeni.

Leberecht, który stał obok, rzucił worek na torbę z próbkami sztucznych nawozów.

— Przemysł to — zaproponował. — Na dokładne obliczenie poczekam do jutra. Przypatrz się doświadczalnemu poletku. Podzieliłem je na cztery kwatery, każda potraktowana została inną ilością nawozu, według wskazań tej oto tabeli. Musisz próbować dojść do ustalenia, gdzie są najlepsze wyniki. Jeśli już to zrobisz, musisz obliczyć, jakie ilości sztucznych nawozów będą nam potrzebne do zasilenia przyszłorocznego żyta. Tu jest plan upraw na rok 1934.

— Nigdy nie będę dobrym rolnikiem, ojczu.

Leberecht stał w magazynie na szerokich nogach. Grube jego buty były zakurzone. Leberecht niecierpliwie strzepnął kurz szpicrutą.

Być rolnikiem — powiedział - to znaczy zajmować się tym, co Bogu najbliższe. Jeśli jesteśmy w rym dobrzy, stajemy się częścią natury, a ona w całości pochodzi od niego.

— Wraz ze sztucznymi nawozami.

— One są z powietrza. Poczytaj o tym.

— A twoje maszyny?

— To środki pomocnicze. Element drugorzędny. Najważniejsza jest ziemia i to, co na niej rośnie. Rosnąć zaś może

tylko to, na co zgodzi się Bóg. Człowiek jest jego pomocnikiem.

— Nawet nie wiedziałem, ojcze, że jesteś tak pobożnym człowiekiem. Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się o tobie, można było sądzić raczej coś przeciwnego.

Leberecht zaniepokoił się. Mocniej chlasnął po cholewie buta.

— Wierzę w Boga. Ale tylko z trudem mogę wyobrazić sobie, że rozmawia on z ludźmi w rodzaju pastora Bachusa.

— Mogę już odejść, ojcze? — zapytał syn.

— Gdzie byłeś wczoraj przed południem? W Olsztynie?

— Tak — odpowiedział Alfred nieprzyjaźnie. — Do Olsztyna pojechałem na krótko. Czy miałem pytać o pozwolenie?

— Pięćset marek starczyło?

— Tak.

— Ciągłe nie chcesz powiedzieć, po co ci były potrzebne?

— Nie.

— Nie ufasz mi.

Syn milczał i udawał, że z zainteresowaniem patrzy na stojące w magazynie skrzynie z nasionami. Jaskrawe słońce wpadało przez brudne okno, a kiedy Leberecht odwrócił się gwałtownie, zawirował kurz.

— Czy masz dla mnie jeszcze jakieś zadania albo polecenia, czy też mogę już odejść? — zapytał Alfred obojętnym tonem.

— Dokąd?

— Do lasu albo nad jezioro. Albo do ogrodu, do matki. Musisz to wiedzieć tak dokładnie?

Leberecht zatrzymał się przy drzwiach. Masywną dłońią dotknął futryny i wyglądało to tak, że się o nią oparł. — Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

— Jaką?

— Dostaliśmy nowego żandarma. Nazywa się Thiele. Jak wszyscy jego poprzednicy mieszka w służbowym domu, naprzeciw szkoły. Chętnie bym z nim pomówił. Nie chcę jednak, żeby wyszło na to, że go do siebie wzywam. Dlatego nie uważam za właściwe wysłanie do niego kogoś zatrudnionego

u mnie. Powinieneś tam pójść osobiście i poprosić, żeby mnie odwiedził. Uprzejmie. Ale i niemal zobowiązująco. Ma się uważać za zaproszonego. Będę na niego czekał w ciągu następnej godziny, Zechcesz to zrobić dla mnie?

— Oczywiście — powiedział Alfred.

Czekał aż ojciec się oddali. Patrzył za nim i zauważył, że krok jego jest ociężały, głowa zaś ciąży ku przodowi pomiędzy uniesione barki. Zauważył to tylko nie odczuwając jednak żadnego współczucia dla ojca, który, jak sądził, nigdy wobec niego nie zachowywał się po ojcowsku.

Zamknął starannie szopę, przeszedł przez podwórze i zaniósł klucz kanceliście. Potem spacerkiem ruszył wiejską ulicą do służbowego domu żandarma.

Frontowe drzwi były zamknięte. Alfred Leberecht kilkakrotnie nacisnął klamkę, a potem zastukał do drzwi. W domu nikt się nie ruszał. Alfred wzruszył ramionami i chciał odejść.

— Musisz zejść od tyłu, przez podwórze — odezwał się od ogrodowego płotu jasny, przyjazny głos. Był to Karolek. Siemota.

— Dzień dobry, Karolku — powiedział Alfred. — Jak ci się wiedzie?

— Dobrze — odrzekł z przekonaniem Karolek. — Ty też jeszcze żyjesz?

Alfred skinął głową. — Na razie. Nie wiesz, czy żandarm jest w domu?

— Idź na podwórze — powiedział gorliwie Karolek. — Tam się dowiesz.

— Jest on tam, czy go nie ma?

— Idź na podwórze! — I Karolek zniknął w ogrodzie, należącym do służbowego domu żandarma. Zaśmiał się wesoło, a zaraz potem trzasnął złamany konar.

Alfred Leberecht zajął do ogrodu, ale było tam pusto. Należący doń trawniczek był zapuszczony, ścieżki ledwie dawało się rozpoznać. Rzadkie kwiaty przebijały się przez wybujałą trawę.

Alfred obszedł dom i przestąpił furtkę podwórza. Spostrzegł

duże sztuki bielizny i ręce, które rozwieszały je na sznurze. Poniżej widać było stopy, bosc stopy tkwiące w drewnianych trepach. Obok stał Karolek i uważnie podawał klamerki.

— Czy żandarm jest w domu? — zapytał głośno Alfred.

— Nie — odpowiedział spoza poszewki niski dziewczęcy głos. — Może jednak wrócić w każdej chwili.

— Możesz tu spokojnie na niego poczekać — powiedział Karolek. — I żeby ci się nie nudziło, wolno ci pomóc przy wieszaniu bielizny.

Alfred ruszył w stronę osoby, która odpowiedziała mu owym niskim głosem, a który wydał mu się przyjemny. Odsunął na bok wielką, białą poszwę i zobaczył dziewczynę gorliwie zajęłą przypinaniem ciężkich płacht płótna.

— Niech pan nie dotyka bielizny — powiedziała dziewczyna z niezadowolaniem.

— Palce mam czyste — odparł Alfred.

Karolek zaśmiał się uradowany.

— Pokaż jej, bo inaczej nie uwierzy.

Dziewczyna stojąca pośród dużych sztuk bielizny bacznie przyglądała się Alfredowi. Czuli, że przypatruje się on jej sukience, która była mokra i przylegała do piersi. Rozgniewało ją to.

— Niech pan nie przeszkadza — powiedziała surowo. Kim pan właściwie jest?

Alfred nie odpowiedział od razu. Zastąpił go Karolek.

— To Alfred Leberecht — wyjaśnił. — Chodzi do szkoły w Olsztynie. Teraz ma wakacje.

— W przyszłym roku zdam maturę — powiedział Alfred, żeby powiedzieć cokolwiek. Jego wzrok nie schodził z dziewczyny.

Karolek w dalszym ciągu objaśniał z upodobaniem.

— A ona nazywa się Ewa. Ewa Thiele. Jest córką żandarma, ale to nie jej wina.

— Jestem synem właściciela majątku.

— To też nie twoja wina — zawołał wesoło Karolek.

Ewa usiłowała pracować dalej. Pochyliła się nad bieliznia-

nym koszem i schwyciła kolejną sztukę. Denerwowało ją, że Alfred na nią patrzy.

— Mojego ojca nie ma w domu — powiedziała. — Nie wiem, kiedy przyjdzie.

— Ale może nadejść w każdej chwili — powiedział Karolek.

— Poczekam więc.

Ewa wyprostowała się i wierzchem prawej dłoni odgarnęła z czoła kilka włosów.

— Nie wiem, czy czekanie na mojego ojca ma sens. Zdaje mi się, że chciał odwiedzić Grabowskiego. Tam go pan chyba znajdzie, jeśli się panu spieszy.

Wesołe oczy Karolka błysnęły odważnie.

— Ty się przecież nie spieszysz, prawda?

Alfred rozejrzał się. Byli na podwórzu sami. Szopa, stajnia i dom osłaniały ich przed ciekawskimi spojrzzeniami.

— Czy nie mógłbym pani pomóc? — zapytał.

Ewa przytaknęła.

— Proszę jednak wpięrcw umyć ręce. Mydło i ręcznik znajdzie pan w pralni. Karolek pokaże, gdzie to jest.

Alfred ruszył posłusznie. Karolek poszedł przodem, do piwnicy, gdzie była pralnia. Odkręcił kurek, pod który Alfred wsunął dłonie.

— To całkiem miła dziewczyna, prawda? — spytał z zaciekawieniem Karolek.

— Możliwe — powiedział Alfred — ale dziewczyny mnie nie interesują.

— Dlaczego nie? Miałeś z nimi kiepskie doświadczenia?

— Nie wierz kobiecie — powiedział Alfred namydlając dłonie. Mądrość swoich niepełnych dwudziestu lat wygłosił z przekonaniem, Karolek wysłuchał tego z zainteresowaniem i poczuł się potraktowany po przyjacielsku.

Alfred opłukiwał dłonie wodą.

— Kobiety zawsze czegoś od ciebie chcą — powiedział — oczywiście wtenczas, kiedy już jesteś mężczyzną. Myślą też o dalekiej przyszłości sięgającej najczęściej aż po kres życia. A wiesz ty, czego chcą?

— No? — spytał zaciekawiony Karolek.

— Chcą mieć zabezpieczony byt. Chcą, żeby je poślubić. A potem nazywają to miłością.

— Aha — powiedział ze zrozumieniem Karolek. — Nie jest to miłość, jeśli się wychodzi za mąż.

Alfred chciał odruchowo przytaknąć, chciał przytoczyć przykłady, przez ułamek sekundy gotowy był sięgnąć po przykład ojca, a potem pewnej dziewczyny, która żyła w Olsztynie i jego samego wpędziła w nieszczęście. W takie nieszczęście, jakie zgotować mogą tylko kobiety. Woda już przestała opłukiwać mu dłonie i powiedział: — Na to, Karolku, jesteś jeszcze za mały. Nie zrozumiesz tego. Dopiero kiedy będziesz miał moje lata...

— Co będzie wtenczas? — dopytywał się Karolek.

— Gdzie ręcznik? — Dostał go i starannie wytarł dłonie. Potem wyszedł na podwórze, Karolek zaś podążył za nim.

Alfred z miejsca i z dużym zapalem włączył się do pracy. Podawał dziewczynie mokrą bieliznę, rozkładał ją razem z Ewą i rozwieszał na sznurze. Mówił niewiele. Nie przyglądał się też już Ewie. Tylko pracował.

Ewa, jak się zdawało, usiłowała schodzić mu z drogi. Od czasu do czasu jednak, kiedy już wcale nie dało się tego uniknąć, spozierała nań krótko i badawczo. Wyglądał na poważnego, a nawet niemal zagniewanego. Dłonie miał silne, ale oczy zmęczone. Gotowa była uznać go za nudziarza nie wytrzymującego porównania choćby z Wernerem Bachusem, synem pastora, który był wesoły i choć gadał za dużo, mówił najczęściej przyjemne rzeczy.

Alfred robił wszystko, żeby omijać wzrokiem dziewczynę. Śnił mając oczy otwarte, a jego sny były jak deszczowe dni. Postanowił nie interesować się nią. Poza tym uznał, że jest nudna. A były inne dziewczyny, całkiem inne dziewczyny, tyle że i o nich też nie chciał myśleć, a już na pewno nie o tamtej jednej, konkretnej.

— On ma złe doświadczenia — oświadczył ze współczuciem Karolek.

— Cicho bądź — powiedział nieprzyjaźnie Alfred. — To nikogo nie obchodzi.

— Mnie to wcale nie interesuje — rzekła oschle Ewa.

I dalej rozwieszali bieliznę w milczeniu oraz pośpiechu. Czas mijał, sznury zaś rozpięte na podwórzu dźwigały coraz więcej mokrego ciężaru. Ewie opadły na czoło włosy, Alfred mocno zaciskał zęby wykazując męską przewagę. Również Karolek zamilkł i rozmyślał intensywnie.

Niespodziewanie na środku podwórza stanął majątkarz Leberecht. Rozrośnięty i masywny, jak gdyby wyciosany z kamienia. Zrazu nie powiedział nic, tylko patrzył. Wydobył kieszonkowy zegarek i spojrział nań.

— Która godzina? — zapytał przyjaźnie Karolek.

— Dwadzieścia minut po wyznaczonym czasie — odparł Leberecht.

Ewa i Alfred natychmiast przerwali pracę i zaskoczeni przyglądali się. Ewa z ciekawością, Alfred ze zmieszaniem.

— Żandarma nie ma, ojcze.

— Może nadejść w każdej chwili — poinformowała Ewa.

Leberecht kiwnął głową z uśmiechem. — Sam będę musiał pójść go poszukać — powiedział.

Po głębokim namyśle żandarm Thiele postanowił odwiedzić rolnika Grabowskiego. Nie był jednak w stanie powiedzieć, dlaczego to robi. Co do Grabowskiego nie uzyskał najmniejszej choćby wskazówki, lecz trafił nań studiując swoją specjalną mapę wioski Maule.

Już po niewielu dniach pracy nad nią, mapa ta była prawie kompletna. Z pomocą barwnego zakreskowania uzyskała podział gruntów, jak i dokładne położenie domów i nieruchomości. Udowodniała też wyraźnie przytłaczającą przewagę gospodarczą Leberechta.

Thiele wierzył w magię miejsca i to zarówno w rozległym,

jak i wąskim wymiarze. Wiedział, że przedmiotem odwiecznych sporów były nieszczęśliwie wytyczone granice krajów, wiedział też, że często samo położenie obejścia sprzyja przestępstwu. Domy stojące samotnie były jakby stworzone do niecnych uczynków; to do nich włamywano się z upodobaniem, to tylko właściwie w nich można było odważyć się na trudne do udowodnienia, a więc kończące się powodzeniem podpalenie. Jeśli jednak na uboczu znajdowały się dwa sąsiadujące obejścia, można było ze sporą dozą pewności przyjąć, że to między nimi wytworzyły się wielorakie powiązania, a i gwałtowne nieporozumienia były tam nieuniknione.

Gospodarstwo Grabowskiego leżało na uboczu, a w pobliżu znajdowało się gospodarstwo Materny¹. Z tym łączyło się coś ważnego: na specjalnej mapie żandarma Thielego oba gospodarstwa były zakreskowane na niebiesko, a więc stanowiły prywatną własność, w przeciwieństwie do, przytłaczających je liczbą, czerwonych pól, które należały do Leberechta. Żandarm Thiele uznał więc, instynktownie zresztą, że może domniemywać, iż Grabowski niejedno wie o śmierci Materny.

Grabowski jednak nie chciał wiedzieć. Oczy jego, osadzone głęboko w kościstej twarzy, zrobiły się małe. Wysunął do przodu ramiona i kanciasta jego postać wyglądała tak, jakby gotował się do skoku.

— Panie wachmistrzu — powiedział Grabowski — ja go nie zabiłem i to jest wszystko, co wiem.

— No to wie pan bardzo mało.

— Bogu dzięki — powiedział Grabowski.

— Jeśli to było morderstwo — rzekł żandarm — to i znajdę mordercę.

— Ma pan moje błogosławieństwo — zapewnił Grabowski.

— Będę się cieszył, jeśli go pan znajdzie.

— Ma pan interes w tym, żeby przypadek się wyjaśnił?

— Jeszcze jaki! — zawołał Grabowski. — Widzi pan, taka to przecież sprawa, że póki nie jest ustalone, kto to był, może być nim każdy z nas. Każdy, panie wachmistrzu. Ja też. A to paskudnie dla mnie kłopotliwe. Kto chce ubiegać się z powo-

dzeniem o Elfriedę Maternę, musi zdołać wykazać się w pierwszym w rodzaju dowodu wykluczającego podejrzenie i to w tym szczególnym przypadku.

Żandarm wysłuchał wszystkiego, wysunął do przodu brodę i wyprężył się.

— Moglibyśmy, jeśli tylko pan zechce, działać wspólnie — powiedział. — Niech mnie pan naprowadzi na trop.

Grabowski pokręcił swoją dużą głową tak mocno, że aż mu zadygotały policzki.

— Jeśli pan, panie wachmistrzu, zahaczy mordercę, będzie to dla mnie korzystne. Ja jednak nie chciałbym osobiście włądować na cmentarzu. I jeszcze jedno powiem panu: na pewno nie żał tego Materny. Nie mówię nawet o tym, że jako rolnik był psa wart. Zaniedbał taki wspaniały kawał ziemi.

— Panu to by się nie mogło zdarzyć, co? Mam na myśli ziemię.

— Nie — powiedział Grabowski i zdawało się, że się zmartwił. — Pan mnie jednak odrywa od pracy. Mam dużo do roboty. I niech się pan zwróci do doktora. On musi wiedzieć najlepiej, jak wyglądał nieboszczyk, któremu wystawił świadectwo zgonu.

Żandarm Thiele wyczuł natychmiast, że w ten właśnie sposób została mu dana wskazówka, co do której nie powinien był się przesłyszeć. Również i jego własne spekulacje wiodły go dokładnie w tym kierunku, jaki przed chwilą wskazał Grabowski. Nie zatrzymał się więc dłużej, wsiadł na służbowy rower (koń Paul, który miał wolny dzień, harcował sobie w ogrodzeniu) i przez Jeziorki pojechał do Marcinowego Boru, gdzie znajdowała się stacja kolejowa.

Doktor Gensfleisch, wiejski lekarz, był w domu, jak zwykle po południu. Siedział w zaręczawkach za biurkiem i uzupełniał dzienny rejestr. Był starym, koziobrodym mężczyzną o zmętniałych, przesłoniętych grubymi okularami oczach. Przyjazny był każdemu, niemal wyrozumiały, i nowego żandarma przyjął z umiarkowaną serdecznością.

Thiele usiadł na wskazanym mu krześle dla pacjentów, le-

karz zaś bezceremonialnie przyjrzał mu się fachowym okiem. Znajomość ludzi mówiła mu, że mężczyzna, który przed nim usiadł, ma swoje walory i to na pewno większe niżli wszyscy jego poprzednicy. Ruchy jego były pewne, z twarzy o szeroko rozstawionych policzkowych kościach promieniowała energia i mądrość. Lekarz cicho westchnął. Nowy żandarm był niebez*pieczny.

— Chory to pan nie jest — stwierdził z uśmiechem doktor Gensfleisch. — Czemu więc pan przyszedł?

— Robię taką honorową rundę, panie doktorze — powiedział uprzejmie żandarm. — Przedstawiam się i proszę o informację.

— Bardzo pięknie, panie Thiele. A jakich to informacji oczekuje pan ode mnie?

— Pan, doktorze, ma bardzo rozległą praktykę.

— Niech pan raczej powie, że mam rozległy obszar praktyki. Do mojego rejonu należy dziesięć miejscowości, w nich żyje jednak niewiele ponad dwa tysiące trzysta ludzi. Z punktu widzenia liczb, drogi panie Thiele, moja praktyka jest mała. Jeszcze i to do tego dochodzi, że ludzie tutejsi są wytrwali oraz nieufni, i stąd bardzo rzadko potrzebny im lekarz. Mnie wzywa się właściwie tylko wtenczas, kiedy istnieje bezpośrednie zagrożenie życia. A i to nie zawsze. Wyniszczając rzecz dokładnie, wypisuję więcej świadectw zgonów niżli recept.

— Wypisuje więc pan liczne świadectwa zgonu — powiedział żandarm w zamyśleniu.

— To też należy do moich obowiązków i jest jednym ze źródeł dochodu.

— Bogaty to pan tu nie będzie, co?

Doktor Gensfleisch delikatnie pogłaskał swoją kocią bródkę, smutnie się przy tym uśmiechnął.

— Gdyby nie było pana Leberechta — powiedział — musiałbym tu zapewne umrzeć z głodu. Głodowałbym jednak nie myśląc o tym, żeby się stąd wynieść. To przepiękna krajina. Tu się urodziłem i jestem w pełni zdecydowany tutaj umrzeć.

Thiele nie przestawał interesować się tym, co ze względu na wykonywaną pracę wydawało mu się ważne.

— Jak to rozumieć, że gdyby nie pan Leberecht, głodowałby pan? On tak często choruje? A może jego honoraria są szczególnie wysokie?

Doktor Gensfleisch uniósł dłoń w mitygującym geście.

— Pan Leberecht to człowiek zdrowy na wskroś. Ta warstwa tłuszczu na nim jest jak pancerz. On nie zna dolegliwości związanych z wiekiem, nie zna właściwych otyłym zakłóceń krążenia. Ciało jego jest krzepkie jak ciało słonia. Sądzę, że jeszcze nigdy nie chorował.

— Cieszę się w jego imieniu — powiedział uprzejmie Thiele.

— Pan go dobrze zna?

— Jeszcze go nie widziałem.

— To wspaniały człowiek — oświadczył doktor Gensfleisch i zdjął okulary. — Jedyne w swoim rodzaju człowiek. Według mnie jest niby postać z jakiejś sagi. Mógłby być wybornym, z gruntu dobrotliwym władcą. Czasem mi się zdaje, że Maule to ostatni raj na ziemi. On zaś jest kimś w rodzaju Gabriela, który istnieje jednak nie po to, żeby ludzi wygnać, lecz by ich zatrzymać.

Thiele odchrząknął. Było mu gorąco i czuł, że pot wsiąka mu w mundur. Aż go kusilo, żeby Maule określone przed chwilą jako raj nazwać rajem dla morderców. Denerwowała go egzaltacja doktora, jednak doświadczenie nauczyło go, by nie uzewnętrzniać żadnych emocji, które przecież nie pasowały do funkcji, jaką sprawuje. Mimo wszystko głos jego zabrzmiał ostrzej niż poprzednio.

— A więc dostaje pan znaczne sumy od pana Leberechta.

— Regularnie - - potulnie przyznał doktor.

Żandarm zdumiał się. Niebieskie jego oczy zrobiły się wielkie, przemknęło przez nie bez mała dziecinne zdziwienie

— Daje panu regularnie pieniądze?

— Tak — powiedział pogodnie Gensfleisch. — Pan o tym nie wie?

— Od kiedy oraz ile?

Gensleisch złożył swoje szczupłe, blade, często myte dłonie. Emanowało zeń spokojne zadowolenie. Uśmiechnął się też dobrotliwie do żandarma, ale oczy przysłonięte grubymi szklami okularów pozostały chłodne.

— Jest między nami układ — powiedział — zgodnie z którym opieką lekarską objąłem całą gminę Maule.

— Czy umowa ta uwzględnia wszystkich mieszkańców?

— Wszystkich, którzy tylko zwrócą się do mnie o leczenie.

— I opłaca się to?

— To akt wielkoduszności, panie Thiele. Umowa zapewnia mi stały, comiesięczny dochód. Jest podstawą mojej egzystencji, a ja jestem panu Leberechtowi ogromnie zobowiązany.

— To potwierdza moją teorię — powiedział raczej do siebie Thiele. I szybko dodał: — Mieszkańcy Mauli wykorzystują to oczywiście?

— Na pewno mają opiekę lekarską lepszą niż ktokolwiek w powiecie. Pan Leberecht zorganizował nawet u siebie w majątku stałe wyjazdowe pogotowie. Jeśli potrzebuje ktoś doktora, tam się zwraca i bryczka natychmiast mnie przywozi. Pan Leberecht pilnie uważa, żeby nie było żadnego nadużywania tego systemu.

— Można rzec, że kontroluje go — rzeki żandarm. — A więc i to również! Określając dokładnie, jest to taki rodzaj Kasy Chorych oparty na prywatnej bazie.

— Coś w tym rodzaju. On uprościł zasadę i wszystko funkcjonuje bez zgrzytów.

Mózg żandarma Thiele pracował gorączkowo. Jako reprezentanta ładu, przez państwo kierowanego ładu, ogarniało go przerażenie. Jako człowiekowi Leberecht imponował coraz bardziej. Ale pytał się siebie, co też się za tym kryje.

— Jest pan więc wobec Leberechta zobowiązany? — zapytał ostrożnie.

— Oczywiście, że czuję się zobowiązany.

Thiele poszedł na całego.

— Wystawił pan też świadectwo zgonu niejakiemu Materie.

Troskliwa grzeczność znikła z twarzy Gensfleischa. Uśmiech zamarł. Zrazu nie odpowiedział, tylko założył okulary i poprawił je nieporadnie.

Thiele też nie powiedział już ani słowa. Czekał, gdyż był przekonany, że w tej chwili nie może zrobić nic lepszego. Tylko czekać. Przypatrywał się pilnie swojemu vis a vis, tak jak myśliwy przypatruje się zwierzynie.

Gensfleisch sięgnął po leżącą obok grubą księgę. Zaczął ją kartkować. Robił to bez pośpiechu. Ręce jego były spokojne, zdawało się przy tym, że przepelnia go energia. Jak przed operacją.

— Nie przypominam sobie szczegółów — powiedział. — Chcę odszukać to, co zostało zapisane w moim dzienniku.

Thiele czekał bez słowa.

— Było to w ubiegłym roku, jesienią — oświadczył doktor.

— Dwudziestego września tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego — dorzucił Thiele.

Dłonie Gensfleischa znieruchomiały na chwilę i jakby zeszytniały. Potem zaczęły się znowu poruszać.

Słusznie — rzekł. — Było to dwudziestego września. W Maulach świętowano dożynki. Około drugiej nad ranem, a więc już dwudziestego pierwszego września rolnik Materna upadł i zmarł. Zjawiłem się tam około czwartej rano i stwierdziłem udar serca.

- Czy to był udar serca?

— Świadcstwo zgonu mówi, że udar serca.

— Nic poza tym nie dało się stwierdzić, panie doktorze?

— Nie przypominam sobie.

— Żadnych ran? Śladów uderzeń w. głowę? Albo klutej rany w obrębie piersi?

— Nie — powiedział cicho doktor Gensfleisch. — Możliwe jednak, że były ślady uderzenia na głowie. Mówiono mi, że padł na ziemię jak ścięty z nóg i uderzył przy tym o krawędź stołu. Przyczyną śmierci był jednak oczywisty udar serca.

- Może pan to zaprzysiąc?

Gensfleisch zamknął swój dziennik.

— Czego pan właściwie ode mnie chce? — zapytał wyraźnie rozzłoszczony. — Co mają znaczyć te pytania? Są dla mnie obraźliwe.

— Nie chcę obrażać pana — rzekł Thiele wpadając w urzędowy ton — chcę jedynie wyjaśnić tamten przypadek.

— Dla mnie przypadek Materny jest zamknięty.

— Dla mnie nie! — oświadczył Thiele takim tonem, jakby miał składać służbowe przyrzeczenie. — Dla mnie przypadek ten dopiero się zaczyna.

— Nie mam z tym nic wspólnego.

— Powoli, tylko powoli, panie doktorze — powiedział Thiele. — Niech mi pan pozwoli działać metodycznie. W rezultacie swojej umowy jest pan kimś w rodzaju pośredniego pracownika pana Leberechta. Nadto, jak sam pan mówi, jest pan wobec niego zobowiązany. Jeśli więc pan Leberecht...

— Życzę sobie zakończenia tej rozmowy — powiedział chłodno Gensfleisch.

— A jeślibym zechciał przekształcić ją w przesłuchanie?

— Znam swoje, ale i pańskie granice. Jeśli zechce mnie pan przesłuchiwać, będzie pan musiał mieć polecenie albo też będzie musiało zaistnieć zdarzenie, które pana do tego upoważni. Ma pan odpowiednie podstawy?

Thiele zacisnął zęby. Nie było mu w smak, że znalazł się ktoś nieźle zorientowany w jego służbowych uprawnieniach. Odkrył przed nim słabą stronę, a teraz musiał ją czymś przysłonić. Należał jednak do kategorii tych charakterów, które atak uznają za najlepszą obronę.

— Panie doktorze Gensfleisch — rzekł twardo — jestem absolutnie zdecydowany wyjaśnić tamten przypadek. Jeśli będę zmuszony, odkopię zwłoki Materny i dam je do zbadania lekarzowi sądowemu.

— Również ekshumacja — powiedział doktor Gensfleisch — wymaga, jeśliby pan tego nie wiedział, całkiem określonych przesłanek. Jest niemożliwa, jeśli nie istnieje kompletny łańcuch dowodów wymagający jedynie ostatniego ogniwa. Właś-

nie ekshumacji. Tego jednak pan nie uzyska. Goni pan za urojeniami. Nie stać mnie na marnotrawienie czasu z tego powodu. Do widzenia.

— Jeszcze się zobaczymy — powiedział Thiele. — Sądzę, że nastąpi to niedługo.

Leberecht stał na drodze wiodącej z Mauli do Jeziorek. Wysocki, rozrośnięty był jak skalna bryła odcinająca się od promieniście błękitnego nieba. Stał tak i patrzył w stronę Jeziorek. Opierał się na dębowej lasce.

Żandarm Thiele pchał swój rower pod górkę, ku Maulom. Pocił się mocno, a pot zdawał się zmywać gniew, który w nim wezbrał podczas wizyty u doktora Gensfleischa. Natychmiast spostrzegł potężnego mężczyznę nieruchomo stojącego pośrodku drogi, w najwyższym jej punkcie. Zobaczył go zaraz po wyjeździe z lasku rozciągającego się przed Jeziorkami. I pomyślał sobie: to musi być ów Leberecht.

Leberecht widział zbliżającego się doń powoli żandarma. Zauważył go w dole, koło Jeziorek, jak pedałowal wolno w rozpalonym powietrzu, nawet jak zdjął czapkę i dla orzeźwienia się wachlował. Kiedy droga zaczęła piąć się w górę, gdy rower przestał już toczyć się z rozpędu, żandarm zsiadł powoli z siodelka i zaczął rower popychać przed sobą. Spoglądał przy tym w górę, w stronę Leberechta.

Thiele nie przyspieszył ani trochę. Powiedział sobie, że gdyby właśnie okazał pośpiech, uchybiłoby to jego godności. W rzeczywistości jednak chciał po prostu odwlec spotkanie z Leberechtem, gdyż ów mężczyzna na wzniesieniu to musiał być Leberecht! Oparty ciężko o rower starał się oddychać równomiernie. Szybkimi, ukradkowymi spojrzeniami sprawdził, jak leży na nim mundur i stwierdził, że przepisowo.

— Pan jest więc panem Thiele, wachmistrzem żandarmerii — powiedział życzliwie Leberecht.

Thiele zatrzymał rower.

— Jeśli się nie mylę — rzekł — rozmawiam z panem. Leberechtem, właścicielem majątku.

— Nie myli się pan — odparł Leberecht i ruszył z miejsca. Zrobił kilka kroków w stronę żandarma i wyciągnął doń rękę.

Thiele przeszedłszy także kilka kroków sięgnął bez ociągania się po wyciągniętą ku niemu dłoń i mocno ją uściśnął. Uważał, że tak jest uprzejmie, a ponadto zgodnie z nakazem mądrości.

Obydwaj zapewnili, że się cieszą, obrzucili się przy tym spiesznymi spojrzzeniami. Uśmiechali się niepewnie ukazując przy tym podniszczone zęby.

— Właśnie robiłem, przypadkowy zresztą, obchód moich pól, który doprowadził mnie aż tutaj — powiedział Leberecht. — Potem zobaczyłem, że pan się zbliża, a ponieważ tak czy inaczej chciałem kiedyś pana poznać, zaczekałem tu na pana.

— Byłbym i tak do pana przyszedł, żeby się przedstawić oraz omówić to i owo — powiedział tak samo ostrożnie żandarm.

— Cieszę mnie, że to słyszę — zapewnił Leberecht. — Szczerze mówiąc oczekiwałem pana już w pierwszym albo w drugim dniu pańskiego pobytu w Maulach. Jako wójt jestem nastawiony na współpracę z panem.

Thiele uważnie przysłuchiwał się jego słowom i starał się rozeznąć, czy nie zawiera się w nich pretensja. Nic jednak na to nie wskazywało. Leberecht zachowywał się uprzejmie i chyba taki był.

— Pójdźmy kawałek razem — zaproponował Leberecht.

— Chętnie — odrzekł żandarm.

Ramię w ramię poszli ku Maulom. Droga, która od Jeziorok wznosiła się do miejsca, w jakim czekał Leberecht, opadała teraz. Maule odległe o mniej więcej półtora kilometra leżały u ich stóp.

Leberecht przystanął, idący obok niego żandarm również zatrzymał kroki.

— Nie jest to wioska duża — powiedział z zadumą Lebe-

recht. — Nie jest to wioska szczególnie ładna, ale to przecież szczęśliwy skrawek ziemi.

Thiele zdecydował się na milczenie. Ów „szczęśliwy skrawek ziemi” uznał za przesadę, ale powstrzymał się od uwagi, że szczęście jednych ludzi nieraz wynika z nieszczęścia innych.

— Wioska ta — mówił Leberecht — od piętnastu lat, od zakończenia światowej wojny jest prawdopodobnie najbardziej zacisznym miejscem niespokojnego Zachodu. Może mi pan wierzyć. Nie ma tu u nas nienawiści, nie ma głodu, nie ma nędzy, nie ma przestępczych elementów.

— I tylko przypadkiem ktoś zostaje zabity — odezwał się teraz żandarm.

Leberecht mocno skinął głową, jakby chciał podkreślić, że spodziewał się tej uwagi i ruszył naprzód.

— Nawiązuje pan do przypadku Materny — powiedział. — Wiem, że podjął pan w tej sprawie czynności wyjaśniające.

— Mam swoje przesłanki — rzekł żandarm.

Leberecht skinął ponownie.

— Są to chyba przesłanki istotne, w które też nie wątpię, ale są to przesłanki człowieka nie wiedzącego czym są Maule.

— Wiem, co to jest prawo. Czy to nie dość?

— Panu to może wystarcza — powiedział uprzejmie Leberecht. — Ja wiem, że w Maulach ludzie nie są jednakowi, że rodzina nie jest równa rodzinie, że ani jeden kawałek ziemi nie ma struktury podobnej do innych. Nasza wieś różni się też od wioski na Syberii i jest inna niżli wioska w Ameryce Południowej.

Ale ta wioska to część niemieckiego państwa rzekł Thiele. — W całych Niemczech obowiązują zaś te same prawa. Do moich obowiązków należy, by były szanowane.

- Gdyby niemieckie państwo było takie jak Maule, miało by całkiem inne prawa — z przekonaniem odparł Leberecht. Szli dalej wpatrując się w pył drogi. Pył pokrywał też trawy w płytkich rowach, na polach rosło zboże ciche i nieruchome; było jak armia stojąca w gotowości przeciwstawienia się głodowi. W jaskrawym słońcu tkwiły zasobne domostwa Mauli.

Wysokie niebo lśniło błękitem, jakby sam Bóg rozpiął nad Maulami świetlisty, jedwabny namiot.

— Tę krainę musi się kochać — powiedział Leberecht — i kochać musi się też wszystko, co do niej należy. Tak jak kocha się kobietę, dziecko albo rodzinę.

— Przypominam sobie, że słyszałem, iż nierzadko trafia się tak zwana miłość prowadząca do przestępstwa. Która zawiera w sobie wiele nieprawości. Są kłamstwa z miłości zrodzone, kradzieże z miłości, zabójstwa z miłości.

Leberecht znowu skinął głową.

— Wszystko to należy do kręgu pańskich codziennych lektur, czyż tak nie jest? Można o tym przeczytać w policyjnych komunikatach, w listach gończych i w fachowym czasopiśmie. To jednak co pan tam czyta, mój drogi, to tylko cząstka świata i do tego gorsza.

— Trzeba uwzględniać te sprawy — mówił z głębokim przekonaniem żandarm Thiele. — Elementy przestępcze są wszędzie. Tutaj też. Spośród tysiąca ludzi, ponad tuzin żyjąc zmierza w stronę więzienia.

— Mój drogi — Leberecht położył ciężką dłoń na ramieniu żandarma — a czy mógłby pan stwierdzić, że nigdy w życiu nie zrobił pan czegoś, co nie było jakimś naruszeniem obowiązujących praw?

— Tak twierdzę — zdecydowanym tonem odparł Thiele.

— Nigdy niczego pan nie ukradł, ot, choćby jabłka z czyjeś sadu? Nigdy nie wstąpił pan na zakazaną ścieżkę, nigdy nie siusiał w publicznym miejscu, nie jechał na nie oświetlonym rowerze? Nigdy?

— Nie przypominam sobie — powiedział Thiele. — Drobne uchybienia mogły się zdarzyć i możliwe, że również w czasie służby popełniłem je nieświadomie albo w jakiejś wyjątkowej sytuacji... Mogło być tak. Nigdy jednak nie wykroczyłem przeciw prawu i zarządzeniom świadomie.

— Musi pan pędzić bardzo smutne życie — powiedział z uśmiechem Leberecht. Żandarm zaś, zauważywszy, że miał to być żart, również się uśmiechnął.

— A te inne, liczne sprawy, panie Thiele, których nie obejmuje żaden kodeks? Te drobne podłostki, utajone świństwka wynikające niekiedy z samej ludzkiej natury? Tym też nie może pan służyć? Nie? Czy nigdy pan nie napędził strachu żadnemu dziecku, czy od żadnego człowieka nie wyciągnął pan podstępnie przyznania się do winy, czy nie uwiódł pan żadnej kobiety kłamliwymi obietnicami?

— I ja jestem tylko człowiekiem — stwierdził z ociąganiem żandarm. — I ja mam słabostki. U pana jest inaczej?

— Na Boga, nie! — zawołał porywczo Leberecht. — Pełno we mnie błędów. Często się też myślę. Nie jestem bez winy. Nierzadko ulegam namiętnościom. Były i takie chwile, w których zapominałem nie tylko o przykazaniach boskich.

— I oto pan — powiedział Thiele agresywnie i z wielką powagą — pozwala sobie na to, by rozkazywać całej wiosce.

Leberecht zatrzymał się i szeroko rozstawił nogi.

— Tak — powiedział — pozwalam sobie na to.

— Kto pana do tego upoważnił?

— Sam sobie przyznałem to prawo — odparł Leberecht. — Dało mi je własne moje życie, moja znajomość samego siebie i moja miłość.

Żandarm też się zatrzymał. Oparł się o rower i mogło się zdawać, że musiał się oprzeć.

— Zgadza się więc to, co o panu mówią.

— Co mówią o mnie?

— Że postępuje pan tak, jakby chciał pan tu zastępować Pana Boga.

— Każdy powinien tak się zachowywać, jakby zastępował drogiego Boga. Każdy powinien przynajmniej tego próbować.

Podszedł do żandarma i zajrzał w jego duże, niebieskie oczy. — Staram się być sprawiedliwy. Dla każdego. Nie jestem doskonały, ale uczciwie staram się o to. Pieniądze, które posiadam, ziemia, która należy do mnie, ludzie, którzy u mnie pracują, wszystko to nakazuje mi, żebym był ich władcą. Ale i jeszcze coś odczuwam. Czuję się otóż zobowiązany do tego, by postępować po ojcowsku. Moja rodzina jest duża. Czuję się

tak, jakbym miał setkę dzieci i musiał o wszystkie dbać. To uczyniłem swoim życiowym zadaniem. Tylko to.

— Ale kiedy dzieci nie słuchają pana, wówczas pan je bije? Niekiedy na śmierć?

Leberecht na chwilę zamknął oczy, jakby raziło go słońce. Twarz mu poczerwieniała i zalsniła potem.

— Niech się pan rozejrzy — powiedział powoli. — Jest nad nami błogosławieństwo krainy, w której pozwolono nam żyć. To najpiękniejszy skrawek ziemi na tym świecie. Jeszcze nie zniszczony, jeszcze wszystko, co się tu znajduje, to czysta natura. Kiedy Bóg idzie odpoczywać, kiedy chce spać, wierzę, że przychodzi do nas, żeby spać tutaj. Jeśli Bóg zechce spać, będzie sypiał u nas, na Mazurach. Wierzę w to niezłomie. Pragnę też robić wszystko, żeby mógł spać w spokoju. Czy pan to rozumie?

— Nie — odparł uczciwie Thiele.

— Niech się pan rozejrzy — powiedział Leberecht. — Niech się pan rozejrzy, zanim zrobi pan cokolwiek. Niech pan pozna ludzi, możliwie wszystkich. Mnie też. Niech pan wejdzie do domów, wmiesza się między pracujących na polach, zasiądzie w gospodzie za stołem. Ci ludzie nie są szczególnie dobrzy ani szczególnie źli. W nich tkwi wszystko, co tkwi również w innych ludziach. Dobroć i zezwierzęcenie, delikatność i brutalny instynkt, niebo i piekło. Ja tylko próbuję wykorzystać wszystkie możliwości, wszystkie, na jakie mnie stać, żeby mogli być dobrzy. Czy pan to rozumie?

— Zdaje mi się, że rozumiem — powiedział w zamyśleniu Thiele — iż ma pan całkiem określony cel.

— Nie jest to żaden szczególnie wielki albo i wzniosły cel — mówił Leberecht. — Jestem jednak przekonany, że jest dobry. Niech pan zważy: niektórzy ludzie są jak dzieci i często trzeba im wmuszać ich szczęście, nakłaniać do porządku, a jeśli nie da się inaczej, wtłaczać ich do wspólnoty życia. Jeśli to konieczne, choćby przemocą.

— To są, koniec końców, funkcje prawa i organów sprawiedliwości — powiedział żandarm.

— Słusznie. — Leberecht poczuł, że może odetchnąć. — My, tutaj, żyjący na krańcu świata, osamotnieni, niemal zapomniani przekształciliśmy trochę te ogólne prawa, które dotyczą również wielkomiejskich hien. Przykroiliśmy je na własną miarę. Wiele spośród tych praw złagodiliśmy i przez to żyje się nam przyjemniej. Niektóre obostrzyliśmy, żeby zachować posiadane szczęście. A że nikt się o nas nie troszczy, żyjemy tak jak nam się podoba i jak to wychodzi nam na dobre. Żyjemy tak, że nie szkodzi to innym.

— Teraz rozumiem wszystko — rzekł porywczo żandarm. — Ten, kto nie ugnie się przed pańskimi prawami, kto im zagrozi, zostaje przez pana wykluczony.

— Tak to jest! — potwierdził Leberecht.

— Jeśli czasem nie można już inaczej, owo wykluczenie staje się nawet wykończeniem człowieka.

Leberecht skinął głową, a oczy jego zabłyśły. Było w tym ostrzeżenie.

— Tak mniej więcej — powiedział. — W tym punkcie nie liczę się z nikim. Bez względu na to, czy jest to awanturujący się opój, który chce zniszczyć spoiwo wsi, czy też jakiś naganacz polityczny mający w zamyśle uniformizację wszystkiego albo też nadgorliwy żandarm, który zna tylko paragrafy, nie znający jednak ludzkich serc. A choćby i własny syn.

— Nawet jeśli byłby to własny syn?

— Nie uznaję wyjątków.

Idąc dalej doszli do Mauli, a pierwsze domy wioski otoczyły ich jak strażę. Podszedł do nich duży pies i, jakby to było oczywiste, pozostał u boku Leberechta. Dwójka dzieci pozdrowiła ich z szacunkiem.

— Nie chciałem pana zastraszyć — powiedział Leberecht nadspodziewanie wesoło. — Nawet ostrzec pana nie chciałem, a tylko uświadomić.

— Nie jestem przestraszony — odparł Thiele. Jestem tylko zaskoczony. Wydaje mi się, że dotąd żyłem w świecie zupełnie nieprawdziwym.

— Niech więc pan skoryguje wyobrażenie, jakie miał pan

o tym tu świecie. Niech się pan z nim zżyje, a zobaczy pan, że będzie to całkiem inne, nowe życie. Jeśli potrzebna będzie panu wykładnia, niechaj pan przyjdzie do mnie. Zawsze będę dla pana obecny. Jeśli uda się panu zawrzeć przyjaźń z naszymi Maulami, stanę się najlepszym pańskim przyjaciele.

W żandarmie poczęło wzbierać uczucie sympatii. Ten stojący naprzeciw niego mężczyzna prawdziwie go wzruszył. Przez chwilę odczuwał potrzebę uścisnięcia mu ręki, serdecznie, niemal z czułością, tak jak się ściska rękę brata, ale jednak obudziła się w nim nieufność, ocknęła się zwyczajna służbistość i utorowała sobie drogę wiara w ład uregulowany prawem.

— Nad jednym nie przeszedłbym jednak do porządku dziennego — powiedział. — Nad pewnym morderstwem.

Następnie wyciągnął dłoń, żeby się pożegnać. Leberecht schwycił ją, ale nie nazbyt mocno. Jeszcze przez wiele minut stał, mężczyzna potężny i nieruchomy jak gład, pośrodku wiejskiej drogi opromieniony jaskrawym słońcem.

Kiedy ruszył naprzód, brodę opartą miał o pierś, a ramiona jego zwisały bezwładnie.

Ewa Thiele posprzątała resztki kolacji, wytarła stół i umyła talerze. Kiedy do służbowego pokoju zaniósła ojcu butelkę piwa oraz ulubioną jego szklankę, zauważyła, że jest on pochylony nad swoimi specjalnymi mapami oraz specjalnymi planami. Zrozumiała, że będzie tym zajęty przez wiele godzin i uznała, iż stwarza to korzystną okazję do zaczerpnięcia jeszcze odrobiny świeżego powietrza.

Wyszła z domu na podwórze, pospacerowała wokół budynku i ruszyła za bramę, na skraj wiejskiej drogi. Tam stanęła.

Niepostrzeżenie zagarnęła ją wieś. Gdzieś tam ryczała krowa, w wieczornym mroku turkotał wóz. Potem zobaczyła cztery psy i dwoje ludzi. Nikt zdawał się nie spieszyć. Z domu pastora radio skrzeczało *O donna Klara...*, wzruszająco lamen-

towały jakieś skrzypce. Przeszła przez drogę, w stronę cmentarnego muru, żeby słyszeć wyraźniej. Mur był wysoki na metr i Ewa siadła na nim.

Huśtała nogami z zadowoleniem przypatrując się wieczorowi. Czowała się dobrze. Kamienie, na których usiadła, zachowały jeszcze ciepło palącego w dzień słońca. Księżyc rzucał łagodny blask na wiejską drogę. Radio w domu pastora dudniło teraz wieloma saksofonami: *Gdy zakwitną znowu białe bzy.*

Cicho podśpiewywała do wtóru tę piosenkę, która wydawała jej się bzdurna, ale miła. Rozpoczynająca się noc wpływała na nią dobrze, studziła łagodnie rozgrzaną krew, choć jej nie wychładzała. W niej samej i wokół niej wszystko było łagodnie wyciszone.

Popatrzyła wzdłuż wiejskiej drogi, w lewo, tam gdzie znajdował się majątek. Droga była pusta. Potem spojrzała na prawo, ale i tam też nie było nikogo. Obejrzała się za siebie, ku domowi pastora. Stał tam wsparty o ościeżnicę drzwi Werner, syn pastora, i wpatrywał się w księżyc.

Ewa żwawiej zakołysała nogami i zastukała butami po murze, na którym siedziała. Werner Bachus usłyszał wywołane tym odgłosy, gdyż właśnie ucichły płynące z odbiornika muzyczne tony. Przeczesał włosy i podszedł do niej.

— Taka samotna? zapytał przedsiębiorczo. I to tak późnym wieczorem?

— Czy to tutaj zakazane, panie Bachus?

— Jeśli o mnie idzie to nawet pożądane powiedział wytwornie i bezceremonialnie usadowił się obok niej na murze.

Ewa trochę się zaniepokoiła.

— Niedługo będę musiała iść — powiedziała.

Przysunął się bliżej.

— Słyszysz pani żaby? — zapytał. — To, co wyprawiają, graniczy z zakłóceniem nocnej ciszy.

— Tego słucham chętnie. — Odsunęła się ostrożnie, ale on natychmiast się przybliżył.

— A może zechciałaby pani posłuchać żab całkiem z bliska?
— zapytał Werner. — To proszę ze mną. Pokażę pani, gdzie jest staw.

— Nie, dziękuję — odparła szybko Ewa.

— Jak pani chce. Tu też jest całkiem miło. Zaraz za murem stoi w ogrodzie ławka. Chce ją pani obejrzyć?

— Innym razem — powiedziała Ewa. Odchyliła się w bok, gdyż Werner przybliżał się coraz bardziej. Uznała, że jest zuchwały. Gdzieś jednak przeczytała, dokładnie: w dziale rozrywki „Gazety Królewieckiej”, że zuchwalstwo może być również urzekające. Powieść drukowana tam ostatnio miała tytuł: *Śmiałek godny miłości*. Opisany był w niej pewien były oficer, który podbijał serca, zwyciężał w konnych konkursach, a w końcu poślubił domownicę swojej matki, pani hrabiny, choć była uboga i pochodziła z prostej rodziny.

Werner Bachus zachęcony przez letnią noc i urok sąsiadki objął ramieniem jej plecy. Obruszyła się gwałtownie.

— Ależ nie — powiedziała wzbraniając się.

— Czemu nie? — zapytał. — Przecież to nic takiego.

— Nie mam czasu — rzekła. — Czekam tu na kogoś.

— Na kogóż by — zapytał Werner Bachus trochę zmartwiony, a trochę zdumiony, gdyż nie potrafił wyobrazić sobie, żeby mógł istnieć jeszcze ktoś, kto budziłby jej zainteresowanie. Jego osobisty urok cieszył się zaś uznaniem. Wiele dziewczyn w wiosce i okolicy oblizywało się na sam jego widok. Miał bowiem bogate doświadczenia, o czym też mówiło się szeroko. Przepracował pięć lat w Olsztynie, jako drogerzysta, a kiedy interes upadł, zniechęcił się do miasta i żył w domu ojca we wszystkim mu pomagając.

Mocniej przytulił do siebie Ewę, w której dostrzegł nowy obiekt podboju i zapowiedź przyjemnych zdarzeń. Przez cienką sukienkę wyczuwał dłoń ją jędrność jej ciała. To, że się opierała, całą sprawę czyniło jeszcze bardziej podniecającą. Będąc doświadczonym taktykiem nie chciał tego wieczoru posunąć się nazbyt daleko, chciał ją tylko z lekka rozgrzać. Ojciec odradzał mu wprawdzie, i to w ostrych słowach, jakakolwiek

próbę zbliżenia się do Ewy, nawet mu tego formalnie zabronił, ale cóż może człowiek wobec cielesnych pragnień!

Ewa wyrwała mu się.

— Muszę już iść! — powiedziała. Dostrzegłszy jednak na wiejskiej drodze zbliżającą się postać, szybko postawiła sprawę jasno: — Zdaje mi się, że idzie ten, z którym się umówiłam. — Po czym dodała uprzejmie, żeby nie zmartwić zbytnio zuchwałego, lecz miłego w istocie Wenera Bachusa: — Dzisiaj niestety nie mogę porozmawiać z panem dłużej. A więc innym razem.

Szybkim krokiem ruszyła wiejską drogą w stronę zbliżającej się z naprzeciwka postaci. Było jej wszystko jedno kto to taki. Dla zachowania pozorów zamierzała zagadnąć owego mężczyznę, zapytać go o cokolwiek, o gospodę, o mleczarnię należącą do majątku, wszystko jedno o co. Zapytać po to, żeby ukazać Wenerowi Bachusowi, iż miała coś do załatwienia.

Już na pięć metrów zbliżyła się do owego człowieka na wiejskiej drodze, gdy nagle się zawahała i stanęła zaskoczona patrząc na Alfreda Leberechta, syna majątkarza, niby na jakąś zjawę. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nie było jej w smak, że spotkała właśnie jego.

— Dobry wieczór — rzekł Alfred.

— Nasi ojcowie spotkali się — powiedziała spiesznie Ewa,

— Wiem o tym.

— A więc szukał go pan nie bez powodu?

— Tak.

— Idzie pan na spacer?

— Tak.

— Mogę pójść kawałek z panem?

— Tak — powiedział. — Tego nie mogę pani zabronić. Chciałem pójść nad staw, tam gdzie te żaby.

— Doskonale — powiedziała bez tchu. — Ja też chciałam właśnie tam pójść.

Ruszył naprzód i szedł długim mierzonym krokiem. Szła obok i daremnie starała się dotrzymać tempa. Ostrożnym spojrzeniem obrzuciła Wenera Bachusa, który ledwie zauważalny

siedział na cmentarnym murze i łapczywie palił papierosa. Miała nadzieję, że nie dosłyszał nic z tego, co powiedziała do Alfreda Leberechta. Miała nadzieję, że mówiła to dostatecznie cicho.

— Niczego od pana nie chcę — powiedziała teraz z ociąganiem do milczącego Alfreda. — W ogóle niczego.

— Tym lepiej — odparł.

— Chciałam tylko od kogoś odejść.

— Nie obchodzi mnie to.

— Zobaczyłam, że pan się zbliża, ale r. ie wiedziałam, że to właśnie pan. Naprawdę nie wiedziałam.

— Dobrze już — powiedział Alfred. - Niech pani tyle nie mówi. Wcałe nie słyhać żab.

Doszli do stawu położonego na skraju Mauli i wąskim pasmem bagien oddzielonego od jeziora Policzek. Alfred usiadł na trawie. Nie zachęcił jej, by zrobiła to samo. Siedział i słuchał. Potem i ona usiadła na trawie, W pełnej szacunku odległości.

Księżyc osrebrzył staw, żaby rechotały chórem, który nasilał się i cichł brzmiąc jak bolesna skarga. Nad łąkami snuła się rzadka mgła. Zaczynało robić się chłodniej.

— Chce pani moją bluzę? — zapytał.

— Dziękuję — powiedziała.

— Dziękuję tak, czy dziękuję nie?

— Nie.

— Też dobrze — powiedział. I milczał nadal.

Ewa Thiele poczuła zażenowanie. Pomyślała, że jest natarczywa, a następnie, że nie jest tu mile widziana. Że mu się narzuciła, on zaś nie chce, żeby pozostała tutaj i nic sobie z niej nie robi. W ogóle nic. Jest mu zupełnie obojętna, niewykluczone, że uważa ją za odrażającą. Co on sobie o niej myśli? Najpewniej to, że mu przeszkadza, narusza spokój godziny, którą przeznaczył na wytchnienie i rozmyślanie. Za to też ją może znienawidzić. A to nie powinno się zdarzyć. To nie.

— Życie jest obrzydliwe — stwierdził Alfred Leberecht.

Milczała przygnębiona. Co miała odrzec? Czy to, że może jej obecność skłoniła go do wypowiedzenia tych okropnych słów? Na pewno tak to jest.

— Czy pani coś powiedziała?

— Nie.

— Co zresztą mogłaby pani powiedzieć? Co pani wie o życiu? Właściwie, ile pani ma lat?

— Osiemnaście.

— Właśnie dlatego — powiedział. — Dlatego właśnie nie może pani wiedzieć, jak wstrętne jest życie. Ja mam dwadzieścia.

— A dlaczego życie jest wstrętne? — zapytała. — Ma pan bogatego i szanowanego ojca oraz dobrą matkę. Chodzi pan do szkoły w Olsztynie. Niedługo będzie pan studiował. Teraz ma pan wakacje. Może pan robić co pan chce. Albo nie robić nic. Tylko pozazdrościć panu!

— Zna pani moich rodziców?

— Nie.

— Niczego pani o nich nie słyszała?

— Nie.

— No to o co pani idzie! Mnie też pani nie zna. Na pewno nie. Niczego o mnie nie wie. No! Czego więc tu zazdrościć? Jestem nędznym stworem. Całkiem nędznym stworem. Co jednak pani może o tym wiedzieć!

Ewa milczała strapiona. On też już nie powiedział ani słowa. Jeszcze przez chwilę słuchali żabiego koncertu, potem poszli w milczeniu z powrotem do wioski.

Pożegnał się szybko.

— Proszę, niech się pan nie smuci — powiedziała cicho Ewa, kiedy uściskał jej dłoń.

— Nie jestem smutny - odrzekł. -- Jestem wściekły.

Potem odszedł i ani razu się nie obejrzał. Ewa stała bezradnie i patrzyła za nim. Kiedy wróciła do domu, żandarm jeszcze pracował. Nawet nie zauważył jej nieobecności.

Na początku nowego dnia Leberecht był w dobrym nastroju. Szybko zapomniał o niespokojnej nocy, która minęła. Promienne, poranne słońce wymazało wszystko, co mroczne. Był pełen nadziei.

Wstał o piątej, obszedł stajnię i chwilę spędził przy kłaczy imieniem Róza. Wyciągnął dłoń do dorodnego źrebięcia, a ono ją polizało. Leberecht przyglądał się wzruszony nieporównanemu, małemu zwierzątku. Świat jest piękny, pomyślał sobie, szczególnie zaś piękne są Maule. Życie tutaj czyni człowieka szczęśliwym.

Długimi krokami poszedł na ogrodowy taras, gdzie stało już śniadanie. Nalał sobie z kamionki duży kieliszek wódki i z przyjemnością wypił. Potem zawołał głośno i wesoło:

— Osiem! — Była to liczba jajek, które miano w kuchni rozbełtać i usmażyć.

Jadł z dużym apetytem. Był z siebie zadowolony. Uznał, że ma powody, by o nowym żandarmie myśleć z życzliwością. Chciał go, tak jak i jego poprzedników, po prostu przycisnąć do ściany, spotkał jednak człowieka, który nie był mięczakiem. Ów Thiele to osobowość. Porozmawiał z nim więc całkiem szczerze, jak z przyjacielem, i zdawało się, że został zrozumiany.

Leberecht sprawdził też na wrywki, czy zarządca oraz włodarz stosują się dokładnie do opracowanego przezeń rozkładu dnia. Wszystko było, jak też należało się spodziewać, w porządku. Potem udał się do ogrodnictwa i zażądał przedłożenia rejestru dostaw. I tu nie znalazł nic do zarzucenia. Przyklęknął między zagonami ogórków, żeby przypatrzeć się podobnym do mszyc szkodnikom, których ogrodnik nie znał. Zdecydowali opryskanie ich, ostrożnie tytoniowym wywarem, a następnie, jeśli nie miałyby to pomóc, roztworem nafty i mydła.

Właśnie zajęty był strącaniem zielonożółtych mszyc na jasny podkład, jakim była kartka z notatnika, po to by lepiej je zobaczyć, kiedy podszedł kierownik szkoły Neuberich.

— Co pan porabia w tym moim ogrodnictwie — zapytał

pogodnie usposobiony Leberecht. — Myślałem, że o tej porze tłucze pan swoich uczniów.

Neuberich ucziwie starał się o to, by nie zmać widomie dobrego nastroju, na jaki trafił. Uśmiechnął się szeroko odslaniając niekompletne uzębienie.

— Dzieci piszą wypracowanie, a pilnuje ich mój zastępca — powiedział. — Pan wie, że nie jest on wiele wart, to jednak potrafi.

— Zna pan to robactwo? — zapytał Leberecht i podsunął pod nos kierownika szkoły podobne do mszyc szkodniki.

Ten przyjrzał się im spieszenie.

— Nie znam — powiedział. A że znana mu była przy tym głęboka niechęć Leberechta okazywana wszystkiemu, co do Mauli przychodziło z zewnątrz i chciało się tu panoszyć, wszystko jedno czy była to jakaś mszyca, czy też człowiek, zaraz dodał: — Na pewno nie jest to tutejszy szkodnik. Kto wie, z jakich zakazanych stron się zjawił.

Leberecht uśmiechnął się, gdyż w lot rozeznał ten manewr Neubericha. Wyczuł też dokładnie, że chce on coś od niego, bo przecież nie chodzi się na darmo do jaskini lwa.

— Ładny z pana belfer — powiedział, ciągle zachowując dobry nastrój. — Nawet takiego stworzenia nie potrafi pan określić.

Neuberich zmieszał się.

— Jak pan wie, przede wszystkim jestem botanikiem. Moja kolekcja mchów powiększa się niemal codziennie. Ostatnio, nad jeziorem Policzek...

— Komu to potrzebne? — zapytał Leberecht. — Co przyjdzie nam z tego, że nasi uczniowie będą znali na wrywki pięćdziesiąt odmian mchu? Bardziej by mi odpowiadało, gdyby potrafił pan w lot rozróżnić dziesięć odmian ziemniaków. Niech pan ich nauczy tego właśnie, niech pan ich uczy sadzić drzewa. I niech pan jednak zbada, co to za szkodniki.

— Proszę mi dać jeden okaz. Spróbuję ustalić gatunek.

— I niech pan nauczy dzieci, jak zwalcza się szkodniki. Tego muszą nauczyć się od samego początku.

— Oczywiście — powiedział służbiście Neuberich. — Uczyć się dla życia, to w naszym przypadku uczyć się dla rolnictwa. Do tego właściwie zmierzam. Po mchach, na przykład, przechodzę do traw, po nich zaś naprowadzam na sianokosy. Jeśli wejrzec w to dokładnie, jest w tym ścisła metoda.

— Niech pan nie traci mojego ani swojego czasu na te swoje teorie. Niech pan wreszcie strzeli! Przecież chce pan ode mnie coś ważnego. Proszę tylko nie zaczynać teraz od tamtych dziesięciu wozów żwiru, które obiecałem przywieźć na szkolne podwórze. Dostanie je pan, ale dopiero po żniwach. Wtenczas może pan dostać nawet dwadzieścia wozów. I nową piaskownicę do skoków też każę panu urządzić.

— Nie ma pośpiechu — zapewnił Neuberich. — To całkiem zrozumiałe, że żniwa mają pierwszeństwo.

— Czego więc pan chce? Czyżby znów wpłynęła jakaś skarga od rodziców?

— Ależ nie -- powiedział Neuberich i spróbował się zarumienić, co mu się nie udało.

Leberecht ukląkł ponownie i zaczął lustrować zagon grochu. Posapując wlał do środka i sprawdzał glebę, rośliny oraz strąki. Szukał gąsienic. Ucieszyło go, że nie znalazł żadnej.

Pochylony nad jego potężnym zadem Neuberich trudził się o to, by nie przygasła bardzo przecież przyjazna rozmowa.

— Tym, co mnie tu sprowadziło — rzekł — jest, w pewnym sensie, moje poczucie obowiązku.

Leberecht uważnie słuchał tego, co mówił nauczyciel. Wiedział dobrze, że jeśli już mówił on o poczuciu obowiązku, honorze albo temu podobnych kategoriach, zmierzał do uzyskania jakichś korzyści. Najczęściej materialnych. Udawał jednak, że nie rozumie.

— Czy pan coś powiedział? — zapytał. — Zrozumiałem tylko coś o poczuciu obowiązku.

— Tak jest — przytaknął Neuberich głośniejszym głosem niż poprzednio.

Leberecht z trudem stłumił głośny śmiech.

— Niech pan tak do mnie nie krzyczy — powiedział. — Jeśli usłyszysz ktoś słowa, których pan używa, pomyśli sobie, że

chcemy komuś dać w ucho. Niech pan tu przyjdzie, panie Neuberich. Niech się pan włączy do działania. Niech mi pan pomoże sprawdzać. Proszę zwracać uwagę na gąsienice. W ubiegłym roku zniszczyły mi piętnaście procent zbiorów.

Neuberich posłusznie ukląkł. Potraktował to jako oczywistość, ale gleby ani też roślin nie oglądał starannie. U boku Leberechta przeciskał się przez groch i wyczekiwał dogodnej do kontynuowania rozmowy chwili.

— No to co się znów dzieje, Neuberich, z tym pańskim poczuciem?

— Mówiłem o poczuciu odpowiedzialności, panie Leberecht.

— Ładnie, ładnie, ale co pan chce w zamian uzyskać?

— Nurtuje mnie ta sprawa z partią — powiedział Neuberich.

— Z jaką partią?

— Chcemy przecież założyć tu miejscową grupę, panie Leberecht. Myślę, że sprawa zasługuje na staranne przemyślenie.

Leberecht przestał obmacywać ziemię.

— Co pan chce przez to powiedzieć — zapytał podejrzliwie. Czy ma to znaczyć, że nie chce pan współdziałać?

Neuberich pospieszył z oddaleniem od siebie tego zupełnie bezpodstawnego podejrzenia.

— Co też pan myśli, panie Leberecht! Jeśli szło o dobro naszej wioski, nie ociągałem się nigdy.

— Mógłbym się założyć, że jako członek będzie pan egzemplarzem na pokaz.

— Nie o to mi idzie — powiedział Neuberich. Jeśli pan tę partię popiera, jestem ostatnim wśród tych, którzy mogliby stanąć na uboczu.

— No tak! A więc wszystko jest w najlepszym porządku.

— Oczywiście — zapewnił kierownik szkoły. — Oczywiście, ale mam osobiste wątpliwości.

— Co do partii?

— Nie przede wszystkim.

— Niechże wypuści pan wreszcie kota z worka, człowieku!

Pańscy uczniowie nie mogą w końcu dłużyć przez całe przedpołudnie jednego wypracowania. Tęsknią do pańskiego wykładu z botaniki. Niech mi pan powie krótko i węzłowato, czego panu trzeba!

Neuberich wyprostował się. Przypominał trochę zająca stojącego słupek na kapuścianym polu. Usilnie starał się demonstrować koleżeńską uległość.

— Proszę zauważyć — powiedział zabiegając o przychyłność z całą posiadaną zręcznością — że jestem też organistą, a nie należę do rady kościelnej. W Związku Weteranów Wojny nie jestem przewodniczącym, a jedynie pierwszym prawoskrzydłym. Uniemożliwiono mi założenie związku śpiewaczego, choć przecież jako kierownik szkoły w pewnym stopniu jestem wychowawcą całej wsi.

Leberecht wyprostował się zdumiony.

— Jeśli dobrze pana zrozumiałem, Neuberich, chce pan zostać ortsruppenleiterem.

— Jestem gotów zgłosić swoją kandydaturę na to stanowisko — powiedział skromnie kierownik szkoły. — Z całą chęcią i niezwłocznie. Może pan jednak myśli, że nie jestem godny?

— Nie — rzekł Leberecht. — Nie myślę tak.

Neuberich wyprężył się, jakby go dźgnięto w tyłek. Stał prosty niby świeca i zapewne z uniesienia lekko drżał. Podobny był do stracha na wróble owiewanego łagodnym wiatrem.

— Niech się pan nie podnieca — powiedział Leberecht i również się wyprostował. Znow był tak samo miły jak poprzednio. — Sprawa nie w zaszczytach. Poza tym ustaliliśmy już, kto ma być ortsruppenleiterem. Szylnik Nowakowski.

— To była tylko propozycja. Wiążące rozstrzygnięcie jeszcze nie zapadło.

— Mój drogi Neuberich — mówił spokojnie majątkarz — jeśli coś proponuję, to ma to taką samą wagę jak decyzja.

Kierownik szkoły poczuł się dotknięty. Nie mógł znieść, że oto znow został odtrącony, choć ucieleśniał wiejską inteligencję i niewątpliwie należał do nielicznej przywódczej warstwy. W ten oto sposób intelekt został znow odstawiony na ubocze,

a może nawet poniżony. Potrzebował wielu sekund, żeby to przetrwać.

— Mimo wszystko mogę sobie wyobrazić — powiedział Neuberich po długiej, lecz twórczej przerwie — że w Olsztynie, czy też w Lecu, nie będą szczególnie uradowani takim ortspruppenleiterem. Jeśli bowiem ma się możliwość wyboru między...

— Neuberich, niech panu nie przychodzą do głowy głupie myśli — rzekł rozweselony Leberecht. — Nie powinien pan sobie na to pozwalać. A może chciałby pan, żeby wyciągnięto tę dawną historyjkę z uczennicą? Nie przypomina pan sobie? Pan przecież z upodobaniem tłukł dziewczynki w tyłek. Przy tym te małe musiały zadzierać spódnice, a pan dokładnie wiedział, że u nas latem na ogół nie nosi się majtek.

— Tego mi nikt nie udowodni!

— Czy mam, Neuberich, zebrać dowody? Człowieku, przecież pan ma istotny powód, żeby czuć się małym, i nikczemnym. Kiedy to wyszło na jaw, najchętniej posłałbym pana do diabła. Wiem jednak, że nasze dzieci są zdrowe, że nawet pan, panie Neuberich, razem z pańskimi chuciami też ich nie zdeprawuje.

Neuberich drżał intensywniej o kilka stopni. Zgarbił się, a oczy mu zmętniały. Czubki jego palców zgięły się ku wnętrzu dłoni, co wyglądało tak, jakby zaciskał pięści.

Stojący obok Leberecht klepnął go w ramię.

— Zostawmy już to — powiedział wielkodusznie. — Ja już o tym zapomniałem. Teraz też, natychmiast zapomniałem ponownie. Zostawmy w spokoju tamte dawne sprawy. Niech pan mnie jednak, na przyszłość, już nigdy nie zmusza do tego, żebym musiał odświeżać wspomnienia. Przy tym wszystkim podtrzymuję ostrzeżenie, które dotyczy tamtych praktyk: jeśli jeszcze raz pozwoli pan sobie na coś podobnego, będzie pan w Maulach skończony.

Zmartwiony Neuberich milczał i po prostu bał się Leberechta, ale że i wściekłość drażyła go, zaczął powoli, powoli i bardzo ostrożnie nienawidzić tamtego otyłego, silnego człowieka.

— Niech pan nigdy nie próbuje fuszerować moich planów — powiedział z tym samym spokojem Leberecht. — To panu nie wyjdzie na dobre. Ani panu, ani też komukolwiek. Zapomnijmy jednak i o tym. Nie jestem drobiazgowy ani pamiętliwy. Chce pan funkcji i do tego funkcji znacznej? Dobrze. Spowoduję, że zostanie pan mianowany kierownikiem propagandy, kierownikiem szkolenia. Tam będzie się pan mógł wyżyć i tryskać intelektem bez ograniczeń. No, czy to nie słuszne?

— Dziękuję bardzo — powiedział Neuberich i postarał się powiedzieć to uległym tonem.

Leberecht popatrzył nań krótko i przenikliwie.

— Niech pan nie myśli o głupstwach, mój drogi. Nie miesza się do spraw, które pana nie dotyczą. Nawet nie chcę słyszeć, że podlizuje się pan jakiemuś kreisleiterowi. Pańska najwyższa instancja, Neuberich, jest tutaj, w Maulach. I kościół we wsi niech pan zostawi w spokoju, a i partię również.

Neuberich pożegnał się i poszedł sobie.

Leberecht zainteresował się z kolei zagonami szparagów. Dobry nastrój, w jakim się znajdował, trochę się zmącił. Gdy przykląkł koło długich kopców, z których rwa światło dzienne wyzierały szparagi, powiedział:

— Ta zafajdana partia skłóci mi wszystkich zaufanych ludzi.

Wachmistrz żandarmerii Thiele stał za swoim stołem, niedbale skleconym i pokrytym zielonym linoleum, jak za sędziowskim podium. Przypatrywał się sporządzonej przez siebie mapie miejscowości. Kartkował notatki. Robił to powoli, niemal ociężale.

Jeszcze raz usiłował przypomnieć sobie dokładnie wszystkie te słowa, które w obecności pewnego pana reprezentującego władzę wypowiedział doń powiatowy szef żandarmerii kapitan

Riedesel. Nazwisko to wymawiało się Rie-desel*. Brzmiały te słowa, jak to zwykle, twórczo i rozkazująco, ale w istocie nie były wiążące. Cała odpowiedzialność i tak spadała na niego.

Jeśli właściwie zrozumiał kapitana Riedesela, do Mauli posłano go po to, żeby zrobił tam porządek. Wioska ta była, na Boga, najodleglejszym skrawkiem prowincji i jeśli by nie wiedział, że jest funkcjonariuszem, który osiągnął największe sukcesy w skali rejencji, cieszącym się do tego powszechnym uznaniem, mógłby sobie pomyśleć, że w tym przypadku idzie o karne przeniesienie.

Urzędnik reprezentujący władzę, prawdopodobnie powiatowego szczebla, mówił w obecności Riedesela o niedostatecznym czy też niestarannym zarządzaniu gminą w Maulach i o dokumentach, które wracały stamtąd nie opracowane i zawierały dziwaczne, a nawet dwuznaczne uwagi. Kapitan Riedesel zapewniał ze swojej strony, że wszyscy poprzednicy Thielego pogrążali się w Maulach w bagnie. Teraz oczekuje się, że zostanie tam zaprowadzony porządek.

Potem, określając rzecz ogólnie, nastąpiło zalecenie zajęcia się sprawą Materny. Wszystko co powiedziano, Thiele zanotował w swoim notatniku zaraz po naradzie. Kartkując go obecnie znalazł, co następuje: „Kapitan R. zwrócił uwagę na przypadek M. Nadeszły dwa pisane tą samą ręką anonimowe listy, w których była mowa o mordercy. Krewny nieżyjącego M. chce złożyć do protokołu pilne zeznanie w sprawie podejrzanego. Niestety są to tylko domniemania. Dowodów rzeczowych brak. Niezbędne są natychmiastowe oraz intensywne dochodzenia. Energiczne, ale ostrożne. Raporty, pilnie, do kapitana Riedesela”.

Gdyby nie to zalecenie, mówił sobie Thiele, wszystko byłoby proste. Lecz i zalecenie nie jest w gruncie rzeczy wiążące. Sprawozdanie, na które czekał Riedesel, mogłoby brzmieć następu-

* Reguła takiej wymowy odbierała owemu nazwisk u określoną dwuznaczność. Akcentując je normalnie należało mówić: Ried-csel. Escl / .aś to osioł. (Przyp. tłum.).

jąco: „Dochodzenie zostało przeprowadzone bez wyników. Tym samym przerwane. Enuncjacja odnosząca się do podejrzanego, nie potwierdziła się. Koniec”.

To byłoby proste i chyba dobre. Tylko że on, Thiele, nie jest człowiekiem lubiącym upraszczać sobie cokolwiek. Ma instrukcję, no to dobrze. Ma jednak też sumienie. Leberecht wydaje mu się sympatyczny. Mógłby z nim wyłopać skrzynkę piwa, chodzić na spacer, rozmawiać nawet o miłości. Kiedy jednak idzie o naruszenie prawa, o morderstwo, a choćby tylko o współudział w morderstwie lub podżeganie do niego, nie zna, co to litość. W takiej sytuacji potrafiłby aresztować nawet własnego ojca.

Thiele odszedł od biurka i podenerwowany ruszył do ogrodu. Nie spodobały mu się zapuszczone ścieżki, postanowił je więc wieczorem oczyścić. I w ogóle, powiedział sobie, że powinien mieć o wiele więcej wolnego czasu. Pogoda jest wyśmienita, grunty stojące do jego dyspozycji potrzebują zaś silnej ręki i pielęgnacji. Wiedział przy tym, że spokoju nie znajdzie, póki nie zakończy sprawy Materny raportem dla kapitana Riedesela.

Z tylnej kieszeni wydobył pomięty terminarz, otworzył go i przejrzał kolejno wszystkie nazwiska zanotowane w związku ze sprawą Materny. Powykreślał też prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego. Ostatniego. Nazwiska Elfriedy Materny. Ją będzie musiał wypytać. Nie można tego pominąć. Postanowił więc, że zrobi to nie zwlekając.

Szybko poszedł do służbowego pokoju, żeby umundurować się należycie. Zajrzawszy przy okazji do swojej mapy uzupełnił wiedzę o położeniu i wielkości gospodarstwa Materny. Potem udał się do stajni, osiodłał gniadosza Paula i dosiadł jego grzbietu.

Trzymając się prosto przejechał przez wieś, a po drodze napotkał nielicznych ludzi i kilka psów. Każdy spośród spotkanych przyglądał się mu, a Thiele, bez względu na to, czy szło o człowieka czy też o zwierzę, każdemu powściągliwie się kłaniał. Po wyjeździe z wioski Paul został przynaglony do krót-

kiego kłusa. Paul nie chciał jednak kłusować, toteż żandarm zawołał z ojcowską surowością: — Nie bądź ciągle taki zmęczony, Hindenburgu!

Po krótkiej jeździe żandarm dotarł do gospodarstwa Materny. Obejście, wraz ze stodołą i oborą, nie wyglądało na szczególnie zadbane. W najbliższym sąsiedztwie wrót obory leżała ogromna kupa gnoju. Thiele, który w czasie zawodowej praktyki nabył sporo rolniczego doświadczenia, zmiarkował natychmiast, że wszystko tu było rozmieszczone nieporęcznie. Płot był dziurawy, a przez dziury kokoszki swobodnie włąziły do warzywnika. Po podwórku tarzała się opasła maciora.

Thiele uwiązał Paula przy bramie. Przyjrzał się ponuro swoim lśniącym butom, które rankiem doprowadził do najwyższego połysku, a które po przejściu przez tak brudne podwórze niewątpliwie zmatowieją.

— Przekłête niechlujstwo — zamruczał. Co to też za kobieta, ta Materna.

Pochylił się trochę, pchnął drzwi, wszedł do domu i zaraz zatrzymał się zaskoczony. Tu wszystko było czyste i bez wątpienia pachniało mydłem do prania. Posadzka posypana była białym piaskiem. Na pobielonej ścianie wisiał obraz przedstawiający kwiaty.

Zastukał w drzwi wiodące do izby, a usytuowane na lewo od wejścia. Doświadczenie mówiło mu, że za nimi jest kuchnia.

— Niech pan wejdzie — zawołał donośny kobiecy głos.

Żandarm otworzył drzwi i rozejrzał się bezceremonialnie a badawczo. I tu wszystko było czyste, nawet bardzo czyste. Zobaczył więc lśniący kuchenny piec, sentencje na błękitnawo pobielonych ścianach, czysto wyszorowany stół i chodniczki utkane ręcznie z resztek materiału. Kobieta siedząca na krześle u stołu też nie była flejtuchem.

Siedziała oto przed nim niewiele ponad trzydzieści lat mająca kobieta. Sprężystymi udami obejmowała miskę, nad którą łamała szparagową fasolę. Siedziała wyprostowana, a ciało jej

Zmusił się do zastosowania starej i wypróbowanej taktyki.

— Pani Materna — rzekł starając się zachować rzeczowy ton — pani mąż nie żyje i mówi się, że umarł na udar serca. Jeśli było tak rzeczywiście, to byłaby to tak zwana śmierć naturalna. Tylko że pani nie wygląda na szczególnie tym unieszczęśliwioną. Można by przypuszczać, że pani triumfuje. To jednak pani sprawa i nie to mnie obchodzi.

— Po co więc pan przyszedł?

— Nie obchodzi mnie, jeśli był to rzeczywiście zgon naturalny. Jeśli jednak, pani Materna, było to morderstwo, wówczas znaczenia nabiera pani zachowanie się po tym wszystkim. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli pani triumfuje, wynika to z tego, iż śmierć ta nie tylko panią zadowoliła, a nawet, czego nie da się wykluczyć, przyspieszyła ją pani. To mogłoby świadczyć o pani współudziale.

— Jest pan durniem - powiedziała z pogardą kobieta.

Thiele aż się skulił. Potrzebował sporo czasu, by się pozbierać. Czegoś takiego jeszcze nikt mu nie powiedział. Żaden mężczyzna nie odważyłby się rzucić mu tego w twarz. Trząśł się więc z oburzenia, choć nigdy oburzenia nie okazywał, nazywając to panowaniem nad sobą.

— Mówi pan o sprawach, których pan nie rozumie — powiedziała kobieta. — To nie był dobry człowiek. Nawet możliwe, że był to łajdak. Pił, intrygował, awanturował się. Całą wieś próbował wytrącić z równowagi. Bezwstydnie mnie oszukiwał i to z wieloma, nawet z moją służącą. Na moich oczach. Był to jednak mój mąż. Kochałam go. Ciągłe mi się zdawało, że nasza go jakaś choroba i byłam przekonana, iż pewnego dnia ozdrowieje. Teraz jednak nie żyje.

— Został zamordowany.

— Nie żyje. Niech pan i jego, i mnie zostawi w spokoju. Wszystko to już przeminęło.

— Nie dla mnie — rzekł żandarm. — Dla mnie sprawa ta nie jest skończona, bo też wcale nie jestem durniem.

Gorzelany Schwesig, uznawany powszechnie za przyboczno-go, satelitę i pierwszego przydupnika majątkarza Leberechta i także honorowany, został zobowiązany do spiesznego przygotowania organizacyjnego zebrania miejscowej grupy NSDAP w Maulach. Wszystkie ważniejsze szczegóły ustalono podczas krótkiej, wewnętrznej narady, która odbyła się w gorzelni, w piwnicy fermentacyjnej nr III.

Dzierżawca gospody Nowakowski, przyszedł partyjny ortsgruppenleiter obiecał zafundować dwudziestopięciolitrową baryłkę ponarteńskiego * piwa i dodatkowo pięć butelek duńskiej żytniówki, dwukrotnie pędzonej. Zrobił to jednak dopiero wówczas, kiedy Schwesig, zapytawszy się Leberechta, zapewnił, iż zebrania miejscowej grupy, zarówno wewnętrzne jak i otwarte, będą się odbywały w gospodzie Nowakowskiego. Do tego dochodziły wieczorowe szkolenia, ćwiczenia obronne rozgrywane na terenowej makiecie i cotygodniowe spotkania koła kobiet, które też miało być zorganizowane. Wszystko to załudniać miało obszerną salę gospody albo zadbane pomieszczenia z nią sąsiadujące.

Miejscowe osobistości przyzwyczajone przez Leberechta do punktualności zebrały się na dziesięć minut przed wyznaczoną porą. Zgromadzono się przed gospodą, pozdrowiono skąpymi, ale mocnymi słowami i zaczęto rozmawiać o pogodzie, koniach, psach, krowach, uprawach oraz kobietach. Potem stojąc pospołu przyglądali się wszyscy niebu marszcząc czoła i usiłując z koloru oraz uwarstwienia wieczornej zorzy przewidzieć pogodę na następny dzień.

— Pewny jestem — powiedział w zadumie kierownik szkoły Neuberich — że jutro pogoda będzie ładna. Temperatura do trzydziestu stopni.

* W oryginale: Ponarthenbier piwo z browaru w królewieckiej dzielnicy Ponarty cieszące się dużym rozgłosem. Stąd szczególna reklama poczęstunku ze strony Nowakowskiego. (Przyp. tłum.).

— Zgadza się — powiedział Bachus. — To samo już wcześniej zapowiedziało radio.

— Poza tym — stwierdził obojętnie mistrz rzeźnicki Matzeck — mamy właśnie okres pięknej pogody. Trwa już dzień, a utrzyma się co najmniej jeszcze przez trzy tygodnie. Tak jest rok w rok. To wynika z naszego położenia.

Zaszczekały dwa psy, jak gdyby chciały wyrazić swoją zgodę; były to dziwne zwierzaki rasy nieokreślonej, czymś między bernardynem a szpicem. Ale jedynie obszczekały gorzelnego Schwesiga stojącego z zegarkiem w dłoni u wejścia do gospody.

— Wejdźcie — powiedział tonem, w którym zawierał się rozkaz. — Już pora.

— Czy piwo już się chłodzi? — zapytał Frycio Grzesz zaproszony również, i to na wyraźne życzenie Leberechta.

Nie uzyskał odpowiedzi i wyglądało zresztą na to, że żadnej odpowiedzi nie oczekuje. Przeciskał się wśród miejscowych możliwych usiłując dotrzeć przed nimi do pokoju narad. Rozsiadł się w bezpośrednim sąsiedztwie drzwi, ale nie przez skromność tylko raczej ze względów taktycznych. Tędy wnoszono piwo.

Małe pomieszczenie zapełniło się szybko. Przybyli zajęli swoje miejsca. Dokonało się to bez tarć, zgodnie z dawno wprowadzonymi zasadami. Kanapa stojąca za krótszym bokiem stołu pozostała pusta; tu oczywiście zasiądzie samotnie Leberecht. Na lewo od niego było, ma się rozumieć, miejsce przybocznego Schwesiga. Po prawicy zasiadał zwykle pastor Bachus, ale dziś z całą świadomością na miejscu tym usiadł karczmarz Nowakowski, przyszedł Ortsgruppenleiter. Bachus był oburzony, starał się jednak nie okazywać irytacji opierając taką postawę na chrześcijańskiej wyrozumiałości, która wynika z miłości bliźniego.

Schwesig rozejrzał się badawczo po obecnych. Raczej dla formalności wyciągnął z kieszeni listę i odczytał ją. Nie brakowało nikogo. Schwesig nie oczekiwał zresztą niczego innego. Nowy szyk miejsc wprowadzony samodzielnie przez Nowakow-

skiego zaakceptował milcząco, choć musiał przyznać, że jest tym zaskoczony. Nowakowskiego uważał do tej pory za bystrego w interesach, ale jednocześnie za bezwolnego w istocie bęcwała; trudno było więc przypuszczać, że to on sam z siebie obalił dotychczasowy ład. Należało raczej przyjąć, że zrobił to zgodnie z wskazaniem Leberechta.

— Mój drogi Nowakowski — rzucił Schwesig w pełną oczekiwania ciszę — czy nie powinien się pan zatroszczyć o piwo?

— Daj Boże! — zawołał Frycio Grzesz.

— Zadbaj się i o to — powiedział Nowakowski. — Zaan-gażowałem pomoc.

— Na dziś? — zapytał zaciekawiony Schwesig.

— Na dłużej — powiedział Nowakowski. — Kiedy obejmę ten mój nowy urząd, będę musiał poświęcać mu sporo czasu.

Schwesig milczał zamyślony. Zdawało się, że jeży mu się wąs. Pytał sam siebie, czy jest to zgodne z zamysłem kierującego wszystkim Leberechta. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby plan był taki, iż Nowakowski popłynie ku polityce pod pełnymi żaglami. Potrzebny był przecież człowiek, który by nosił tytuł ortsruppenleiters, ale przecież nikt taki, który by sprawował ów urząd całkiem serio.

Zanim jednak przyboczny Schwesig zdołał przemyśleć dokładniej ów, jak mu się zdawało, całkiem niespodziewanie wy-laniający się problem, zameldowano o przybyciu Leberechta. Ruszył więc ku drzwiom, by powitać majątkarza. Miejscowi notable podnieśli się ze swoich miejsc.

Schwesig, były sierżant, a obecny przyboczny tutejszego do-wódcy (jak go zwykł w skrytości tytułować), złożył meldunek.

Leberecht przepchnął przez drzwi swoją tęgą postać. Przyjął meldunek z uśmiechem jak pogodny żart i z miejsca roztoczył atmosferę miarkowanego koleżeństwa.

— Następnym razem — powiedział przyjaźnie do Schwesi-ga — będzie pan, jak przypuszczam, meldunek składał wraz z niemieckim pozdrowieniem.

Wszyscy zaśmiali się serdecznie. Wesoła zabawa, która od-tąd miała rozgrywać się w Maulach i to mieszcząca się cał-

kowicie w dziarskim stylu wioski, zdawała się cieszyć każdego. Wzmógł się radosny nastrój.

Leberecht uściśnął dłonie, które wyciągnęły się do niego, a potem usiadł na kanapie. Ciężko dyszał. Obecni przysunęli krzesła i również się rozsiedli. Uśmiechali się wyczekująco.

— Myślę, że wpieryw wypijemy po jednym — rzucił Leberecht w pełną wyczekiwania ciszę.

— Daj Boże! — powiedział uroczyście Frycio Grzesz.

Nowakowski nacisnął guzik dzwonka umieszczonego za jego miejscem. Obecnych zdziwiła ta innowacja. Również Leberecht był zaskoczony.

— Staje się pan coraz bardziej wytworny, Nowakowski.

— To powiew nowego świata — powiedział ów śmiejąc się rezolutnie.

Znowu rozległ się śmiech, który nie udzielił się tylko Schwesigowi usiłującemu rzucać w stronę Leberechta wymowne spojrzenia. Tamten jednak pochylił się do Nowakowskiego i powiedział: — Zajął pan też nowe miejsce. — Potem zwrócił się do Schwesiga. — Dobrze, mój drogi, że i pan o tym pomyślał. Teraz jednak najpierw się pokrzepmy.

Wypili. Wpierw podwójną żytniówkę, potem piwo. Smakowało wybornie.

— To ponarteńskie piwo — rzucił Nowakowski w pełną zadowolenia ciszę. — Najlepsze piwo spośród wytwarzanych w Prusach Wschodnich.

— Widzę i to — powiedział mile nastrojony Leberecht — że pozwolił pan sobie na pewien wydatek.

— Opłaci mi się — zapewnił Nowakowski.

Ale już, na znak Leberechta, głos zabrał Schwesig.

— Sytuacja jest raczej jasna — zaczął referować. — Poinformowano kreisleitung, że dzisiaj w Maulach zakładamy miejscową grupę. Kreisleiter chciał właśnie przyjechać osobiście albo też przysłać przedstawiciela, ale z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności miał zanotowany inny niż my termin.

Obecni uśmiechnęli się słysząc o tym „nieszczęśliwym zbiegu okoliczności”. Jeden zakrztusił się nawet ze szczerej radości.

Tylko Neuberich patrzył zasmucony na kufel, który zniemacka opróżnił mu Frycio.

— Pan Leberecht — referował w dalszym ciągu Schwesig — jeszcze dziś przed południem rozmawiał telefonicznie z samym kreisleiterem i pytał, czy przyjedzie on na to założycielskie zebranie. Kreisleiter myślał jednak, że zebranie odbędzie się dopiero jutro. Jest jednak dzisiaj, a dzisiaj kreisleiter nie może. Szkoda.

Uśmiechy obecnych jeszcze bardziej się wzmogły.

— Wypijmy za naszego szanownego kreisleitera — zaproponował spragniony jak zwykle Frycio Grzesz.

Propozycję przyjęto. Została przyniesiona nowa kolejka. Świeżo zaangażowana pomoc Nowakowskiego z łatwością taśkała pełną tacę.

— Przejdźmy teraz do założenia miejscowej grupy — zaproponował Leberecht.

— W ten oto sposób została powołana — powiedział Schwesig.

— No to na zdrowie! — zawołał Frycio Grzesz.

— Z kolei proszę przejść do szczegółów — wezwał swojego przybocznego Schwesiga Leberecht. Otworzył wypełnione cygarami etui i puścił je w obieg. Obecni obsłużyli się wy czekując przy tym milcząc. Rozbłyśły zapalniczki wyciągnięte ku Leberechtowi. Przyjął ogień od Nowakowskiego i zapalił cygaro.

— Na co pan czeka, Schwesig?

— A więc — powiedział ów - przede wszystkim musimy mieć ortsruppenleiterra. Czekam na propozycję.

— Jeśli o mnie idzie — rzekł mistrz, rzeźnicki Matzeck z nie ukrywaną dezaprobatą - nie trzeba żadnej miejscowej grupy ani żadnego ortsruppenleiterra!

— Niestety, nie jest tak, jak ty chcesz — zauważył Schwesig. — Proszę więc o propozycję.

Nowakowski zaniepokoił się.

— Ciągłe słyszę o propozycjach! Myślę, że jest jasne, kto tu będzie ortsruppenleiterra.

- Takie to jasne? — zapytał ostrożnie Schwesig usiłując wyłapać spojrzenie Leberechta.

— Czy to nie jasne, panie Leberecht? — zapytał zakłopotany Nowakowski.

— Pan jest ortsruppenleiterem — powiedział obojętnie Leberecht. — Gratuluję panu.

— Uprzejmie dziękuję.

— A może ktoś jest innego zdania?

— Ależ nie — zawołali chórem obecni. Nawet Neuberich, który zauważył krótkie spojrzenie Leberechta, zgodę wyraził głośno, trzymając mocno swoje piwo, by mu w zapale potakania znów go podstępnie nie wypito.

Nowakowski skłonił się dumnie przed Leberechtem, a potem przed resztą obecnych.

— To dla mnie zaszczyt — powiedział. — Poradzimy sobie z tym kramem.

Leberecht uniósł dłoń i skinął w jego stronę.

— Proszę więc, panie ortsruppenleiterze przejąć kierownictwo wyborów najbliższych pańskich współpracowników. Schwesig, niech pan mu da stosowny wykaz osób.

Schwesig niechętnie przesunął listę po stole. Z wyborem się nie zgadzał i nie wahał się uzewnętrznić tego w pewnym stopniu. Miał zastrzeżenia, ale pytał sam siebie, czy byłoby mądre otwarte ich przedstawienie.

— Drodzy parteigenossen — oświadczył z godnością Nowakowski — dziękuję za zaufanie i oczekuję wiernego podporządkowania się.

— To strasznie dużo na raz — powiedział niechętnie Matzeck. — Parteigenossen! Wierne podporządkowanie! Wszystko za jednym zamachem! Ja muszę z wolna przyzwyczajać się do takiego gadania.

— Przejdźmy jednak do wyborów — rzekł Nowakowski z powściąganą, ale nie dającą się ukryć ostrością tonu, która skłoniła zaskoczonego Leberechta do podniesienia nań wzroku. Nowakowski natychmiast zauważył tę reakcję, gdyż bez

przerwy obserwował Leberechta, żeby odgadnąć jego życzenia i stosować się do nich.

— Tym samym będziemy mieli cały ten bałagan za sobą — dorzucił i krzywo się uśmiechnął.

— No to zaczynajmy — zawołali obecni.

— Przede wszystkim — oświadczył Nowakowski — potrzebny nam człowiek, który obejmie tutejsze SA albo je zorganizuje.

— Zwracam uwagę — powiedział Leberecht mrugając — że idzie tu o funkcję, która ma prawie militarny charakter. Właściwym człowiekiem na tym stanowisku byłby żołnierz.

Rolnik Grabowski, sąsiad Elfriedy Materny, podniósł się ociężale i powiedział: — Jestem gotów. Byłem kapralem.

Nowakowski zaczął się rozglądać szukając pomocy. Schwesig milczał uparcie. Bachus zastanawiał się, czy ma pokiwać głową.

— To byłoby wspaniale powiedział powściągliwie Leberecht — ale akurat dla pana, drogi Grabowski, przewidziałem inną, nie mniej ważną funkcję.

— Jaką? — zapytał tamten.

— Pan będzie Ortsbauernführerem. Jest pan do tego stworzony.

— Będzie mi podlegać gospodarka rolna?

— Mniej więcej.

— No to pięknie — powiedział zdecydowanie Grabowski.

— Jestem więc Ortsbauernführerem.

— Kto obejmie SA?

— Oczywiście Schwesig. Był sierżantem.

— Oczywiście — powiedzieli zgodnie obecni i z radością zauważyli, że zadowolilo to Leberechta.

Tym razem Nowakowski powstrzymał się od wszelkiego komentarza.

— Po tym, kiedy już zyskaliśmy jasność, przejdźmy do następnej funkcji, którą też trzeba obsadzić. Potrzebujemy kierownika szkolenia i propagandy.

Neuberich wyprostował się pełen oczekiwania. Wodniste jego oczy zajaśniały niemal metalicznym blaskiem. Rozglądał się zdecydowanym spojrzeniem.

— Czy pod pewnymi względami nie jest to funkcja, o którą, choćby w aspekcie doradczym, ja właśnie powinienem się zająć? — zapytał z poządliwą uprzejmością pastor Bachus.

Neuberich przestraszył się. Nowakowski zapragnął rozstrzygnięcia ze strony Leberechta. Ten zaś powiedział spokojnie:

— Nie sądzę, drogi panie Bachus, by tego rodzaju działalność dała się pogodzić z pańskimi pozostałymi zajęciami.

— Czemu nie? — zapytał Bachus z niezmienną uprzejmością. — Chcę tylko w końcu potrudzić się trochę o to, by funkcja ta nie była nadużywana. Wydaje mi się, że i to należy do moich obowiązków duszpasterza. Jedność autorytetu świeckiego i przykazań kościoła, nieustannie proklamowana przez pana Leberechta jak i przeze mnie...

— Z kościołem, na ile jestem poinformowany, partia nie paktuje w jakiś szczególny sposób — powiedział z przekonaniem Nowakowski. — Istnieją określone rozbieżności.

— W końcu i ja jestem parteigenosse — rzekł spokojnie Bachus.

— Ale i jest pan pastorem! — wtrącił się Neuberich.

— A pan jest organistą!

Neuberich zaczął zdecydowanie odcinać się od tego zarzutu.

— Muzykuję w kościele, bo nikt inny tego nie potrafi. Jeśli jednak stanowisko kościoła przestanie mi odpowiadać, mogę zaniechać tego w każdej chwili. Pan jest tam jednak zatrudniony.

Leberecht zaśmiał się.

— Oto urodzony kierownik propagandy! Czy i wy tak nie sądzicie, moi panowie?

Panowie byli tego samego zdania. Nowakowski uznał więc i ten wybór. Neuberich uśmiechał się blado.

— O tym, co dotyczy pana, panie pastorze — powiedział Leberecht zwracając się do Bachusa — chciałbym rychło pomóc w cztery oczy. Czy słyszał już pan o „Niemieckich Chrześ

cijanach"? To coś dla pana. Może pan zostać nawet biskupem krajowym, jeśli zacznie pan mądrze. Radcą kościelnym Rzeszy. Bachus aprobująco pokiwał głową. Ze względu na sprawy, o które tu szło, gotów był dyskutować i na takie tematy. Powtarzał sobie, że każdy człowiek powinien ponosić ofiary, dla duszpasterza zaś to właśnie stanowi treść życia. W Maulach i przy tym można było od czasu do czasu znaleźć jakąś przyjemność.

— Proszę o głos — zawołał kupiec kolonialny. Szaroblada jego twarz wyglądała na nieco zarumienioną i jakby pokrytą dodatkowymi setkami zmarszczek. — Zwracam uwagę — mówił ostrzegawczym tonem - - że nowe funkcje naruszają to, co zawsze i jakże słusznie uznawaliśmy tu za wielką wartość. Naruszają mianowicie równowagę w naszej wsi.

— Gdzie tu pan dostrzega jakieś przemieszczenie sił? — zapytał zaciekawiony Leberecht.

— W tym na przykład, że we wsi jest dwóch kupców, Nowakowski i ja. Do tej pory honorowani byliśmy jednakowo. Teraz on został ortsguppenleiterem. A kim jestem ja?

— Skarbnikiem — odparł Leberecht. - Panu powierzy się partyjną kasę. Przez pańskie ręce będą przechodzić wszystkie pieniądze.

— Tak jest dobrze — powiedział zachwycony Wengler.

— Tak jest nawet bardzo dobrze. Muszę stwierdzić, że dopiero to stawia całą sprawę na nogi.

— Mam nadzieję, że w końcu załatwiliśmy cały ten kram — powiedział mistrz rzeźnicki Matzeck. Mam straszne pragnienie. Powinniśmy pociągnąć po tęgim łyku.

— Niech głos ten dotrze do bożego ucha! — zawołał Frycio Grzesz.

— A pan, panie Matzeck, nie pragnie żadnej funkcji?

— spytał zaciekawiony Leberecht.

* Niemieccy Chryścijanie (Deutsche Christen), nurt w Kościele Ewangelickim, który zmierza do pełnego zespolenia chrześcijaństwa z narodowym socjalizmem.

— Na funkcje to ja fajdam — powiedział ów odważnie.
— Zadowolony jestem z tego, że z całym tym towarzystwem mam możliwie najmniej wspólnego. Wystarczy, że jestem parteigenosse. To i tak dla mnie szczyt doznań.

Nowakowski ostrzegawczo zastukał w stół.

— Bardzo pana proszę, parteigenosse Matzeck.

— I ty, i twoja partia — rzekł tamten beztrósco — możecie mnie pocałować w dupę.

Leberecht aż zatrząsł się od śmiechu.

— Przepraszam pana, panie Leberecht — powiedział uniżenie Nowakowski — ale nie potrafię znaleźć w tym nic śmiesznego.

Leberecht natychmiast spoważniał.

— Dlaczego nie? — zapytał z groźnym spokojem.

Nowakowski zmieszał się. Usiłował wywołać wrażenie, że nie został zrozumiany.

— Proszę zważyć, panie Leberecht — powiedział — że nie jest to dobre, jeśli ktoś się wyobcowuje. Wszyscy przecież ciągniemy ten sam wózek. Ortsgruppenleiterem jestem w końcu dlatego, że wszyscy byli za tym i ktoś przecież musi się poświęcić. Oczywiście jednak tak jak współdziałałam ja, dlatego że poproszono mnie o to, nawet pan poprosił, co dla mnie znaczy niemal tyle co rozkaz, powinni współdziałać wszyscy. Matzeck też.

— Nie można powiedzieć, że pan nie ma racji — odezwał się Leberecht i zamyślony popatrzył na Nowakowskiego.

— Jednak jestem przekonany, że pan się myli sądząc, iż nasz Matzeck chce się wyłączyć.

— Oczywiście, że nie chcę się wyłączyć — powiedział mistrz rzeźnicki. Ja się tylko cieszę, że dla mnie już nie ma stanowiska. Dość mam roboty ze swoimi wołami.

— A jednak jest jeszcze jedno stanowisko — powiedział Leberecht. — Nawet bardzo ważne. Będzie pan zastępcą Ortsgruppenleitiera.

— Gratulacje! — zawołali obecni. — To dobry wybór. Z tej okazji trzeba wypić.

A kim ja będę? — zapytał płacząco bełkotliwym głosem Frcio Grzesz. — Dla mnie nie ma już funkcji?

- Ty zorganizujesz arbeitsfront — rzekł Leberecht. — Zanim to jednak zrobisz, pokłusuj do bufetu. Pora na potrójną kolejkę.

Pociąg osobowy do Olsztyna odjechał ze stacji Marcinowy Bór o szóstej czterdzieści dwie i osiągnął dworzec docelowy o siódmej trzydzieści osiem. Ktokolwiek z Mauli chciał z niego korzystać, zwykł wstawać około czwartej, a więc na godzinę przed codzienną porą.

Leberecht, który chciał przedstawić kreisleiterowi nowo mianowanego ortsruppenleitara Nowakowskiego, został obudzony przez stangreta. Włożył spodnie, wszedł na piętro i zbudził swojego syna, Alfreda. Obaj zjedli bez słów sute śniadanie.

— Czemu chcesz mi właściwie towarzyszyć w drodze do Olsztyna? — zapytał ojciec. — Chyba nie po to, żeby być blisko mnie?

— Mam tam do załatwienia to i owo - powiedział syn.

— Ponieważ zakładam, że zapłacisz za moją podróż i pobyt, jestem gotów nosić ci teczkę.

— Syna uważałem właściwie za kogoś więcej niżli za tragarza teczki — rzekł Leberecht

— Spodziewam się —• mówił Alfred że nie zapytasz, jak ja wyobrażałem sobie ojca.

O piątej czterdzieści pięć podjechał bryczką stangret. Kiedy wsiadł Leberecht, zatrzeszczały resory. Rozparł się na tylnym siedzeniu i rzekł: - Znowu nie nasmarowałeś jej dobrze, Gottfrydzie.

— Bryczka potrzebuje nowych resorów — powiedział ów.

— Ważysz za dużo, Leberecht.

— A ty za dużo gadasz, Gottfrydzie. Usiądź z przodu, Al-

fredzie, żeby zaoszczędzony ci został mój widok. Jazda! Koło Nowakowskiego zatrzymać się. Jedzie z nami.

Nowakowski już czekał na drodze. Kiedy bryczka zatrzymała się przed nim, wyprężył rękę i zawołał: — Heil Hitler!

— Dzień dobry — odparł Leberecht.

Kiedy zjeżdżali szosą do Marcinowego Boru zaczął wstawać dzień. Niebo było szaroniebieskie, napięte jak wielki żagiel łagodnie chwytający wiatr, który nań napiera. Na jeziorze Policzek kłębiła się poranna mgła.

Koła bryczki toczyły się z monotonną regularnością. Pasażerowie nie rozmawiali, gdyż Leberecht nie dał po sobie poznać, czy odpowiada mu ranna pogwarka. Z lodenowego płaszcza wyłowił butelkę, otworzył sprężynowe zamknięcie i pociągnął tęgi łyk.

— Kminkówka — powiedział i z uznaniem pokiwał głową. Potem wręczył butelkę Nowakowskiemu, który siedział na przeciwko. Ten wypił i podobnie pokiwał głową.

— Dobry gatunek — rzekł. — Coś dla dostojników.

— Chcesz też się napić, Gottfrydzie? — zapytał Leberecht stangreta.

— Nie powinienes pytać tak głupio — odparł stangret. — Podaj mi tu tę butelkę, chłopaczku.

Stary Gottfryd, który Leberechta znał już jako małego chłopca i dla którego świat od pół wieku miał to samo oblicze, popuścił cugli i przyłożył do ust butelkę.

— Nie wytrąb mi wszystkiego — powiedział ostrzegawczo Leberecht.

— Nie bądź taki chciwy, chłopaczku. Na grubość kciuka wypiję za siebie, na grubość kciuka za twoje dziecię. Alfred nie znosi jeszcze alkoholu, co widać po nim na sto metrów. Dziwi mnie, że jeszcze nie nosi krótkich spodenek.

Bryczkę wyprzedziło dwoje rowerzystów. Był to żandarm

i jego córka Ewa. Thiele w pozdrowieniu przyłożył dłoń do czapki, Ewa popatrzyła na Alfreda.

— Dzień dobry, dzień dobry — zawołał Leberecht. — Również do Olsztyna?

— Do Olsztyna, służbowo — powiedział żandarm. — Tak jest.

Żandarm z córką przybyli pierwsi na stację w Marcinowym Borze. Thiele wykupił bilety i zdeponował rowery, a następnie udał się z Ewą na peron.

— Jeśli majątkarz będzie się z nami witał, co jest możliwe — powiedział żandarm córce — zachowaj się powściągliwie, ale uprzejmie.

— Oczywiście, ojcze.

— Znasz syna Leberechta? Wydaje mi się, że ma na imię Alfred. Znasz go?

— Przelotnie, ojcze.

— Dobrze. Trzymaj się z daleka. Uprzejmie, ale z rezerwą. Żadnych dłuższych rozmów. Zawsze to lepiej, kiedy dziewczyny milczą i słuchają.

— Tak, ojcze.

W stronę dworca szedł wolno jakiś człowiek. Kiedy Thiele rozpoznał doktora Gensfleischa, sprężył się w sobie, lecz uprzejmość nakazała mu powitalne przyłożenie dłoni do daszka czapki.

— Dzień dobry, panie Thiele — powiedział Gensfleisch.

— Też do Olsztyna? Zapewne z innej okazji niż ja, co? A może z tej samej?

— To moja córka, panie doktorze. Towarzyszy mi do Olsztyna po zakupy.

Gensfleisch podał jej rękę.

— Urocza — powiedział. — Nadzwyczaj urocza. Trudno uwierzyć, że to pańska córka.

Do stacji powoli podjechała bryczka Leberechta. Leberecht

wydał polecenia.

— Ty, Gottfrydzie, jesteś wolny. Przyjedziesz po mnie dziś wieczorem. Alfred, kup bilety. Trzeciej klasy. Nowakowski, proszę wziąć bagaże.

Zaskrzypiały resory bryczki, kiedy Leberecht wysiadał.

— Nie są dobrze nasmarowane — powiedział stojący w pobliżu żandarm.

— Gównu to pana obchodzi — odrzekł Gottfryd z pełnym godności przekonaniem.

P ociąg zjawił się punktualnie i jak zawsze był prawie pusty. Z okien wyglądało trzech pasażerów. W jednym przedziale rozrabiali uczniowie. Załadowano konwie z mlekiem. Lokomotywa ruszyła posapując.

Podróżni z Mauli, wraz z doktorem Gensfleischem z Marcinowego Boru, znaleźli wolny przedział. Zgromadzili się razem, gdyż przed przyjazdem pociągu Leberecht uwikłał ich we wspólną rozmowę. Wyglądali tak, jakby tworzyli wspólnotę.

Leberecht wcisnął się w kąć. Nowakowski zajął miejsce obok niego. Żandarm i doktor usiedli naprzeciwko. Ewa i Alfred zatrzymali się przy drugim oknie przedziału.

— Ten Olsztyn — mówił Leberecht — to zafajdana dziura, zresztą jak wszystko, co się nazywa miastem.

— Pod względem higieny i Maule nie są bez zarzutu — wyraził wątpliwość żandarm.

— Drogi panie Thiele — powiedział majątkarz — jeśli u nas łajno leży na drodze, stanowi część natury. Zostaje zmyte albo wchłonięte przez ziemię. Jeśli zaś pan w Olsztynie, czy w jakimkolwiek innym mieście obsika mur, śmierdzi to na całą okolicę. Kiedy pan tam, w jakimkolwiek domu, pójdzie do toalety i pociągnie za łańcuszek, szumi to tak bardzo, że zaraz całe sąsiedztwo wie, co pan właśnie zrobił. Miasta to mieszanina pudeł z klockami, uli i domów wariatów. Nie może pan tam przejść przez ulicę, kiedy tylko się panu spodoba, od

północy nie podają już alkoholu, a kiedy pan głośno zaśpiewa, zamykają pana.

— Ja nie śpiewam nigdy — rzekł żandarm. — A głośno to już w ogóle nie.

— Ja oczywiście też nie śpiewam — powiedział Leberecht. — Napawam się jednak świadomością, że w Maulach mogę robić to o każdej porze, jeśli tylko najdzie mnie taka chęt.

— Ja też jestem zawsze szczęśliwy, kiedy już Olsztyn mam z głowy — zapewnił Nowakowski. — Są tu jednak korzystne źródła zakupu. Tutaj też znajduje się centrala powiatu. Jako ortsruppenleiter będę chyba miał w przyszłości często sprawy w Olsztynie.

— Wypada mieć nadzieję, że nie za często wtrącił Leberecht. — Niech pan nie zapomina, że przynależymy do Mauli, a nie do Olsztyna.

Po wspólnym drugim śniadaniu, które, zachęceni przez Leberechta, zjedli w położonej blisko dworca gospodzie „Pod Barankiem”, wszyscy rozeszli się za swoimi sprawami. Na godzinę przed odjazdem pociągu znów mieli się tutaj spotkać.

Leberecht ruszył wraz z Nowakowskim do kierownictwa powiatowego NSDAP. Zameldowali się i przez chwilę musieli czekać na korytarzu, w tłumie innych ludzi. Potem zjawił się SA-mann i podszedł do Leberechta.

— Pan kreisleiter prosi — powiedział. --- Parteigenosse Nowakowski proszony jest o zgłoszenie się w tym czasie u kierownika organizacyjnego, w pokoju trzynastym.

Leberecht poszedł za SA-mannem, który pewnie ruszył przodem. SA-mann otworzył drzwi i zwrócił się do dziewczyny siedzącej przy maszynie do pisania:

— Parteigenosse Leberecht. — Potem wyprężył się i puścił majątkarza przed siebie.

— Pan kreisleiter czeka na pana — powiedziała dziewczyna. — Proszę wejść tymi drzwiami.

Leberecht otworzył wskazane mu drzwi. Zobaczył obszerny, niemal pusty pokój, a potem biurko, za którym siedział kreisleiter, kolega z czasów wojny i walk nad Solawą* oraz różnych nocnych eskapad burzliwej młodości.

Kreisleiter podniósł się natychmiast i ruszył mu naprzeciw.

— Robisz się coraz grubszy, Leberecht. Ciężki kaliber. Chyba pod wpływem wiejskiego powietrza.

— Ty znów jesteś coraz chudszy. Czyżby to wpływ partii?

Pokleпали się po barkach, popatrzyli sobie w oczy, wypili po jednym. Kreisleiter podniósł słuchawkę i powiedział sekretarce:

— Przez dłuższy czas nie będę z nikim rozmawiał. Mam ważną naradę.

Potem opowiadali o dawnych czasach, znowu pili, kleпали się po ramionach. Zapewniali się, że zawsze byli „szalonymi końmi”. A takich, na szczęście, jest niewielu.

— Co cię sprowadza do mnie, Leberecht? Co mogę dla ciebie zrobić? Póki co rozkwitają moje łany. Za poprzednich rządów, jak wiesz, nie doszedłem do niczego szczególnego, ale teraz przesiadłem się ze Stahlhelmu tutaj, żeby znowu przywrócić dawny ład. Mam tu już pewne wpływy. Burmistrzowie płaszczą się i nawet landrat stoi przede mną na bacność.

— Przywiozłem naszego nowego ortsruppenleitiera.

— Potem go krótko obwącham. Teraz obrabia go mój kierownik organizacyjny i już mu on wywierci dziurę w brzuchu. Niezgorsza piła z tego chłopca! Według niego cały olsztyński powiat powinien ganiać w partyjnych mundurach, stać słupka i na każdym kroku krzyczyć „Heil”. Nie jest jednakowoż tak, jak on chce.

— Jest tak jak ty chcesz?

* Solawa—Saale, dopływ Łaby. Walki nad Solawą, to fragment starć zbrojnych w obronie rewolucji w kwietniu 1919 roku albo walki w obronie republiki zagrożonej tzw. puczem Kappa, w marcu 1920 roku. (Przyp. tłum.).

— Na razie tak jest. Dopóki będę miał wolną rękę, dam sobie łatwo radę z tymi partyjnymi hienami. Cały ten narodowy socjalizm, drogi Leberecht, nie wydaje mi się w gruncie rzeczy kiepski. Nie jest to coś dla junkrów, raczej coś pożytecznego dla starych żołnierzy, a i dla robotników też tam zbywa wiele różności. To właśnie socjalizm. I rozumie się nacjonalizm. Niemcy pisane z wielkiej litery, do tego tradycja, krew i ziemia, i tak dalej. To mniej więcej, czego i ty chcesz.

— Chcę mieć spokój, kreisleiterze.

— Masz go, Leberecht. Jeśli o mnie idzie, masz go nieustannie. Zatwierdzam twójego Nowakowskiego jako ortsruppenleiters i jako kreisleiter dam wam moje błogosławieństwo. Co miesiąc rozliczymy się, a od czasu do czasu, kiedy będę musiał urządzić tu jakiś rejwach, wystawisz paru ludzi. Poza tym możesz tam robić co zechcesz. Najważniejsze jest zawsze to, żeby powiewała flaga i zgadzała się kasa. W tej sytuacji trzeba krótko trzymać megalomanów, a reszta ułoży się sama.

Alfred opuścił ulicę Dworcową, przeszedł obok kina „Gloria” i wszedł na Kościelną. Za nią była Słoneczna. Wszedł do domu pod numerem siedemnastym, wdrapał się na trzecie piętro i zadzwonił.

Otworzyła kobieta wyglądająca na wdowę po urzędniku średniej kategorii, którego przeżyła o wiele lat.

— Proszę, czego pan sobie życzy?

— Ja do panny Margot.

— Do niej? Ona jeszcze śpi. Zawsze jeszcze śpi o tej porze. Proszę jednak wejść. Mogę zapytać, czy znów przyjmuje wizyty-

— To niepotrzebne — oświadczył Alfred. — Sam ją zaraz zapytam. — Przeszedł obok wdowy po urzędniku i skierował się do ostatnich drzwi w przedpokoju.

- Ach tak — powiedziała kobieta. — Orientuje się pan

tutaj! Jest pan z tego gatunku; mógł pan to od razu powiedzieć.

Alfred zastukał spiesźnie, a potem wszedł. Przez grube zasłony przenikało stłumione światło. Pomieszczenie wypełniała woń potu i perfum. Na otomanie poruszyła się kobieta.

— Kto to? — zapytał znużony głos.

Alfred targnął zasłonę na bok. Do wnętrza wlało się jasne światło. Otworzył szeroko okno.

Margot podniosła się zaspana.

— Ach, to ty? — powiedziała. — Przyniosłeś pieniądze?

— Nie dostałaś pięciuset marek, które posłałem ci w ubiegłym tygodniu?

— Potrzebuję tysiąca marek — odrzekła Margot.

— Spróbuję zdobyć te pieniądze.

— To ładnie. Ale się pośpiesz. Potrzebuję ich pilnie. — Margot przeciągnęła się, on zaś popatrzył na jej pełny biust i zdawało mu się, że poczuł nocne ciepło jej ciała.

— Czemu otworzyłeś okno, Alfredzie? Chodź, zaciągnij zasłony. A potem połóż się na chwilę koło mnie, dobrze?

— Gdzie jest dziecko? — zapytał Alfred.

— Pod opieką mojej siostry. A gdzie miałyby być? Chodź, bądź miły.

— Nie — powiedział gwałtownie Alfred. — Nigdy.

JV apitan żandarmerii Riedesel, szef wszystkich w olsztyńskim powiecie stacjonujących żandarmów, w liczbie trzydziestu ośmiu, wśród nich czterech zmotoryzowanych, dwunastu konnych, a wreszcie pieszych, przyjął raport żandarma Thiele.

Swoje rzeczowe sprawozdanie wachmistrz żandarmerii Thiele zakończył następującymi słowami:

— Tym samym moje dochodzenia i porównania z działalnością poprzedników w Maulach wykazały tylko istnienie

minację. Akceptacja władz okręgu wpłynie w ciągu paru dni. To tylko formalność. A więc dobrej współpracy, ortsguppenlei terze.

— Heil Hitler, panie kreisleiterze!

Doktor Gensfleisch siedział w gabinecie lekarza powiatowego i mówił o swoich doświadczeniach w dziedzinie zwalczania miejscowego ogniska pryszczycy.

— Musiałem interweniować — zapewnił. — Powiatowy lekarz weterynarii był nazbyt przeciążony. W takich przypadkach muszę zajmować się wszystkim co chore, obojętnie, czy jest to człowiek czy też zwierzę.

— Oczywiście, panie kolego — powiedział lekarz powiatowy. — Nikt też nie postawi panu żadnego zarzutu. Przeciwnie. Oczywiście, w pierwszej linii obchodzi nas człowiek, ale obowiązkiem naszym, jako członków społeczności, jest pomaganie wszędzie tam, gdzie nas potrzebują.

— Może się przy tym zdarzyć, że czasem się mylimy — powiedział ostrożnie Gensfleisch.

— To zrozumiałe — stwierdził wspaniałomyślnie lekarz powiatowy. — Nawet najlepszy lekarz może się pomylić.

— Również przy oględzinach zwłok?

— Wtenczas szczególnie, gdyż brakuje reakcji organizmu umożliwiających wnikliwą diagnozę. Czy jednak mówi pan o ogólnikach, czy też ma pan na myśli przypadek konkretny?

— Nie wiem na pewno — powiedział Gensfleisch badając teren — jak miałbym to określić. Załóżmy, że wystawiłem świadectwo zgonu dla nieboszczyka, po tym, kiedy w wiarygodny sposób zapewniono mnie, że zmarły nagle upadł. Udar serca. Moje badanie potwierdziło to, ale zmarły miał rany na głowie. Miał on upaść tak nieszczęśliwie, mówiono mi. Dalszych badań nie przeprowadzałem, gdyż uznałem je za zbędne.

— Jest pan członkiem Narodowosocjalistycznego Związku

Lekarzy czy też NSDAP? — zapytał z żywym zainteresowaniem lekarz powiatowy.

— Nie jestem — powiedział zaskoczony Gensfleisch.

— No to radzę panu, drogi panie kolego, żeby szybko to nadrobić. Mamy wielkie plany. Na przyszłość nie chcemy ograniczać się tylko do leczenia, ale przede wszystkim będziemy zapobiegać. I to w dużym stylu. Lekarz stanie się nie tylko pomocny choremu, ale będzie przyjacielem zdrowego! Formularze wniosków niech pan weźmie od mojej starszej pielęgniarki.

— Oczywiście, panie kolego. A tamta przykra historia...

— Kiedy ten człowiek zmarł?

— Przed trzema kwartałami.

— Czy wpłynął wniosek o ekshumację?

— Nie wpłynął, o ile wiem.

— Po trzech kwartałach, drogi panie kolego, trudno będzie ustalić dokładną przyczynę zgonu. Chyba że rany na głowie są tak duże, że jednoznacznie wskażą, iż były wyłączną przyczyną śmierci ekshumowanego. Czy tak jest w tym przypadku?

— O ile wiem, tak nie jest — powiedział cokolwiek bezradnie Gensfleisch. — Powinien pan wiedzieć, że idzie tu o osobnika fatalnego, o zabijakę, pijaka i kurwiarza...

— O asocjalny element? — powiedział uradowany lekarz powiatowy. — Ależ drogi panie kolego, czemu my w ogóle rozmawiamy o tym! Niechaj się pan poinformuje co do celów Narodowosocjalistycznego Związku Lekarzy. Niech pan poczyta w odnośnych pismach, które chętnie panu udostępnię, co też mówi się o zachowaniu gatunku, o własnej rasie, o traktowaniu rasowo obcych i rasowo małowartościowych osobników.

Gensfleisch podniósł się oszołomiony.

— Dziękuję panu — powiedział. — Była to uprzejmość z pana strony, że poinformował mnie pan o tym. Zaraz też wezmę od starszej pielęgniarki formularze podań.

— Niech pan to zrobi, panie kolego. Niech pan wstąpi do szeregu. Zobacz pan, że kiedy ma się wj tyczony cel, wszystko staje się łatwiejsze.

Wtedy wczesnym popołudniem Alfred spacerował po olsztyńskiej ulicy Dworcowej i zastanawiał się, do którego też pójść kina, spotkał Ewę Thiele. Szła z naprzeciwka i uśmiechała się. Chciał ją ominąć, ale szła prosto na niego.

— Załatwiłam swoje sprawunki. Paczki zaniósłairi już na dworzec. A co pan tu robi? Też pan wszystko załatwił?

— Już dawno — powiedział wymijająco Alfred.

— Co chce pan robić teraz?

— Nie wiem. Może pójdę do kina.

— Weźmie mnie pan ze sobą?

Alfred skinął obojętnie.

— Jeśli pani za siebie zapłaci, to czemu nie.

— Ile to może kosztować? —zapytała.

— Zależy — powiedział Alfred. — Zależy od kina i kategorii miejsca. Markę dwadzieścia albo markę pięćdziesiąt. Nie więcej.

— Fajnie — powiedziała. — Mam jeszcze trzy marki. Może wypijemy wpierv filiżankę kawy? Zapłacę za nas oboje.

— Nie pozwolę fundować sobie — odparł Alfred. — A już zwłaszcza nie pozwolę dziewczynie.

Poszli do kawiarni zamkowej. Ewa chciała usiąść na tarasie, żeby się porozglądać, ale Alfred był temu przeciwny, bo nie chciał, żeby go zobaczono. Kawiarnia nie była zbyt przepełniona. Skrzypce, którym towarzyszył fortepian, pojękiwały tęsknie nad małymi, nie okrytymi serwetami marmurowymi stolikami.

Alfred zamówił dwie filiżanki kawy, truskawkowy tort i bitą śmietanę.

— Nie mogę tyle zapłacić — powiedziała lękliwie Ewa.

Alfred machnął ręką.

— Niech się tym pani nie martwi. Nie jestem drobiazgowy. To są koszty, które pokryje mój stary, kiedy mu powiem, że byłem z panią w kawiarni.

— Powie mu pan to?

— Jeszcze tego nie wiem. Nie powinna być pani taka ciekawa. Proszę raczej jeść.

Kiedy jedli, podeszła do ich stolika dziewczyna imieniem Margot. Stała z groźną miną i zrazu nie powiedziała ani słowa. Alfred wyczuł jej perfumy i odwrócił się do niej.

— Co tu robisz, Margot?

— Ciebie chciałam o to zapytać. Teraz widzę przynajmniej, gdzie podziewają się twoje pieniądze. Interesujące. Wezmę to pod uwagę. Czy ta mała to twoja nowa narzeczona?

— Nie — zaprzeczyła ze złością Ewa.

— Może masz ochotę nią zostać? Mam jednak nadzieję, Alfredzie, że nie zapomnisz, iż ja też jeszcze istnieję.

W powrotnej drodze byli zmęczeni. Dworzec olsztyński pociąg opuścił o dwudziestej pierwszej trzy. O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dziewięć mieli być w Marcinowym Borze. Zjedli obfitą kolację, a potem, tak jak rano, zajęli wspólnie przedział.

Ewa i Alfred znowu usadowili się pod oknem. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Patrzyli przez szybę na zapadającą noc. Im ciemniej było na dworze, tym smutniejsze, z różnych powodów, stawało się każde z nich.

Gensfleisch rozmyślał o śmierci oraz istnieniu i nie doszedł do wniosku, który mógłby go zadowolić choć w części. Cały świat jest chory, ciężko chory, powiedział sobie. Również i ja nie stanowią wyjątku. A może widzę to tak właśnie dlatego, że jestem lekarzem i nie przywykłem przyglądać się czemu innemu tylko chorobom?

Nowakowski siedział oparty sztywno w jednym z narożników. Na kolanach położył właśnie zakupioną teczkę. Była pełna od wypełniających ją formularzy i materiałów propagandowych. On sam był pełen planów i próbował je uszeregować zgodnie z rangą i pilnością problemów, co wcale nie było łat-

we. Jedna istniała oczywistość: wielkie sprawy mają pierwszeństwo.

Leberecht i Thiele siedzieli blisko siebie. Wychylili wspólnie „Pod Barankiem” kilka kieliszków, ale nie zobowiązująco, gdyż każdy zapłacił za siebie, a teraz od czasu do czasu pociągali po łyku z nowo napełnionej podróźnej butelki Leberechta. Żywo ze sobą rozmawiali.

— Oczywiście poznałem również panią Elfriedę Maternę — powiedział niemal szeptem żandarm, żeby nie przeszkadzać obecnym. — Zawiodła mnie do niej pewna służbowa okoliczność.

— Mogę sobie wyobrazić, jaka to była ta służbowa okoliczność.

— Zapewne myśli pan prawidłowo — powiedział żandarm dbający o zachowanie dystansu.

— Spodobała się panu? — zapytał Leberecht.

Thiele zachował się defensywnie.

— Podobać mi się nie musi — rzekł. — Mam zwyczaj dokładnie rozdzielać sprawy służbowe od prywatnych.

— Niech się pan do niej odnosi dobrze — poprosił Leberecht. — Zasługuje na to. W życiu zaznała wiele nieszczęścia. Już jako dziecko straciła rodziców. Bracia polegli na wojnie. Ledwie dorosła, przejęła gospodarstwo. Potem zjawił się skądś ten chłop, ten Materna. Musiała mu się poddać; coś takiego się zdarza. Wcale nie tak rzadko bardzo przyzwoite kobiety załamują się nagle i tracą rozsądek. W każdym razie ten łobuz robił z nią co chciał. Strach było na to patrzeć. Próbował też rozwalić wieś, a ją ciągle bił. Ten chłop to była prawdziwa świnia.

— Ale go kochała.

— Możliwe — powiedział poważnie Leberecht. — I mnie się zdaje, że z początku kochała go. Ale żyć jak zwierzę, żaden normalny człowiek nie wytrzyma przez dłuższy czas.

— Chyba i dlatego — zauważył jak gdyby mimochodem żandarm — musiał zostać usunięty.

— Sądzi pan, że jestem tym, który zabił Maternę?

Thiele powiedział cicho:

— Mógłbym w to uwierzyć, gdybym wiedział, że pan tę kobietę kocha.

— Kocham tę kobietę — zaszeptał w ciemności Leberecht, a turkot kół sprawił, że poza Thielem słowa te były niesłyszalne dla innych.

Thiele poczuł chłód nocy.

Kierownik szkoły Neuberich skrycie złościł się, i to bardzo, na wszystkich, którzy nie uznawali jego uzdolnień i zmuszali go do skrywania pełnego blasku pod korcem. Podróż właściciela spelunki Nowakowskiego do Olsztyna i to w towarzystwie Leberechta przyjął z zawiścią. Bolało go, że miejscowi mieszkańcy przedłożyli dwuznaczne rzemiosło ponad jego kulturę i zasobność serca. Wróg wszelkiej inteligencji w tej wsi nazywał się Leberecht. Zawsze tak było, ale dopiero teraz stało się jasne, jakie w istocie rozmiary miało to zjawisko.

Neuberich poczuł się wstrząśnięty tym odkryciem, lecz wcale nie upadł na duchu, tylko, póki co, zapomniał o dokładniejszym interesowaniu się małymi dziewczynkami. Kazał pisać wypracowania, jedno po drugim, sam zaś siedział na katedrze i rozmyślał oraz opracowywał zarysy wielkich planów przypisanych nowej jego funkcji. Jego to umysł miał być tym, co utoruje nowe drogi. Czuł się jeszcze dotknięty, ale zaczynało nad tym górować narastające wzniosłe uczucie. Szczyt osiągnęło w przeświadczeniu, że oto nie będzie już tylko nauczycielem szkolnych dzieci, ale, było nie było, nauczycielem ludzkości. Oczywiście tej niemieckiej albo choćby aryjskiej.

Wetknąwszy pod pachę nowiutkie skoroszyty — plany, hasła, akcje — zameldował się wpierw u Leberechta, który pierwszy raz w życiu cierpiał na silne bóle głowy i jak lew krążył po kancelarii układając sierzysty list do prezydenta rejencji, któ-

ry zarządził budowę nowych dróg w gminie Maule, i to z udziałem miejscowych środków.

— Nam i naszym koniom — stwierdził Leberecht — wystarczają nasze drogi, a jeśli nie są odpowiednie dla samochodów reprezentantów rejencji, to już nie nasza wina.

Neuberich wetknął głowę w otwarte okno kancelarii.

— Czy mogę porozmawiać, panie Leberecht?

— Nie — powiedział tamten.

— W pilnej sprawie. Mam nowe, wielkie plany dotyczące miejscowej grupy.

— To niech pan z tym pójdzie do ortsruppenleitiera. Mnie niechaj pan oszczędzi tego łajna!

Leberecht zatrzasnął okno przed Neuberichem, ów zaś nawet nie próbował ukryć, jak bardzo oburza się na takie traktowanie. Czyżby Fryderyk Wielki nie dostarczył dostatecznej liczby przykładów na to, jak należy traktować człowieka bystrogo umysłu, jeśli tylko nie jest mu obcy pruski duch?

Leberecht znowu otworzył okno.

— Jeszcze pan tutaj? Czekają na pana szkolne dzieci. Niech się pan lepiej zajmie nimi, byle nie nazbyt intensywnie, jeśli mogę prosić!

Neuberich oddalił się poza zasięg tego, jak go nazywał, „plugawego grubasa”. Ostatnią jego uwagę uznał za coś więcej niżli nietakt. Było to podłe, bezpośrednie grożenie policją, stwierdził Neuberich, ale przysiągł sobie, że nawet to nie zamknie mu ust.

Pospieszył do pastora Bachusa, który siedział w swojej ogrodowej altanie i obejmował rękami brzuch. Rozmyślał co nieco o niedzielnym kazaniu, a o wicie więcej o wysokości dzierżawy, którą powinien mu przynieść parafialny grunt. Niechętnie tylko dopuszczał, by przeszkadzano mu w tego rodzaju rozważaniach, lecz z wyraźną ochotą nastawił ku Neuberichowi ucha.

— Pominęto pana całkowicie — powiedział Neuberich z nutą współczucia w głosie.

— Mnie nie można pominąć — stwierdził z godnością pastor Bachus.

Neubericha kusiło, żeby się uśmiechnąć, ale nie zrobił tego. Powiedział:

— Nie powierzono panu żadnej funkcji.

— To by naruszyło równowagę — rzekł Bachus. — Poza tym, jako duszpasterz należę do całej gminy.

— Czy pan Leberecht ma coś przeciwko panu? — zapytał fałszywie zatroskany Neuberich.

Bachus drgnął. Potem, po krótkim namyśle pokręcił głową.

— Tego nie mogę sobie wyobrazić — powiedział.

Neuberich przytaknął.

— Ja też nie. Jednakowoż jego zachowanie się w czasie zakładania grupy miejscowej dało mi trochę do myślenia, gdyż każdy otrzymał funkcję. Każdy. Nawet ten pijak Frycio Grzesz. Tylko nie pan, panie pastarze.

Bachus trochę się zaniepokoił. Neuberich patrzył na to z radością. Domniemywał, że w ten sposób rodzi się jego sojusznik.

— Przykre, co?

Bachus dostrzegł jednak z nagłą coś, czego mógłby się trzymać i uczeplił się tego.

— Tak — powiedział z ulgą. — Nie mam funkcji. I pan Leberecht, i ja, obaj nie mamy żadnej funkcji. Stoimy w jakimś stopniu ponad całą tą sprawą, rozumie pan?

Neuberich nie rozumiał i było to po nim wyraźnie widać.

Bachusowi nagle zaświtała myśl.

— Zna pan Niemieckich Chrześcijan? — zapytał. — Nie! Widzi pan, to jest tak: jest pan Niemcem, nieprawdaż? A potem jest pan jeszcze chrześcijaninem. Dotychczas obie te sprawy nie uzupełniały się w jednoznaczny sposób. Niech pan pomyśli i o tym, że są też tak zwani chrześcijanie, którzy zależą od Rzymu! Tym, czego teraz potrzebujemy, jest kościół państwowy. Tam moje miejsce. Tam będą potrzebni mężowie z państwową świadomością. I to na kierowniczych stanowiskach. — Uśmiechnął się. Nie było oczywiste czy traktuje to poważnie. Możliwe, że sam tego jeszcze nie wiedział.

Neuberich odszedł oszołomiony. Dostrzegł, jak rozplývają się jego pragnienia. Wokół niego prężne życie, niemieckie ży-

cie. Wszyscy zabiegają o to, by mocno usadowić się w siodle. Ten Leberecht, który traktuje go jak przestępcę winnego wykroczeń przeciwko moralności, ten Leberecht oczywiście znów wysforował się na czoło. Wszędzie, gdziekolwiek by nie spojrzeć, zapobiegliwość, a więc należy zapewnić sobie teraz pozycję i utrzymać ją. Znowu najważniejsza stawała się gotowość na wszystko.

Pospieszył do Nowakowskiego, do gospody. Ale Nowakowskiego nie było w gospodzie. Wałkonila się tam tylko nowo zaangażowana siła pomocnicza. W sklepie też nie było Nowakowskiego. Obsługiwała sama pani Nowakowska, co znaczyło, że Nowakowski jest bardzo zajęty i bawi w swoim urzędowym pokoju. Nie należy mu przeszkadzać.

Neuberich wszedł do długiego korytarza oddzielającego gospodę od pomieszczeń prywatnych i skierował się ku drzwiom izby, która dotychczas nazywana była biurem, a teraz, tak jak to właśnie usłyszał, przemianowana została na pokój urzędowy. Zobaczył dużą tablicę, na której widniał napis: Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza, Grupa Miejskowa Maule. Ortsgruppenleiter. Godziny przyjęć w dni powszednie od 10 do 12.

Kierownik szkoły zapukał, a donośny głos zaprosił go do wejścia. Zobaczył Nowakowskiego rozpartego za nowo zakupionym biurkiem, a za nim, na ścianie wisiał Adolf Hitler w czterobarwnej litografii wielkości okna.

— Dobrze, że pan przyszedł — powiedział dziarsko Nowakowski i chyba zapomniał zaproponować krzesło swojemu kierownikowi szkolenia i propagandy. — Właśnie chciałem po pana posłać.

— To się dobrze składa — odrzekł Neuberich. — Akurat opracowałem kilka propozycji. Plany, hasła, akcje.

— Co pan zrobił? — zapytał zdumiony Nowakowski. — Opracował pan propozycje?

— Zdaje mi się, że doskonale.

— Jak pan na to wpadł! — Nowakowski wyglądał na ogromnie zaskoczonego. — Drogi parteigenosse Neuberich, jeśli

pierwszy lepszy kierownik propagandy z każdej miejscowej grupy zechciałby samowolnie robić to, co mu się spodoba, byłaby to menażeria, a nie wszechogarniająca partia. Mamy ludzi, którzy wyznają się na propagandzie i szkoleniu, a wśród nich nawet prawdziwych doktorów. Niech im pan pozwoli pracować. To, do czego dążymy, parteigenosse Neuberich, to zespolenie wszystkich sił na ogólnonarodowej bazie, a nie chaos wynikający z indywidualnej samowoli.

— Tak — powiedział prawdziwie skonsternowany Neuberich.

Z Nowakowskiego aż tryskała przewaga.

— Pańskie plany — rzekł władczo — może pan powiesić w sraczu. To, co pan ma robić, jest już ustalone. Na okiennym parapecie leżą paczki dla pana. Są tam druki i ulotki. Rozprowadzi je pan i to możliwie jak najszybciej. Jeśli zechce pan wziąć do pomocy szkolne dzieci, nie będę się sprzeciwiał. I niech pan nie patrzy na mnie tak śmiesznie, tak w stylu pana Leberechta. Przez trzy dni będę czekał na pańskie pisemne sprawozdanie z biegnącej właśnie akcji. Przejrzę je i przekażę do powiatu. Tak! farn są te paczki. Niech pan je weźmie. Heil Hitler!

Obładowany dwiema paczkami Neuberich opuścił urzędowy pokój ortsruppenleitiera, a potem gospodę. Szedł wiejską ulicą wśród ostrych promieni gorącego, południowego słońca. Czoło uperlił mu pot. Stopy, które podnosił z mozołem, wzbijały obłoczki kurzu. Po dwustu metrach rozboleły go dłonie zaciśnięte na propagandowych materiałach. Zaczął dyszeć.

— Został pan listonoszem? — zapytał go donośny głos. W otwartym oknie swojego służbowego pokoju stał żandarm Thiele i rozglądał się.

Ciężko obładowany Neuberich nie odpowiedział.

— Mam panu pomóc? — zapytał Thiele. Nie czekał na odpowiedź. Wyszedł z domu i ruszył w stronę kierownika szkoły. Wziął od niego paczki, ów zaś odsapnął z ulgą.

— Do diabła! — powiedział Thiele. — Ciężkie to. Transportuje pan materiały budowlane?

— Mniej więcej — odrzekł kierownik szkoły uśmiechając

się z trudem. Otarł pot z czoła. — Z ich pomocą będziemy budowali nowy świat.

— Niech pan wejdzie i odpocznie sobie trochę — zaprosił go żandarm. I tym razem zastosował sprawdzoną taktykę, bo nie zaczął na odpowiedź. Ruszył naprzód trzymając pod pachami paczki, a Neuberich podążył za nim.

Usiedli w skromnie umeblowanym służbowym pokoju, gdzie pod ścianą stał regał niewymyślnej konstrukcji. Wisiały tam wezwania policyjne oraz plakat przedstawiający umundurowanego mężczyznę. Wyglądał on jak dobroduszny filmowy aktor, który dopiero co otrzymał honorarium. Trzymał na rękach dwoje dzieci, a pod nim widniał napis: „Żandarmeria — twój przyjaciel i pomocnik”.

— Lubi pan dzieci? — zapytał ni stąd, ni zowąd Thiele.

Kierownik szkoły Neuberich skulił się i zaczął szybko się zastanawiać, czy też i ten wie o jego niegdysiejszym występku, jeśli zaś wie, to ile wie i co zamierza robić. Powiedział sobie, że byłoby dobrze zlikwidować całą tę sprawę albo choćby ją zamknąć. Ponieważ jednak wiedział, że nic na tym świecie, nawet śmierć, nie jest za darmo, zaczął planować transakcję wymienną.

— Jeśli tylko jestem dobrze poinformowany — powiedział ostrożnie Neuberich - nie jest pan przyjacielem ma jątkarza Leberechta.

Thiele zaczął słuchać uważnie.

— Nie idzie mi nigdy o jakąś osobę, ale o to, jakie ta osoba popęlnia występki.

— Ma pan na myśli sprawę Materny — rzekł jakby mimochodem Neuberich.

— Jaką sprawę?

— Przecież go zabili, a może...?

— Panie Neuberich — powiedział Thiele okazując zainteresowanie i pochylił się ku niemu. — Już raz próbowałem rozmawiać z panem na ten temat, ale wtenczas nie chciał pan mówić. Czy tymczasem zmieniło się pańskie nastawienie? Chce pan teraz pogadać ze mną o tym?

— Pod pewnymi warunkami.

— Jakie to warunki?

Neuberich zapatrzył się w przestrzeń, tak jakby mówił do siebie.

— Czy policji nie obowiązuje niepisane prawo, zgodnie z którym ten, kto pomaga sprawę wyjaśnić, sam unika kary?

Thiele ciężko westchnął, ale nawet nie zauważył, że zrobił to.

— Jest pan w to zamieszany? — zapytał.

— Ależ nie — powiedział odpierając to przypuszczenie kierownik szkoły. — Chciałbym jednak dowiedzieć się od pana, czy nie znajduje się cokolwiek przeciwko mnie.

Thiele nawet nie próbował ukryć zdziwienia, ale też Neuberich nie przyglądał się mu.

— Zapewniam pana, że nie ma zgola niczego przeciwko panu — powiedział żandarm i delikatnie sondując dodał: — co jednak mogłoby znajdować się tu przeciwko panu?

— Zostałem pomówiony — oświadczył Neuberich. — Gnębią mnie. Uknuto przeciwko mnie intrygę. Mam pozostać odsunięty, mam być zewsząd wyeliminowany.

— Co jednak ujemnego, jak pan sądzi, można by o panu rozgłaszać?

— Zarzuca mi się sprawy, które w określonych warunkach całkiem mogą mnie zniszczyć. Nie zaistniały wprawdzie, a jeśli się zdarzyły, to nie w taki sposób, jak się o tym mówi. Wcale nie trzeba prawdy, wystarczy, żeby dotarło to do wysokiego szczebla, a wówczas będę załatwiony.

— Co to za sprawy — zapytał żandarm bacznie nasłuchując.

— Biłem dzieci trzcina.

— Nic w tym szczególnego — powiedział żandarm. — To powszechne, a poza tym nie szkodzi. Wszyscy w młodości często dostawaliśmy w tyłek. Czasem bywa to niezbędne. Za to nic się panu nie może stać. A może idzie tu o uszkodzenie ciała?

— Ależ nie! Jeśli biję, biję lekko. To prawie głaskanie.

— Nie pojmuję — stwierdził żandarm. — Cóż więc pana niepokoi?

— Przy tym wszystkim jedno było osobliwe — powiedział z wahaniem Neuberich — że niektóre dziewczynki nie miały majtek. W pełni lata nie noszą majtek. Również wiele dorosłych nie nosi.

— Tak więc to się przedstawia — rzekł w zamyśleniu żandarm i odsunął swoje krzesło.

— Ale to było dawno.

— Jak dawno temu?

— Ponad pięć lat. W późniejszym okresie nikt mi już nie może niczego udowodnić.

— Jest to więc sprawa przedawniona — powiedział stanowczo żandarm. — Jestem gotów wyjść panu naprzeciw i potraktować tę historię jako przedawnioną. Jeśli i mnie pan wyjdzie naprzeciw.

— Ależ chętnie, panie wachmistrzu. Uwolnił pan moją duszę od zmory. Co mógłbym zrobić dla pana?

— Był pan przy tym, kiedy umarł Materna? — zapytał bardzo rzeczowo Thiele.

— Nie. Byłem przy bufecie. Zaraz jednak tam pobiegłem.

— Kto był w pobliżu zmarłego?

— Grabowski, Grzesz i gorzelany Schwesig. Również Nowakowski.

— A Leberecht?

— Jego nie było. Właśnie był w ubikacji albo w ogrodzie. Dobrze się złożyło, co?

— Potrzebuję konkretnego zeznania. Co pan jednak może zeznać, jeśli pana przy tym nie było?

— Mogę zeznać jedno. Dwa dni wcześniej zostało wypowiedziane zdanie: tego człowieka należałoby zabić.

— Kto to powiedział?

— Byli przy tym Schwesig, Grzesz, Grabowski, Nowakowski i Wengler oraz ja.

— I kto to powiedział? Kto powiedział: „tego człowieka należałoby zabić“?

— Leberecht.

Alfred siedział w pokoju matki i przyglądał się podobnemu do parku ogrodowi. Pani Leberecht malowała starannie, olejnymi farbami, mocno naprężoną czarną, aksamitną chustę wielkości kanapowej poduszki. Tak powstający obraz miał zapewne, jeśliby został ukończony, przedstawiać młyn nad szumiącym potokiem.

— I ty, mamo, chyba też mi nie możesz pomóc? — zapytał syn stojący pod oknem.

— Jak mam ci pomóc? Mam się za ciebie modlić?

Alfred odwrócił się powoli i zmartwiony przypatrywał się matce. Od czasu, w którym zaczął rozumować, matka jego mieszkała w tych dwóch stojących wyłącznie do jej dyspozycji pokojach: w mieszkalnym i sypialnym. Tutaj spędziła niemal całe życie. Tylko w niedziele, święta i dni uroczyste rodzina, wraz z Leberechtem stanowiącym punkt centralny, zwykła jadać wspólnie w tak zwanym salonie. Jeśli Leberecht ucinał poobiednią drzemkę, zdarzało się, że matka szła pospacerować po ogrodzie. Dwa razy w tygodniu zwykła spotykać się w swoim mieszkalnym pokoju z „braćmi i siostrami w Mojżesz”; była to sekta, która wierzyła niezłomnie w rychły koniec świata. Działalność jej polegała głównie na odśpiewywaniu ponurych pieśni, robieniu cierpiętniczych min i modlitwach za całą ludzkość.

-- Potrzebuję pieniędzy, matko.

— Mogę ci dać dwadzieścia marek. Nawet trzydzieści.

Alfred nawet nie był w stanie roześmiać się. Wiedział, że matka dostawała każdą żadaną kwotę, tyle że musiała się przewycięzać, by poprosić męża o pieniądze. On zaś zwykł zgadzać się bez słowa, ale potem wymagał formalnych rachunków. Na drobne, osobiste wydatki przyznał żonie miesięczną pulę, z której rozliczeń nie żądał, bo i tak wszyscy w domu wiedzieli, że większa część tych pieniędzy szła na „braci i siostry Mojżesza”. „Dlaczego nie miałyby tego robić, skoro znajduje w tym przyjemność — mawiał Leberecht. — Inni piją albo palą czy też chodzą do kina, a ona ma swoją sektę. Dopó-

ki nikt nie zmusza mnie, żebym miał razem z nimi wykrzywiać gębę, wszystko mi jedno, co ona robi ze swoimi pieniędzmi".

— To nie wystarczy, matko.

— Nie mam przecież więcej pieniędzy.

— A może masz jakieś wartościowe przedmioty? Może klejnoty? Mógłbym je zastawić.

— Nie mam nic. Przecież wiesz, że niczego nie posiadam. To on ma wszystko, on wszystkim zarządza, zwróć się do niego.

— To mi łatwo nie przychodzi, matko.

— Mogę ci współczuć, synu. Kiedyś jednak odziedziczysz wszystko, co pozostanie z moich zasobów i mojego majątku. Wówczas będzie tak jak niegdyś. Wiem, że będziesz obchodził się z pieniędzmi inaczej niż on.

— Dobrze już, matko — powiedział Alfred i pożegnał się.

Ojca spotkał w jego gabinecie. Leberecht siedział za biurkiem i ze zmarszczonym czołem studiował *Rynek zbożowy*, gdyż ceny żyta zaczęły wyraźnie zwyżkować. Cieszyło go to jako rolnika, ale kupiec, który w nim siedział, miał wątpliwości.

— Mogę ci przeszkodzić, ojczu?

— Nigdy mi nie przeszkadzasz. Zapalisz? W mojej kasecie znajdziesz cienkie cygaro z żółtą opaską. Jest lekkie i aromatyczne.

— Dziękuję, ale nie chcę palić teraz.

— Zainteresowały mnie ceny żyta. Wyraźnie zwyżkują, a do tego jakby skokami. To jest niepokojące. Wolę, kiedy rynek jest spokojny, bo wówczas można planować na dalszą przyszłość. Teraz jednak nie wiem, czy mam sprzedać czy też poczekać ze sprzedażą.

— Słyszałem, że czasami jesienne zbiory sprzedajecie, za liczeniem, dopiero na wiosnę.

Leberechta wyraźnie ucieszyło to zainteresowanie syna. Ożywił się.

— Większość tak praktykuje. Ja jednak nigdy tego nie robiłem. Doskonała ziemia, na której siedzimy, warta jest złota. Tu w Maulach jesteśmy szeroko i daleko jedynymi, którzy

nie są zadłużeni. W banku mam nawet gotówkowy depozyt. Trzeba dobrze znać ziemię i jej walory; do tego dochodzi nieco wiedzy o rynku, sprytne wykorzystywanie warunków pogodowych, zapobiegliwe przygotowanie magazynów, spichlerzy i umów dzierżawnych, a także spora porcją przebiegłości kupieckiej. Dać mi po uszach nikomu nie przyszłoby łatwo.

— Masz w banku pieniądze, ojczu?

Leberecht natychmiast przerwał swoje ekonomiczne rozważania. Trochę się zasmucił, ale szybko to przemógł. Uśmiechnął się nawet.

— Ja tu mówię — powiedział wesoło — o cenach zboża i możliwościach spekulacji zapominając całkiem, że ciebie wcale to nie obchodzi.

— Nie jestem i nigdy nie będę rolnikiem.

— Ale żyjesz z rolnictwa.

— Zacząłeś mówić o pieniądzach, które masz w banku.

Leberecht zachnął się. Zacisnął wargi, oczy jego zwężyły się. Wyciągnął z surduta portfel i rzucił go na biurko.

— Ile? — zapytał.

— Jak poprzednio. Pięćset marek.

Leberecht obrzucił syna krótkim, badawczym spojrzeniem. Potem otworzył portfel i wydobył pięć stumarkowych banknotów. Rozłożył je pojedynczo na biurku.

— W swojej młodości — powiedział Leberecht — zrobiłem wiele głupstw. Do dziś tego nie zapominałem. Pozwalałem sobie na rzeczy, które tylko z trudem można było wybaczyć, również na takie, które nie dały się okupić pieniędzmi. Ojciec bił mnie często.

— Tego mi oszczędziłeś.

— Oszczędziłem ci, mój synu, bo sam to poznałem w życiu. Baty nie poprawią nikogo. Wbija się tylko to, co złe, jeszcze głębiej w człowieka, a szczególnie człowieka młodego. Całe lata były potrzebne, żebym przemógł tamte baty mojej młodości. A jednak wynikła z nich korzyść: stałem się twardy, jeśli idzie o ich odbiór. Tak dobrze zaprawiony jak ja byłem, wytrzymałem później wszystkie cięgi.

— W tym też miejscu różnimy się, ojczy, zasadniczo. Nie znoszę, kiedy ludzie wmuszają sobie poglądy z brutalną siłą.

Leberecht próbował okazać zrozumienie.

— Siła — powiedział — to sprawa kompleksji. Ale jednocześnie i boski dar, jak choćby piękność czy rozum. Zdaje się, że Bóg zapomniał tylko o tych ludziach, którzy nie są ani silni, ani mądrzy, ani piękni. To są ci, którzy skrobią pietruszkę bytu i muszą kulić się po zakamarkach życia. Jednak bez względu na to, co kto ma otrzymać, jest w życiu pora, w której jedna cecha zaczyna górować nad innymi, a jest nią lekko-myślność. Zdarza się to, kiedy się jest młodym. Uczynki zrodzone z gorączki zadurzenia albo eksplozywnej namiętności nachodzące każdego, jeszcze nie okrzepniętego człowieka są, jeśli w ogóle coś takiego istnieje, tej młodości przekleństwem.

— Widzę, że się na tym znasz — rzekł z goryczą Alfred.

— Jestem wobec tego wyrozumiały — zadał sobie uczciwy trud Leberecht, chcący pozyskać zaufanie syna. I ja zrobiłem wiele rzeczy, z których dzisiaj mogę się tylko wyśmiewać. Wtenczas jednak często popadałem w zwątpienie. Kiedyś ukradziono mi rower należący do mojego brata; wziąłem go tajemnie i pojechałem na tańce do sąsiedniej wioski. Innym razem buchnęliśmy strzelby w Związku Weteranów Wojny i strzelaliśmy z nich. Przez nieuwagę oddałem przypadkowy strzał i trafiłem szkolnego kolegę. Kula przeszła mu przez udo. Byłem rozbity, najchętniej rzuciłbym się do jeziora Policzek. Wszystko jednak skończyło się dobrze. Ten szkolny koleżka nie wydał mnie. Kilka tygodni przeleżał w gipsie, a potem znów wszystko było w porządku. Nawiasem mówiąc nazywał się Grzesz. Fritz Grzesz, ten sam, którego teraz nazywamy Fryciem.

— To ciekawe — powiedział nieporuszony tym Alfred, wpatrując się w pięć stumarkówek, które leżały pośrodku biurka.

— Jeszcze wiele zdarzyło się wówczas spraw, które wynikały z przerażającej lekko-myślności — rzekł Leberecht. — W niektórych chwilach zachowywaliśmy się jak drapieżne

zwierzęta. Możesz mi wierzyć, synu, że dobrze wiem, jakie są zagrożenia niesione przez młodość. Wiem również, jak można się z nich wyzwolić, co wypada robić, żeby nie były groźne, co musi się zdarzyć, żeby zostały gruntownie wyeliminowane z tego, co nas otacza.

— Każdy musi uporać się sam ze swoimi problemami, ojcze.

— Dobrze jednak, jeśli ma przyjaciół.

— Nie mam przyjaciół.

— Masz mnie.

Alfred wymigał się od odpowiedzi. Zdusił w sobie to, co chciał rzec.

— Czy mogę teraz wziąć te pięćset marek?

— Będą twoje, jeśli mi powiesz, na co ci są potrzebne.

— Stawiasz warunki?

— Tylko ten jeden, Alfredzie. Chcę ci przecież pomóc.

— Te pieniądze pomogą mi wystarczająco.

— Nie będę cię ganił, nawet nie spróbuję wpływać na ciebie. Pieniądze te dostaniesz wszystko jedno na co, nawet jeśli by to miały być rzeczy, które wydadzą mi się obrzydliwe. Chcę jednak wiedzieć, na co je potrzebujesz.

Alfred wstał.

— No to nie — powiedział. — Schowaj sobie te swoje pieniądze.

— Tę tu kwotę będziesz mógł wziąć w każdej chwili — powiedział zniechęcony Leberecht. — A jeśli tak być musi, nawet więcej. Zachowam te pieniądze dla ciebie.

Alfred opuścił ojcowski pokój. Przeszedł przez podwórze koło gorzelni i mleczarni i znalazł się na wiejskiej drodze. Szedł spacerkiem przez Maule lekko zgarbiony, przytłoczony zmartwieniem. Nie dostrzegał niczego spośród tego, co go otaczało, co zbliżało się doń albo na niego patrzyło. Był z siebie niezadowolony, był zły na ojca, a także na matkę, która tego człowieka uczyniła jego ojcem. „Właściwie to jestem idiotą --- pomyślał sobie. — Powinieniem być podać staremu byle jakie uzasadnienie tej mojej gotówkowej potrzeby. Pierwsze lepsze”.

— Masz okropną minę — powiedział współczująco Karolek sierota. Karolek siedział na przydrożnym kamieniu i pieszczotliwie zaczesywał kudły podobnego do pudła psa. — Jesteś chory?

— Zostaw mnie w spokoju — powiedział Alfred. Wyszedł z wioski na polną drogę biegnącą koło kuźni do brzozowego lasku, gdzie były bagniste łąki.

Karolek popatrzył za nim zmartwiony nie zapominając z zapalem czesać podobnego do pudła zwierzaka. Potem Karolek wstał, poklepał psa po zadku i poszedł do Ewy Thiele.

Ewa, która właśnie rąbała na trzaski jodłowe drewno, nie chciała, by jej przeszkadzano, ale Karolek rozpoczął opowiadanie jednej ze swoich dziwaczych historyjek: - Kiedy konie chorują — mówił Karolek — głośno kaszlą, żeby zwrócić na siebie uwagę miłosiernego Boga. Wiewiórki przestają skakać, ślimaki chowają się w muszlach. A ludzie bledną i nie poznają swoich przyjaciół. Zdaje mi się, że jest chory.

— O kim mówisz, Karolku?

— O kim mam mówić? O Alfredzie Leberechcie oczywiście. Właśnie poszedł do brzozowego lasku.

Ewa nie była pewna czy ma zwlekać, czy też nie. Najpierw spróbowała zaproponować Karolkowi pewien interes.

— Karolku, porąb mi trzaski. Kiedy wrócę, dostaniesz dwadzieścia fenigów.

— Przecież mogę iść z tobą. Za te dwadzieścia fenigów porąbię potem.

— Nie.

— Porąbię nawet za dziesięć, jeśli będę mógł pójść.

— Porąbiesz natychmiast za dwadzieścia fenigów albo wcale.'

Karolek uśmiechnął się.

— Powiedz od razu, że chcesz być z nim sama. Mnie możesz to powiedzieć. Ja to rozumiem.

Ewa zostawiła wesołego Karolka i poszła. Ociągając się szła polną drogą wiodącą do brzozowego lasku. Kowal, który ją spostrzegł, a który niewiele minut wcześniej widział Alfreda, uśmiechnął się i powiedział: — W biały dzień!

Kiedy Ewa zobaczyła Alfreda pod brzozaami na skraju lasu, zapragnęła zawrócić. Powiedziała jednak sobie, że już ją musiał zauważyć i dlatego poszła dalej. Poruszył się i patrzył na nią. Zmieszanie Ewy rosło.

— Czy mogłabym coś dla pana zrobić? — zapytała, kiedy już stanęła przed nim.

— Wszyscy chcą zrobić coś dla mnie — powiedział nieprzyjaźnie Alfred. — Każdy mówi, że chce coś dla mnie zrobić.

— Jest pan chory? — zapytała współczująco Ewa.

— Jak pani na to wpadła?

— Karolek powiedział, że pan jest chory — powiedziała bezradnie Ewa.

— Karolek nie jest moim lekarzem — odparł gniewnie — a pani nie jest pielęgniarką.

— Chciałam, żeby wszystko było dobrze — rzekła nieporadnie Ewa.

— Żeby było dobrze! Jak często już to słyszałem. Ciągłe to słyszę. Sami szlachetni ludzie żyją na tej ziemi. Gdzie splujesz, tam gotowość pomocy. Każdy się troszczy, każdy współczuje, każdy fuszeruje robotę miłosiernego Boga. Nie ma jednak nikogo, kto by naprawdę coś zrobił, ani jednego nie ma.

Ewa była bliska płaczu, ale on tego nie zauważył. Chciała dobrze, a teraz pokrzykiwano na nią. To ją bolało. To ją martwiło.

— Wszyscy zachowują się tak, jakby bawili się z nami w piasku. Poklepują nas po ramieniu jak kumpla od kielicha. Życie znają od najtajniejszej głębi. Wypluj co masz w sobie, a my ci potem powiemy, czy dobrze wyplułeś. Po uszy są przepelnieni dobrymi radami. Sikają nimi jak fontanna. Ale nie rozumie nikt. Nikt. Tylko gadać potrafią. Chcą, żebyśmy byli ich uczniami, praktykantami albo pacjentami. Ale ja jednak nie jestem chory. To cały ten zafajdany świat jest chory. Taki właśnie jest.

Ewa płakała bezgłośnie, z wysoko uniesioną twarzą. Żeby nie dostrzegł jej łez, odwróciła się. Odeszła od niego. Po

jej twarzy płynęły łzy wielkimi kroplami. Zaciśnęła jednak zęby.

— To ci chłopas — powiedziała. — Już ja mu pokażę!

Wachmistrz żandarmerii, Thiele, przepelnięty niepokojem i wolą działania zamienił się w wężącego psa. Nie potrafił już przesiadywać spokojnie nad swoimi planami. Często stawał w oknie i skrupulatnie obserwował każdego, kto szedł wiejską ulicą. Przywykł wypijać co wieczór butelkę piwa w gospodzie; wówczas to przesiadywał sam przy małym stoliku, a wokół cichły rozmowy.

Co rusz przechadzał się po wsi, w okolicy wsi i wśród pól. Znał już każdy dom, każde obejście, każdy zagon. Znał brzeg jeziora i skraj lasu, bagnistą zapadlinę koło brzóz i zarośla koło gospodarstwa Materny.

Często myślał o tej Elfriedzie Maternie; najczęściej tylko służbowo. Wyczuwał bowiem, że ta kobieta mogłaby sama poruszyć tryby, których mechanizmy nieustannie oliwił. Jeszcze nie wiedział, jak by się to miało stać. A jednak czekał na to. To, co go tu ponaglało, nazywał instynktem. Narastające w nim zainteresowanie nie tylko samym przypadkiem Materny, ale i tą kobietą zaczynało go jednak niepokoić.

Kiedy wypił w gospodzie swoją butelkę piwa, wolno opuścił wioskę. Ruszył drogą prowadzącą za kościołem w pola. W zachodzącym słońcu jego cień kładł się wydłużony i pokrzywiony na pyle drogi. Przeszedł przez łąkę w stronę zarośli, za którymi znajdowało się gospodarstwo Materny.

Rozległy gąszcz pochłonął go. Ostrożnie przepychał się przez krzewy, aż na skraj, gdzie stały dwie wierzby. Tam usiadł osłonięty gałęziami. Około osiemdziesięciu metrów przed nim leżało obejście Materny.

Thiele czekał, choć nie potrafił powiedzieć, na co właściwie czekał. Rozglądał się leniwie i nawet nie próbował intensywnie-

niej pomyśleć o tych obserwacjach. Obejście Materny sposobilo się do nadchodzącej nocy. Wyglądało tak, że wszystkie działania przeniosły się do stajni; tam karmiono konie i dojono krowy. Świnie pochrząkiwały, po cemencie szurało wiadro.

Potem Elfrieda Materna weszła do domu, prawdopodobnie do kuchni, a z nią stary parobek Fahrig i gruba służąca Marta. Rozmawiali skąpo, głosy ich zatarte i niewyraźne ledwie dobiegały do miejsca, w którym siedział Thiele. Zapewne jedli kolację, gdyż było wyraźnie słyhać, jak łyżka stuka o talerz.

Powoli zapadał zmierzch. Horyzont zaczerwienił się krwiscie, ziemia stała się mroczna i ciężka. Odgłosy nasiliły się i teraz można już było rozróżnić strzępki rozmowy dobiegającej z domu Materny.

Głośno zaszczekał podwórzowy pies. Potem warcząc przeciśnął się przez bramę i powoli, krok za krokiem ruszył przez pole tam, gdzie siedział Thiele. Żandarm zachował spokój. Zdecydował, że jeśli pies zaszczeka, wstanie i ruszy wprost ku domostwu, żeby zasięgnąć tam informacji. Pies jednak nie zaszczekał. Podszedł blisko Thielego i wyciągnął wilgotny pysk. Thiele schwycił go za uszami i zaczął drapać. Pies powściągliwie pomachał ogonem.

Żandarm pomyślał, że całe te Maule pełne są psów. Przesiadują na podwórkach i w domach, stoją przed gospodą i przed kościołem cierpliwie czekając, aż ich właściciele zaspokoją swoje cielesne potrzeby albo załatwią duchowe interesy. Maule to raj dla psów.

— Hektor! — zawołała z kuchennego okna Elfrieda. — Gdzie ty tam łazisz?

Pies Hektor usłyszawszy głos, który go nawoływał, jakby się uśmiechnął. Naparł jeszcze raz głową na głaszczącą go dłoń żandarma, a potem odbiegł.

Thiele wsparty o pień wierzby obserwował w dalszym ciągu. Zobaczył, jak machający ogonem Hektor popędził ku Elfriedzie Maternie i jak ona wyciągnęła do niego dłoń, a potem położyła ją dokładnie na to samo miejsce, na którym leżała dłoń Thielego.

Wkrótce parobek Fahrig i służąca Marta opuścili dom i weszli na drogę wiodącą do Mauli. Żandarm domyślił się, że ponieważ to środa, parobek Fahrig udaje się na godzinę modlitwy i czytania Biblii do „braci i sióstr Mojżesza”. To, że służąca Marta spieszyła do innych zajęć, można było zauważyć patrząc na jej kołyszący się przedsiębiorczo jędrny tyłek.

Elfrieda Materna była więc w domu sama. Gospodarowała w kuchni, odgłosy zaś wywoływane tą jej pracą docierały wyraźnie do uszu Thielego. Zastanawiał się, czy nie powinien złożyć jej wizyty, i to w pewnym sensie takiej półurzędowej, ale zamysł ten natychmiast odrzucił, po to, by natychmiast znów go podjąć. Stawiał sobie pytanie, czy taka właśnie rozmowa, o ile będzie gotów ją przeprowadzić, nie stanie w kolizji z nie-nagannością jego urzędowej postawy, o którą zawsze dbał.

Kiedy tak się zastanawiał, spostrzegł niewysokiego, przysadzistego mężczyznę zbliżającego się do obejścia Materny. Nie rozpoznał go od razu i dopiero kiedy tamten stanął rozkraczony na drodze, by oddać mocz, co uczynił przypatrując się wschodzącemu księżycowi, zauważył, że jest to Grabowski.

Grabowski zahęstał się w kolanach i poszedł dalej. Pchnął bramę i powiedział do szczekającego Hektora:

— Stul pysk, zasrany bydlaku.

Elfrieda Materna wyjrzała przez kuchenne okno.

— Zostaw w spokoju mojego psa powiedziała — i mnie też daj spokój. Czego tu chcesz?

— Zgadnij! — powiedział Grabowski rozwlekłe, ale przedsiębiorczo. Podeszedł do drzwi domu. — Pogódka śliczności! Człowiekowi samemu źle.

Elfrieda nie odpowiedziała. Grabowski wszedł do domu. Teraz głosy ich brzmiały niewyraźnie w wieczornej ciszy. W kuchni rozbłysło światło.

Thiele pilnie nasłuchiwał, ale nie potrafił rozpoznać, o czym rozmawiają. Zdawało mu się, że w jej głosie brzmi irytacja, głos zaś tamtego ma ton jowialny. Można też było zauważyć, że nie ma między nimi jednomysłności. Thiele sam siebie pytał, czy też nie jest to jedna z owych miłosnych par, które wzajem-

ną skłonność ujawniają przez kłótnię. Myśl, że mogłaby to być miłość, zasmuciła go trochę, ale żandarm, który w nim tkwił, stwierdził, że w jakimś sensie mogłoby to być korzystne, gdyby dowiedział się czegoś więcej o całej tej historii.

Podniósł się więc i ruszył wolno w stronę domu Materny. Zapadająca noc była szaroniebieska i prześwietlona jasnym blaskiem księżyca. Wszystko, co dostrzegł, zdawało się być bliższe niż w rzeczywistości. Pies Hektor podszedł doń przyjaźnie.

— Puść mnie — krzyknęła Elfrieda Materna. — Puść mnie natychmiast.

— Nie bądź taka — powiedział z wysiłkiem Grabowski. — Zachowuj się rozsądnie. Przecież nie jesteś taka.

— Masz mnie puścić — powiedziała zdławionym głosem kobieta.

Thiele oparł dłoń na płocie. Wyraźnie usłyszał darcie odzień. Słyszał sapanie i szuranie nóg. Nagle Grabowski zawył głucho. Jakieś krzesło z hałasem upadło na podłogę.

— Puść mnie! — krzyczała kobieta.

Żandarm Thiele pchnął bramę i przebiegł przez podwórze w stronę domu. Kiedy otworzył kuchenne drzwi, zobaczył dwoje ludzi leżących na stole. Grabowski rzucił się na Elfriedę Maternę, ona zaś usiłowała się podnieść. Wisząca nad kuchennym stołem lampa kołysała się silnie i w rozkolebanym rytmie rzucała to cień, to blask na pobielone ściany.

Thiele rzucił się na Grabowskiego, obiema rękami wczepił się w jego barki i silnym szarpnięciem oderwał go od stołu. Przewrócił go na ziemię. Kiedy Grabowski porykując w nieartykułowany sposób próbował się poderwać, Thiele wałnął go obiema pięściami w pierś. I jeszcze raz uderzył, a obie jego pięści trafiły Grabowskiego w twarz. Poczul miękkie ciało, potem kośćciec, potem ciepłą, lepłą się wilgoć. Jeszcze raz schwycił Grabowskiego, dźwignął go w górę i przez otwarte drzwi wyrzucił do sieni.

— Odczep się pan — wrzasnął dziko.

Grabowski podniósł się zataczając. Na koszulę kapąła mu krew. Mocno dyszał. Nie powiedział jednak nic. Poszedł sobie

Nie doprowadziwszy do ładu odzienia, poszedł przez podwórze w noc. Hektor obszczał go.

Żandarm odwrócił się. Elfrieda Materna nie leżała już na stole, ale siedziała na krześle. Twarz miała czerwoną z irytacji. Włosy zwisały w nieładzie. Suknia była rozdarta i odsłaniała jej piersi.

— A to świnią — powiedziała Elfrieda Materna.

— Przechodziłem przypadkiem — powiedział żandarm.

Zdawało się, że kobieta drży, ale w oczach jej nie było bezradności, tylko złość. Dłonie mocno oparła na udach. Gwałtownie oddychała.

Żandarm przysunął sobie krzesło i usiadł blisko niej. Dłonie położył na jej dłoniach.

— Proszę się uspokoić.

Nie cofnęła dłoni.

— Jestem spokojna — powiedziała.

Owionął go jej gorący oddech. Wyczuwał prężne ciało jej ud. Przed sobą widział całkiem blisko jej pełne, lekko rozchylone usta. Zdawało mu się, że w błyszczących jej oczach dostrzega samego siebie.

— Dobrze, że pan przyszedł — powiedziała cicho Elfrieda Materna. — Jest pan silniejszy od Grabowskiego, który jest silny jak byk. Gdyby pan nie przyszedł, zgwałciłby mnie.

— Powinienem był połamać mu zębra — powiedział Thiele, ale patrzył na jej pełne, prężne piersi wysuwające się z podartej sukni.

Zauważyła czemu się przygląda. Nie zrobiła jednak niczego. Zamknęła oczy. Ciągle jeszcze oddychała gwałtownie, gorąco. Krew w niej wrzała, dygotały nerwy. Odchyliła się bezwolnie. Dłoń jej uniosła się i tkliwie pogłaskała jego rękę.

Thiele pochylił się nad nią. I on oddychał ciężko. Potem dopadł jej ust, które, jak mu się zdawało, sięgały do niego. Poczul jej zęby wgryzające się w jego wargi.

Nie powiedzieli ani słowa. Objęli się i z westchnieniem osunęli na podłogę.

Po długiej chwili, znużeni rozluźnili objęcie. Bez sił wpat-

rywali się w światło lampy. Potem Elfrieda Materna odsunęła się od niego i powoli wstała.

— Nienawidzę cię — powiedziała.

* * *

Kiedy Nowakowski w roli ortsruppenleiters wszedł na salę, gdzie miało odbyć się uroczyste przekazanie mu tej funkcji, przez rzędy zebranych przeszło ogólne „ach"! Nowakowski nosił nowiutki partyjny mundur.

— Wygląda jak świeżutkie dziecięce gówienko — powiedział z podziwem mistrz rzeźniczy Matzeck.

Nowakowski udawał zmieszanie. Jak model wykonał kilka obrotów przed zebranymi. Obecni nie szczędzili mu pochwał.

— Wyglądasz prawie jak oficer — stwierdził z zazdrością Neuberich. — Jak oficer z tropików.

— Z Afryki centralnej — zawołał ze śmiechem Matzeck. — Gdzie żyją ostatnie dzikusy.

— Lepiej nie rób teraz dowcipów — odparł godnie Nowakowski. — W każdej chwili może przybyć kreisleiter.

— Kreisleiter nie przyjedzie — powiedział Leberecht siedzący w pierwszym rzędzie, zaraz przed mównicą stojącą w flagę ze swastyką. — Telefonowałem wcześniej do niego. W jego zastępstwie przyjedzie kierownik organizacyjny.

— To mi odpowiada — rzekł Nowakowski ze szczerym zadowoleniem. — Z powiatowym kierownikiem organizacyjnym doskonale porozumiałem się w czasie odwiedzin w powiatowym kierownictwie. To człowiek czynu i wzniosłych zamysłów torujący drogę przyszłości.

— Wszystko to jest słuszne! — zawołał Neuberich wpijając się wzrokiem w nowy mundur. — Następnym razem i ja zjawię się w takim stroju.

— To jest mile widziane — stwierdził Nowakowski. — Należy jednak zwracać uwagę na odznaki stopni.

Grabowski wstał i spontanicznie ściągnął marynarkę. Ukażała się brunatna koszula.

— Ja już to mam — powiedział dumnie czekając na żywiołowe uznanie. Obecni nie objawili jednak szczególnego zainteresowania.

— Drodzy parteigenossen — zaczął z dużej rury Nowakowski. — Szanowni przyjaciele i dobrodziejce, niemieckie kobiety. Dzisiaj świętujemy...

— Dobra, dobra — zawołał mistrz rzeźnicki Matzeck.
— Starczy. Najważniejsze, żebyśmy załatwili to szybko. Wy-chłodziłeś piwo?

— Trzy baryłki — oznajmił spiesźnie Nowakowski, znowu w pełni szynkarz. — Najlepszego gatunku. Tym razem jest to „Angielski Zdrój” z Elbląga. Postarałem się specjalnie na dziś. Postawiłem na lodzie.

— Spodziewamy się, że nie podniesiesz ceny.

— Moja cena piwa — zapewnił Nowakowski — jest niezmienna. W żadnym razie nie będzie podniesiona. Prędzej może się zdarzyć, że wskutek zmienionej sytuacji w Niemczech, dzięki której mamy szansę stania się mocarstwem światowym, cena piwa będzie mogła zostać obniżona.

— Boże, błogosław partię — zawołał od wejścia Grzesz.

Obecni, którzy spojrzeli w jego stronę i zaczęli wesoło go nawoływać, zamilkli nagle z respektem. Oto obok Grzeszą ukazał się w drzwiach gorzelany Schwesig, dotychczas przybo-czny majątkarza, obecnie zaś zwierzchnik miejscowego SA. Ponieważ czekał do tej pory na drodze, okryty płaszczem, tylko nieliczni widzieli jak wygląda.

Schwesig wyglądał wspaniale. Nogi jego tkwiły w żółtych cholewach, mundur był złotobrunatny, ciemnym brązem połyskiwał pas i koalicyjka. Prostokąty na kołnierzu świeciły czerwienią wina. U lewego ramienia dyndał srebrny, pleciony sznur. Czapka zdobiona kordonkiem wieńczyła wojowniczą głowę tego opoja. Włożył nawet skórkowe rękawiczki.

Entuzjazm był powszechny.

— Niech żyje SA — zapiął zachwycony kupiec Wengler.
— Jeszcze dziś wstąpię do twojego oddziału, jeśli tylko potrzebny ci dziarski adiutant.

— Ciebie mógłbym potrzebować — powiedział życzliwie Schwesig. I dodał głośno, w formie oświadczenia adresowanego do wszystkich obecnych:

— Prawdopodobnie powołamy tu oddział jezdnych. A to nie zajęcie dla byle praczki.

Obecni, którzy wcale nie uważali się za praczki, przyklasnęli Schwesigowi. Nowakowski zbladł trochę z zawiści. Choć z wielkimi oporami musiał przyznać, że Schwesig wywarł bardziej imponujące wrażenie. Martwiło go to, tym bardziej że wiedział, iż to Leberecht zapłacił za ów mundur ze wszystkimi dodatkami. „Po to zapewne — wnioskował zagniewany Nowakowski — by mnie podgryźć. Mógł mi chociaż zaproponować dofinansowanie, ale nie, on stroi tylko swoich przybocznych. Możliwe też, że prędzej czy później, w ten właśnie sposób doprowadzi do przeciwstawienia SA partii. A to znaczy, że trzeba być czujnym!”

Schwesig, z dłonią na sztylcie, który kolebał mu się u lewego boku, podszedł do Leberechta i wyszeptał mu w ucho jakąś wiadomość. Obecni zamilkli z szacunkiem, choć mogło się zdawać, że głównie nasłuchują tego, co też przekazuje Schwesig.

— Dobra jest, mój drogi Schwesig — powiedział Leberecht. — Niech pan to zamelduje ortsruppenleiterowi.

Schwesig w wyraźnie niedbały sposób wyrzucił prawą rękę w stronę Nowakowskiego i powiedział:

— Powiatowy kierownik organizacyjny jest tutaj. Czeka na dworze.

Nowakowski wyprężył się. Pod pełnymi uwagi spojrzeniami zebranych jeszcze raz obciągnął bluzę, sprawdził usadowienie czapki i spiesznie wyszedł. Po krótkiej chwili znów pojawił się w drzwiach sali i obwieścił:

— Powiatowy kierownik organizacyjny w zastępstwie kreisleitera.

Obecni siedzieli nadal, mimo zaklinających gestów Nowakowskiego. Dopiero kiedy Leberecht powiedział głośno:

— No to spróbujmy przewietrzyć tyłki! — podnieśli się jak

jeden mąż i zaciekawieni przyglądali się wysłannikowi powiatowego kierownictwa.

Powiatowy kierownik organizacyjny był niewysokim, zgrabnym mężczyzną, nadrabiającym niedostatek krzepy energicznymi ruchami. Najpierw krótko zlustrował dekorację lokalu, w którym miało się odbyć zebranie. Gałązki jodłowe, transparent „Niemcy, obudźcie się”, portret Hitlera klasy trzeciej, flaga ze swastyką nad podium. Skromnie! Potem powiatowy kierownik organizacyjny przyjrzał się ludziom, którzy znaleźli się tu, by uczestniczyć w zebraniu. Byli to zwyczajni, twardogłowi chłopcy, wśród nich nauczyciel i listonosz, którzy zwąchali nowy wiew. Zawsze to samo. Tytuł jego sprawozdania mógłby brzmieć: „Krzepkie chłopstwo”. A jednak nie to samo! Uderzyło go coś szczególnego: ci mężczyźni przeważnie uśmiechali się i chociaż uśmiechy wyglądały życzliwie, było to jednak dziwne. Od kiedy to, pytał sam siebie powiatowy kierownik organizacyjny, narodowy socjalizm jest czymś wesołym? Na myśl, że mógłby znaleźć się ktoś, kto by zechciał żartować sobie z narodowego socjalizmu, powiatowy kierownik organizacyjny po prostu nie wpadł.

Pamiętając o wskazaniach, w jakie wyposażył go kreisliter, wiedząc też, że na wstępie potrzebny jest dyplomatyczny spryt i to szczególnie, jeśli człowiek chce postawić na swoim, powiatowy kierownik organizacyjny zwrócił się spiesźnie w stronę Leberechta.

— Czy mam zaszczyt z panem Leberechtem? — zapytał.

Przywódcą SA, Schwesig, szepnęła mu, że ma zaszczyt. Powiatowy kierownik organizacyjny dziarsko wyciągnął rękę w stronę Leberechta i powiedział:

— Mam polecenie, żeby przekazać panu pozdrowienia od kreisleitera.

— Dziękuję — rzekł chłodno Leberecht.

Powiatowy kierownik organizacyjny rozejrzał się spiesźnie.

— Innych panów partyjnych poznam później, po uroczystości — powiedział. Zaczynamy więc, panie ortsgruppen-ei terze.

Nowakowski dyskretnie zwarł obcasy. Potem ruszył w stronę mównicy. Mówił o Niemczech, że je kocha, i o zaletach powiatowego kierownika organizacyjnego, którego bardzo szanuje. Potem mówił o jednym führerze. Następnie poprosił dostojnego gościa, by ów zechciał zabrać głos.

Dostojny gość zabrał głos i powiedział o Niemczech, które kocha, a także o zaletach ortsguppenleiters, którego bardzo ceni. Tym samym obecni dowiedzieli się, jaki to też gorliwy duch żył wśród nich, przez tak długie lata aż do tej pory nierozpoznany. Wesołość ich wzmożła się widomie, kiedy usłyszeli, że Nowakowski od dawnych już czasów był w duchu i skrycie uczestnikiem marszu, wiernym zwolennikiem jedyne go führera. Nowakowski — pierwszy chorąży Rzeszy w Maulach.

— Że tak właśnie jest — wołał z dumą powiatowy kierownik organizacyjny — należy zawdzięczać również tej dzielnej, konsekwentnie po niemiecku czującej ludności, która tu wzrosła, w przygranicznym kraju, przepelniona wolą walki i gotowością obrony. Tutaj bowiem, gdzie odwieczny wróg czai się za pobliską granicą, tu, dokąd rycerze zakonni przynieśli kulturę, świadomość niemiecka odcisnięta jest we wszystkich sercach i umysłach. To, że właśnie tutaj narodowy socjalizm znalazł dobrą ojczyznę, zgodne jest z prawami natury. Tutaj bowiem nie można stosować się do bałamutnego i karzącego lud systemu marksistowskiego ani do feudalnego, średniowiecznego panowania obszarników, ani też do nie przekonywającej, demobilizującej działalności partii kościelnych. Chcemy być w pełni mężczyznami i kobietami, niemieckimi mężczyznami i kobietami. Narodowymi socjalistami!

Obecni zaklaskali, kiedy Leberecht dał stosowny znak. Tylko na końcu sali żandarm obojętnie i bezpartyjnie, tak jak wymagał jego urząd, opierał się o ścianę.

— I jeszcze o jednym człowieku należy tu wspomnieć — powiedział powiatowy kierownik organizacyjny spełniając życzenie kreisleitera — o tym, który Maule zrobił tym czym są. O parteigenossen Leberechcie.

Zerwałysfeię oklaski poderwane przez Schwesiga. Leberecht poczuł się nieswojo i zaczął ich powstrzymywać, co zostało uznane za skromność. Oklaski nasiliły się jeszcze bardziej, a powiatowy kierownik organizacyjny zauważył, że aplauz ten silniejszy był od wszystkich, z jakimi spotkało się dotąd jego, tak często w różnych miejscach sprawdzone, programowe przemówienie. Co mu też nieszczęśliwie przypadło do gustu.

— Prowadzimy walkę — wołał powiatowy kierownik organizacyjny w dobrej niemczyźnie führera — która jest zacieklejsza. Ale wygramy ją. Zdobędziemy miejscowość po miejscowości. Nad Niemcami rozciąga się szczelna sieć organizacyjna, szczególnie szczelna w tym powiecie. Zdobywamy coraz więcej terenów. Można być pewnym, że postawimy na swoim. Rozbijemy wroga! Tam gdzie zastąpi nam drogę, będą trzeszczały kości. Nie będzie pardonu dla wrogów ludu i zdrajców ludu. Tu jednak muszę, również w imieniu kreisleitera, wypowiedzieć słowa wielkiej pochwały dla Mauli. Maule okazały się świadome swojej odpowiedzialności w obliczu tego wzniesłego czasu. Maule w najkrótszym czasie zorganizowały miejscową grupę, która może pokazać się wszędzie. I to, że gleba została tak dobrze przygotowana do siewu, który wzejdzie — tu zrobił artystyczną pauzę dając każdemu okazję do uradowania się tym chłopskim określeniem. — To, że tak jest, zawdzięczamy w pierwszym rzędzie naszemu parteigenossen Leberechtowi.

Znów zerwały się burzliwe oklaski. Tym razem powiatowy kierownik organizacyjny z zadowoleniem uznał, że przysługują one jemu. Przywykł do tego, że wywiera wrażenie. To, że nastrój osiągnął właśnie szczyty, uznał, za okoliczność korzystną dla zakończenia mowy i kończenia zebrania.

Kiedy to nastąpiło, powiedział: — A teraz, kochani parteigenossen, przejdźmy do części nieoficjalnej.

Podczas gdy uczestnicy zebrania, wespół z trzema pracownikami szynkarza Nowakowskiego, rozstawiali w sali stoły, gdy wiejska kapela ochoczo sadowiła się na estradzie, parteigenossen zgromadzili się w sąsiednim pokoju. Tu powiatowe-

mu kierownikowi organizacyjnemu przedstawieni Gbstali funkcjonariusze miejscowej grupy.

— Przed nami dużo pracy — powiedział w ich intymnym kręgu — ale u kresu czeka całkowite zwycięstwo.

— U nas, w Maulach — zapewnił ortsguppenleiter — wykonamy całą pracę, za co ręczę osobiście.

— I ja mam tę nadzieję — rzekł Leberecht. — Niech pan szybko zaczyna, Nowakowski, i przyniesie butelkę kminkówki. A może sprawując swój nowy urząd całkiem już pan zapomniał o tym, że jeszcze jest szynkarzem?

— Oczywiście, że nie — powiedział Nowakowski po krótkim wahaniu. Wysilał się, żeby okazać gorliwość.

Dzień był pełen słońca. Większość psów w Maulach leżała na piasku i drzemała. Tylko nieliczni rolnicy pracowali w polu, gdyż było to wczesne popołudnie. Zdawało się, że wioska śpi.

Ewa Thiele pracowała w ogrodzie warzywnym. Wesoly Karolek zajrzał przez płot i zawołał:

— Popatrz, kogo przyprowadziłem.

Ewa, która klęczała na ziemi, podniosła wzrok. Poza Karolem przez płot zaglądał Alfred Leberecht i niepewnie się uśmiechał.

— Możesz go stąd zabrać — powiedziała Ewa, schyliła się nad grządkami i podjęła pracę.

— Masz coś przeciw niemu? — zapytał Karolek.

— Nie mam nic dla niego — rzekła niechętnie Ewa.

— Dzień dobry — powitał Alfred. — Właściwie to chciałem się usprawiedliwić.

— Dzień dobry — odrzekła Ewa. — Nie musi się pan usprawiedliwiać.

Ewa zręcznymi dłońmi wrywała z ziemi zielsko. Kosmyk włosów opadł jej na twarz. Zdmuchnęła go na bok i wierzchem dłoni zsunęła z czoła.

— Nie ma pan nic innego do roboty — powiedziała do Alfreda ciągle jeszcze stojącego z Karolkiem u płotu — jak tylko przeszkadzać innym w pracy?

— Czyżbym pani przeszkadzał? — zapytał przyjaźnie Alfred.

— Przeszkadza mi pan — stwierdziła Ewa.

— Ależ on wcale tego nie chce — zapewnił prostodusznie Karolek. — Szukał ciebie od dziesięciu minut i ja też szukałem. On ma jamnika, wiesz, i będę mógł się z nim bawić, bo znalazłem ciebie.

— Czy mógłbym pani pomóc? — zapytał Alfred.

Ewa znów się wyprostowała.

— A zna się pan choć trochę na pracy w ogrodzie?

— Tego nie wiem. Jeszcze nigdy nie próbowałem, ale przecież nie jestem głupi.

— On naprawdę nie jest głupi — zapewnił Karolek. — Szybko wpadł na to, gdzie się znajdujesz.

— Karolku — powiedziała zdecydowanym, ale nie nieprzyjaznym tonem Ewa — teraz weźmiesz ten wypełniony koszyk i wysypiesz zielsko na śmietnik.

Karolek zgodził się z ochotą i oddalił się podśpiewując *Anusie z Tharau*. Pierwszy wers powtórzył wielokrotnie.

— „Jesteś moim skarbem” — śpiewał niosąc kosz.

Tymczasem Ewa zmuszając się, by robić to bez żenady, tak sowała wzrokiem Alfreda.

— Nie wie pan, co to praca w ogrodzie powiedziała z przyganą. Ma pan wokół swojego domu wielki majątek.

— Należy do ojca — odrzekł ponuro Alfred. — Nie mam tam nic do roboty.

— Pan nie chce mieć tam nic do roboty — stwierdziła surowo Ewa.

— Czy ostatnim razem bardzo panią dotknąłem? Przykro mi. Nie chciałem. Byłem jednak zdenerwowany. Rozumie pani? Czy rozumie pani, że można być aż tak zdenerwowanym? Tak, że jest się niesprawiedliwym wobec każdego człowieka,

również takiego, w stosunku do którego wcale nie chciałoby się takim być? — gorliwie starał się ją przebłagać.

— Dobrze już — zgodziła się Ewa. — Załatwione. Niech pan jednak nie robi tego jeszcze raz.

Alfred oparł się o płot.

— Pani nawet nie wie — rzekł poufnym tonem — co się tutaj dzieje. Nawet w najśmielszych snach nie potrafi pani tego sobie wyobrazić.

— Cóż by to miało być — powiedziała obojętnie Ewa. — Ma pan wakacje, nudzi się pan i to już chyba wszystko. U mnie nie znajdzie pan rozrywki.

— Rozrywki! — Alfred pogardliwie machnął ręką. — To mnie w ogóle nie interesuje. Całkiem mi też obojętne, że jest pani dziewczyną.

— Tak?

— Całkowicie. Dziewczyny wcale mnie nie obchodzą.

— To po co tu przyszedłeś — zapytał z ciekawością Karolek, który przyniósł pusty koszyk.

- Chcę porozmawiać z normalnym człowiekiem — powiedział Alfred. — Pani jeszcze nie zanurzyła się w tych Maulach. Przybyła pani z miasta czy innej okolicy w pobliżu jakiegoś miasta. Tu, w tej dziurze, człowiek jest odcięty od świata. Czy pani się z tym zgadza?

Ewa przerwała pracę i usiadła na przewróconej taczce, która tkwiła na ogrodowej ścieżce.

— Nie całkiem pana rozumiem — mówiła odstręczającym tonem. — Pan prawie zawsze mieszka w mieście, bo chodzi pan tam do szkoły. Ma pan tam nawet przyjaciółkę.

— Ależ skąd! — zaprzeczył gniewnie Alfred. — To nie jest przyjaciółka. To całkiem coś innego niż to, co pani myśli. Z tym proszę dać mi spokój. Jeśli będzie pani nadal o tym mówiła, pójdę sobie.

— No dobrze — powiedziała Ewa ustępliwie — o tym nie będziemy już rozmawiać.

— Właściwie dlaczego nie? — zapytał Karolek. — I co to właściwie jest ta przyjaciółka?

Ewa zmieszała się trochę.

— To zwyczajne, Karolku — dodała. — Popatrz, przecież my oboje jesteśmy zaprzyjaźnieni, nieprawdaż? Jestem więc twoją przyjaciółką.

— Ach tak! — powiedział szczerze rozczarowany rozmową Karolek. — I nic więcej?

— Nie masz, Karolku, czego innego do roboty i musisz tu wysiadywać? — zapytał nieprzyjaźnie Alfred.

Karolek popatrzył na niego swoimi ufnymi, niebieskimi, dziecięcymi oczami.

— Jest papier — rzekł — na którym można malować błękitne niebo, a kiedy się zechce to nawet zielone. I słońce śmiejące się nad ziemią. Jest taki papier. U Wenglera.

— To sobie kup — powiedział Alfred. — Masz tu pięćdziesiąt fenigów.

— To miło z twojej strony — zapewnił Karolek. — Za to dostaniesz ode mnie specjalny obrazek.

— Jeśli o mnie idzie, możesz tu zostać — oświadczyła Ewa.

Karolek przyglądał się uważnie to jej, to jemu. Wskazujący palec prawej dłoni przytknął w zadumie do nosa. W końcu zdecydował:

— Zrobimy tak, że teraz kupię sobie papier, a potem wrócę do was i będę malował. Z jamnikiem pobawię się dopiero jutro albo dziś wieczór.

Uklonił się parę razy i poszedł.

— Naprawdę chcę pani pomóc — powiedział Alfred.

Ewa pokręciła głową.

— Nie — rzekła. — Nie jest pan stosownie ubrany.

— Dlaczego nie? To moje najgorsze ubranie.

— Roboczego ubrania pan nie ma?

— A po co? Miałbym psuć ojcu jego dzieło?

— Czy pański ojciec nie chce, żeby pracował pan w rolnictwie?

— Nie chce? — Alfred zaśmiał się krótko i zabrzmiało to dramatycznie. — Jeśli o niego idzie widziałby mnie najchętniej w roli parobka.

— Jeśli chce pan kiedyś przejąć majątek, musi się pan na tym znać.

— O chęci nie ma nawet mowy. Powinienem. Ale nie chcę.

— A kiedy już nie będzie pańskiego ojca? Co wówczas?

— Wówczas sprzedam cały ten majdan. Najchętniej za gotówkę.

— Ach tak — powiedziała Ewa. Wyglądała na zawiedzioną. — Tak to z panem jest.

— No i co? Cóż z tego?

Ewa wytarła dłonie w fartuch.

— Nie rozumiem pana — powiedziała następnie.

— A kto w ogóle mnie rozumie! — nie powiedział jednak tego tak zapalczywie jak zwykle. Tym razem w jego głosie zabrzmiał ton pretensji i niemal żalu. — Myślałem, że przynajmniej pani jest inna.

— Inna? A jaka miałabym być?

Przeskoczył przez płot i podszedł do niej. Odsunęła się na bok, on zaś usiadł przy niej na taczce.

— Czy jest pani szczęśliwa? — zapytał po prostu. — Przecież ma pani ojca, który uważa się za półboga.

— Jest moim ojcem.

— I to już wszystko? — zapytał Alfred. — To już wystarczy? Ojciec! Dostaje się od niego pieniądze i polecenia. On decyduje jak ma się żyć, co ma się robić, a czego poniechać. W istocie więc nie znaczę dla niego więcej niżli jakiś spośród jego pijackich kompanów.

— Ale go pan więcej kosztuje.

— Prawda! Tak to jest, że wypełnia obowiązek utrzymywania mnie. Czy tak to się właśnie nazywa? A z panią, Ewo, też nie jest inaczej. Proszę się tylko zastanowić. Prowadzi pani ojcu gospodarstwo, gotuje mu pani, ceruje skarpetki, czyści ubranie. Szoruje pani izby i myje okna. I co pani za to dostaje?

— Mój Boże --- rzekła Ewa — nie zastanawiam się nad takimi sprawami.

— No i widzi pani — powiedział z triumfem Alfred — jak to jest. Właśnie tak. Pani się nad tym nie zastanawia. Teraz

przypominam sobie dokładnie, że ojciec nigdy się ze mną nie pobawił, nigdy ze mną nie poszedł na przechadzkę, nigdy nie pojechał konno.

— Może nie chciał pana rozpieszczać.

— Zanieczyłby mnie — stwierdził Alfred. — Niech się pani teraz zastanowi, co robił z panią ojciec. Czy siedział przy łóżku, kiedy pani chorowała? Porozmawiał z panią wieczorem? Czy kiedykolwiek przyniósł pani upominek, który byłby tylko upominkiem, a nie jakimś praktycznym przedmiotem? No i co? Widzi pani, teraz pani milczy. Tacy oto są nasi ojcowie.

Ewa milczała zmieszana. Splotła dłonie i patrzyła przed siebie. Taka mowa bardzo ją zaniepokoiła. Nie sama jej treść, ale sposób, w jaki była prowadzona. Niepokoił człowiek, który ją wygłaszał.

Dawno uświadomiłem sobie, co mam myśleć o ojcu. Pani ojciec to taki sam typ jak i mój. Widzi się to od pierwszego wejrzenia.

— Czego pan właściwie chce — spytała z udręką Ewa.

— Chciałbym poczuć — powiedział gwałtownie Alfred — że nie ja jeden tak myślę. Ledwie panią ujrzałem, zacząłem na panią liczyć. Spodobała mi się pani natychmiast, co mówię szczerze, nie jako dziewczyna, ale jako człowiek. Nie sądzi pani, że mamy z sobą wiele wspólnego? Wydaje mi się, że mogę pani ufać.

— Tak — powiedziała całkiem już bezradnie Ewa.

— Nie powinno nas obchodzić to, co robią nasi ojcowie — rzekł stanowczo Alfred. — Wcale nie powinno nas obchodzić! Nawet jeśli by mieli wziąć się za kudły, nam powinno być to obojętne. Jeśli będą je sobie wyrwać, z nami nie będzie to miało nic wspólnego. Czy pani to rozumie?

— Nie — odrzekła Ewa.

— Ja po prostu nie chcę, żeby sądziła pani, że zgadzam się ze wszystkim, co robi mój ojciec. Jestem jego synem, ale z tym, na co on sobie pozwala, nie mam nic wspólnego. Dotychczas wszyscy traktowali mnie jak jego cień; kto uznawał jego, uznawał i mnie, kto go nienawidził, również i mnie nienawidził. Kiedy

kogoś obdarował i ja odczuwałem wdzięczność. Nie chcę już tego. Chcę, żeby wreszcie widziano mnie takim, jakim jestem.

— Czemu mówi mi pan to wszystko?

— Właśnie, dlaczego? — Alfred spojrział na nią błagalnie.

— Może z tego powodu, że mam do pani zaufanie. Nie chcę już być cieniem swojego ojca. Kiedy ojciec zetrze się z pani ojcem, a jestem przekonany, że do tego dojdzie, chciałbym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi. Właśnie wtenczas.

— Dlaczego pański ojciec miałby z moim ojcem...?

— Zobacz pani, że do tego dojdzie — powiedział z przekonaniem Alfred. — Słyszałem niejedno. Ponadto znam swojego ojca. Również pani ojca poznałem. Czy potrafi pani uwierzyć, że jeden pozwoli zjeść się w kaszy drugiemu?

— Co ja mam z tym wspólnego? — zapytała spokojnie Ewa i spojrzała nań uważnie.

— Właśnie to chciałem usłyszeć — powiedział gwałtownie Alfred. — Bo co my mamy z tym wspólnego! — I niespodziewanie zapytał: — Czy nie poszlibyśmy dziś wieczorem na przechadzkę?

Ewa była zaskoczona tak nagłą propozycją. Chciała wpiery powiedzieć, że owszem, ale zastanowiła się, czy nie lepiej było by się powściągnąć.

— Naprawdę nie wiem — powiedziała. — Właściwie to jestem umówiona z panem Bachusem.

— No to pięknie — rzekł Alfred. Nie musiał też wcale ukrywać zawodu, bo w pewien sposób ucieszył się, że zaproszenie spaliło na panewce. Wcale nie palił się do tego, po wszystkich doświadczeniach z dziewczynami, żeby robić jeszcze więcej głupstw. — No to nie — powiedział.

— Ale jeśli przywiązuje pan do tego szczególną wagę...

— Nie przywiązuję żadnej szczególnej wagi — zapewnił Alfred. — Pomyślałem tylko...

— Jaką godzinę miał pan na myśli?

— O ósmej?

— No to o ósmej. Na drodze, która wiedzie do brzozowego lasku.

Leberecht zdjął surdut i podwinął rękawy. Był w kuźni majątku sam i chciał spróbować, czy nie zapomniał, jak się odkuwa lemiesz pługa. Wetknął w żar żelazo i pociągał za łańcuch miecha. Pomrukiwał przy tym piosenkę.

Płomień strzelał z sykiem z węglowego pagórka. Przez kłęb szmat Leberecht uchwycił żelazny pręt, zanurzył w wodzie i ze znajomością rzeczy zwilżył węgle żarzące się na obwodzie, by zmusić płomień do skupienia się na kawałku żelaza. Węgłe zasyczały, buchnęły i wzniosły się obłoki pary. Na kominie zarysował się cień.

Nie odwracając się Leberecht powiedział:

— Nie przeszkadzać! — Ujął lemiesz cęgami i wcisnął głębiej w żar.

— Nie chcę przeszkadzać — rzekł Grabowski. — Chcę tylko coś z panem omówić. Może pan pracować spokojnie.

— Jeśli pan, Grabowski, znowu potrzebuje pieniędzy, to wybrał się pan w złą godzinę. Poza tym, przed żniwami nic więcej panu nie dam.

— Nie jestem tu w sprawie pieniędzy — oświadczył Grabowski. — Poza tym kredyty, kredyty dla gospodarki rolnej można teraz dostać przez hitlerowców. Jako były Ortsbauernführer wiem o tym dobrze.

— Grabowski — powiedział zdecydowanym tonem Leberecht nie przerywając zajmowania się miechem — niechaj pan łaskawie nie pcha nosa w te sprawy. Wszyscy tu pomagamy sobie i niepotrzebne nam do tego ani państwo, ani tym bardziej żadna partia. Jeśliby pan zechciał zaprowadzać tu nowe metody, będzie pan miał ze mną do czynienia. Po przyjaźni powiem panu jedno: z chwilą, w której zacznie pan obracać obcymi, nie z tego terenu, pieniędzmi, natychmiast wstrzymam się od zabawy w dobroczyńcę wobec pana osobiście albo i tego, kogo pan namówi. Wówczas, nie zwlekając, będzie pan musiał spłacić wszystko, co pożyczył pan ode mnie kiedykolwiek. Wszystko. Natychmiast. Nie na raty.

— Może pan być spokojny — powiedział potulnie Grabowski — że zostanie po staremu. Ja tylko tak napomknąłem o tych kredytach.

— To niepotrzebne napomknięcie.

— Przychodzę w całkiem innej sprawie.

Leberecht schwycił rozpalony do białości lemiesz szerokimi cęgami, strącił przylgnięte doń drobiny węgla i położył żelazo na kowadle. Ujął ciężki kowalski młot i zaczął kuć. Ku ziemi krótkim łukiem poleciał deszcz iskier. Leberecht pracował jak maszyna. Uderzał dwa razy w miękkie żelazo, potem dwa razy, na pusto, w dźwięczące kowadło. Uderzenia były pewne i miarowe. Przez chwilę cieszył się swoją siłą, potem wykuty lemiesz wrzucił do cebra z wodą.

— Co to za sprawa, z którą pan przyszedł? — zapytał.

— Pan przecież wie — rzekł ostrożnie Grabowski — że moje obejście graniczy z obejściem Elfriedy Materny.

— Oczywiście wiem — powiedział Leberecht. — Nie pojmuję jednak, co by to miało mnie obchodzić.

— To nie takie proste — oznajmił Grabowski. — Gdyby tak złączyć oba gospodarstwa, byłoby to bardziej rentowne.

Leberecht przyklęknął i kluczem do śrub manipulował przy następnym kolejnym pługu. Odkręcał lemiesz od odkładnicy.

— Jak mam to rozumieć, Grabowski? Złączyć oba gospodarstwa? Chce pan Elfriedzie Maternie podarować swoje?

— Można inaczej i o wiele prościej — powiedział prosto-dusznie Grabowski. — Po prostu poślubię Elfriedę Maternę.

Leberecht przerwał zajęcie. — Czy ona chce, żeby ją poślubić?

— Kiedyś tam znów zechce. I wówczas ja będę mężczyzną najwłaściwszym.

— Pytał już ją pan, Grabowski?

— Już — powiedział tamten. — Nie dała jednak jeszcze żadnej odpowiedzi.

Leberecht zaśmiał się cicho.

— Czemu pan do mnie z tym przychodzi? Jestem jej kuratorem?

— Ma pan na nią wpływ.

— Ale kto powiedział panu, Grabowski, że zechcę na nią wpłynąć w tej sprawie?

— A dlaczego miałby pan nie chcieć, panie Leberecht? Pan nie może jej poślubić, bo jest pan przecież żonaty.

Leberecht wyprostował się powoli trzymając w dłoni zde-montowany lemiesz. Wyprostował się na całą swoją wysokość i podszedł do gościa, który zmusił się, by się nie cofnąć.

— Grabowski — powiedział Leberecht z groźną dobrotli-wością — niech pan nie próbuje silić się przy mnie na dowcipy. Wiem, że nie mogę poślubić Elfriedy Materny. Tym jednak, o czym pan zdaje się nie wiedzieć, jest fakt, że gdybym już nie był żonaty, poślubiłbym Elfriedę Maternę natychmiast.

— Tak też myślę — odparł Grabowski z ledwie skrywaną bezczelnością. Rozumiem też, że może być pan cięty na tę kobietę. Ja też jestem. Ale ożenić się z nią może tylko jeden.

— Pan jest nim, Grabowski?

— Czemu nie? Zawsze to lepiej, niż by znów jakiś przybłęda miał się z nią zabawiać.

Leberecht drgnął. W tej chwili zapomniał o całej bezczelno-ści Grabowskiego i skupił się na tym, co dopiero usłyszał.

— A to co ma znaczyć? Kogo mi chce pan w ten sposób podrzucić?

— Nie myślę rozpowszechniać plotek. Co wiem, to wiem.

— No, człowieku, gadaj pan wreszcie. Co pan wie?

— Jeśli pan tak przy tym obstaje...

— Rozewrzyj pan gębę, Grabowski. I niech się pan nie wije jak węgorz. Niech mi pan tego oszczędzi. No już, człowieku.

— No dobrze, jeśli pan tak nastaje... Mam na myśli Thiele-go.

— Żandarma? — zapytał z niedowierzaniem Leberecht.

— Właśnie jego -- zapewnił Grabowski.

Leberecht roześmiał się, jakby mu ulżyło.

— To bezsens — powiedział. — Każdy wie, że Thiele trosz-czy się o Elfriedę Maternę. I prawie każdy wie, czemu to robi. Szuka materiałów dowodowych i niczego więcej.

— Tak jest — rzekł złośliwie Grabowski — szuka u niej materiałów dowodowych. I żeby je znaleźć, pokłada się z nią na podłodze.

Leberecht cofnął się o krok.

— Widział pan to? — zapytał.

— Właśnie to widziałem.

Leberecht odwrócił się bez słowa, ciężkim krokiem podszedł do komina i wepchnął lemiesz w węgle. Powoli, z namysłem i zastygłą twarzą, pociągnął za miech.

— Widziałem to — powiedział stojący obok Grabowski.

— Na własne oczy. Jak psy, mówię panu. Okno było otwarte, a światło się świeciło.

— Stul pan pysk — zawołał ostro Leberecht.

— Niech mi pan pozwoli — Grabowski schwycił łańcuszek miecha. Leberecht ustąpił mu go. Obydwaj wpatrywali się w żar. — Tak to jest — powiedział w końcu Grabowski pociągając pilnie. — On czegoś od niej chce, czegoś całkiem konkretnego. Nie sądzi pan? Chce z niej wydobyć, kto załatwił Maternę. I wydobędzie to, jeśli tak dalej pójdzie. Pan, panie Leberecht, dobrze zna kobiety. Uczucie jest dla nich warte każdej ceny. Porzucą własne dzieci, a za kilka krzepkich uścisków sprzedadzą wszystkich krewniaków. Dla nas, jeśli taka dopiero się wprawia, wystarczy uśmiech.

Leberecht ciężko oparł się o ścianę. Nie powiedział nic. Tak jak Grabowski wpatrywał się coraz bardziej w jaśniejący żar, który zaczął odbijać się w jego zastygłym, mokrym od potu, obliczu.

— Wszystko jest proste — rzekł Grabowski. — Musimy uciąć tę sprawę nim będzie za późno. Jak już powiedziałem, ma pan na nią wpływ. Ona pana słucha, a poza tym nikogo. Pana słucha. Potem jestem gotów się poświęcić. Nazwijmy to tak!

Leberecht ciągle jeszcze wpatrywał się w żar. Zdawało mu się, że ten żar to Elfrieda. Była jego częścią, on zaś jej pragnął. Od tamtego nieszczęsnego wieczoru, kiedy to został zamordowany jej mąż, w tym czasie, kiedy on zbliżył się do niej.

Najpierw było to współczucie, w każdym razie on wierzył, że tak to było. Chciał ustrzec ją przed tym, co się miało stać. Chciał ją od tego odsunąć. Kiedy jednak już ją miał przy sobie, naszła go namiętność.

— Jeśli pan tylko zechce — powiedział Grabowski — przekabacimy ją. Ma u pana wcale niemałe długi. Gospodarka jest przy tym zaniedbana. Istny chlew. I nie opłaca się rzeczywiście. Jeśli jaja wezmę w swoje ręce, gotówka się znajdzie. Również dla pana.

Lemiesz pobierał w żarze, ale Leberecht zdawał się tego nie widzieć. Wydawało mu się, że w tym żarze spala się całe jego życie. Miał trudną młodość i pojął niewiastę, z którą nie łączyło go nic prócz syna. Ale on nieustannie się oddalał. Chciał stłumić wszystkie udręki swojego życia w ten sposób, że zadawał sobie trud, aby innych ustrzec przed troskami. Kochał niejedną kobietę, zapomniał jednak wszystkie. Prócz tej jedynej!

— Widzi pan — mówił Grabowski — zrobimy po prostu tak: pan przepisze jej długi na mnie. To będzie nacisk, którego ona potrzebuje. W ten sposób najpewniej odciągniemy ją od Thielego. Nie będzie to ze szkodą dla pana. Kiedy już będę miał oba gospodarstwa, będę mógł gospodarować na całego. Zaraz po żniwach spłacę panu większą część mojego długu. Zgoda?

Leberecht położył kres jego rozważaniom. Wyprostował się i schwycił cęgami rozpalone do białości żelazo.

— Wynos się pan — powiedział do Grabowskiego. — Idź pan do diabła.

Ale... Grabowski był zaskoczony.

Leberecht machnął w powietrzu rozżarzoną żelazem. Blisko Grabowskiego, który cofnął się przerażony. Rzucił je na kowadło i sięgnął po młot.

— Jest pan świnią — powiedział. — I niech się pan nie waży wyciągać swoich brudnych łap po tamtą kobietę.

Opuścił młot. Iskry wściekle prysnęły w górę. Grabowski zrobił bezradną, nienawistną minę.

— Przecież nie mówi pan tego poważnie — powiedział.

— Wynoś się pan — wrzasnął Leberecht.

Schwycił rozpalony lemiesz i powoli ruszył kij Grabowskiemu. Ów zauważył, że zbliża się do niego jaśniejący, rozpalony i woniejący ostro kawał żelaza, że staje się coraz większy. Wybiegł na dwór.

Za nim zahuczał głośny, ponury śmiech Leberechta.

Żandarm Thiele szedł wolno w stronę zbożowego ładu, na którym pracowała Elfrieda Materna, jej parobek Fahrig i służąca Marta. Przystanął na skraju pola i nie wiedział dokładnie, co powinien zrobić.

Przypatrywał się, jak stary Fahrig chybotliwym rozmachem człowieka wyzbytego siły, ze stęknieniem, wcina się w zboże. Służąca Marta wiązała snopy, Elfrieda zestawiała je. Praca żmudnie postępowała naprzód. Elfrieda zachowywała się tak, jakby była bardzo zajęta i nie zauważyła Thiego.

— Dzień dobry — powiedział głośno Thiele.

Nie odpowiedział mu nikt. Nikt nie przerwał pracy. Tylko służąca Marta omiotła go wzrokiem i uznała, że jest postawny.

Thiele, zdecydowany, ruszył w stronę Elfriedy, która, nieco z boku od pracujących, zestawiała snopy.

— Już wcześniej chciałem przyjść — rzekł usprawiedliwiająco się. — Zaraz następnego ranka chciałem przyjść. Miałem jednak dużo zajęć. Włamanie w Marcinowym Borze, podpalenie w sąsiednim okręgu. Potem był powiatowy lekarz weterynarii, który pobierał próbki w związku z podejrzeniem pryszczycy i musiałem mu towarzyszyć.

— Nie musisz się wcale usprawiedliwiać — odrzekła twardo i chłodno Elfrieda Materna. — Nie tęskniłam za tobą.

— Gotów jestem ponieść wszystkie konsekwencje mojego zachowania się — oświadczył Thiele. — Tylko to chciałem ci właśnie powiedzieć.

Elfrieda Materna na niego nie popatrzyła.

— Nie ma potrzeby — powiedziała nieprzychylnie. — Zapomniałam o wszystkim, co się stało.

— Ja nie — rzekł Thiele.

Elfrieda Materna odwróciła się od niego. Poszła ku obydwu pracującym i zachowywała się tak, jakby Thielego nie było, jakby go nie było nigdy.

Thiele ruszył za nią.

— Powinniśmy spokojnie o tym porozmawiać — powiedział.

— Nie ma sensu — odparła kategorycznie. — Znam ten rodzaj rozmów. Każdy chce coś przy tym osiągnąć. Jeden chce mojej gospodarki, inny swojej przyjemności, a czego chcesz ty? Przyznania się? Zeznania? Albo jakichś całkiem pewnych wskazówek?

— Nie widzisz tego właściwie — powiedział.

Elfrieda popatrzyła nań ze złością.

— Teraz widzę wyłącznie swoją robotę. Nie trzeba mi przeszkadzać. — Pochyliła się, żeby podnieść snopy. — O czworo uszu za wiele.

Pracowała dalej i wyglądało na to, że zdecydowana jest nie dopuścić, by jej przeszkadzano. Stary Fahrig kolebał się z kosą przez żyto i budził strach. Służąca Marta jędrny zadek wypięła ku górze i zmagającego się z decyzją gościa obrzucała odważnymi, pozbawionymi żenady spojrzeniami.

Wówczas żandarm rzucił na ściernisko swoją czapkę, a po niej pas. Zdjął surdut, potem kołnierzyk i rzucił obok. Zakasał rękawy, zdecydowanie, wysoko. Rozpiął koszulę na szerokiej piersi.

Thiele podszedł do Fahriga i postukał go w ramię.

— Niech no pan pozwoli.

— Potrafi pan? — zapytał stary Fahrig. -- Myślałem, że może pan tylko podejrzewać ludzi. — Ociągając się, oddał żandarmowi kosę i oselkę.

Thiele kciukiem i środkowym palcem prawej dłoni sprawdził ostrość kosy. Nie był zadowolony. Pomachał oselką długimi, płynnymi ruchami. Potem zaczął kosić.

Pozostali przyglądali mu się przez długą chwilę. Stanęli za jego plecami i oceniali jego pracę. Stary Fahrig sprawdzał trzymanie kosy. Elfrieda patrzyła na krzepkie, proste, prężne barki, Marta zaś, służąca, zagapiła się na strzeliste uda poruszające się równomiernie.

— To ci chłop — rzekła z uznaniem służąca.

— Umie kosić — stwierdził Fahrig.

Elfrieda nie powiedziała nic. Jeszcze przez kilka sekund stała zamyślona, a potem zaczęła pracować.

Thiele pociągał kosą rytmicznymi ruchami. Widział jak pochylają się i padają długie zbożowe źdźbła. Zagarniał szeroko i kosa zaczęła śpiewać.

Kiedy zaczął kłaść drugi pokos, pracujących miał za sobą. Teraz snopy wiązały Elfrieda i Marta, a stogi zestawiał Fahrig. Żeby nadażyć, musieli zwijać się szybciej niż poprzednio, co ucieszyło Thielego. Niemal nie odrywał oczu od swojego zajęcia, ale kiedy to robił, patrzył na Elfriedę. Była silnie zbudowana, miała szerokie ramiona i mocne biodra. Talia jej była uderzająco wąska, nogi szczupłe i kształtne. Po trzech godzinach twardej roboty skończył. Łan zboża był skoszony. Kłosa leżały na ziemi w regularnych rzędach. Był zlany potem i wyczerpany. Zrobił jednak kawał dobrej roboty i cieszył się tym.

Usiadł na przyległej łące i odpoczywał. Słońce stało jeszcze wysoko nad horyzontem. Na drodze ku Maulom porykując tłoczyło się stado krów, czekały psy. Żandarm dotknął swojej mokrej od potu koszuli.

— Skończcie to pole — powiedziała Elfrieda Materna do Fahriga i Marty. - Jak już wszystko zestawicie, przyjdźcie do domu. Pójdę naprzód.

Podeszła do Thielego.

— Pójdiesz ze mną? — zapytała.

Podniósł się z chęcią.

— Wyszczotkuję buty i umyję się.

— No to chodź. — Ruszyła przodem i nie obejrzała się.

Szybko sięgnął po rzeczy, narzucił je byle jak i pospieszył za nią. Szedł u jej boku i próbował iść tym samym krokiem.

— Gdzie się tego nauczyłeś? — zapytała.

— Czego?

— Koszenia. Wygląda na to, że o rolnictwie niejedno wiesz. Gdzie się tego nauczyłeś?

— Byłem rolnikiem — powiedział. — Ojciec miał duże gospodarstwo w Zachodnich Prusach, tam gdzie dziś Polska. Kiedy skończyła się wojna, skończyło się też dla mnie rolnictwo. Wtenczas byłem żołnierzem i przejęła mnie żandarmeria. W ten sposób znalazłem się tutaj. Ale wygląda na to, że zbyt dużo nie zapomniałem, co?

Elfrieda nie odpowiedziała. Była zła, że w ogóle zaczęła z nim rozmawiać. Ruszyła szybciej.

Thiele delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Lekko zdrżała, ale przystała na to. Patrzyła prosto przed siebie.

— Dlaczego jesteś taka — zapytał.

— Jaka jestem?

— Zachowujesz się tak, jakby nic między nami się nie stało. W ogóle nic.

— A co też się stało! — powiedziała gwałtownie i oswoodziła ramię z jego dłoni. — Dlaczego miałabym sądzić, że stało się coś szczególnego? Zawsze to samo! Niczego innego nie chciałam. Nawet nie myślę o czymś innym. Dla nas to jest zawsze to samo.

— Dla mnie było to czymś szczególnym — rzekł powoli Thiele.

— I aż trzech dni potrzebowałeś, żeby sobie o tym przypomnieć.

— Wyjaśniłem ci już, że nie miałem czasu.

— Nawet minuty nie miałeś dla mnie — powiedziała z niechęcią Elfrieda. — Dzisiaj jednak, po trzech dniach, znowu za mną, jak się to mówi, zatęskniłeś. Całkiem zwyczajnie, prawda? Przyszedłeś, jesteś, a ja przyjąłem to za oczywistość. Ale pomyliłeś się!

Otworzyła bramę dziedzińca. Pies Hektor skoczył ku niemu, zaszczekał podniecony i wesoło pomachał puszystym ogonem.

— Pies traktuje mnie przyjaźniej niż ty — spróbował żartować Thiele.

— Bo nie zna się na ludziach — odparła i kluczem otworzyła drzwi.

Podszedł za nią do kuchni i bez zaproszenia rozsiadł się na krześle. Był zmęczony i jakby rozbity.

— Mogłabyś mi dać szklankę mleka — poprosił.

— W piwnicy mam piwo. Również wódkę. Może poprawi ci się nastrój.

— Mleko wystarczy — powiedział Thiele i przeciągnął się. Potem ziewnął bez skrępowania przypatrując się jej przy tym. Wyraźnie wyglądało, że nie miała humoru.

Manipulowała przy kuchennym kredensie, wyjęła z niego szklankę, napełniła mlekiem i postawiła przed Thielem. Duszkiem wypił do dna.

— Więcej tego dobrego — powiedział. Znowu wypił i wytarł usta. — Nic o mnie nie wiesz — rzekł ostrożnie. — W tym szkopał.

— Wiem tylko to — powiedziała twardo Elfrieda, — że potraktowałeś mnie jak jakąś przygodną dziewczkę.

— Straciłem rozsądek — odparł ponuro Thiele. — Przyznaję. Ale to już wszystko i nie żałuję niczego.

— Czegóż to miałbyś żałować?

Thiele siedział zmęczony na swoim krześle, ciążyły mu zwiśające ramiona. Jedna dłoń, jak martwa, spoczywała na płycie stołu.

— Nic o mnie nie wiesz — mówił. — W ogóle niczego nie wiesz o mnie. Tak to jest! W moim życiu nie było wiele kobiet. Starczyłoby chyba palców jednej dłoni, żeby je wyliczyć, a przecież nie pamiętam już żadnej. Żonę poznałem na krótko przed wojną; pobraliśmy się szybko i dziecko, Ewa, zjawilo się, ledwie zaczęła się wojna. Kiedy się skończyła i w 1919 wróciłem do domu z rosyjskiej niewoli, żona już nie żyła, a Ewa miała pięć lat. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miała pięć lat. Zabrałem ją i od tego czasu żyjemy sami. Nie znalazłem kobiety, która mogłaby być dla niej matką.

— Ale szukałeś — powiedziała nieprzejednanym tonem Elfrieda. — To normalne i nie jest to wcale zła wymówka. W tym poszukiwaniu trafiłeś na mnie. Jestem więc obiektem doświadczalnym i uważam się też za coś takiego.

— Nienawidzisz mnie więc — skonstatował cicho. — Już raz to powiedziałaś.

— Tak — przyznała uczciwie. — Nienawidzę cię. Wykorzystałeś mnie. Brutalnie wykorzystałeś sytuację, w jakiej się znalazłam. Pobiliś Grabowskiego i zrobiłeś dokładnie to samo, co on chciał zrobić.

— Przecież się nie wzbraniałaś.

— Nie mogłam -- powiedziała otwarcie. — Przed tobą nie mogłam się bronić. To było jakieś oszołomienie, ale nie powinno było tak się stać.

Ociężale podszedł do niej i objął ją. Nie przeciwstawiła się. Bezwolnie przyłgnęła do niego. Objął jej ramiona i poszukał ust. Całowali się długo.

Potem się wyswobodziła.

— Ciebie mogłabym pokochać — powiedziała ciężko odychając. Ale popsuleś wszystko.

— Nie mogliśmy zapomnieć, możemy spróbować od nowa.

— Czy w ogóle mogliśmy?

— Spróbujemy.

— Ale co z Materną? — zapytała w udręce. — Co ze śmiercią mojego męża? Po to do mnie przyszedłeś.

Thiele cofnął się o kilka kroków.

— Masz coś wspólnego z jego śmiercią? Powiedz szczerze.

— Nie wiem powiedziała bezgłośnie. — Jak mam wiedzieć. Człowiek robi wiele rzeczy, których następstw nie potrafi przewidzieć.

— Masz udział w jego śmierci?

— Nie.

— To i dobrze — odetchnął Thiele. — Jeszcze wszystko może być dobrze. Między nami musi być jednak jasność.

— Czego żądasz ode mnie?

— Opowiedz wszystko, co wiesz. Także to, o czym słyszałaś. Nawet to, czego się domyślasz. I pokaż mi wszystko, co pozostawił. Papiery, listy, dokumenty. Zechcesz to zrobić?

Jak nieobecna pokręciła głową.

— Czemu to ma posłużyć — powiedziała bezdźwięcznie. — Komu ma zaszkodzić? Komu pomóc? Nie wierzę już żadnemu człowiekowi.

Szynkarz Nowakowski zebrał funkcjonariuszy swojej miejscowej grupy, żeby omówić sprawy organizacyjne, jak też ustalić generalną linię partyjnego szkolenia oraz propagandy w związku z całkowitym przejściem władzy.

Wybrani i wybrańcy spotkali się w służbowym pokoju ortsruppenleitiera mającym od kilku dni nawet przedpokój, w którym przesiadywała etatowa siła pomocnicza. Płaciła partia. Czynsz dawała właścicielowi domu, Nowakowskiemu, rachunki za materiały kupcowi Nowakowskiemu, pobory siostrzenicy Nowakowskiego. Interes zaczął funkcjonować.

— Jak długo chcesz nas dziś trzymać przy tym baranim łajnie — zapytał bez ogródek mistrz rzeźnicki Matzeck, zastępca ortsruppenleitiera.

— Tak długo, jak uznam to za stosowne — powiedział oschle Nowakowski. — Ostatecznie to ja jestem tu sprawującym władzę.

— Co sprawujesz? — zapytał Matzeck udając durnia.

Obecni roześmieli się; byli weseli jak zwykle i tak jak zawsze nie uświadomieni. Byli gruboskórni i toporni, ufnie wierzyli, iż wolno im mniemać, że partia to jakiś żart i tak też można ją traktować. Poszturchiwali się, mrugali do siebie porozumiewawczo i doskonale się bawili.

Zebrali się wyczekująco wokół miejscowego reprezentanta władzy.

— Gdzie właściwie jest Schwesig — zapytał Grabowski, zainteresowany jako ortsbauernführer jego obecnością.

— Schwesig to też wprawdzie parteigenosse, ale nie ma funkcji — odpowiedział szybko Nowakowski. — Jako przywódca SA nie podlega mi bezpośrednio, a tylko jest zobowiązany do współpracy ze mną.

— A pastor Bachus?

— Niemieccy Chryścijanie, do których należy piastując przewodnią funkcję, to specjalna organizacja w ramach całego ruchu. Preferujemy ich i popieramy na wszelkie sposoby, ale nie forsujemy jednak bezpośrednich wpływów.

— A pan Leberecht?

— Nasz pan Leberecht — pospieszył ze stwierdzeniem — to tylko parteigenosse, ale nie funkcyjny. Dlaczego zresztą mielibyśmy obciążać go naszymi bieżącymi, organizacyjnymi problemami? Damy sobie radę i bez niego, to znaczy, damy sobie radę nie fatygując go.

— Chcesz go, Nowakowski, wyeliminować? pytał uparcie Matzeck.

— Nie nazywaj mnie ciągle Nowakowskim — powiedział ortsguppenleiter z lekką irytacją.

— Pytałem ciebie, Nowakowski, czy chcesz wyeliminować Leberechta.

— Nie masz mnie ciągle nazywać Nowakowskim!

— No to jak? Kandelabrem? Sprawującym władzę? Więjskim Hitlerem?

— Muszę cię ostrzec powiedział z godnością i tylko śladowo zaznaczonym koleżeństwem. To, co mówisz, jest obraźliwe. Jeśli zaś, w tym szczególnym przypadku, skierowane jest przeciwko państwu, które tu, zgodnie z funkcją, jako sprawujący miejscową władzę reprezentuję, jest to nawet zdrada stanu. Karana więzieniem. W Lecu, w ciągu ostatnich tygodni zwinięto trzech takich, w Olsztynie zaś dwudziestu siedmiu. Wszystkich za podobne przestępstwa. Trafiają do obozu wychowawczego. Żeby stać się ludźmi. Tam mają się nauczyć, jak zachowuje się uczciwy Niemiec. Tak jest.

— Nie narób w gacie, Nowakowski.

— On nie mówi bez racji — wmieszał się Neuberich. — Czy-

tuję materiały do użytku wewnętrznego, bezpośrednio z ministerstwa, toteż jestem zorientowany. On zmuszony jest jako ortsruppenleiter zgłaszać każde wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu. Jeśli tego nie zrobi, sam trafi do obozu wychowawczego.

— Być może dobrze będzie tam pasował — rzekł gderliwie Matzeck.

— Uważaj, Matzeck — powiedział ortsruppenleiter ostrzegawczym tonem. — W Olsztynie przymknięto też kilku rzeźników o niedostatecznym poczuciu świadomości narodowej. Ich przedsiębiorstwa zostały zlikwidowane. Czy będą jeszcze mogli wykonywać swój zawód, stoi pod znakiem zapytania.

— Bardzo słusznie — zawołał Wengler, skarbnik i kupiec kolonialny. — Ten, kto nie ma narodowej świadomości, nie powinien sprzedawać kielbasy.

— Czy to miał być dowcip? — zapytał surowo ortsruppenleiter.

— Uchowaj Boże — powiedział Wengler. — Kto by dowcipkował w tak świętej sprawie.

Obecni tłumili śmiech. Wengler przez chwilę cieszył się ogólnym uznaniem, ale zmieształ się zaraz, spostrzegłszy śmiertelnie poważną twarz ortsruppenleitiera.

— Tak — mówił Wengler pilnie starający się o osłabienie wymowy swojej poprzedniej uwagi. — Mogę to sobie doskonale wyobrazić. Jeśliby Matzeck został aresztowany i nie mógłby tu niczego dostarczać, urządziłbym u siebie oddział wędliniarski. I tak by się znalazł dostawca prawomyślny.

— Jeszcze jak! — zawołał z przekonaniem ortsruppenleiter.

— Dobra jest — powiedział Matzeck z ledwie ukrywaną złością. — Zapamiętam to sobie. A teraz, Nowakowski, nie przetrzymuj nas dłużej. Zaczynj swoją gadaninę.

— Przede wszystkim — obwieścił godnie ortsruppenleiter — muszę was prosić, byście nie nazywali mnie Nowakowskim. Teraz nazywam się Nowak.

Obecni zdumieli się.

— Co się dzieje, człowieku? Czyżby urzędnik stanu cywilnego się pomylił? A może do tej pory miałeś fałszywego ojca?

— Nazwisko Nowakowski — wyjaśnił chętnie i trochę protekcyjnie ortsguppenleiter — nie ma nienagannie niemieckiego pochodzenia. Końcowa sylaba „ski” oznacza, że może być pochodzenia polskiego.

— To bardzo możliwe — powiedział uśmiechając się Wengler. — Dlaczego by nie?

— Idzie tu — oznajmił Neuberich — o świadomość rasową. Idzie też przy tym o zachowanie przyrodzonego gatunku, aryjskiej rasy.

— Co to znaczy aryjski? — zapytał podstępnie Matzeck.

— Czy może pan jest aryjczykiem?

— Oczywiście — odrzekł Neuberich.

Matzeck popatrzył nań uważnie. Potem powiedział zdecydowanym tonem:

— Odpada! Żaden normalny człowiek nie zechciałby hodować osobników pańskiego gatunku.

— Tylko bez kłótni, proszę — rzucił Nowak, który przedtem nazywał się Nowakowski. Poza pryncypiami rasowymi idzie o zachowanie, pielęgnowanie i popieranie wartości narodowych. — Tego fragmentu wyuczył się dokładnie z uświadamiającej broszury, a teraz cieszył się, że udał mu się ten cytat.

— Nowakowski, to brzmi jakby trochę po polsku. My tu jednak jesteśmy Niemcami. Rdzennymi Niemcami. I chcemy to publicznie potwierdzić. Odtąd nazywam się więc Nowak.

— Nowak to nazwisko litewskie -- rzekł Matzeck.

— Nowak ma pochodzenie bałtyjskie — zapewnił z zawziętością ortsguppenleiter. — Bałtyjsko-pruskie. Właściwie to nawet pomorskie. Tym samym więc rdzennie pruskie, a przeto niemieckie.

— Świetnie powiedział Grabowski. — To mnie przekonuje. Ja też jestem niemieckim człowiekiem. Od tej chwili nazywam się Grabow.

— Grabów brzmi jak nazwisko rycerskiej szlachty — powiedział z namysłem Neuberich. — Zdaje mi się, że pewien

Grabów wywalczył sobie sławę pod wodzą Fryderyka Wielkiego.

— Mógł to być zapewne jeden z przodków Grabowskiego — rzekł Wengler uśmiechając się z miarkowaną ironią.

— Do rzeczy — zawołał Nowak. — Przy tym, Grabow, pochwalam twoją decyzję. Trzeba ci wypełnić formularz wnioskowy i potwierdzić u mnie, co też zrobimy. Sprawa zakończy się niewielką zmianą w akcie urodzenia. Zechcijmy jednak przejść do właściwej pracy partyjnej. I tu, parteigenossen, mogę stwierdzić tylko jedno: to wszystko jest wielkim świństwem!

— Mówisz tak, jakbyś czerpał z mojej duszy, Nowakowski — zapewnił Matzeck.

— Nazywam się Nowak.

— Przecież wiem, Nowakowski.

— No to stosuj się do tego!

— Ależ chętnie, Nowakowski.

Nowak uznał, że dalsza sprzeczka z Matzeckiem w tej sprawie jest bezcelowym marnowaniem czasu. W krótkich słowach wyraził więc ubolewanie, że akurat taki ignorant zasiada u jego boku jako zastępca Ortsgruppenleiters, a potem przeszedł do naszkicowania planu walki dla Mauli.

— Staliśmy się powiedział Nowak — jedną z dobrych grup miejscowych w powiecie. To cieszy, ale to oczywiście nie wystarcza. Nasza grupa miejscowa musi być jedną z przodujących. I to w całym regionie.

— Nowakowski — rzucił cicho Matzeck — ale ty tu trzymasz mowę dla ludu. Skąd to wzięłeś? Kto cię tego nauczył! Przedtem nie byłeś taki.

— Mój drogi parteigenosse Matzeck — rzekł z godnością Ortsgruppenleiter — siła człowieka wzmaga się wraz z jego znaczeniem. Nasz Führer był zwykłym kapralem, a teraz jest kanclerzem Rzeszy.

— Jak to się wszystko rozwija, Nowakowski. Przedtem byłeś zasmarkańcem, a teraz jesteś Ortsgruppenleiterem.

— Funkcję tę przyjąłem — powiedział z przekonaniem Nowakowski — niezbyt świadomy ciężaru odpowiedzialności.

Rychło jednak poznałem istotę tego urzędu i możliwości, które w nim tkwią. Moi parteigenossen, idzie po prostu o to, by przywództwo powierzać najlepszym mężom naszego narodu.

— My nimi jesteśmy — ogłosił prostą rzeczywistość Grabów, który poprzednio nazywał się Grabowski.

— Zgłębiłem nasze zadanie — kontynuował Nowak. Wniknąłem w nie. Dopiero teraz wiem, po cośmy się urodzili. Przedtem nie miałem o tym pojęcia, ale świadomość nasza mnie z całą siłą. Niemieckie państwo to my.

— To my — powtórzył Grabow.

— Jeśli wierzy się w idee, nigdy nie wolno nie doceniać realiów. — Nowak przemyślał sobie wszystko dokładnie.

— Moja pierwsza rozmowa z powiatowym kierownikiem organizacyjnym otworzyła mi oczy. Do nas będzie należeć przyszłość.

— A będzie? — zapytał Grabow.

— Od tego czasu zrozumiałem to, co konieczne — zapewnił Nowak. — Wszystko jest bardzo proste. Partia to państwo, my zaś, miejscowi przedstawiciele partii, jesteśmy gminą. O wszystkim decyduje partia, ale można też mówić, że państwo. O wychowaniu, o spędzaniu wolnego *czusu*, o podziale dóbr.

— Także o podziale dóbr Leberechta? — zapragnął dowiedzieć się Grabow.

Nowak pominął tę niewątpliwie delikatną kwestię i spieszenie kontynuował rozważania.

— Na razie najważniejszą sprawą jest propaganda i jeszcze raz propaganda.

— Rozumiem — powiedział Neubenich.

— Społeczeństwo musi się obudzić.

— Maule, obudźcie się — zawołał Wengler krzywiąc twarz w uśmiechu.

— Cała ludność musi być przekonana w zupełności - mówił z zapałem Nowak.

— Wówczas też zaczniesz płacić — powiedział Wengler jako skarbnik. — Moja kasa jest na razie pustawa.

— Twoja kasa— powiedział godnie Nowak — będzie przyjmować znacznie mniej pieniędzy, niżli wydawać. Będziesz miał budżet. Przypuśćmy, że zechcemy zbudować boisko sportowe. A kto da na to pieniądze? Partia. Trzeba będzie urządzać wielką ścienną gablotę. Kto się o to zatroszczy? Partia. Potrzeba nam jednak więcej członków, również żeńskiej płci. Chłopi muszą być zorganizowani.

— Ja to zrobię — zapewnił Grabow.

— Musi być zorganizowana Hitlerjugend.

— To moja dziedzina — oznajmił z ożywieniem Neuberich.

— Będzie to piękna młodzież hitlerowska — rzucił Matzeck.

— Już ja mogę sobie wyobrazić, co on wpoi dzieciom.

— Wypraszam sobie tego rodzaju oszczerce pomówienia — zawołał zirytowany Neuberich. — To są pomówienia podstępne i nie pozwolę na nie.

— Czy ja powiedziałem coś podstępnego? — zapytał potulnie Matzeck. Dlaczego właściwie pan się podnieca? Tym, co w tej chwili mnie interesuje, to pytanie, Nowakowski, czy rozmawiałeś o tym wszystkim z Leberechtem.

— Nie odparł tamten nieuprzejmie. — Dlaczego bym miał to robić?

-- Będzie więc lepiej, jeśli nadrobisz to tak szybko, jak tylko się da — rzekł Matzeck. — Kiedy to załatwisz, będziemy mogli gadać dalej.

— Moim zdaniem — powiedział Nowak z akcentowaną obojętnością — nie jest to potrzebne. Ja tu jestem Ortsgruppenleiterem, a wy jesteście funkcyjni.

— Całkiem słusznie — potwierdził twardo Grabow. — Nic tu nie zależy od Leberechta. I chwała Bogu!

— Po dojrzałym namyśle — wtrącił ostrożnie Neuberich — muszę dołączyć się do zdania Ortsgruppenleiters.

— Wengler, a pan?

— Ja? Przychyliam się do większości.

— Ja jestem przeciw - powiedział zdecydowanie Matzeck.

— To nie ma znaczenia — stwierdził Nowak. — Partigenossen Grabow i Neuberich oraz moja znikomość, jesteśmy

za tym. Gdybyśmy honorowali regułę większości, byłby pan przegłosowany. Kierujemy się jednak regułą przywódcy. O tym, co dzieje się w Maulach, decyduje sprawujący tutaj władzę. Tym samym sytuacja jest wyjaśniona.

Matzeck uważnie rozejrzał się dookoła.

— Boję się — powiedział ostrzegawczym tonem — że jeszcze nie jest dla mnie jasne, co możecie nabroić. Takiego człowieka jak Leberecht po prostu nie powinniście przyciskać do ściany.

— Dlaczego niby nie? — zawołał gniewnie Grabow. — On nas wszystkich przyciska do ściany, gdzie tylko może. Ze mną jednak nie będzie już tego dłużej robił. W żadnym wypadku.

— W końcu i ja też nie mam natury niewolnika — oznajmił Neuberich.

— Powyrywa wam nogi z tyłka — rzekł z przekonaniem Matzeck. — Jeśli jednak Bóg całkiem was nie opuścił, przypomnijcie sobie choćby to, że Leberecht jest zaprzyjaźniony z kreisleiterem.

Nowak mdło się uśmiechnął.

— Cóż to znaczy. Według moich informacji już nie długo tego kreisleitera. Nie przestrzega partyjnej linii. Dni jego są policzone, a tym samym dni jego przyjaciół. Wiem, co wiem. Z pewnego źródła. Wierzcie mi, że w przyszłości pierwsze skrzypce w Maulach grać będzie partia. I nikt inny!

— No to będzie to całkiem ładne pitolenie — powiedział bezradnie Matzeck.

Ewa i Alfred leżeli obok siebie na mchu. Jeśli wyciągnęliby ręce, mogliby się dotknąć, ale nie wyciągali rąk. Trzymali je blisko, niemal lękliwie przyciśnięte do ciała i przypatrywali się jasnym, brzozowym pniom, które zdawały się niknąć, zapadający bowiem mrok stapał z sobą listowie i niebo.

— O czym pan myśli? — zapytała Ewa.

— O niczym — powiedział Alfred. - Leżę sobie. Cieszy mnie, że nie muszę rozmyślać.

— O czym miałby pan rozmyślać?

— O wszystkim. Zwłaszcza o życiu.

— Nigdy nie zastanawiałam się nad nim — stwierdziła Ewa.

— Po prostu żyję.

— Niełatwo jest żyć — odparł Alfred z niespodziewanym ożywieniem. — To skomplikowane oraz niebezpieczne. Zanim się człowiek obejrzy, wszystko już przemija.

— Ale co miałoby już dla pana przeminąć — zapytała ze zdziwieniem Ewa. — Przecież ma pan dopiero dwadzieścia lat.

— Niedługo będę miał dwadzieścia jeden.

— Cóż to znaczy. Ojciec powiedział mi wczoraj, że czuje się jak dwudziestolatek. A ma czterdziestkę.

— Ze mną jest inaczej — rzekł Alfred. — Całkiem inaczej — rozłożył ręce, jakby był bardzo zmęczony. Jego palce dotknęły dłoni Ewy. Cofnął je natychmiast o centymetry, ale z kolei palce Ewy zaczęły powoli pełznąć w jego stronę.

— Ma pan kłopoty? — zapytała ostrożnie Ewa.

— Czy mam kłopoty! — wyciągnął podkulone nogi. — Są to jednak moje kłopoty — rzucił oschle.

— Ze mną może pan rozmawiać szczerze — powiedziała nieśmiało Ewa. — Nie jestem już małym dzieckiem. Od lat sama prowadzę domowe gospodarstwo.

— I co z tego? Z tego powodu nie jest się dorosłym. — Alfred obrócił się na bok i popatrzył na nią.

Profil jej rysował się wyraźnie w półmroku. Twarz miała różową i gładką. Oczy połyskiwały wilgotnie. Gdzie spojrzął, widział czystość i gładkość. Ale widział już kobietą twarz, która była oszałamiająco piękna w nieokiełznanej ekstazie. To wprost niewyobrażalne, żeby Ewa kiedykolwiek mogła mieć taką twarz.

— Nie. Jeszcze nie jest pani dorosła — powiedział. Znowu odwrócił się na plecy i wpatrywał się w ogromne, ciemnobłękitne niebo nad sobą.

— Czego mi jeszcze brakuje? — zapytała ufnie Ewa. Namacała jego dłoń i wsunęła w nią swoją.

— Jak drobna jest pani ręka — stwierdził ze zdziwieniem Alfred. Jego palce przesunęły się badawczo wzdłuż jej palców, doszły do końca i mogło się zdawać, że sprawdzają twardość jej paznokci.

Pozwoliła na to. Milczała i oddychała głęboko, ale bezgłośnie.

— Czego mi jeszcze brakuje, żebym była dorosła — zapytała cicho.

Mocniej ścisnął jej dłoń.

— Czy kochała już pani jakiegoś mężczyznę? — zapytał.

— Kocham jednego mężczyznę — odparła.

— Kogo? — zapytał, a zabrzmiało to obojętnie. . Może tego Bachusa, tego próżniaka?

— On nie jest próżniakiem — zaprzeczyła Ewa.

— Kocha go pani?

— Nie — odrzekła.

— Kogo więc pani kocha?

Ewa wyciągnęła dłoń z jego dłoni i położyła ją na piersi.

— Przecież to pana nic obchodzi - powiedziała z wysiłkiem.

— Dlaczego nie miałoby mnie obchodzić?

— Dla pana takie sprawy to już na pewno nie problem. Przecież ma pan przyjaciółkę w Olsztynie.

— Proszę to zostawić powiedział wyraźnie rozzłoszczony Alfred. - Nie przypominać mi o tym. Dlaczego właśnie teraz przypomina mi pani?

— Jest bardzo ładna skonstatowała Ewa. — Znacznie ładniejsza ode mnie.

— Nie kochani jej, bo jest niedobra — rzucił gwałtownie Alfred.

— Ale to przecież pana przyjaciółka!

— Proszę z tym skończyć rzekł z udręką Alfred. — Niech pani z tym skończy.

— Nie chciałam pana urazić — powiedziała delikatnie Ewa.

— No to już w porządku — rzekł szorstko.

Wyciągnęła raptownie dłoń i dotknęła jego ramienia. Dłoń przesunęła się wyżej, aż trafiła na ramię. Tam się zatrzymała. Alfred zaledwie wyczuł dotyk jej delikatnej, a przecież silnej dłoni. Przechylił głowę i dotknął dłoni czołem. Palce jej poruszyły się ostrożnie i musnęły jego włosy.

— No to już dobrze — powiedział łagodnie.

— Niech pan nigdy nie myśli sobie, że chcę pana urazić — mówiła Ewa. — Tego nawet nie potrafiłabym.

— Lubię panią, Ewo.

— Ja też pana lubię.

— Od razu wiedziałem, że zrozumie mnie pani. Jest pani jedynym człowiekiem, który mnie rozumie.

— To ładnie.

— Nazywam się Alfred.

— To ładnie, Alfredzie.

Odwrócił się do niej.

— Zostaw dłoń tam, gdzie jest — powiedział. Dłoń jej przesunęła się po włosach i zatrzymała na karku.

— Ładne są twoje włosy — oznajmiła.

— Twoje są ładniejsze. — Pochylił się niżej i poczuła, że jego nos dotyka jej włosów. — Tak miło pachniesz, tak zdrowo, całkiem inaczej niż... — zająknął się i zastygł w bezruchu. Zdawało się, że przestał oddychać.

— Co ci jest? — zapytała czule Ewa.

— Nic — rzekł zmieszany. — W ogóle nic.

Położył głowę koło jej głowy. Czuli swoje oddechy, owiewające twarze gorącem. Czekala z lekko rozchyłonymi wargami. Przesunął ustami po jej czole, po nosie, do ust. Całowali się długo i z wielką tkliwością.

— Kocham cię — powiedziała cicho, ledwie dosłyszalnie.

Nie odpowiedział i zdawało się, że nie usłyszał tego, co powiedziała. Zamknął jej usta swoimi ustami. Oddychali ciężko i spazmatycznie.

Mech rozpościerający się pod nimi był jak poduszka. Ogarnęła ich ciepła, letnia noc.

— Ewa — powiedział.

— Tak.

— Kochana Ewa.

— Tak.

Żaby rechotały w bezładnym rytmie. Tylko oni oboje byli na tym świecie.

— Ewa — wyszeptał.

— Ty — powiedziała ledwie dosłyszalnie. — Kocham cię. Być zawsze przy tobie, byłoby pięknie. Chciałabym mieć z tobą dziecko.

Skamieniał. Zdawało się, że uszło z niego życie. Leżał koło niej bez ruchu. Tak minął długi czas. Nie było słycać nawet oddechu. Tylko żaby kumkały głośno swoją monotonną melodię.

— Nie — powiedział.

Odsunął się od niej.

— Nie — powiedział. - To nie! Mój Boże, tylko nie to.

Zerwał się gwałtownie. Stał nieporadnie z opuszczonymi rękami i ramionami wpatrując się w dziewczynę, która leżała u jego stóp.

Potem uciekł.

* * *

Grabowski, który teraz nazywał się Grabow, zestawiał bilans. Tkwił w długach po uszy, ale kto w rolnictwie nie był zadłużony? Nie było prawie domu nie obciążonego wieloma hipotekami, nie było prawie plonu, który by już wiosną nie był zastawiony.

Tak było niemal wszędzie w Prusach Wschodnich. Nie tylko w Maulach, gdzie Lebrecht, który rozsiadł się na najżyźniejszej wschodniopruskiej glebie, z powodzeniem hodował bydło, pędził okowitę i handlował szlachetnymi warzywami. Ten Leberecht nie dopuszczał z zewnątrz żadnych wierzycieli. Jego sakiewka była wystarczająco pojemna, jego odsetki niskie; czasem w ogóle je darowywał.

Od lat należały doń całe Maule. Gdyby zechciał, mógłby je po prostu włożyć do kieszeni. Również gospodarstwo Grabowskiego, a co najmniej okazałą jego część. Po ostatniej swojej rozmowie z Leberechtem Grabowski przewidywał najgorsze. Jesliby bowiem Leberecht ujawnił wszystkie jego długi i zażądał zwrotu, zrujnowałby go. Bezpowrotnie.

Grabów siedział w domowej izbie, przy jadalnym stole i liczył. Dodawał sumy trzy- i czterocyfrowe, a na czole rysowały mu się głębokie zmarszczki. Liczył i liczył z mozolem, rzeczywistość nie zmieniała się jednak, bo gospodarstwo jego było zadłużone niemal na dwadzieścia tysięcy marek.

Twarz o szerokich policzkach podparł obu dłońmi i rozmyślał. Na Leberechta nie miał co liczyć, przeciwnie, to on był tym, który ruszy lawinę.

— Pies przeklęty — zawołał głośno Grabow.

Jego przygłucha i ułomna matka, siedząca beczynn timer w kuchni, zapytała chrapliwie: — Wołałeś mnie?

— Bzdury! — ryknął Grabow.

Matka potulnie zamilkła, on zaś rozmyślał w dalszym ciągu. Musiałby dostać gospodarstwo Materny! Tam była dobra ziemia. Do tego las z prawem wyrębu. W bardzo krótkim czasie można by z tej zapuszczonej posiadłości wycisnąć majątek. Połączyłby swoje i jej gospodarstwo i stworzył przedsiębiorstwo, które jako jedyne w Maulach mogłoby dorównać Leberechtowemu. Mogłoby też być od niego niezależne. Materna jednak nie chciała. Raz wyrzucił go żandarm, a potem sama Elfrieda i to wywijając ubijaczką do masła.

Kiedy pomyślał o Elfriedzie Maternie, aż mu kolana zmiękły z wściekłości. Pomyślał też jednocześnie o Leberechcie, któremu pragnął odplacić, i o Thielem, któremu winien się wywdzięczyc. A jakie miał plany!

Dalej głowił się i nad tym, w jaki sposób mogłoby się mu udać uzyskanie zwolnienia od długów. Leberecht i Materna wypadli chyba na dobre z tego rachunku. Jako ortsbauernfiiherer zwrócił się więc do powiatowego kierownictwa i tam z pomocą gromkich słów przedstawił trudną sytuację rolnictwa.

Kredyty obiecano, ale dopiero na przyszłą wiosnę. To zaś będzie zbyt późno.

Pozostało jedno, a była tym polisa towarzystwa ubezpieczeniowego w dziale ubezpieczeń od ognia. Warta dwudziestu pięciu tysięcy marek.

Ostatnimi czasy polisę tę Grabow zawsze nosił przy sobie, nosił też pocztowe pokwitowania, regularnie, od kilku miesięcy, opłacanych składek. I oto, jak mniemał, nie pozostawał mu inny wybór. Uśmiechając się przyznawał, że nie jest to wybór najgorszy. Szczególnie pomyślnie były okoliczności zewnętrzne. W sąsiedztwie Mauli w ostatnich latach nie spaliło się nic, a to była korzystna przesłanka. Byłoby nawet niepokojące, gdyby paliło się wszędzie, tylko nie w Maulach.

Najważniejsze były jednak starannie przemyślane przygotowania. Plan swój ułożył podczas długich wieczornych godzin i uznał, że jest pozbawiony słabych stron. Był przekonany, że ocygani ubezpieczenie zgodnie z wszelkimi regułami sztuki. Oczywiście i policję! Wobec tego, co on wymyślił, Thiele okaże się ślepy jak szczenię.

Grabów wstał zdecydowanie. Polisę ubezpieczeniową wtknął do kieszeni na piersiach. Oczywiście było, że nic powinna spłonąć z całą resztą.

Poszedł do siedzącej w kuchni zgrzybiałej i przygluchej matki.

— Wypocznij sobie powiedział jowialnie. — Najlepiej będzie, jeśli się zaraz położysz i pośpisz parę godzin.

— Jesteś dobrym synem — odrzekła wzruszona staruszka.

— Musisz się oszczędzać — powiedział. — Idź spać zaraz. Dobrze ci zrobi poobiedni sen.

Staruszka mile przytaknęła kochającemu synowi.

Wyszedł na podwórze i mocno a serdecznie walnął w tyłek Trautę, swoją służącą. Potem zawołał parobka.

— Dziś po obiedzie zaczniemy na południowym zagonie — oświadczył. Południowy zaś zagon leżał w bezpośrednim sąsiedztwie domu.

— Dziś po obiedzie mieliśmy jechać do lasu — powiedział parobek.

Grabow udał, że nic o tym nie wie.

— Tak? Mieliśmy tam jechać?

— Już wszystko przygotowałem — oznajmił parobek.

— No, dobrze — powiedział Grabow. — Skoro przygotowałeś, to pojedziemy do lasu.

Udał się do szopy, która łączyła dom ze stodołą. Chwilę odczekał, czy nikt za nim nie idzie. Potem wziął leżącą pod ścianą drabinę, postawił ją i wspiął się przez otwór na strych z sianem. Z kieszeni wydobyl świecę, którą postawił na suchych, spróchniałych deskach. Następnie wydobyl ze spodni torebkę z prochem i rozsypał go wokół łożówki. Teraz w bezpośrednim sąsiedztwie prochu rozłożył suche siano.

Jeszcze raz sprawdził dokładnie wszystkie przygotowania. Świeca będzie się paliła około trzech godzin, zanim płomień nie dosięgnie prochu. Wypróbował to dokładnie... Wtenczas proch się zapali i roznieci siano. Cała reszta, to dziecinna igraszka. Po około trzech i pół godzinach obejście będzie musiało stanąć w płomieniach.

Przez chwilę nasłuchiwał, ale w pobliżu nikt się nie poruszał. Spojrzał więc na kieszonkowy zegarek. Było niewiele przed drugą. Zapalił zapalną i przytrzymał ją przy knocie świecy. Zaczęła płonąć uroczyście.

Grabow zszedł ze stryszka z sianem, wziął drabinę i ułożył ją starannie wzdłuż szopy. Otrzeptał odzienie z kurzu. Potem wyszedł na podwórze.

— Przygotujcie wóz — zawołał — i wyruszcicie za mną mniej więcej za pół godziny. Wezmę rower i pojedę naprzód. Mam jeszcze to i owo do załatwienia we wiosce.

— Dobrze — zawołał parobek.

Grabow dosiadł roweru i pojechał do gospody Nowaka, gdzie kazał podać sobie piwa. Wypił ze smakiem.

— Która to właściwie godzina? — zapytał.

— Nieco po drugiej.

— Co, już tak późno? Muszę się pospieszyć. Mam przygotować drzewo w lesie. Do widzenia.

— Heil Hitler — zawołał do niego szynkarz i ortsgriptpenleiter Nowak.

Grabów uśmiechnął się krzywo. Kiedy przed gospodą wsiadał na rower, przejeżdżał właśnie jego wóz z parobkiem i służącą. Wyglądało na to, że wszystko się zgadza.

— No, w domu wszystko w porządku?

— Co by miało nie być w porządku? — odpowiedział pytaniem parobek.

— Właśnie, właśnie — powiedział spieszenie Grabow i pojechał przed zaprzęgiem.

W lesie pracowali spokojnie i z rozważą. Grabow mało co mówił ani nie poganiał.

Od czasu do czasu flirtował ze swoją krzepką służącą Trautą, którą nazywał Trautką, na co ona wytrzeszczała zmysłowo krowie oczy.

Krótko przed piątą rozpoczęli podwieczorek. Potem parobek zatroszczył się o konie, a Grabow zabrał się do Trautki i stwierdził, że nie nosi ona majtek. Chociaż cała ta scena rozegrała się względnie szybko, przerwa na podwieczorek jednak przeciągnęła się ponad normę.

Parobek wrócił ze skraju lasu, gdzie stały konie.

— Pali się gdzieś — powiedział.

Grabów rzucił okiem na swój kieszonkowy zegarek. Minęła piąta. Schował go spieszenie. Zmusił się do obojętności, co mu się doskonale udało.

— Gdzie się pali? Chyba nie w Maulach?

— Myślę, że tak — powiedział parobek. --, Nie powinniśmy tam pojechać?

— Po co zapytał dobrodusznie Grabow. — Czy należy my do straży pożarnej?

— V^/hcę z panem pomówić — powiedział żandarm Thiele wszedłszy na taras w majątku.

— Czekałem na pana — rzekł Leberecht. — Zdziwiłbym się.

gdyby pan nie przyszedł. — Zrobił dłonią szeroki, zapraszający gest i wskazał Thielemu krzesło.

Żandarm usiadł. Obaj wpatrywali się w świetlistą noc i w czerwoną lunę dogasającą w południowej części Mauili. Blask ognia rozciągał się nad mglistym horyzontem jak wielkie, czujne oko drapieżnego zwierzęcia.

— Czy udało się panu wykryć przyczynę pożaru? — zapytał Leberecht.

— Prawdopodobnie wybuchł w szopie — stwierdził Thiele. — Przerzucił się jednocześnie na dom i stodołę. Stajnia prawie ocalała.

— Pytałem pana o przyczynę.

— Podpalenie — powiedział krótko i z przekonaniem Thiele. — Będę mógł udowodnić.

— Napije się pan czegoś? — zapytał Leberecht przyjaznym, dziwnie znużonym głosem. — Wydaje mi się, że dzisiaj będziemy mieli wiele do omówienia. Czego by pan zechciał: wódki, likieru, czy piwa?

— Dziękuję — rzekł sztywno Thiele. — Na służbie z reguły nie piję.

— Jest pan więc u mnie służbowo — zauważył rzeczowo Leberecht, a choć noc nie pozwalała dostrzec, że się uśmiecha, można to było wyczuć w jego głosie. — Zakładam jednakowoż, że niedługo będzie chciał pan zabawić u mnie tylko prywatnie. Trzymajmy się jednak tematu. Pan wierzy więc w podpalenie. Kogo uważa pan za sprawcę?

— Czy można tu rozmawiać bez przeszkód? — zapytał Thiele.

— Bez obawy — zapewnił Leberecht. — Taras ten usytuowałem tak, żeby tu nikt nie przeszkadzał. Jedyne dojście do ogrodu wiedzie obok mnie. Kiedy wybuchł ogień i usłyszałem, że to obejście Grabowskiego, siedziałem tutaj. W ogrodzie są moje psy, może pan mówić bez przeszkód.

— Oczywiście, że za sprawcę, tak samo jak i pan, uważam Grabowskiego - - powiedział żandarm.

— A dlaczego pan sądzi — zapytał z ciekawością Leberecht

— że i ja uważam Grabowskiego albo Grabowa, jak on się teraz nazywa, za sprawcę?

Leberecht zapalił cygaro. Po pierwszym zaciągnięciu, które wykonał bez widomej przyjemności, powiedział:

— Ile też, drogi panie Thiele, warte jest życie starej, chorej kobiety? Co jest warte w świecie składającym się z pracy i potu? Wyrażając się fachowo można o niej powiedzieć, że jest nieużytecznym konsumentem! W pewnych okolicach południowych Niemiec, przed oknami zniedołężniałych rolników, którzy siedzą na dozywociu, sieje się mak. Kiedy gotuje się dla nich jedzenie, wkłada się do niego makówki, a że są trujące, przyczyniają się do przyspieszonej śmierci. Spotkałem majora w stanie spoczynku, niegdysiejszego znawcę koni i kobiet, dumnego niezwykle, pewnego siebie, człowieka honoru. Zagłodził swoją matkę, aż się już nie mogła poruszać, ale nie pozwalał jej umrzeć, gdyż zagarniał, a był opojem, rentę, którą otrzymywała jako wdowa po generale. W powiecie niborskim córka udusiła matkę w ubiegłym roku, bo potrzebowała, na posag, jej rzeczy. To też jest życie, Thiele. Czy weźmie pan cygaro?

— Nie — powiedział tamtem z irytacją. Odsunął się z krzesłem, co wyglądało tak, jakby chciał się oddalić od Leberechta.

— Kiedy coś takiego słucham, nie mogę siedzieć spokojnie. Wszystko się we mnie burzy. Ciągłe się też pytam, dlaczego pan tak obojętnie to przyjmuje. Zrozumiał pan? A może zgadza się pan z tym? Czasami odnoszę wrażenie, że pan popiera takie sprawy.

— Dlaczego miałbym to robić?

— Po to, żeby skuteczniej trzymać ludzi w swoich rękach. Pan im daje pieniądze, oni dają panu do dyspozycji wartości materialne. Pan wie o nich wszystko, ma pan ich w ręku. To także rodzaj polityki.

— Ma pan bujną fantazję — stwierdził Leberecht i mocno pociągnął cygaro. Thiele poczuł, jak obłok dymu zbliża się doń i otacza go.

— Przyszedłem, żeby powiedzieć panu, że dłużej tego tolero-

wać nie będę — rzekł Thiele. — Zdecydowałem się iść drogą, którą nakazuje mi moje przekonanie, i funkcja. Sygnałem dla mnie był dzisiejszy wieczorny program.

— Przypuszczam, że myli się pan co do znaczenia tego sygnału — powiedział spokojnie Leberecht. — Wygląda na to, że pan wcale nie rozumie tego, co się tu rozgrywa.

— Ale pan zna tę grę — odparł z uporem Thiele. — To morderstwo, to podpalenie. Ja jednak chcę tę grę popsuć.

— Niech pan słucha, Thiele — powiedział Leberecht — bo teraz udzielę panu dobrej rady. Niech pan nie lekceważy Grabowskiego. Zawsze wiedziałem, że jest podstępny i przebiegły. Zaskakuje mnie jednak fakt, że jest on też odważny. Dotąd zawsze był podżegaczem, nigdy zaś człowiekiem czynu. Niech pan rozważy moje słowa, Thiele. Jeśli to Grabowski podłożył ogień, przemyślał też sobie wszystko w szczegółach.

— Ja go jednak rozgryzę.

— Właśnie pan najmniej nadaje się do tego. Czy pan tego nie czuje?

— Jak to? — zapytał z niedowierzaniem Thiele.

Zdawało się, że Leberecht chichocze bezgłośnie w swoich trzewiach. Krzesło, na którym siedział, głośno zatrzeszczało. Z cygara trysnęło kilka iskier.

— A więc podejrzewa pan Grabowskiego. Usiłuje pan zebrać materiały. Zrobi pan wszystko, żeby go przymknąć.

— Na Boga, zrobię to! — potwierdził Thiele.

— Ale co on zrobi? Rozgłosi, że jest pan stronnicy, uprzedzony, mściwy. Wywlecze na światło dzienne historię, która trąci skandalem, a więc pański stosunek z Elfriedą Materną, powiązany z uszkodzeniem ciała, którego dopuścił się pan wobec niego, Grabowskiego. Mój drogi przyjacielu, na tej sprawie może pan skrócić kark. Raczej pański, niżli jego.

Thiele milczał. Zdawało się, że rozpląnął się w powietrzu. Potem znów zaczął oddychać.

— I co? — zapytał Leberecht. — Teraz się napijemy? Wódki, likieru czy piwa?

— Proszę mi dać wódki — powiedział cicho Thiele. — Jedną dużą wódkę.

Leberecht pochylił się nad stołem i podsunął mu butelkę, a potem szklankę do piwa.

— Proszę się obsłużyć — powiedział. — To jałowcówka. W tym roku szczególnie krzepko nastąpiła. Skrzynka piwa stoi pod stołem. To, jeśli zechciałby pan przepłukać gardło.

Żandarm Thiele pił wódkę i piwo. Nalewał tak gwałtownie, że przepelniał szklankę. Leberecht zapalił nowe cygaro. Twarz miał ciągle nieporuszoną i jakby pokrytą przyćmionym blaskiem. Kiedy zapłonęła zapalka, zobaczył, że ręce Thielego drżą.

— I na wszystkie te sprawy może pan patrzeć spokojnie? — powiedział w końcu Thiele. — Tak jakby to pana nie obchodziło! Jakby nie działa się to w Maulach, ale gdzieś w Chinach! Nawet gdyby pan miał być osobiście niewinny, w co teraz nie mogę już uwierzyć, współodpowiedzialny jest pan na pewno.

— Ma pan oczywiście rację — przyznał Leberecht, a jego głos zabrzmiał mocno i raczej rozwlekle. — Zapewne nie jestem bez winy. Nigdy tego nie mówiłem. Przeceniłem swoje siły i dobrą wolę, a nie doceniłem mocy, które się wyzwoliły. Ciągłe mi się zdawało, że potrafię okpić świat. Dzisiaj zaczynam rozumieć, że jestem błaznem.

— Uwierzył pan we własny ład i własną sprawiedliwość. Teraz już pan wie, że się pan pomylił.

— Ale też jeszcze mniej wierzę w tak zwany ład i sprawiedliwość, które pochodzą od tępaków i wiecowych mówców, albo, co dzieje się teraz, zaprowadzane są przez chuliganów i wałkoni. Nie doceniłem władzy i żądy władzy tych przestępczych typów i jeśli kiedykolwiek popełniłem niehezpieczny błąd, to właśnie w tej kwestii.

— Uczyłem się, że człowiek może żyć tylko w uładzonych warunkach.

— Ja zaś odkryłem — powiedział z mocą Leberecht, — że człowiek tak naprawdę może żyć tylko w warunkach wolności.

Temu też poświęciłem całe moje lata, swoją zasobność i osobiste życie. Byliśmy szczęśliwi w Maulach, z dala od wielkich miast i gwarnych targowisk. Stworzyliśmy tu nasz własny świat. Nie był, na Boga, doskonały, ale był piękny. Zawsze powtarzaliśmy sobie, że jeśli Bóg sypia gdziekolwiek, jeśli gdziekolwiek może położyć się w spokoju, to tylko u nas, w najodleglejszym zakątku Mazur.

— Czy teraz już pan w to nie wierzy? — zapytał Thiele.

— Teraz nie mam już sił, żeby w to wierzyć.

Thiele obmacywał stół szukając pudełka z cygarami. Wcale nie chciał teraz palić, chciał tylko znaleźć pretekst do zapalenia zapalki, gdyż coś, co nawet nie było już ciekawością, skłaniało go do tego, żeby przyjrzeć się Leberechtowi.

Zapalka rozbłysła. Leberecht jakby zwiślał na swoim krześle. Był wielką, bezwładną bryłą mięsa. Twarz miał bladą jak воск. Zdawało się, że oczy ma zamknięte.

Zapalka zgasła w palcach Thielego. Sparzył sobie naskórek, ale nie czuł bólu. Zapatrzył się w noc, która otaczała ich nieprzeniknionym mrokiem.

— Czuję, jak skrada się do nas epoka, która nas stłamsi — powiedział cicho Leberecht. — Coraz większe wokół nas ciśnienie. A my kruszejemy. Już nie myślimy o wszystkich, wielu zaś zaczyna myśleć tylko o sobie. Działają w grupach, we wspólnotach interesów. Rozpoczyna się walka każdego przeciw każdemu. To jest tak, jakby ziemia umykała nam spod stóp. Rodzina, której częścią jesteśmy, ulega rozpadowi. Miejsce wspólnoty zajmuje organizacja. Mamy się stać numerami, Thiele. Kartami kartoteki. Nawozem. Ale po co to, Thiele? Po co?

— Nie tak to widzę -- powiedział ostrożnie żandarm.

— Nie może pan widzieć — rzekł Leberecht. — Pan nie wie, jak tu było, nie przeczuwa pan, co będzie. Jeszcze przed paroma laty podróż do Olsztyna była niewielką przygodą. Dzisiaj mieszczuchy co dzień wtykają swoje wścibskie nosy do naszych izb. Świat staje się coraz mniejszy, nie ma już świata, który by należał tylko do nas. Zaczynamy deptać sobie po

piętach. Wszędzie pełno zapalnej materii! Dzisiaj spłonęło jedno gospodarstwo, ale co będzie palić się jutro? Nie zrobiliśmy, Thiele, dość dużo, żeby przeciwstawić się temu, odbierającemu dech, tłokowi, przeciwstawić się nam samym. To zaś, co uczyniliśmy, najczęściej było niedobre.

Thiele milczał długo. Nie pojął wszystkiego, co powiedział Leberecht. Wyczuł tylko, że ów rosły mężczyzna traktuje to bardzo poważnie. Miał dla niego podziw, choć nie znał dokładnie jego przyczyny.

Obydwaj wpatrywali się w ciemność. Letnia noc, taka jak ta, nasycona czającym się mrokiem, nie była w Maulach czymś częstym. Zdawało się, że niebo zasnuwane jest czarnymi chmurami, które podniosły się z płonącego obejścia. W dali, z dziką skargą, wył pies.

Thiele zaczął mówić.

— Chcę panu powiedzieć, że już wiem, dlaczego zabito Maternę. Przejrzałem i przejąłem spuściznę po nim. Znalazłem ulotki, apele i broszury. Również listy z pogrózkami i coś w rodzaju rejestru kobiet, z którymi się przespał. To był hitlerowiec i świntuch.

— To jest to samo — powiedział twardo Leberecht.

— Ale nic nie usprawiedliwia morderstwa.

— Było już za późno — mówił Leberecht. — Czekaliśmy zbyt długo. Ten człowiek był jak zaraza, a my byliśmy osamotnieni. W każdym miejscu powinno zdarzyć się coś takiego. Wszędzie. Dzisiaj moglibyśmy oddychać swobodnie i spać spokojnie.

— Sprawę Materny zajmę się oficjalnie. Będę musiał zająć się oficjalnie. To też chciałem panu powiedzieć. To lepiej, że przygotuje się pan na to.

— Dobrze — odparł Leberecht, a głos jego znów brzmiał donośnie. — Niech pan robi to, czego nie może pan poniechać. A czy pan wie, kto to zrobił?

— Nie. A może chce mi pan podać nazwisko?

— Jeszcze nie teraz — powiedział Leberecht. — Może później, ale jeszcze nie teraz.

Thiele słuchał głosu Leberechta ze zdumieniem. Był pewny, czuł wyraźnie, że tamten się uśmiecha, i to go irytowało.

— Przede wszystkim — powiedział Leberecht — szczerze mnie ciekawi, jaka też będzie reakcja miejscowych kręgów partyjnych, kiedy zaczniesz pan szukać przesłanek zabójstwa pierwszego hitlerowca w Maulach. Obawiam się, drogi Thiele, że wpadnie pan w gniazdo os. Ale pan niczego innego nie chce!

Na peronie stacji Marcinowy Bór znajdowało się więcej niż zwykle ludzi. Czekali na poranny pociąg do Olsztyna. Stali w małych grupach i rozmawiali oszczędnie.

Majątkarz Leberecht, któremu towarzyszył syn Alfred i Frycio Grzesz, zamienił kilka słów z doktorem Gensfleischem.

— Powierzam więc panu pacjenta — powiedział uśmiechając się. Gensfleisch powściągliwie odwzajemnił uśmiech. Frycio Grzesz bowiem zadeklarował właśnie ochotę pociągnięcia krótkiego, ale mocnego łyka z podróźnej butelki.

Alfred nie zauważył tej sceny, świadczącej o zażyłości i zrozumieniu. Nie słuchał tego, o czym przy nim mówiono. Patrzył na Ewę Thiele, która stała koło milczącego ojca i zachowywała się tak, jakby się strasznie nudziła. Kiedy spoglądała w stronę Alfreda stojącego cierpliwie i wpatrującego się w nią, zdawać by się mogło, że widzi powietrze.

Nieco dalej spacerowali ortsguppenleiter i ortsbauernführer z Mauli pogrążeni w poufnej, jak wyglądało, rozmowie. Grabów mówił coś do Nowaka, ten zaś robił poważną, a zarazem skupioną minę. Potem mówił Nowak do Grabowa, który wyglądał tak, jakby zamierzał bronić wartości najświętszych.

— Gdybym był osobą prywatną — mówił Grabow — mógłby mnie Thiele pocałować w dupę, razem ze swoimi podejrzę -

niami. Ale jako Ortsbauernführer jestem, jak się to mówi, osobistością oficjalną. Dlatego wezmę sobie najlepszego adwokata, jakiego tylko można dostać.

— Nawet nie chcę pytać, Grabow, czy podpaliłeś wczoraj ten swój dom, czy też nie — powiedział Nowak. — Idzie mi tylko o jedno, o to, żeby partia była czysta.

— Na nią nie spadnie nawet pyłek, Nowak — zapewnił Grabowski. — Co jednak powiesz na temat zachowania się tego Thielego? Jak on łatwo oskarża partyjnych! Pytam się już od dawna, czy nie jest on nastawiony wrogo do naszego ruchu?

— Mam nadzieję, że nie — powiedział Nowak. — To mogłoby go wiele kosztować. Teraz jednak muszę jeszcze szybko podejść do Leberechta. Ze względu na uprzejmość i tak dalej. Zobaczymy się w Olsztynie.

Pociąg wtoczył się ospale. Jadący do Olsztyna rozdzielili się na grupy w poszczególnych przedziałach. Kiedy po milczącej, niemal godzinnej jeździe dotarli do powiatowego miasta, rozeszli się, pozdrawiając w przelocie.

* * *

Kreisleiter przyjął w swoim gabinecie dawnego przyjaciela i wojennego kamrata Leberechta. Nie wyszedł naprzeciw gościowi, tylko siedząc za biurkiem pomachał doń ręką, a gest ten wskazywał na niejakie przemęczenie.

— Heil Hitler! — zawołał z wyraźną przesadą Leberecht.

— Wszystko to gówno! — powiedział raczej nieuprzejmie kreisleiter. — Proszę nie przychodzić w celu złożenia mi kondolencji.

— Ale kto odważa kitę? — zapytał współczującym tonem Leberecht. — Partia?

— A to by cię cieszyło, co?

— Nie płakałbym. Jeślibyś miał tu postradać stanowisko,

przyjdiesz po prostu do mnie. Jako zarządca. Nie będę się targował o godziwą pensję, jeśli w zamian partia miałaby odwalić kity.

— Ta partia — powiedział kreisleiter — żyje, kwitnie i rośnie. To olbrzymowaty noworodek. Monstrualne poronienie.

Leberecht ciężko usiadł.

— Co to znaczy? — zapytał — czyżbyś się poddawał? Ze słabeś, oddajesz pole?

— Jestem przegrany — oświadczył z rezygnacją kreisleiter.

— Ta sprawa mnie przerasta. Nie jestem już panem samego siebie, nie mogę podejmować żadnych samodzielnych decyzji. Stałem się trybikiem wielkiego mechanizmu. Z wszystkiego muszę się rozliczać. Z wszystkiego, co nie podoba się moim zwierzchnikom. W rzeczywistości jestem zerem, Leberecht, jednym z wielu zer, które po to są potrzebne, żeby zestawiać 7, nich milionowe liczby.

Leberecht skinął głową, jakby musiał utwierdzić się w przekonaniu, że zawsze myślał prawidłowo.

— Ile czasu pozostawiasz sobie jeszcze? — zapytał.

— Najwyżej siedem dni, jeśli będę usiłował pozostać w jakimś stopniu uczciwym człowiekiem. Ale około tysiąca lat, jeżeli zwycięży we mnie świnia.

— Zawsze myślałem, że będziesz mógł mi pomagać.

— W czym, Leberecht? Potrzebujesz partyjnych mundurów, flag, czy też materiałów propagandowych? No to widzisz! Inne sprawy to już nie moja dziedzina.

— Polecono mi pana — mówił Grabow do adwokata Klimer. — Ma pan być tak zwaną znakomitością. W mojej sprawie będzie mógł pan wykazać, co ma pan pod kopułą.

— A co pan zrobił — zapytał Klimer.

— Podpalenie — odparł dobrodusznie Grabow.

Klimer myślał, że się przesłyszał.

— Tak otwarcie się pan przyznaje?

— A czy przyznałem się do czegoś? — zapytał prostodusznie Grabowski. — Tego się pan ode mnie nie doczeka. Dokładnie mówiąc, miałem to zrobić.

— Oczywiście nie zrobił pan tego.

— Co pan sobie wyobraża! — wykrzyknął z przekonaniem Grabow. — Ja, Ortsbauernführer!

Klimer ożywił się.

— No, to i przypadek jasny jak słońce — powiedział. — Idzie więc o polityczną intrygę wymierzoną w pana. Ze mną może pan rozmawiać szczerze. Jestem członkiem Narodowo-socjalistycznego Związku Prawników. Oczywiście należę do partii. Dość długo nas gnębiono. Teraz wybiła nasza godzina.

— Dlatego właśnie jestem u pana — powiedział Grabow. — A że lubi pan szczerłość, powiem, iż nie jestem małostkowy, tyle że honorarium dostanie pan wówczas, kiedy sprawa wyjdzie na czysto.

— Ma pan na myśli, kiedy wygramy proces.

— Mój miły człowieku — rzekł rozwlekł Grabow -- ja nie potrzebuję procesu, tylko spokoju. I pan ma mi w tym pomóc. Im szybciej wszystko pójdzie, tym lepiej dla mnie. Najważniejsze, żeby zdjął mi pan z głowy sąd. Za to wypłacę panu ustaloną należność, powiedzmy, tysiąc marek. Zgoda?

— Zgoda — powiedział adwokat.

— Płatne po zrealizowaniu kwoty ubezpieczeniowej.

Klimer słuchał uważnie.

Na jaką kwotę jest pan ubezpieczony?

Na dwadzieścia pięć tysięcy.

— To zmienia sytuację — oświadczył Klimer i odchylił się do tyłu.

— Nie chce pan więc?

Owszem — powiedział Klimer. — Tylko nie tysiąc marek. Dołoży pan jeszcze pięćset marek i otrzyma pan taką ochronę prawną, jaką tylko można sobie wyobrazić.

— Jest pan katem — rzucił Grabow. — Widzę, że rozumiemy się dobrze.

— Margot, zrobiłem co mogłem — powiedział Alfred Leberecht do dziewczyny leżącej na kanapie. — W tej chwili nie jest możliwe zdobycie większej kwoty.

— Jestem dobrze zorientowana — odrzekła *niewzruszona*.

— Wiem, że do twojego ojca należy majątek Maule. Obejmuje sześćdziesiąt włók i wart jest kilkaset tysięcy marek. Poza tym twój ojciec ma konto w banku.

— Nie jestem swoim ojcem — powiedział gwałtownie Alfred. — Musisz to zrozumieć. Dał mi pięćset marek. Na razie nie da mi już ani feniga.

Margot roześmiała się i badawczo popatrzyła na swoje paznokcie.

— Jak myślisz, co powie, kiedy dowie się, że został dziadkiem?

Alfred pochylił się nad nią.

— Nie rób głupstw — powiedział z groźbą w głosie. — Ostrzegam. Mnie już wszystko jedno. Moja przyszłość tak czy inaczej jest przekreślona. I ty to masz na sumieniu.

— Lubię cię, mój mały. Podobasz mi się. Mam z tobą dziecko, a ty mówisz, że twoja przyszłość jest zmarnowana. To ja muszę się troszczyć, a tobie jest wszystko jedno. Powiem ci coś, mój chłopcze, albo dostanę należne mi pieniądze albo całą sprawę przekażę sądowi opiekuńczemu.

— Co mam więc zrobić? — zapytał z rozpaczą Alfred.

— W co mnie wciągasz? Czy mam się z tobą ożenić?

— Ożenić? Po co? Żebyśmy głodowali oboje? A może wierzysz, że ojciec udzieli ci błogosławieństwa? Nie? No, to więc! Mam jednak ustawowe prawo do zaopatrzenia dziecka. Albo pięćdziesiąt marek miesięcznie, albo pięć tysięcy jednorazowego odszkodowania. Inaczej sprawy się nie załatwi.

— Daj mi jeszcze trochę czasu — prosił Alfred. — Robię co mogę.

— Chcę z tobą pomówić jeszcze dziś wieczorem — powiedziała Margot.

— To niemożliwe — odparł. — Mój pociąg odjeżdża zaraz po dziewiątej.

— Jest pociąg o jedenastej. Nim możesz pojechać.

— Ten pociąg dojeżdża tylko do Lesiny — powiedział z udręką Alfred. — Stamtąd mam jeszcze siedem kilometrów do Marcinowego Boru. Z Marcinowego Boru do Mauli też jeszcze spory kawał. Mam iść pieszo?

— Czemu nie — odparła Margot i popatrzyła na niego mrużąc oczy. — Czemu nie miałbyś pójść pieszo? Wcale ci to nie zaszkodzi. Jeszcze dziś wieczór muszę z tobą porozmawiać. Przyjdę na dworzec, do tego pociągu o jedenastej. Jeśli zechcesz oszczędzić sobie przykrości, będziesz na mnie czekał. Zrozumiałeś mnie?

— Mój drogi Thiele — mówił Riedesel, kapitan żandarmerii — cieszę się, że nie zawiódł pan mojego zaufania. Wierzy pan więc, że uda się panu wyjaśnić przypadek Materny?

— Na to wygląda powiedział ostrożnie Thiele. — Wierzę, że można wnieść oskarżenie. Na razie przeciwko nie ustalonej osobie.

— Cieszy mnie to — rzekł zadowolony Riedesel.

Thiele zaś pomyślał, że ów cieszy się z powodu, że był to mord, a nie jakiś udar serca. To go zdumiało, ale, że był zdyscyplinowany, nie okazał tego.

— Nareszcie Maule przestaną być w naszych statystykach białą plamą dodał Riedesel. To było denerwujące; żadnego doniesienia stamtąd, Radnego zgłoszenia o wykroczeniu, że już nie wspomnę o przestępstwie. Jeśliby się to rozpowszechniło, moglibyśmy rychło zacząć chodzić jako bezrobotni po pieczątki w książeczkach. — Kapitan Riedesel zaśmiał się krótkim męskim śmiechem na znak, że przed chwilą powiedział dowcip.

Thiele nie roześmiał się.

— Poza tym mam meldunek o podpaleniu — powiedział.

— Popatrz, popatrz — zawołał uradowany Riedesel. — Demaskują się Maule! Podpalenie. Czy pański materiał wystarczy do zastosowania aresztu?

— Panie kapitanie, paliło się wczoraj wieczorem — poinformował Thiele. — Zgodnie z przepisami zakończyłem dochodzenie wstępne. Wszystko, co mogłoby posłużyć jako materiał dowodowy, zostało zabezpieczone. Teraz proszę o delegowanie specjalisty policji kryminalnej.

Riedesel zaniepokoił się.

— Mój drogi Thiele — powiedział nie bez pretensji — czy sam pan nie da sobie rady? Trzeba trudzić inną służbę? Niech pan zrozumie mnie właściwie: z policją kryminalną współpracujemy oczywiście doskonale i w pełni kolegalnie, ale milej by mi było, gdyby wyjaśnienie sprawy w całości powiodło się placówce mnie podległej.

Thiele stał wyprężony. Rozumiał to naturalnie. Rozumiał wszystko. Miał oto być paradnym koniem, który powinien swojemu jeźdźcowi dopomóc w uzyskaniu sławy i uznania.

— Bardzo pana cenię, Thiele. Uważam pana za najzdolniejszego swojego funkcjonariusza. Pan wie, że przedstawiłem pana *do awansu*. *Oczekuję jednak od pana kompleksowej pracy*. Pan ma umocnić dobre imię żandarmerii. Niech pan sobie wyobrazi, Thiele, jakie oczy zrobią w rejencji albo i w ministerstwie spraw wewnętrznych, jeśli mord i podpalenie zostaną do końca wyjaśnione przez żandarmerię.

— Z człowiekiem, który nie bez podstaw podejrzany jest o podpalenie, miałem osobisty zatarg — oświadczył Thiele z trudem panując nad sobą.

— Jak mam to rozumieć, Thiele.

— Był to zatarg raczej osobistej natury. Chciał zniewolić pewną kobietę, która...

— Niech pan z tym skończy, Thiele — powiedział kapitan Riedesel. — Ani słowa o tym. Pańskie osobiste zatargi nie interesują mnie, chociaż to, że mają one wpływ na okoliczności służbowe, jest po prostu niesłychane. Po prostu jest to niesłychane, Thiele. Ale dobrze, zawiadomię policję kryminalną.

Dostanie pan swojego specjalistę. Z awansu jednak nie będzie nic.

— Tak jest, panie kapitanie — odparł służbiście Thiele.

— Jeszcze jedno panu powiem, człowieku, jeśli panu i tamten mord wymknie się z rąk, przestanie pan być żandarmem.

— Drogi panie kolego — rzekł doktor Gensfleisch do lekarza powiatowego — dzisiaj znowu potrzebuję pańskiej fachowej porady.

— Czy znowu idzie tu o ekshumację zwłok, o których mówił pan ostatnim razem?

— Tamta sprawa została odłożona na później.

— Cieszę się razem z panem — powiedział lekarz powiatowy mrugając porozumiewawczo. — Im bardziej odsunie się to w czasie tym mniej dokładna musi być diagnoza.

— Dziś potrzebne mi jest pańskie orzeczenie, panie kolego. Oczywiście opłacone. Dysponuję honorarium, które może być przekazane natychmiast. Idzie tu o pewnego mojego pacjenta. Nasze orzeczenie ma stwierdzić jego umysłową niepoczytalność. Tu mam podkładki.

Gensfleisch wręczył lekarzowi powiatowemu plik papierów. Zgromadził je w czasie długiej nocnej pracy. Lekarz powiatowy pilnie się nim zajął, a w końcu powiedział:

— To się da zrobić. Gdzie jest ten pacjent?

— Czeka w sąsiednim pokoju. — odrzekł Gensfleisch. Zaraz się podniósł i przyprowadził Grzeszą. Frycia Grzeszą.

— Niech pana Bóg błogosławi! — zawołał Grzesz ochrypłym głosem. — Jeśli należy mi pan dużą wódkę, pobłogosławi też wszystkich pana potomków.

Lekarz powiatowy bacznie przyglądał się Grzeszowi.

— Czy to pan sam zgłasza wniosek o uznanie pana za niepoczytalnego?

— Tak jest — powiedział rozwlekłe Frycio Grzesz. — Z boską pomocą.

— Dlaczegoż to, panie Grzesz?

— Widzi pan, jestem człowiekiem napiętnowanym — oświadczył ów i rozłożył ręce. — Mam charakter owieczki, ale kiedy popiję, jestem niby lew.

— Tylko wtenczas, kiedy pan wypije? — zapytał lekarz powiatowy.

— Pan kolega chce wskazać, że *u* pana mogłoby rozchodzić się o tak zwane delikty pijackie — wyjaśnił spieszenie Gensfleisch. — O coś w rodzaju białej gorączki. Musiałby pan pójść wówczas do zakładu leczniczego dla alkoholików.

— O, nie! — zawołał z emfazą Grzesz. — Lwem jestem nie tylko wówczas, kiedy popiję. Często nachodzi mnie to i po trzeźwemu. Kiedyś siedziałem na zebraniu naszej ukochanej partii i odniosłem wrażenie, że człowiek za mównicą jest wytaoczany w łajnie. Wyraźnie czułem, że śmierdzi, ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy widzę psy ze sterczącymi uszami, muszę płakać. Czasem rozmawiam z krowami w oborze, szczególnie, kiedy są to krowy czerwono-łaciate. A pewnego razu chciałem grać w karty kwiatami.

— Niekiedy jest całkiem niepoczytalny, ale poza tym zupełnie nieszkodliwy — szepnęła Gensfleisch.

— Zbadam go — powiedział lekarz powiatowy. Sądzę, że będę mógł, panie kolego, dołączyć się do pańskiej diagnozy.

— Wygląda pan jak mój młodszy brat — zauważył ciepło Grzesz. — On ciągle próbował nauczyć kury paradnego marsza, ale to udaje się tylko z wołami. Wiele razy to wypróbowałem.

— Wygląda rzeczywiście na niepoczytalnego — orzekł poważnie powiatowy lekarz.

Powiatowy kierownik organizacyjny grzmocił pięścią w stół i zaśmiewał się.

— Prawidłowo, parteigenosse Nowak. Całkiem prawidłowo. Niech pan nie pozwala na nic, ale to nic.

— Zawsze mówię, że partia jest wszystkim. To mój przewodni motyw.

— Ode mnie pan go przejął, Nowak. Rozumiemy się. I wybijemy się.

— Mogę więc liczyć na pańskie poparcie, panie powiatowy kierowniku organizacyjny?

— Czy może pan na to liczyć, panie ortsruppenleiterze! Widzi pan sam, że nasz marsz do przodu jest niepowstrzymany. Ciągłe za dużo jednak balastu. Wsteczników i marcowych zajęcy.* Tych musimy, Nowak, wyrzucić za burtę, żeby nasza łódź popłynęła szybko naprzód.

— Czy mogę zwrócić uwagę na to, że pan Leberecht i pan kreisleiter są dobrymi przyjaciółmi?

Powiatowy kierownik organizacyjny uśmiechnął się wyniośle.

— Na to nie musi mi pan zwracać uwagi. Sam o tym wiem. To już zresztą nie ma prawie żadnego praktycznego znaczenia, choć mógłbym powiedzieć, że to znamienne. Widzi pan, nasz kreisleiter ma oczywiście zasługi, pan Leberecht też może być zasłużonym człowiekiem, ale decyduje to, czy bezwarunkowo opowiadają się za partią, czy też nie.

— Takie jest i moje zdanie — oznajmił Nowak.

— W Maulach jest pan zatwierdzonym reprezentantem władzy. Tylko pan i nikt inny. Jeśli nie będzie pan robił dokładnie tego, czego partia od pana wymaga, względnie czego się po panu spodziewa, będzie pan zgubiony. To chyba jasne?

— To jest jasne — powiedział Nowak.

— Niechaj więc pan w Maulach sztandar trzyma wysoko! Niech pan nie toleruje tego, żeby partia, żeby nasz ruch był wyzywany, szkalowany, oczerniany albo pogardzany. Żadna

* Marcowy zajęć -- w potocznym języku członkowie NSDAP, którzy swój akces zgłosili po marcu 1933, po przejęciu przez hitlerowców władzy. (Przyp. tłum.).

plama nie może skazić jego czystego wizerunku. Tego niechaj pan nie toleruje pod żadnym pozorem. Z niczyjej strony. Niechaj pan zawsze pamięta, że za panem stoi führer. To pana umocni.

* * *

Wieczorny pociąg opuścił Olsztyn jak zawsze punktualnie o dwudziestą pierwszą trzy.

Niemal wszyscy podróżni z Mauli znaleźli się przypadkiem w tym samym przedziale. Chmurny i milczący Leberecht siedział w rogu. Nie chciało mu się palić. Pić też nie chciał. Swoją pierśówkę oddał Fryciowi Grzeszowi, który miłośnie tulił ją w ramionach.

— Wszyscy ludzie z miasta — rzekł Frycio — mają twarde stopy i miękki mózg. Bierze się to stąd, że za dużo muszą chodzić po braku.

— Führer — odezwał się Nowak ze swojego narożnika — wzrastał na wsi.

— Popatrz, popatrz — zainteresował się Frycio. — Ale na wsi też nie wszyscy są normalni.

— Jedno chciałbym wiedzieć, to mianowicie, kto wczoraj podpalił moje obejście — powiedział Grabow alias Grabowski, z rozbijającą bezczelnością.

— Pana to chyba zainteresuje, panie Leberecht — powiedział Thiele — że śledztwo będzie prowadził specjalista od pożarów, z policji kryminalnej.

Leberecht uśmiechnął się i ledwie dostrzegalnie skinął głową Thielemu.

— Nieźle — rzekł. — Mnie jednak interesuje to mniej niżli innych ludzi.

— Dla mnie jest to całkiem obojętne — oświadczył Grabowski. — Sumienie mam czyste.

— Przestrzegam przed zniesławieniem zasłużonego partyjniaka — powiedział dość zdecydowanie Nowak.

— Mnie interesuje tylko to, kto jest podpalaczem — odparł nie mniej zdecydowanie Thiele. — A czy to poza tym parteigenosse, czy też nie, to już nie interesuje mnie wcale. Prawo jest prawem.

Koła stukotały mocno, przez otwarte okna napływało do przedziału świeże powietrze. Uszczęśliwiony Frycio opróżnił przekazaną mu podróżną butelkę słuchając uważnie, co mu szeptała Ewa.

Potem Frycio Grzesz zapytał głośno:

— Gdzie jest właściwie pana syn, Leberecht?

— Mój syn, gdzieś tam się wałęsa — odrzekł Leberecht. — Chyba ma w Olsztynie dziewczynę. Takiemu to dobrze! Trzeba być tak młodym jak on i takie mieć problemy!

W Olsztynie Alfred stał na peronie, czekał i spoglądał w stronę wejściowej roгатki. Niedaleko stał pociąg, który dojeżdżał tylko do Lesiny. Do odjazdu brakowało jeszcze parę minut.

Było mu trochę zimno. Poza tym był nieco zmęczony. Wieczorem posiedział w kinie, a potem poszedł na dworzec. Tutaj, stojąc w poczekalni, wypił duże piwo. Przeklinał Margot, która, chyba dla jakiegoś kaprysu, umówiła się z nim tak późno. Chętniej przebywałby z Ewą, a tu już z góry został zmuszony do niemal czternastokilometrowej nocnej wędrówki.

Popatrzył na zegar. Do dyspozycji miał jeszcze tylko cztery minuty. Lokomotywa stała pod parą. Konduktor zapalił już swoją karbidową latarkę. Alfred powoli wszedł do pustego przedziału. Otworzył okno i wyglądał przez nie.

Margot minęła roгатkę. Włożyła płaszcz i wyglądała w nim dziwnie niezgrabnie. Niosła spory tobolek.

Alfred pomachał w jej stronę, żeby go zauważyła. Natychmiast podeszła i wsiadła do przedziału. Zawiniątko ostrożnie położyła w kąciku.

— Przychodzisz bardzo późno — powiedział nieprzyjaźnie Alfred.

— Nie jest za późno — odparła Margot.

— Czego właściwie chcesz? Może chcesz pojechać ze mną? To niemożliwe!

— Uspokój się — powiedziała. — Nie pragnę być blisko ciebie. Chciałam tylko przynieść ci dziecko.

Zawiadowca stacji odgwizdał pociąg. Lokomotywa zaczęła sapać. Pomachano latarkami.

— Co się tu dzieje? — zapytał zdumiony Alfred.

— Przyniosłam ci twoje dziecko — powiedziała Margot. — Nie mogę dać z nim rady. Nie mam pieniędzy, żeby je wychowywać.

Pociąg powoli ruszył. Margot otworzyła drzwi przedziału i wyskoczyła. Chciał rzucić się za nią.

— Co mam zrobić z dzieckiem? — zawołał zbity z tropu.

— Zrób, co chcesz — odkrzyknęła.

Widział ją stojącą na peronie, coraz mniejszą i mniejszą. Twarz owionęły mu splachcie dymu. Przesuwały się ostatnie światła dworca. Olsztyn szybko pogrążył się w ciemnościach nocy.

W przedziale świeciła się mdła, gazowa lampa. Światło lepiło się do brudnych ścian, wsiąkało w szarobrunatną, zanieczyszczoną podłogę. Dziecko zaczęło ruszać się w zawiniątku.

Alfred stał oparty plecami o drzwi. Był bezradny. Na nędzny, wojskowy koc, w którym poruszało się żywe ciało, patrzył z nieufnością i lękiem. Teraz tamto stworzenie zaczęło krzyczeć. Kwilić powoli, jak przyduszone.

Ruszył jakby przyciągnięty magiczną siłą ku zawiniątku. Dotknął ciężkiego, woniejącego mdło koca, a potem go rozwinął. Płacz stał się głośniejszy. Zobaczył szeroko otwarte usta. Ramiona zakończone małymi dłońmi wyprężyły się.

Dziecko zapłakało jeszcze mocniej, jeszcze bardziej niespokojnie. Usiadł obok, podniósł ostrożnie zawiniątko i niemal z lękiem położył je sobie na kolanach. Patrzył na leżącą przed

nim bezradną istotę. Potem zaczął dziecko kołysać. Krzyk ucichł.

— Co mam zrobić z tym robakiem? — zapytał Alfred samego siebie.

Przyglądał się dziecku, które gaworzyło zadowolone. Buzię miało rumianą, pełną i gładką. Delikatne czarne włosy sterczały mu na głowie. Małe dłonie zaciskały się w pięstki, a potem znów się otwierały. Oczy dziecka były duże i ciemne; zdawały się patrzeć na Alfreda.

Alfred cofnął się przed tym spojrzeniem. Rozglądał się po wytartych ścianach, spojrział ku drzwiom, a potem w stronę okna. Na dworze czaiła się noc, czarnoniebieska, pełna obojętności. Błysnęło światło. Za oknem ukazała się jasna, niemal rażąca jaskrawością świetlista płaszczyzna. I jeszcze widać było głowę w czapce, jakby zawieszoną w ciemności.

Otworzyły się drzwi i konduktor wszedł do przedziału z biegnących na zewnątrz wagonów bocznych stopni.

— Bilety — powiedział.

Alfred sięgnął do lewej kieszeni surduta i wydobył bilet. Konduktor wziął go, sprawdził i nazaczył na tylnej stronie ołówkiem.

— W porządku -- rzekł, a potem popatrzył na dziecko, które Alfred ostrożnie trzymał w ramionach. Ten mały ma dobrze. Nie musi płacić za bilet. Zaśmiał się przyjaźnie.

Alfred również usiłował uśmiechnąć się tak samo przyjaźnie, ale mu się to nie udało. Skrzywił się zmieszany i znów popatrzył na dziecko. Ucieszył się, kiedy konduktor poszedł.

Pociąg na krótko zatrzymał się w Gienkach. Do przedziału weszła krzepka kobieta i usadowiła się dokładnie naprzeciw Alfreda. Taksowała go małymi, bystrzymi oczami. Było widać, że chce podjąć rozmowę.

Alfred wcisnął się w swój kąt i mechanicznie kołysał dziecko. Na jego twarzy malowała się nieporadność.

— Czy to pański mały braciszek, a może pańska siostrzyczka? — zapytała kobieta.

Nie doczekała się odpowiedzi. Młody człowiek z dzieckiem

zdawał się nie słyszeć albo nie chciał słyszeć. Rozgniewało ją to.

Pochyliła się.

— To nie jest silne dziecko — powiedziała następnie. — Najwidoczniej anemiczne. Mój krewniak, ze strony męża, też miał podobne dziecko. Umarło z wycieńczenia.

— Dziecko jest zdrowe — rzekł zwięźle Alfred tonem odpychającym.

— Nie wygląda mi na to — odparła kobieta. — Nie ma w nim siły i nawet krzyczeć dobrze nie potrafi. Niech pan popatrzy na jego ramionka, jakie są delikatne.

— Niech pani siedzi cicho — rzucił brutalnie Alfred. Czuł się całkiem bezradny. Niewiele brakowało, żeby zawył jak łańcuchowy pies.

— No, no — powiedziała wcale nie obrażona. — Nie musi pan zaraz tak podskakiwać, chłopcze. Mówię jak jest. To słabowite dziecko. Zobaczy pan, że będzie potrzebowało dwóch lat, zanim zacznie biegać. Ma pan gospodarstwo? Tak? No to niech pan pamięta moje słowa, że wielkiej pomocy nigdy nie będzie pan miał z tego robaczka.

Pociąg zatrzymał się w Weselicach. Alfred schwycił dziecko, przytulił je do siebie i bez słowa wysiadł. Zatrzasnął za sobą drzwi przedziału. Szybko poszukał innego, pustego. Stał w nim, z dzieckiem na rękę, kiedy pociąg znowu ruszył.

I stał tak jeszcze, kiedy pociąg zajechał do Lesiny.

— Lesina! — zawołał na stacji konduktor. —
Wszyscy wysiadają! Lesina! Wszyscy wysiadać!

Alfred wysiadł spieszenie, szybko przeszedł przez słabo oświetloną stację i zniknął w ciemnościach wiejskiej ulicy. Dziecko niósł przed sobą jak paczkę. Trzymał je drżącymi rękami.

— Co mam zrobić? — powiedział w przestrzeń.

Mechanicznie podążał szosą wiodącą do Marcinowego Boru, a stamtąd do Mauli. Szedł jakby go napędzał jakiś motor. Nie chciał myśleć o niczym. Niemal biegł i zrobiło mu się gorąco.

Dziecko nie poruszało się w zawiniątku. „Może nie żyje — powtarzał sam sobie — lękliwie nasłuchując; a może tak właśnie byłoby dobrze?” Oblał go pot. „Tak myśleć mi nie wolno — powiedział — nie wolno mi myśleć o czymś takim. Nie wolno mi myśleć, nakazywał sobie”.

Nadjechał szybki samochód. Zdawało się, że światła reflektorów chcą go zagarnąć, skoczył więc za drzewo i oparł się o nie. Stał ciężko oddychając, kiedy samochód dawno już utonął w ciemności. Ciało miał rozpalone, a chłód nocy lepił się do niego.

Znów ruszył dalej zataczającym się krokiem. Dawno minęła północ. Żadne światło nie przenikało nocy. Księżyc otulony był szarobładym welonem. Niebo nieskończenie wolno zdawało się nasycać mdłym jego blaskiem.

Alfred wsłuchiwał się we własne kroki, które, jak mogło się zdawać, połykane były przez korony przydrożnych drzew. Otaczała go czająca się cisza. Nawet psy przestały szczekać ospale i wyc swoje nocne skargi.

Kiedy dotarł do Marcinowego Boru, właśnie biła pierwsza. Wyraźnie słyszał uderzenia kościelnego zegara rozlegające się w nocnej ciszy, ale nie wiedział już, skąd dobiegają. Było mu to całkiem obojętne. Czuł, że bołą go ramiona, a palce są jak zmartwiałe. Były sztywne i bez czucia.

Za Marcinowym Borem usiadł w przydrożnym rowie. Obok siebie położył zawiniątko z dzieckiem. Czuł śmiertelne znużenie. Zapragnął położyć się i spać. Spać i nigdy więcej się nie obudzić. Tak sobie myślał

Powoli zapadał w sobie. Wygasła w nim woła, głowa pochylila się i oparła o pierś. Nagle się przeraził, bo mu się wydawało, że go ktoś woła.

To znów płakało dziecko. Głośno i żałośnie, jakby się miało zatchnąć. Krztusiło się i dusiło. Potem rozwrzeszczało się znów.

Alfred pochylił się nad dzieckiem. Wionął ku niemu odór odchodów. I znów rozległ się płacz. Poczul wstręt i odchylił się.

— Mój Boże, co też mam robić! — powiedział. Zastanawiał się gorączkowo. „Przecież nie mogę wziąć dziecka do domu — pomyślał sobie — położyć je tam i powiedzieć: oto moje dziecko, oto wasz wnuk! Tego nie można sobie wyobrazić. Matka od krzyku dostanie konwulsji, ojciec zaś zechce go zabić.”

— Co więc? Co mam robić, co mam w środku nocy zrobić z tym dzieckiem? Ach — westchnął umęczony — chciałbym już nie żyć. — A potem pomyślał przestraszony: „niechby to dziecko już nie żyło. Margot, matka, no przecież matka, powiedziała, żebym zrobił, co zechcę”.

Cuchnące, bezradne, dygocące zawiniątko rozkrzyczało się się na niego. Naciągnął ciężki koc na płaczące dziecko. Dziki wrzask stracił na sile. „Jeśli teraz — pomyślał sobie cały drżąc, — mocniej ten koc naciągnę, jeśli przycisnę go do tych szeroko rozwartych ust, coraz mocniej, wówczas...”

Miał gorączkę. Drżał mocno.

— Przegrałem swoje życie — powiedział dygocąc. — Nikt mnie nie kocha. Nikt mnie nie rozumie. Nikt nie może mnie kochać, nikt nie może zrozumieć. Cała reszta nie ma sensu.

Patrzył przed siebie długo, a ramiona jego dygotały, drżały jego ręce. Był bezradny i rozbity. Na jego twarzy lśnił pot. Oddychał ciężkim, urywanym oddechem.

— Mój Boże — powiedział płacząc. — Co to za życie! Co mam, Boże, zrobić!

Nie mogli się rozstać. Świtał właśnie nowy dzień i przez zasłony wciskał się do sypialni Elfriedy Materny. U jej boku leżał Thiele i nie mógł spać tak jak i ona.

— Czy muszę teraz odejść? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Wszystko mi jedno, co pomyślą ludzie.

Objął ją i przytulił do siebie. Przez kilka chwil zdawało mu się, że tylko ona istnieje na świecie. Nikt więcej. Zamknął oczy i uśmiechnął się.

— Dobrze że przyszedłeś — powiedziała. I dodała szeptem:
— Tęskniłam za tobą.

— Po prostu musiałem przyjść — odparł Thiele. — Potrzebny był mi człowiek, w którym mógłbym znaleźć oparcie.

— I przyszedłeś do mnie? Właśnie do mnie?

— Nie mam nikogo poza tobą — powiedział. — Z córką nie mogę rozmawiać o tych sprawach. Ona nic nie wie o życiu.

— Ja wiem za dużo — rzekła ze smutkiem Elfrieda.

— Wczoraj, w Olsztynie, czułem się przygnębiony — mówił w zamyśleniu Thiele. — Chodziłem przez cały dzień i nie wiedziałem co zrobić. Oglądałem wystawowe okna, posiedziałem w restauracji, potem byłem w kinie. Miałem wiele czasu na rozmyślania, ale nie chciałem rozmyślać. Ciągle tylko powtarzałem sobie: ona na mnie czeka, ona będzie czekać, a kiedy do niej pójde, będzie moja. Wierzyłem mocno w to, że znów pewna kobieta istnieje dla mnie, że na mnie czeka.

— Czekałam na ciebie.

— Wszystko było takie oczywiste — powiedział. — Przyszedłem tu, ty zaś stałaś u płotu i podałaś mi rękę.

— Ale teraz chcesz odejść.

— Nie chcę — rzekł. — Ale muszę. Z twojego powodu. Jeśliby o mnie szło, tu kończyłby się świat.

Patrzyli na świtający dzień, który przez cienkie zasłony podpełzał do sprzętów. Na dworze zapiał kogut, a pies Hektor zawarczał na niego. Było tak, jak gdyby śpiewać zaczynało wczesne, poranne słońce.

— Nie jesteśmy radosną parą kochanków - powiedziała cicho.

— Ale będziemy szczęśliwi — odparł. Wierzę w to. Chcę w to wierzyć. Pomiedzy nami stoi jednak jeszcze umarły.

— Którego ty chcesz odkopać.

— Wcale tego nie chcę — powiedział i mocniej ją przytulił.

— Ciebie tylko chcę i niczego więcej.

Zamknęła oczy. Znowu nastąpiła noc, rozpostarła się nad nimi jak ciężka narzuta. Oddychli głośno. Objęli się wzajemnie, jakby mieli zatracić się na wieki.

Potem rozluźnili uścisk. Znużoną dłonią głaskała go po ramieniu. Uśmiechał się łagodnie. Potem powiedział: — Teraz już mnie nie nienawidzisz.

— Teraz byłam szczęśliwa — odparła. — Jeszcze trochę, a szczęście rozsądziłoby mnie. — Raptownie usiadła i pochyliła się nad nim. Przyglądała mu się badawczo. — Muszę ci powiedzieć, że było mi tak po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Znowu poczułam się szczęśliwa.

— Będiesz mogła zapomnieć o swoim mężu? — zapytał, a wypełniające go znużenie, które nim zawładnęło, pomogło mu postawić to pytanie ze spokojem.

— Nie muszę o nim zapominać — stwierdziła — to już przeszło. Kochałam go jak nikogo przedtem. A może to nie była miłość? Bo to było jak choroba. Jak pragnienie. To już wygasło. Po tej nocy wygasło.

— Zaczniemy życie od nowa — powiedział. — Czuję się tak, jakbym znów był młody. Było w moim życiu kilka kobiet, bo też długo pozostawałem samotny. Im byłem starszy, tym rzadziej się trafiały. Nigdy jednak nie było wśród nich takiej kobiety jak ty.

Leżała z otwartymi i rozświetlonymi szczęściem oczami. Jasność, która ich otaczała, była coraz intensywniejsza. Patrzyli w słońce, ale ono nie oślepiało ich.

— Nie wiem, co dotychczas działo się ze mną — powiedziała. — Dostrzegałam spojrzenia mężczyzn rzucające na mnie. Zrazu były mi obojętne, potem mierzyły mnie. Kiedy czułam dotyk obcych dłoni, sztywniałam i stygła we mnie krew. Tylko raz było inaczej.

— Kiedy? — zapytał.

— Z Leberechtem — odparła. — Z nim tak nie było. Wówczas, tamtej nocy, niemal w tej samej minucie, w której zabito Maternę. Kiedy później dowiedziałam się o tym, kiedy zobaczyłam go przed sobą leżącego i zakrwawionego, wszystko się we mnie zrywało. Zrobiło mi się niedobrze. Drżały mi kolana. Nie chciałam już nigdy żadnego zbliżenia z mężczyzną. Wówczas przysięgam to sobie.

Thiele popatrzył w górę i oglądał niski, biały sufit pokoju.

— Możesz więc zaświadczyć, że Leberecht był z tobą, kiedy zabito twojego męża? — zapytał potem.

— Jeśli to będzie potrzebne, mogę zaświadczyć.

— Nie był to więc on — powiedział Thiele, a zabrzmiało to tak, jakby notował te słowa. — Na pewno jednak był w to wmieszany. Jestem tego pewien. A nawet więcej, uważam go za inspiratora tego uczynku.

— To już się nie zgadza — powiedziała niemal bezgłośnie leżąca obok niego kobieta.

Thiele jednak konsekwentnie snuł swoją myśl.

— Wtenczas, przed niespełna rokiem, w czasie dożynek, podczas których zdarzyło się to morderstwo, Leberecht był w Maulach nieograniczonym władcą. Robiono to, co powiedział. Każdy żył tak, jak mu nakazał Leberecht. Materna nie był jednak taki. Buntował się. Zakłócał spokój. Zagroził zniszczeniem kręgu, jakim otoczył się Leberecht. A więc musiał zostać usunięty. Jedno skinienie Leberechta wystarczyło, jedno polecenie i Materna został unicestwiony.

— To się nie zgadza — powtórzyła kobieta.

Thiele i tym razem nie wysłuchał jej. Coraz wyraźniej rysowało mu się to, co, jak mniemał, powinien był sobie wyobrazić. Zdawało mu się, że wie już wszystko.

— Koniec końców było to coś w rodzaju morderstwa z pobudek politycznych powiedział. Mam w ręku dowody świadczące, że polityka odegrała w tym znaczącą rolę. Leberecht rozkazał, ale sobie zapewnił alibi. Zrobił zaś to ktoś inny. I to za zgodą oraz ochroną pozostałych uczestników. A teraz, Elfriedo, pora na kawał. Na kawał, z którego pomocą ruszę z posad całe Maule. W tym morderstwie dokonanym na pierwszym hitlerowcu z Mauli, uczestniczyło wielu takich, którzy dziś zajmują czołowe stanowiska w tej partii. Wpierw jednak muszę odkryć, kto zadał śmiertelny cios. Potem już wszystko potoczy się gładko i pozbędziemy się całej tej sprawy.

Elfrieda popatrzyła na niego z desperacją.

— Jeszcze raz ci mówię, że to się nie zgadza.

— Co się nie zgadza — zapytał nie pojmując niczego Thiele.

— Nie zgadza się. Przyczyna była inna. Jeśliby to zrobił albo nakazał Leberecht, stałoby się to z zupełnie innego powodu, niż myślisz. Nie wciągaj Leberechta w tę historię, bo wmieszasz i innych. Przecież istotny jest tylko ten, kto zadał śmiertelne uderzenie. To on jest mordercą.

— Nonsens, Elfriedo. Wierz mi, że znam już Leberechta. To on był tą siłą napędową. Jestem o tym przekonany.

— Ależ nie! — powiedziała z naciskiem Elfrieda — nie on.

— Kto więc?

— Ja.

— Co? — Thiele uniósł się i podparł łokciami. — Kto?

— zapytał jeszcze raz, a potem z niedowierzaniem powiedział:

— To nie jest możliwe.

— Jednak jest — odparła zmęczonym głosem Elfrieda.

— Jeśli zrobił to Leberecht, to tylko ja go do tego doprowadziłam. Tylko ja. Mój mąż znęcał się nade mną. Zaniedbał gospodarstwo, które wniosłam w ślubnym wianie. Przepijał moją posiadłość. Chodził do innych kobiet. Pewnego wieczora zadał się w kuchni ze służącą. Na moich oczach. Zmusił mnie, żebym się temu przyglądała! Potem pobił mnie do krwi.

— A to świnią — powiedział żandarm błędąc. — Nędzna świnią.

— Tak, jak byłam, pokrwawiona, dowlokłam się do Leberechta. Do kogo poza nim mogłam pójść? Kazał mnie opatrzeć, a potem opowiedziałam mu o wszystkim. O wszystkim. Powiedziałam też, że już nie mogę żyć z tamtym człowiekiem, że już nie chcę z nim żyć. Leberecht powiedział wtedy, że nie powinienam się o to martwić, że już on sam to załatwi.

Thiele bezsilnie opadł na plecy.

— A więc i to jeszcze — rzekł. — To przewraca wszystko. O tym nie powinienem był się dowiedzieć. Nie przypuszczałem nawet, że sam jestem ostatnim ogniwem tamtego łańcucha. — Znów się podniósł i odsunął od niej. — Jesteś kobietą, która

przyczyniła się do tego, że twój mąż został zabity! Mógł być, jaki był, ale to twój mąż!

— Nie chciałam tego — powiedziała płaczliwie.

— Ale się stało!

Leberecht patrzył z zadumą na syna leżącego w gorączce na pościeli. Patrzył na jego rozpaloną i błyszczącą od potu twarz. Dotknął jego ciała, które drżało pod sutym przykryciem.

— To zapalenie płuc — powiedział rzeczowo doktor Gensfleisch. — Nie powinien się pan tak tym martwić.

— Nie martwię się o niego — rzekł szorstko Leberecht.

Gensfleisch skinął głową.

— Czy nie żyje pan na tym świecie zbyt beztrosko, panie Leberecht? Niewiele tygodni temu świat zmienił się dla nas zasadniczo.

— W życiu ciągle zdarzają się jakieś nieprzyjemności odparł Leberecht. •— Jestem przygotowany na wszystko. Życzę tylko sobie, żeby też wszystko następowało kolejno, bez natłoku. Sądzi pan więc, że mojemu synowi nic zagraża szczególne niebezpieczeństwo?

— Jest młody i silny. Uważam, że jest odporny. Jedno nie jest dla mnie jasne, to mianowicie, skąd wzięło się u niego, w pełni lata, zapalenie płuc.

Leberecht uśmiechnął się. Naprawdę usiłował uśmiechać się beztrosko.

— Niech pan popuści wodze fantazji, doktorze. Rozpalone, spocone ciało, które ochładza się za szybko! To para miłosna na jakimś mokradle i to musiało być coś w tym rodzaju. Dziś wrócił do domu dopiero rankiem. Całkiem wyczerpany. Wczoraj wyjechał z Olsztyna nocnym pociągami, a że ten dojeżdża tylko do Lesiny, musiał łobuziak maszerować nocą ponad czterdzieście kilometrów. Domyślam się, że nie był sam.

Gdyby gorączka wzrosła, proszę mnie zawiadomić— powiedział przed odejściem Gensfleisch.

Leberecht podszedł do łóżka syna i popatrzył na niego trochę bezradnie. Ten zaś rzucał się niespokojnie w gorączkowym śnie. Chciał czegoś dosięgnąć dłońmi, ale chwycił pustkę.

Leberecht pytał sam siebie, co też działo się z tym chłopcem. Przychodzi do domu rankiem, zatacza się, pada na dziedzińcu, gdzie znajduje go oborowy pełniący nocną straż. Zaniesiony do pokoju dygoce na całym ciele, majaczy i sięga rękami w przestrzeń. Co też mogło się dziać z tym chłopcem?

„Mało o nim wiem — myślał Leberecht. — Zbyt mało wiem o nim. Nie jest taki, jaki ja byłem w młodych latach. Czy wydawałem tak wielkie kwoty? Czy kiedykolwiek wróciłem rankiem, do domu, z zapaleniem płuc? Całą noc potrafiłem spędzić z dziewczyną nad jeziorem Policzek i, na Boga, były to noce upalne, a my co rusz kąpaliśmy się w zimnej jak lód wodzie. Kiedy wstawał dzień, szliśmy do swoich zajęć. Zapalenie płuc? Nawet kataru nie mieliśmy!”

Leberecht pokręcił głową tak, jakby kłócił się ze swoimi myślami.

— Gdybym tylko wiedział, czego mu brak — powiedział cicho. Potem opuścił pokój chorego i zszedł na dół, na taras. Dłuższy czas przesiedział w ogrodzie. Potem ruszył do kancelarii i usadowił się za biurkiem.

Zapalił cygaro, a następnie zaczął sprawdzać rachunek za materiały do rozbudowy mleczarni. Niedługo jednak zajmował się tym. Nie potrafił się skupić.

Gospośia zameldowała, że przyszli panowie z partii w sprawie pilnej i ważnej.

— Nie jest to dla mnie ani pilne, ani ważne — rzekł zdecydowanie Leberecht. — Kiedy zmienię zdanie, zawiadomię tych panów o tym.

Gospośia oddaliła się wzruszając ramionami. Leberecht znowu sięgnął po rachunki. Nie zaczął ich wertować, tylko przyglądał się im przez długą chwilę, a potem odsunął na bok. Głowę podparł dłońmi i medytował.

Znów zjawiła się gospośia.

— Tym razem jest jakaś dama — powiedziała.

— Nie zaprosiłem żadnej damy — mruknął Leberecht.

— Ona jest z miasta. Z Olsztyna.

— Mówiła, czego chce?

— Chce rozmawiać z panem. Powiedziała, że w sprawie Alfreda.

Leberecht zaskoczony podniósł wzrok.

— Tak powiedziała? — zapytał. — No to wpuść.

Patrzył na drzwi w napięciu. Osoba nazwana damą weszła do pokoju i zbliżyła się do Leberechta.

— Pan jest ojcem Alfreda?

— Nazywam się Leberecht — rzekł powściągliwie z trudem tając ciekawość. — Kim jest pani?

— Jestem Margot — powiedziała dziewczyna i usiadła, zanim Leberecht zdążył zrobić zapraszający gest.

— Więc pani jest Margot — powiedział zaciekawiony i wyraźnie rozbawiony Leberecht. Przyglądał się jej bez skrępowania. Miała dobrą figurę, twarz cokolwiek zmysłową i pewną siebie, miękkie, niemal kocie ruchy. Tylko głos brzmiał ostro. Tak ogólnie podobała mu się. Uznał, że zwłaszcza w młodzieńczym wieku można się w niej zakochać. — Cieszę się, że poznałem panią.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

— Mam nadzieję, że pańska radość okaże się trwała.

Leberecht uśmiechał się nadal. „Ona czegoś chce — pomyślał. — Ma jakieś żądanie, które chce przeforsować. Serdeczna atmosfera nie jest jej do tego potrzebna. No to dobrze”.

— Pani zna mojego syna? — zapytał.

— Jestem z nim zaprzyjaźniona — odparła. — Zaprzyjaźniona blisko. Od dwóch lat.

— Nie ma złego gustu — rzekł z uznaniem Leberecht.

— Nigdy o mnie panu nie mówił?

— Niestety nie. Czym pani jest z zawodu?

— Sekretarką. To znaczy, byłam sekretarką. Porzuciłam swój zawód.

— Cóż to za strata dla pani szefa — powiedział wytwornie Leberecht.

— To Alfred był winien temu, że porzuciłam swój zawód.

— Co za brak odpowiedzialności — powiedział Leberecht. Ogarnął go dobry nastrój, gdyż wydawało mu się, że oto otwiera się przed nim możliwość rozwiązania trudnego problemu. — Pozbawił więc posady. Czy był w stanie to wynagrodzić?

— Właśnie, że nie — odrzekła Margot.

— Pięćset marek nie wystarczyło? — zapytał prosto z mostu Leberecht. Myśl, żeby to właśnie powiedzieć, nasza go nagle. Wydawało mu się, że już wie, o co tu idzie.

— Powiedział panu, na co mu potrzebne te pieniądze? — zapytała zmieszana Margot.

Leberecht, zadowolony oparł się o fotel i powiedział: — Teraz, kiedy zobaczyłem panią, niejedno stało się jasne.

— Tylko niejedno? — zapytała. — Nie zna pan całej prawdy?

— Sądzę, że zaraz mi pani o niej powie.

Margot wyprostowała się, a potem powiedziała zdecydowanym tonem: — Za pięćset marek nie mogę pozbyć się dziecka.

Leberecht, jak uderzony, opadł w swoim fotelu. Zdumiony patrzył na nią i powoli pojmował wymowę słów, które wypowiedziała przed chwilą. Przez jakiś czas oczy miał zamknięte, a broda opadła mu na piersi. Wreszcie zrozumiał.

Uniósł głowę i coraz większymi oczami bez skrupowania przyglądał się dziewczynie. Zdawało się, że zaczyna go to bawić.

Ona zaś ze zdumieniem spostrzegła, że zaczyna mu się trząść brzuch. Nie wierzyła oczom. Oto śmieje się ten tęgi, zwałisty i wyglądający na bardzo groźnego, mężczyzna. Śmiał się zrazu bezgłośnie, potem zaczerpnął powietrza i powoli wydusił z siebie zdławiony, coraz bardziej nabrzmiewający, gwałtowny śmiech.

— Tak więc to jest — powiedział następnie. — To właśnie to tak martwi mojego malca. Głupi chłopak! Kochany, mały idiota! I co sobie łobuz o mnie myśli? Czy jestem wyrodnym ojcem?

— Pan się cieszy? — zapytała zbita z tropu Margot.

— Z tego wszystkiego się śmieję — odparł wesoło Leberecht. Wyciągnął ręce i płasko położył je na biurku. — Dziecko! — powiedział. — Czy to chłopiec? Czy zdrowy?

— Tak — powiedziała Margot.

— Już widzę — mówił z humorem Leberecht — że nie napała się pani szczególnie macierzyńskim szczęściem. Przejdźmy więc do rzeczy. Czy mój syn chce się z panią ożenić?

— Sądzę, że nie.

— A czy pani chce wyjść za niego?

— To nie jest konieczne — powiedziała ostrożnie.

— Dziecku potrzebna jest rodzina, w której by wzrastało — rzekł Leberecht. — Musi mieć ojca, któremu będzie posłuszne. Kocha pani mojego syna?

— Kochałam go — powiedziała Margot, ciągle jeszcze zaskoczona i zmieszana szybkimi, precyzyjnymi pytaniami tego tęgiego, zwalistego mężczyzny, który napawał ją lękiem. Ten człowiek był jak dynamit i czuło się, że w każdej chwili może się tu zdarzyć coś strasznego. — Oczywiście, że kochałam pańskiego syna — powtórzyła.

— Teraz już go pani nie kocha?

— W trudnej chwili zostawił mnie bez pomocy — odparła urażona.

— Niech mi tu tylko pani nie robi scen — rzucił ostrzegawczo Leberecht. — Ten chłopak jeszcze nawet nie jest pełnoletni, a pani ma najmniej dwadzieścia pięć lat.

— Dwadzieścia cztery — poprawiła czujnie Margot.

— Wszystko mi jedno! — mówił Leberecht z groźnie brzmiącym spokojem. — Tak czy inaczej jest to niemal uwiedzenie małoletniego. Nie kłóćmy się jednak o drobiazgi. Chciałbym przypuszczać, że wiedziała pani, jak się ten chłopak będzie czuł. Mogłem to sobie wyobrazić. Ma za sobą chyba straszliwe miesiące. Niewykluczone, że cierpiał bardziej niżli pani w porożu.

— Było nie było to ja mam dziecko, a nie on — powiedziała arogancko.

— Uznaję to — powiedział Leberecht. — Nie jestem też drobiazgowy. Pani to zauważyła i przypuszczam, że spodziewała się pani tego. Bądźmy rzeczowi. On nie jest z powodu tego dziecka szczęśliwy, pani nie jest szczęśliwa z nim. Jak pani wyobraża sobie rozwikłanie tego problemu?

— W zwyczaju jest zasiłek wynoszący sześćdziesiąt marek miesięcznie, wypłacany do osiemnastego roku życia dziecka. Albo też jednorazowe odszkodowanie w wysokości dziesięciu tysięcy marek.

— Pani ceny nie są złe — powiedział gniewnie Leberecht. — Wiem jednak przypadkiem, że normalne odszkodowanie wynosi pięć tysięcy marek.

— Różnie to jest — odrzekła markując, że ma dobre informacje. — Mój adwokat uważa, że zależy to od finansowej sytuacji ojca albo, jeśli ojciec jest małoletni, od sytuacji jego ojca.

— To drogi figiel — zauważył Leberecht. — Z pewnością najlepiej będzie, jeśli tę sprawę załatwimy raz na zawsze.

— I ja tak myślę.

— Dobrze więc — powiedział Leberecht z ulgą. — Jeśli idzie o mnie, to cała sprawa zmierza ku unormowaniu. Chcę jeszcze porozmawiać krótko z synem, a potem zakończymy wszystko układem u mojego notariusza w Olsztynie.

— Pozostaniemy przy dziesięciu tysiącach marek?

— Minus pięćset — powiedział Leberecht.

Margot uśmiechnęła się poufale.

— Niech pan nie będzie drobiazgowy.

∴ — Niech pani nie będzie bezwstydną — ostrzegł Leberecht.

— W normalnych warunkach, z taką kochającą matką i z taką subtelną kochanką procesowałbym się, aż by leciały kłaki. Spokój mojego syna wart jest jednak dla mnie tej sumy.

— No to wszystko załatwione — powiedziała zadowolona Margot.

Podniosła się powoli i obciągnęła kostium. Prowokująco wypięła biust i uśmiechnęła się do Leberechta.

— Załatwione — rzekł Leberecht i również się podniósł.

Przyjrzał się jej z miną znawcy. Figurę miała rzeczywiście doskonałą, charakter jednak bardzo zdefektowany.

— No to zabiorę dziecko z sobą — powiedziała.

— Jakie dziecko?

— Moje dziecko.

— Pani je przyniosła? — zapytał nieświadomy okoliczności Leberecht.

— Ależ nie — zaprzeczyła. — Przecież Alfred je przywiózł.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zdumiony Leberecht.

— Dziecko ma Alfred — powiedziała. — Wczoraj wieczorem zabrał je ze sobą.

Leberecht sięgnął za siebie; usiłował złapać się za oparcie fotela, ale chwycił próżnię.

— Proszę wyraźniej — wykrztusił zduszonym głosem. Co Alfred zrobił?

— Kiedy wieczorem wyjeżdżał z Olsztyna, miał dziecko przy sobie. Było w jego przedziale. Nie ma go tu? — Jeszcze udawała wzburzenie. — Gdzie moje dziecko? — krzyczała. — Co on zrobił z moim dzieckiem?

— Niechże pani będzie cicho powiedział zbity z tropu Leberecht. Bronił się przed przyjęciem do wiadomości tego, co właśnie usłyszał. Ciężko usiadł w fotelu.

— Zabił moje dziecko! - krzyczała Margot i zachowywała się tak, jakby przestała nad sobą panować.

— To niemożliwe — wyszeptał Leberecht. — Nie może być.

— A jeśli jednak to zrobił?

— Wówczas ja go zabiję!

Z Olsztyna przyjechał inspektor kryminalny Wiltfever ze swoim asystentem. Główną kwaterę założył w gospodzie Nowaka.

Tylko na jedną noc — powiedział. Więcej nie potrzebuję.

Wiltfever, niewysoki, chudy mężczyzna o szczekliwym głosie

uchodził powszechnie, w całej prowincji, za najlepszego człowieka w sprawach wyjaśnienia podpaień. W czasie trzech ostatnich letnich okresów obfitujących w bankructwa miał ręce pełne roboty i mógł swoje doświadczenia wzbogacić w znacznym stopniu. Jeśli tylko rzeczywiście szło o podpalenie, potrafił je udowodnić.

Chodził po wsi pochylony i rozglądał się małymi, czujnymi oczami. Jego uwidaczniającymi się przymiotami były nieufność i nieuprzejmość. Humor miał zjełczały. Nikomu nie wierzył, nikomu nie ufał. To właśnie były podstawy wielkich jego sukcesów.

Wiltfever, który uprzednio zorientował się wstępnie według mapy, bez trudu znalazł obejście Grabowskiego. Szopa, stodoła i dom mieszkalny były prawie całkiem spalone. Tylko obora ostała się nie uszkodzona. Teraz Grabowski mieszkał tam, w składziku paszy, pod opieką Trautki. Parobek sypiał przy koniach.

Inspektor kryminalny Wiltfever przez dłuższą chwilę stał przed osmalonymi resztkami murów i belek. Wciągnął głowę w ramiona i zdawał się wachać. W przydyum policji nazywano go niuchaczem, a legenda głosiła, że podpalenie wietrzy tak, jak psy gończe zwierzynę.

Wiltfever ruszył naprzód, omackiem i trochę jeszcze niepewnie, tam, gdzie przedtem stała szopa. Rozejrzał się na strony, jakby chciał coś wymierzyć. Potem posunął się dwa kroki w lewo, by zatrzymać się niemal dokładnie w tym miejscu, w którym ongiś znajdował się właz na strych. Skinął głową. Jeśli nie było żadnych komplikacji, takich jak wiatr wiejący ze zmiennych kierunków albo materiały palące się eksplozywnie, jak choćby nafta czy benzyna, tu właśnie musiał wybuchnąć pożar.

Asystent, stojący na podwórzu w milczeniu i oczekiwaniu, przyglądał się inspektorowi, który teraz przyklęknął, z lęklwym podziwem. Obok asystenta stanął Grabow i z szeroko otwartymi oczami bez komentarza przyjmował do wiadomości to, co robił niewysoki, uparty mężczyzna.

Wiltfever ostrożnie sięgnął po resztki popiołu. Przyglądał się im z namysłem trzymając je w otwartej dłoni. Potem wydobył z kieszeni arkusik papieru i wysypał nań popiół.

— Niech no pan podejdzie — powiedział do asystenta.
— Co to jest?

Asystent powąchał, rozkruszył i rzekł: — Wosk.

Wiltfever pokiwał głową.

— Stary, prymitywny chwyt ze świecą — powiedział następnie. — Zaraz będziemy to mieli. Proszę pobrać próbki.

Inspektor kryminalny podniósł się, pobieżnie otrzepał kolaną i zaczął się rozglądać. Z doświadczenia wiedział, że ten stary, prymitywny sposób z łożówką był jednocześnie jednym z najtrudniejszych do udowodnienia. Co jednak nie dawało się dowieść z pomocą poszlak albo świadków, można było wydobyć przez analizę czasu i krzyżowy ogień pytań. W tych właśnie sprawach był mistrzem i jeszcze nie znalazł przeciwnika godnego poważnego traktowania.

Niewysoki mężczyzna kilka razy poruszył grdyką. Potem popatrzył na Grabowskiego.

Pan jest prawdopodobnie tym człowiekiem, którego szukam — *powiedzia*}. — Na to *mi pan wygląda*.

----- Jak wyglądam — zapytał nieuprzejmie Grabowski. Zachowanie się owego niewysokiego i aroganckiego typu zaczynało go złościć. Kim pan właściwie jest?

— Jestem inspektorem Wiltfeverem z policji kryminalnej — przedstawił się zwięźle.

— Może się pan wylegitymować? zapytał tak samo obcesowo Grabowski.

Wiltfever patrzył na Grabowskiego z zaciekawieniem i nieufnością. Tak samo patrzył Grabowski. Stali naprzeciw siebie jak rozzłoszczone psy sposobiące się do ataku. Asystent, zaskoczony tym, oderwał się od swojej pracy. Pomyślał sobie, że Grabowski to człowiek nieszczęsny.

Inspektor niechętnie wydobył legitymację i potrzymał ją przed nosem Grabowskiego, który dokładnie wszystko przeczytał, a potem skinął głową.

Natychmiast też, jakby już nazbyt długo się hamował i nie mógł więcej czekać, zabrał się Wiltfever do przesłuchania.

— Gdzie pan był w chwili, w której wybuchł pożar?

— W lesie. Odległym o mniej więcej trzy kilometry.

— Kiedy opuścił pan dom?

— Krótko przed drugą — powiedział obojętnie Grabowski.

— Świeca potrzebowała więc trzech godzin, żeby się wypalić.

— Jaka świeca? — zapytał udając głupiego Grabowski, ale nie potrafił całkowicie ukryć zaskoczenia. Ten mały człowieczek najwidoczniej wcale nie myślał zwlekać. — O jakiej świecy pan myśli? — zapytał jeszcze raz.

— O świecy, która została zapalona na krótko przed drugą, a potem, po trzech godzinach wypaliła się i roznieciła pożar.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał Grabowski usiłując demonstrować niewzruszony spokój.

— Znaleźliśmy resztki popiołu wskazujące na ślady wosku.

— Ach tak, pszczelego wosku.

— Pszczelego wosku, z którego robi się świece.

Grabowski uśmiechnął się.

— Co pan tu ciągle z tymi świecami! To był wosk. W szopie stały dwa albo trzy ule wycofane z pasieki.

Wiltfever zapomniał zamknąć usta. To był całkiem nowy chwyt, zupełnie zresztą niezły.

— A kiedy wycofał pan te ule? — próbował zaskoczyć szybkim pytaniem.

— Tego już dokładnie nie wiem — powiedział wolno Grabowski. — Może pan myśli, że prowadzę rejestr takich spraw?

Uzyskanie odpowiedzi na to swoje pytanie Wiltfever odłożył na później. Powtórzy je podczas przesłuchania pracowników Grabowskiego. W każdym razie było już jasne, że ten Grabowski to nie żadna płotka.

— Jest pan oczywiście ubezpieczony — powiedział.

— Jasne — odrzekł Grabowski.

— W jakiej wysokości?

— Dwadzieścia pięć tysięcy.

—Od kiedy obowiązuje ubezpieczenie?

—Od około trzech miesięcy.

—Zacząło obowiązywać w samą porę, co?

—Można tak powiedzieć — Grabowski przytaknął obojętnie. Zaraz jednak dodał: Myślałem, że jest pan z policji kryminalnej, ale wygląda na to, że jest pan z ubezpieczeniowej firmy. A może pan dostaje od nich procent?

— Niech pan nie będzie bezczelny! — mówił szczekliwie Wiltfever. — Na pańskim miejscu nie byłbym taki bezczelny.

— Ale nie jest pan na moim miejscu — odparł Grabowski. — Jeśli ja jestem bezczelny, to pan jest arogancki. A może pan myśli, że mnie to cieszy, iż jestem przez pana traktowany jako podpalacz?

— Czy powiedziałem o tym choćby słowo? — Wiltfever stanął w rozkroku i rozłożył ręce. — Pan, zdaje się, nie ma czystego sumienia. No bo, jeśli reaguje pan w taki sposób...

— Nie ma pan przed sobą idioty, mój panie! — udał oburzenie Grabowski pamiętający o pouczeniach swojego adwokata. I to mu się udało wybornie. Jego wydęte jak u trębacza policzki zdawały się dygotać ze wzburzenia. Poza tym jestem tu Ortsbauernführer!

Wiltfever spiesznie przelknął mocne słowa, które chciał wypowiedzieć.

No, to dobrze już — powiedział łagodząco. - Już dobrze. Oczywiście przeciwko partii nie mam nic, muszę jednak doszukać się wszystkich przyczyn tego pożaru. Nie chcę z panem rozmawiać na tematy polityczne, a tylko rzeczowo. Wszystkie pytania, które tu stawiam, służą wyjaśnieniu sprawy i muszę też pana prosić, żeby odpowiadał pan na nie z całą świadomością.

— Nie pozwolę się jednak obrażać!

— Nikt tu nie chce pana obrażać — powiedział Wiltfever. Uderzanie w taki ton nie było dlań łatwe, ale mężnie się prze-mógł. — Przejdźmy więc do rzeczy. Czy pan był ostatnim, który opuścił dom?

— O Boże, człowieku! — zdenerwował się Grabowski. Wy-

czuł, że jest górą i postanowił w pełni wykorzystać tę dogodność. — Niech pan nie przeinacza faktów! Dom opuściłem jako pierwszy. Po około pół godzinie wyruszyli za mną parobek i służąca. Jeśli pan nie wierzy, niech pan popyta w gospodzie. Koło drugiej piłem tam piwo.

— Ma pan więc świadków — rzekł Wiltfever mrużąc oczy.

— Ilu pan zechce! Nie trzeba więcej.

— Dlaczego właśnie tego popołudnia pracował pan tak daleko od domu? Tak daleko, że nie mógł pan udzielić pierwszej pomocy? Po prostu nikogo nie było tak blisko, by mógł ugasić ogień w zarodku. Kiedy dostrzeżono go na wsi, było już za późno. Szkoda, jaka tu zaistniała, jest wystarczająca do automatycznej wypłaty pełnej kwoty ubezpieczenia.

— Nazywam to szczęście w nieszczęściu — powiedział Grabowski. — Poza tym, tamtego popołudnia wcale nie chciałem jechać do lasu. Zaświadczyć może i parobek, i służąca. Chciałem się udać na południowy zagon. On zaś leży całkiem blisko domu. Parobek chciał jednak koniecznie do lasu. No, i co pan powie?

Wiltfeverowi na chwilę odjęło mowę. Dawno już nie zetknął się z tak spreparowanym alibi. Jakże on nienawidzi tych podstępnych chłopów, których inteligent po prostu nie jest w stanie zrozumieć. To urodzeni podpalacze! Gdyby to od niego zależało, pozamykałby ich i trzymał, aż zaczęliby się cieszyć, że poza jakimś podpaleniem nic więcej nie mają na sumieniu. Ale nie, on musi obchodzić się z nimi jak z jajkiem. Tutaj było podpalenie. Wietrzył je, czuł je, zdawało się, że mógłby je dotknąć. A jednak dowody nie były wystarczające.

— Oczywiście jest pan zadłużony — powiedział Wiltfever.

— Oczywiście — potwierdził bez skrępowania Grabowski. — Który z rolników nie ma dziś żadnych długów? Moje nie są jednak szczególnie wysokie. Wierzyciele też mnie nie naciskają. Partia obiecała mi natomiast szcudry kredyt. Sam pan więc widzi, że choć nie powodzi mi się ponad miarę dobrze, nie jest jednak źle. Nie było też przyczyny do puszczenia z dymem takiego obejścia.

Grabowski uśmiechnął się szeroko do Wiltfevera i myślał tak: „Nie schwycisz mnie za rękę. Moich długów, mój ty kochaniutki, malutki, nie możesz mi udowodnić i nawet nie będziesz tego próbował, bo na pewno nie znasz wszystkich sposobów różnych wierzycieli, którzy nie upadli na głowę. Oni będą wystrzegali się przyjscia po należność, dopóki nie stanie się pewne, że ubezpieczenie zapłaci. Oni nie przywiązują najmniejszej wagi do tego, czy będę skazany za podpalenie. Chcą swoich pieniędzy i powinni je dostać. Ta twoja tak zwana sprawiedliwość gównu ich obchodzi!”

— Tak — powiedział Wiltfever nieprzychylnym tonem. Zastanawiał się nad nowymi argumentami i nie mógł ich znaleźć.

— Zdziwiłbym się — mówił zamyślony gdyby nie popełnił pan gdzieś błędu.

— Wypraszam sobie lego rodzaju pomówienia zawołał z udanym oburzeniem Grabowski. Pełen był argumentów, których za tysiąc marek dostarczył mu adwokat. To, co pan robi tutaj, nie da się pogodzić z pańskimi służbowymi przepisami. Albo uda się panu zgromadzić cały kompleks poszlak, albo też ściągnie pan świadków, których zeznania nie dadzą się podważyć, ale w żadnym innym przypadku nie ma pan najmniejszego prawa do gadania o podejrzaniach adresowanych do mnie. Nawet sugerować ich pan nie może.

— Ja tylko dociekam — zawołał nerwowo Wiltfever.

— No, to proszę uprzejmie uwzględnić to, co ja czuję — powiedział Grabowski. — W końcu jestem tu ortsbauernführerem. Poza tym utraciłem tu matkę. Moją dobrą, starą matkę.

— Serdecznie współczuję — zamruczał skonsternowany Wiltfever, który z bezgranicznym zdumieniem zauważył, że Grabowski usiłuje wycisnąć łzy wzruszenia.

— Cóż pan może wiedzieć o tym, co dzieje się w sercu syna — rzekł Grabowski.

Leberecht mocno zastukał w drzwi prowadzące do służbowego pokoju żandarma. Nie czekając na zaproszenie, ciężkim ciałem naparł na drzwi i otworzył. Wepchnął do środka swoją masywną postać.

Thiele spojrział zdumiony znad biurka, potem się podniósł i podszedł do Leberechta. Natychmiast wyczuł, że gość jest roztrzęsiony, że coś mocno go poruszyło. zaproponował mu krzesło i Leberecht usiadł.

- Przyszedłem do pana z prośbą o radę — powiedział ciężko dysząc Leberecht. — Potrzebuję pańskiej pomocy. Żądam, żeby mi pan pomógł. Cieszy to pana? Triumfuje pan teraz?

— Cieszę się, że pan przyszedł — odparł Thiele. — Jestem oczywiście do pańskiej dyspozycji. Szczerze się cieszę, że mogę być panu pomocny.

— To dla pana gratka — rzucił uszczypliwie Leberecht. — Przyszedłem do pana! Wiem, panie Thiele, o pańskiej nagonce na mnie, w pewnej nader konkretnej sprawie, ale przyszedłem do pana. Gdyby nie było to śmieszne, można by powiedzieć, że jest wrzuszające. A wie pan, dlaczego to robię?

-- Żeby zastawić na mnie pułapkę?

Leberecht pokręcił swoją dużą głową.

— Nie mam na to czasu, ani ochoty. Po coś innego. Potrzebuję pana. Właśnie pana! Nie znam nikogo, kto mógłby mi pomóc.

— Pomogę chętnie — powiedział Thiele. — Jeśli będę potrafił, chętnie pomogę. Choćby z przyczyn egoistycznych, jeśli to może panu ulżyć. Może bowiem być tak, że i ja niedługo będę potrzebował pańskiej pomocy.

— To nie poprawia mojej sytuacji — odparł Leberecht. — Trudno mi wychodzić z tą sprawą, ale spróbuję.

— Niech pan zaczyna.

Leberecht przysiadł ciężko na, o wiele dla niego za małym,

krześle, które zaczynało skrzypieć, kiedy tylko ten rosły mężczyzna poruszał się na nim.

— No dobrze — powiedział. — Jeśli jest pan gotów, postawię panu najpierw jedno pytanie: czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie zdarzyło się w pańskim rejonie coś nadzwyczajnego?

— To i owo w końcu się zdarzyło -- powiedział zdziwiony Thiele. — Na ile jestem poinformowany, nie były to żadne nadzwyczajności. Czy nie mógłby pan być bardziej konkretny? Co ma pan na myśli?

Leberecht popatrzył Thielemu w twarz.

— Czy nie znaleziono zwłok?

Żandarm wielce się zdziwił i potrzebował dużo czasu, żeby się opanować.

— Zwłok? zapytał nie dając wiary. A potem nie zwlekając powiedział: Nie wiem o niczym takim.

— Nawet jeśli zwłok nie znaleziono — rzeki cicho Leberecht może jednak być łak, że zwłoki są.

To możliwe — potwierdził Thiele. — Mogą leżeć w lesie, w bagnie albo w jeziorze. Jak pan na to wpadł? Myśli pan, że ktoś się utopił! A może ktoś zaginął! Jest pan gotowy podać mi bliższe dane?

— Jestem gotowy — powiedział Leberecht. Nie mam wyboru. Nie wiem tylko, jak się to mogło zdarzyć.

Znajdziemy właściwą drogę — zapewnił Thiele. Widok tak bardzo zaniepokojonego Leberechia nie sprawiał mu satysfakcji. Czuł, że ów człowiek jest mu teraz bliski. Mieli swoje sprawy, ale nie byli wrogami, a teraz, już wiedział, że nigdy nimi nie będą.

Jestem złym ojcem — mówił Leberecht. Zbyt mało troszczyłem się o syna. Myślałem ciągle, że wyrośnie na silnego człowieka i bez trudu będzie torował sobie drogę, tak jak ja to robiłem. Moja młodość była jednak zgrzebna i twarda, jego zaś rozmiękczyły pieniądze, bezgraniczna matczyzna miłość i moja obojętność.

— Ze mną jest podobnie — wtrącił Thiele. — Córkę traktowałem i wychowywałem tak jak chłopaka. Za często pozostawiałem ją samą z jej problemami i troskami. Wiem o niej prawie tyle co nic. Żyliśmy obok siebie.

— Dopiero kiedy już jest za późno — ciągnął zamyślony Leberecht — zaczynamy się pytać sami siebie, dlaczego tak musiało być. A przecież oto istnieje człowiek, w nim moja krew. Żyje latami w tym samym domu, zasiada za tym samym stołem, słyszysz, jak myje ręce, jak czyści zęby. Pieściłeś go, spuszczałeś mu łanie, pomagałeś odrabiać lekcje, pouczałeś go. A tu nagle staje przed tobą człowiek, którego już nie rozumiesz, o którym mógłbyś pomyśleć, że nie widziałeś go nigdy w życiu.

— Pan ma syna — powiedział żandarm — i to by jeszcze uszło, aleja mam córkę. Do dziś nie wiem, jak należy bawić się lalką. Nigdy nie nauczyłem się dobrze zaplatania warkoczy. Kiedy kupowałem jej stroje, była ona albo za duża, albo za mała. Nigdy niczemu się nie sprzeciwiała, niczego nie chciała ani się nie skarżyła. Po prostu zawsze tylko była. Ale dzisiaj odkryłem, że jest kobietą, że jest jak matka.

— Moje odkrycie jest inne — rzekł twardo i z bólem Leberecht. — Teraz muszę sam siebie pytać, po co w ogóle żyłem. Dlaczego zmuszałem się do toczenia koliska życia? Mogłem żyć spokojniej i wygodniej, ale musiałem stawiać egzystencji wyzwania. Moja młodość była trudna i pełna kuksańców, ale mój kręgosłup był niezłomny. Nawet wojna nia dała mu rady. Potem próbowałem los zmusić do tego, żeby podarował mi życie wolne, nieskrępowane albo takie, za jakie je uznawałem.

— Uwiódł pan jedyną dziedziczkę majątku Maule. Czy to właśnie było pierwsze pańskie istotne wykroczenie przeciwko prawom życia?

— To nie było tak, jak panu powiedziano — odezwał się Leberecht bez urazy. — Kochałem matkę mojego syna. Taka jest prawda. Dziś już nie mogę powiedzieć, dlaczego ją pokochałem. Możliwe, że pokochałem ją, bo była tworem innego, dalekiego ode mnie świata. Pochodziła z innej warstwy społe-

cznej i może to było tym, co mnie podnieciło. Były jednak chwile, w których jawiła mi się jak jakiś cud. To, co u innych było tylko płomienną igraszką, u niej było oddaniem, aż do zatury. Potem, kiedy już to się stało, ojciec powiedział jej, że do tego doszło z mojego wyrachowania. I zaczęła w to wierzyć, a ja się przed tym nie broniłem. Dobrze więc: to się stało z wyrachowania.

— Próbuje uwierzyć panu — powiedział szczerze Thiele.

— Potem przyszły lata, w których zostałem panem na Maułach. Wszyscy robili, co chciałem. Pomagałem tam, gdzie mogłem. Zawsze byłem dla każdego, co mnie potrzebował. Budowałem ten świat tylko dla nas i była pora, w której czuliśmy się szczęśliwi.

— Było dobrze tak długo, dopóki do tej idylli nie wtargnął Materna.

— Nie chcę o nim mówić — powiedział Leberecht. — Jeszcze teraz nie chcę. Wówczas, kiedy troszczyłem się jak ojciec o Maule i o tutejszych ludzi, zapomniałem o dwojgu ludziach. O żonie i synu, którzy, jak mi się zdawało, mieli swoje własne życie. Żona szybko odwykła mnie kochać; wierzyła tylko swojemu ojcu, a on uważał mnie za pozbawionego skrupułów łowcę posagu. Urodziła mi jednak, w bólach, tego syna, a ja pozostawiłem go jej. Z wdzięczności? Z poczucia winy? Ze względu na pamięć o nie kończących się wyrzeczeniach mojej młodości? Niech pan sam wyszuka sobie to, co będzie pasowało do pańskiego wyobrażenia o mnie. W każdym razie matka miała tego swojego syna bez reszty. Teraz zdaje mi się, że to zakrawało niemal na przestępstwo.

— Znam pańskiego syna — odezwał się Thiele. Uważam go za wartościowego człowieka.

— A jeśli muszę uważać go za przestępcę? Za mordercę? Co wówczas, Thiele? Czy nie muszę pytać siebie, po co żyłem? Czy jeśli człowiek, który jest moim synem, dokonał zbrodni, wszystko nie straciło sensu? Czemu to Bóg, o to muszę pytać, pokarał mnie takim synem? Dlaczego synowi Bóg dał takiego ojca jak ja? To jest tak, jakby ciążyło na nas przekleństwo.

— Jeśliby tak musiało być naprawdę — powiedział Thiele — mógłby pan sobie może odpowiedzieć następująco: On cały jest moim synem, bo zrobił to, co i ja zrobiłem, albo to, do czego go namówiłem.

Leberecht gwałtownie pokręcił głową.

— Niech pan z tym nie zaczyna, Thiele. Niech pan nie odgrzewa ciągle sprawy Materny. To wygląda inaczej niż pan myśli. Jeśli mi pan pomoże, Thiele, jeśli będzie pan mógł i zechce mi pan pomóc, powiem panu, kto i dlaczego zabił Maternę. Teraz, w tej chwili idzie mi tylko o syna. Tylko o niego! Rozumie to pan?

— Próbuję zrozumieć. Czy może mi pan powiedzieć, co on zrobił?

— Dobrze — powiedział Leberecht ciężko oddychając.

— Dobrze więc. Niech pan słucha. Wczoraj, późnym wieczorem mojemu synowi powierzone zostało dziecko. Niemowlę.

— Pańskiemu synowi? — zapytał żandarm z dziwnym ożywieniem.

— Tak. Wczoraj wieczorem. Dziecko jechało z nim pociągiem. I to jest wszystko, co wiem. Widziano go jeszcze z dzieckiem, kiedy wysiadał z pociągu w Lesinie. Dziś rano syna mojego znaleziono na naszym podwórzu. Był półprzytomny i rozgorączkowany. Teraz leży w łóżku z ciężkim zapaleniem płuc. Nie jest w stanie udzielić żadnych informacji. Nikt nie wie, gdzie jest dziecko.

— I to już wszystko? — Thiele uśmiechnął się.

— Czy bawi to pana? — zapytał wyraźnie dotknięty Leberecht. — Potrafi się pan z tego śmiać?

— Czemu nie — powiedział Thiele. — Ostatecznie to nie mój syn. Nie jest to też pierwsze nieślubne dziecko.

— O to mi wcale nie idzie — zaoponował gwałtownie Leberecht. — Jeśli splodził to dziecko, to, do diabła, już się przecież stało. Ale gdzie ono jest teraz? Czy pan nadal nie rozumie, co mogło się stać? Człowieku! Co on zrobił z tym dzieckiem? Przecież muszę się zastanawiać, czy nie żyje. Niech pan sam powie, że przecież może już nie żyć!

Martwe nie jest — powiedział Thiele przyjaznym tonem.

— Skąd pan może to wiedzieć?

— Bo jest tutaj. W moim domu.

— Gdzie? — zapytał bezgłośnie Leberecht.

— Dzisiaj, raniutko — powiedział Thiele — kiedy córka wstała, a mnie w domu nie było, znalazła w sionce zawiniątko, a w nim śpiące dziecko.

— W szarym, wojskowym kocu?

— W szarym, wojskowym kocu. Takim z czerwonym i niebieskim pasem.

— Mój ty Boże - - westchnął z niezmierną ulgą Leberecht.

— Czy to prawda?

— Córka wzięła to dziecko. Wygląda na to, że się jej podoba. Pielęgnuje je z czułością, tak że ja jestem zaniedbywany w odczuwalnym stopniu. Mówiłem już panu przedtem, że dziś odkryłem, iż Ewa ma zadatki na to, by być dobrą matką.

Mój ty Panie Boże, jak się cieszę! — wykrzyknął Leberecht.

Przepelniała go wdzięczność, ale ciągle nie mógł zrozumieć, co się stało. Czuł się lekki i silny.

— Czy nie ma pan w domu czegoś do wypicia?

Piwo.

— To proszę przynieść.

Thiele oddalił się. Leberecht wstał i zaczął chodzić po skromnym służbowym pokoju żandarma. Podłoga ugięła się pod jego ciężarem.

Thiele wszedł do pokoju i postawił na biurku butelki oraz szklanki. Nalali sobie piwa, podnieśli szklanki i wypili. Leberecht wypił zaraz jeszcze jedną szklankę i powiedział:

— Teraz znowu mi smakuje. Czuję się jak nowo narodzony!

— Cieszę się z całego serca rzekł Thiele. Nie cieszyło mnie to, że oglądałem pana w opresji. To do pana nie pasuje.

— Nie jestem już taki, jaki byłem. Robię się miękki w kolanach. I nie jest to wcale przejściowa słabość, tylko skutek absolutnie jasnej świadomości, że wali się mój świat. Coraz więcej gruntu pod nogami traciłem w ciągu ostatnich tygodni. To

jest tak, jakby gdzieś nastąpiła wielka eksplozja, jakby się ziemia rozdarła, a ja miałbym tam wpaść.

— Ja zaś zacznym żyć — powiedział w zamyśleniu Thiele. — Jawi mi się nowe, inne życie i wskakuję w sam jego środek. Najwyraźniej Maule odmieniły mnie. Przenicowały na drugą stronę, tak jak rękawiczkę.

— Tego słucham chętnie — rzekł Leberecht. — Wypijmy za to.

Trącili się szklankami i wypili do dna. Zamyślili się, a uśmiech ich obu nie był wolny od smętku.

— Przez cały czas sam siebie pytam, dlaczego ten chłopak wpadł na to, żeby to dziecko położyć właśnie w pańskiej sionce? — Leberecht wyglądał całkiem nieporadnie. — Przecież nie pomylił tego domu ze żłobkiem. A może czuje do pana sympatię? Może panu ufa? Ciągłe zdaje mi się, że on ledwie pana zna. Co skłoniło go do tego, żeby właśnie tu oddać dziecko?

— Zdaje mi się, że wcale nietrudno odgadnąć. Ma zaufanie do mojej córki. Wygląda na to, że ci dwoje rozumieją się dobrze. Sporo razy byli na przechadzce. Ale za tym oczywiście nic się nie kryje.

— Tak? Uważa pan?

— Na pewno. Czy też może uznaje pan, że normalne jest przyniesienie nieślubnego dziecka do domu dziewczyny, którą się kocha?

— Przy najbliższej okazji muszę sobie dokładniej popatrzeć na pańską córkę — powiedział Leberecht. — I to koniecznie. Zaczyna mnie interesować. A może ma pan coś przeciwko temu?

— Jeśli przedtem spełni pan swoją obietnicę, niechby tak już było.

— Jaką obietnicę?

— Miał mi pan, jeśli pomogę panu i pańskiemu synowi, wymienić nazwisko człowieka, który zabił Maternę. A że tak się stało, do pana należy następny ruch.

— Obstaje pan przy tym, Thiele?

— Tak — powiedział poważnie. — Pan zaś wie najlepiej, że muszę obstawać. Chcę uwolnić świat od tej sprawy. Do końca i ostatecznie. Jestem na to zdecydowany. Z wielu powodów.

— Jeden spośród nich, to Elfrieda Materna.

— Tak — powiedział po prostu Thiele, nie patrząc przy tym na Leberechta. — Nie mogę zaprzeczyć, że jest to powód ważny. Niejasne podejrzenie, które ją otacza, nigdy nie da jej spokoju. Mnie też nie da! Tak czy inaczej trzeba rozsupłać ten węzeł. Nie ma innej możliwości dla mnie, dla nas. Przyjmuję więc pańską pomoc. Czy jest pan gotów dotrzymać obietnicy? No, to proszę wymienić nazwisko.

— Chcę się jeszcze trochę z panem potargować — rzekł Leberecht próbując się uśmiechnąć. — Albo lepiej: chcę pana prosić o jeszcze jedno świadczenie.

— Jakie świadczenie?

— Całkiem zwykłe. W każdym razie to, o co proszę, wydaje mi się zwyczajne. Spodziewam się jednak znamiennego skutku. To coś w rodzaju próby wytrzymałości na rozdarcie. Mam nadzieję, że pozna się pan na figlu, który tu się kroi, i zrobi pan to, o co poproszę. Otóż hitlerowcom w Maulach powinien pan wyjaśnić, iż pan doskonale wie, że w przypadku zabitego Materny szło o pierwszego narodowego socjalistę w tej wiosce. Tylko tego żądam od pana. Dla pana to naprawdę tylko figiel, czym to jednak okaże się dla mnie, tego jeszcze nie wiem. Jestem bardzo ciekawy, jak też zareagują na to moi przyjaciele. Złudzeń nie mam, ale jestem ciekawy. No i co, zechce pan zrobić to dla mnie?

— A jeśli zrobię, co będzie?

— Będzie tak, że człowiek, który zabił Maternę zamelduje się wkrótce u pana. Obiecuję to panu. Powie panu wszystko, co zechce pan wiedzieć. Jeśli zaś pan będzie miał jeszcze ochotę doprowadzić ten przypadek do końca, będzie mógł pan to zrobić.

Dobrze — powiedział zdecydowanie Thiele. Jeżeli pan tego chce, niech tak też będzie.

vyrtsgruppenleiter zaprosił do siebie swoich funkcjonariuszy. Nie zrobił tego z nadmierną ochotą, gdyż szło tu o naradę ponadplanową, ale uparł się przy tym wachmistrz żandarmerii Thiele.

— Żałuję, że tego, co chcę zreferować, nie mogę powiedzieć tylko panu, panie ortgruppenleiterze — oświadczył. — Leży to jednak w interesie całego miejscowego kierownictwa partii.

Liczne próby Nowaka, który chciał wcześniej dowiedzieć się, co też Thiele ma do przekazania miejscowym przywódcom ruchu, nie powiodły się wskutek zdecydowanej postawy żandarma. Nie dał po sobie poznać. Podobało mu się milczeć jak grób.

— Przekona się pan, jakie to ważne — powiedział tylko.

Nowak z największą niechęcią pozwolił się zbyć. Tylko tym się pocieszał, że żandarm, zgłaszając tak niezwykle wniosek, wyraźnie dał do zrozumienia, iż chce poinformować kierownictwo partyjne i tym samym pokazać, jak poważnie je traktuje. Szczególnie korzystne było to z tego względu, że Thiele znany był z absolutnej poprawności. W powiatowym kierownictwie powiedziano ortgruppenleiterowi w zaufaniu, że powiatowe władze żandarmerii są o Thielem wysokiego mniemania, a do Mauli przeniesiono go w specjalnej misji.

Ortsgruppenleiter przywitał swoich funkcjonariuszy z miną tajemniczą i zachowywał się tak, jakby był dobrze poinformowany o wszystkim, co żandarm zechce wyłożyć, a tylko przez swą szlachetność nie zamierza pozbawić go efektu zaskoczenia. Zadowolili się tylko kilkakrotnym przekazaniem im półszepciem następującego zdania:

— Nie jest to nic wstrząsającego, parteigenossen, choć z określonego punktu widzenia jest interesujące, o czym przekonacie się sami.

Punktualny jak zwykle skarbnik Wengler zjawił się jako jeden z pierwszych.

— Nie spodziewam się, żeby pański wywód uznał za szczególnie interesujący. Jako skarbnika, coś, co nie ma związku

z finansami, nie podnieca mnie. Przypuszczam, że pieniędzy nam pan nie zaproponuje.

Neuberich, kierownik szkoleniowo-propagandowy, zapytał:

— Czy będę mógł pańskie materiały spożytkować dla naszych specjalnych celów?

— Będzie to zależało od tego, co zechce pan osiągnąć — powiedział Thiele.

— Umocnić pozycję partii! To nasze zadanie numer jeden.

— Nie sądzę, żeby w tym przypadku moje materiały stały się panu miłe.

— Proszę niczego nie uprzedzać — wyjaśnił dumnie Neuberich popatrując znacząco na pozostałych. — Prawdziwa propaganda charakteryzuje się mądrym spożytkowaniem i celową interpretacją.

— Niech Bóg ma nas w opiece! zawołał od wejścia Frycio Grzesz. Potrzebny wam numer mojego kołnierzyka, czy też Niemiecki Frant Pracy będzie mógł sobie jednego golnąć?

— Dajcie mu jedno piwo na mój rachunek - powiedział Nowak. A że Grzesz zapodział się gdzieś, dodał jeszcze:

— Ten człowiek nie jest wcale najlepszą reklamą partii.

— Powinniśmy pomyśleć o oczyszczeniu się z niepożądanych elementów. Z ludzi, którzy się do nas wślizgnęli. Dla dobra sprawy gotów jestem połączyć jego funkcję z moją — złożył ofertę Neuberich.

— Jak to się jednak ma do zwykłych pana mów o wyważeniu i równowadze? -- zapytał skarbnik Wengler. — Poza tym słyszałem, że chce pan objąć stanowisko sołtysa i wójta.

— Jeśli mówiłem, że sprawowanie dwóch funkcji przez jedną osobę nie jest wskazane, mój drogi parteigenosse Wengler, mówiłem wyłącznie o funkcjach partyjnych. Proszę też dobrze zapamiętać, że mówiłem o dwóch albo większej liczbie różnych funkcji, jeśli jednak da się je zespolic, to jest to całkiem inna sprawa.

Zjawił się mistrz rzeźnicki Matzcek, zastępca ortsruppenleitiera. Zatrzymał się w drzwiach i popatrzył na obecnych.

— Co tu ma się znów wykluc? — zapytał. — Komu mamy

tym razem podrzucić do gniazda kukulcze jajo, Nowakowski?

— Nazywam się Nowak.

— Przecież mówię, Nowakowski. Kiedy zaczniemy?

— Jak się tylko wszyscy zejdą. Jeszcze nie przyszedł ortsbauernführer.

— Grabowski co najmniej od kwadransa stoi przy bufecie. Zaczyna świętować zwycięstwo nad policją kryminalną.

— Każę go zawołać — powiedział surowo Nowakowski.

— Czy mogę panów prosić, żebyście Grabowskiego wezwali, żeby zjawił się wśród nas?

Żaden z panów nie uznał, że to do niego się zwrócono. Nowak poczekał jeszcze chwilę, a potem pogardliwie patrząc na obecnych ruszył się osobiście i opuścił urzędowo-służbowo-konferencyjny pokój. Wkrótce wrócił w asyście Grabowskiego.

Grabowski wyglądał jak zwycięzca. Policzki jego zdawały się być jeszcze pełniejsze niż zazwyczaj. Promieniował bezgraniczną wyniosłością.

Heil Hitler, moi panowie! — zawołał głośno. — Podwójna kolejka dla obecnych!

Kiedy Nowak, tym razem jako szynkarz, przekazywał zamówienie dalej, Grabowski wytrzeszczył się na żandarma.

— Kopał pan pode mną dołki, stary Szwedzie — powiedział z protekcyjną arogancją — ale ja w żaden nie wpadłem. Ja nie. Może pan jest tym, który sam tam wylądował.

— To się pokaże — rzekł Thiele. — Przede wszystkim wykonałem swój obowiązek.

Grabowski zaśmiał się hałaśliwie, a jego obwisłe policzki zatrzęśły się.

— Spełniał swój obowiązek! Wobec kogo, pytam. Może wobec Elfriedy Materny?

Thiele poczerwieniał. Z trudem panował nad sobą. Powiedział wolno: — Chyba nie jest pan zazdrosny?

— On jest ortsbauernführerem — objaśnił Matzek, zastępca. — Dokładnie wie, jak się gnoi.

— To pierwsze przedstawienie, które zainaugurował w nowej roli, można jednak oglądać — uznał Neuberich.

Grabowski wcale nie był dotknięty. W swojej nowej roli polegającej na tym, że stał się centralnym punktem zainteresowania, przypadł sobie do gustu, a nawet był pewny, że zaimponował temu Thielemu.

— Tamtego funkcjonariusza — powiedział chępliwie — załatwiłem całkiem gładko, i to miał być największy tuz przyzium policji. Takie nic! Nie wystrzelałem nawet całego prochu, a już mu zapało dech. Muszę wam powiedzieć, że pod koniec stał przede mną prawie na baczność.

— Tak, tak — rzekł dobrodusznie Matzeck. — Czy nie mówiłem zawsze, że z naszego ortsbauernführera każdy może sobie odkroić kromkę?

— Inspektor Wiltfever to nie taki człowiek, który kapituluje łatwo — oznajmił ponuro Thiele. — On tu wróci.

— Spodziewam się — zawołał hałaśliwie Grabowski. — Pałę się do tego, bo...

— Znowu się pali! — zawołał Matzeck wpadając mu w słowo.

— Do tego się palę — powiedział Grabowski żeby kryminologa uświadomił pewien żandarm, który nie potrafi oddzielić osobistego życia od czynności służbowych.

— To już za wiele! — zawołał gniewnie Thiele.

— Parteigenosse Grabow, przywołuję pana do porządku — powiedział z godnością Nowak. — Pan Thiele jest gościem. Poza tym przyniesiono pańską podwójną kolejkę. Pozwalam sobie prosić panów o zajęcie miejsc.

Panowie zajęli miejsca. Ortsgruppenleiter rozsiadł się za krótszym bokiem stołu, po prawej i lewej siedli jego funkcjonariusze, żandarm zaś zajął miejsce naprzeciw niego.

— Otwieram nadzwyczajne posiedzenie kierownictwa miejscowej grupy w Maulach — rozpoczął Nowak. — Na zdrowie, moi panowie. — Kiedy już wypili, powiedział: — Teraz udzielam głosu panu wachmistrzowi żandarmerii Thielemu. Proszę pana, panie Thiele.

Thiele wydobyl notes z tylnej kieszeni, położył przed sobą na stole i otworzył go. Delektował się tą chwilą i sam się temu

dziwował. „Nigdy przedtem nie zdarzyło się, bym odczuwał takie podniecenie. Dziwne, jak też bardzo się zmieniłem — pomyślał sobie. — Nagłe zaczęło bawić mnie to, że nie jestem całkiem w porządku”.

— Moi panowie — zaczął uprzejmie starając się nie dostrze-
gać Grabowskiego. — Wytyczne moich nadrzędnych władz,
ostatnie z siódmego tego miesiąca, zalecają, nacechowaną zau-
faniem i bezpośredniością, współpracę z lokalnymi przedsta-
wicielami partii. Pan prezydent rejencji wyraźnie poparł to zale-
cenie, ostatnio pismem z trzynastego bieżącego miesiąca, i dał
do zrozumienia, że nastąpiło to w porozumieniu z ministrem
spraw wewnętrznych.

— Doskonale — powiedział zadowolony Nowak.

— Znow można dostrzec — wtrącił z namysłem Neuberich
— jak też bardzo wyraźnie postępuje przenikanie partyjnej
myśli do publicznego życia.

— Właściwie to można zażądać — odezwał się dziarsko
Grabowski — żeby minister spraw wewnętrznych usprawied-
liwił się przede mną.

— Proponuję, żeby zmusić premiera, by osobiście zrobił pier-
wszy ruch łopata przy odbudowie obejścia Grabowskiego
— ironizował Matzeck. — A to dlatego, że wiele ostatnio
naczytałem się w gazetach o odbudowie. Przypuszczam, że to
mieli na myśli.

— Nie odbiegajmy od tematu — napomniał surowo No-
wak. — Proszę kontynuować, panie Thiele.

— Moi panowie — powiedział Thiele. — Nauczyłem się już
doceniać partię, zwłaszcza tu, w Maulach. — Sam szczerze się
zdziwił, że to powiedział, i uśmiechnął się z tego powodu, co
obecni przyjęli za objaw sympatii. — Zdaje mi się, że wasza
praca jest ważna i zasługuje na wszechstronne poparcie.

— Szczególnie poparcie finansowe nigdy nie jest złe — wtrą-
cił Wengler jako skarbnik.

Nowak: — Pan Thiele, proszę.

Thiele: — Nie zdradzę chyba żadnej tajemnicy, jeśli powiem
panom, że moim głównym zadaniem w Maulach było wyświe-

tlenie sprawy Materny. — Pewien niepokój, który spowodowały te jego słowa, sprawił mu rozkosz, uśmiechnął się więc, a niektórzy z obecnych odwzajemnili się tym samym. — I oto sprawa ta jest wreszcie niemal wyjaśniona.

— Co my z tym mamy wspólnego? — zapytał Grabowski. — Zastanawiam się, co to też może obchodzić nas, parteigenossen.

— Obchodzić może bardziej, niż pan przypuszcza odparł uprzejmie Thiele. — Kiedy dążymy do wyjaśnienia jakiegoś przypadku, normalne jest, że pytamy wpierw o motyw. I ja ich szukałem. Początkowo jawiły się rozmaite możliwości. Odrzucałem wszystkie, których nie dało się utrzymać. Prócz jednej.

Co by to miało być? zapytał Grabowski.

— Pozwoli pan, panie Thiele wtrącił Nowak ostrożnie, niczego nie pojmując. — Czy naprawdę pan sądzi, że jesteśmy zainteresowani pana dochodzeniem?

— Absolutnie - odrzekł z przekonaniem Thiele.

— Zdarzają się jednak przypadki powiedział ostrożnie Nowak których rozwiązanie, jeśli nie zgadza się w stu procentach, przynieść może więcej szkody, niżli warta jest cała sprawa.

— Nie taki diabeł straszny! - zapewnił Grabowski. Nawet policja kryminalna pisze palcem na wodzie.

— Niech pan wreszcie wypuści kola z worka zawołał zaintrygowany Matzeck.

— Mogę więc kontynuować swój wywód. Thiele udał, że musi zaczerpnąć informacji z notatek. W czasie mojego dochodzenia okazało się, że będzie ono panów obchodzić bezpośrednio.

Nikt mi niczego nie udowodni — skonstatował Grabowski. — Nawet policja kryminalna!

— Jestem zdania -- powiedział stanowczo Thiele że ujawnione zostało coś, co obchodzi bezpośrednio panów jako miejscowych przywódców partii. Zbadałem szczegółowo nawet miejscowość, w której się urodził. I wiecie panowie, do

jakiego doszedłem wniosku? Ten człowiek był członkiem NSDAP.

— No i pięknie — rzekł zaniepokojony Nowak. — To jest możliwe.

— Nawet jeśli tak było, przecież nie ożyje on z tego powodu — zawołał Grabowski.

— Proszę mnie zrozumieć właściwie — ciągnął Thiele. — Ten wasz parteigenosse senior był kimś w rodzaju duchowego ojca narodowego socjalizmu w Maulach.

— Dobrze — powiedział Nowak. — Przyjmujemy to do wiadomości. Później naradzimy się, czy powinniśmy złożyć wieniec na jego grobie. Więcej nie możemy ostatecznie zrobić.

— Jako skarbnik zatwierdzę wieniec z szarfami i napisem — dorzucił Wengler.

— Wciąż nie rozumiecie mnie właściwie, moi panowie. — Thiele przyglądał się obecnym, z trudem ukrywając zadowolenie. — Tu mianowicie zachodzi podejrzenie, że w przypadku śmierci Materny nie szło o morderstwo popolite, ale o morderstwo polityczne. Zabity został bowiem nie jakiś tam Materna, ale narodowy socjalista.

Nowak milczał speszony. Funkcjonariusze również milczeli. Mogło się zdawać, że słyhać, jak myślą

— Takie są więc moje ustalenia — kontynuował Thiele. — One też stanowią treść mojego raportu. Przekażę go w dwóch egzemplarzach nadrzędnej komórce służbowej. Dla tego w dwóch, że z pewnością jeden egzemplarz zostanie przekazany kreisleiterowi, stamtąd przypuszczalnie gauleiterowi, jeśli nie kancelarii führera. Tylko to chciałem panom powiedzieć, moi panowie. Uznałem, że przygotowanie panów na to, co nastąpi, jest moim obowiązkiem. Teraz oczekuję, że panowie wesprą mnie wszystkimi siłami, na końcowym etapie dochodzenia, dla dobra partii. Czekam więc na stosowną decyzję panów. Teraz jednak pozwólcie panowie, że się pożegnam.

Żandarm wstał, uklonił się i opuścił lokal. Był uśmiechnięty, znajdował się w doskonałym nastroju, całkiem tak jakby go ktoś obdarował. „Tylko tak dalej — pomyślał — a znajdę się

na najlepszej drodze do tego, żeby zostać żartownisiem. Tego człowiek uczy się w Maulach i taki zapewne jest wpływ tej okolicy." Podszedł do bufetu i wypił duże piwo.

W urzędowo-konferencyjnym pokoju miejscowej grupy NSDAP w Maulach ortsruppenleiter patrzył na swoich funkcjonariuszy, ci zaś patrzyli na swojego ortsruppenleitiera. Nie wiedzieli co robić. Niektórzy bębniłi palcami po stole.

— Zrób coś z tym, Nowakowski — powiedział Matzeck.

— Zrób coś, albo będziesz załatwiony, z całą miejscową grupą na dodatek.

— Pozwól jednak — odparł gniewnie Nowak. Myślę, że z tą sprawą nie jest wcale tak źle. Ostatecznie nie ja zakatrupiłem Maternę.

— Ale byłeś przy tym, Nowakowski. Uczestniczyłeś w tym więc, choć nie bezpośrednio. W fachowym języku nazywa się to krótko i węzłowato: uczestnictwem w morderstwie!

— Nikt nie może mi niczego udowodnić — zawołał szybko Grabowski. - Nawet specjalista policji kryminalnej nic mi nic udowodnił.

Neuberich był błądy.

— Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności — powiedział osłabłym głosem.

— Kasę zawsze prowadziłem nienagannie — zapewnił Wengler.

— Ależ to gównu rzucił ordynarnie Matzeck. Sytuacja jest prosta. Zgodnie z tym, co przedstawił Thiele, który chce tym doprowadzić do wariacji całą partię, z Hitlerem włącznie, co wcale nie jest takie trudne; otóż według tego, co powiedział Thiele, w Maulach został ukatrupiny zasłużony, stary parteigenosse. A kto w tym brał udział? Tak mniej więcej całe aktualnie urzędujące w Maulach partyjne kierownictwo. Jeśli nie jest to sensacja, gotów jestem zjeść miotłę. Nasi przeciwnicy będą rzeć ze śmiechu.

— Sytuacja jest delikatna — wystękał cicho Neuberich.

— W tych okolicznościach złożę swój urząd, oczywiście, jeśli ktoś miałby tego zażądać.

- I to właśnie teraz, kiedy wysłizgałem tego typu z policji kryminalnej — zagrział gniewnie Grabowski. — Tej porażki policyjne Hansy nie przełkną tak łatwo. Oni czekają tylko, żeby utrzyć nam nosa.

-- Musimy ich ubiec — powiedział Nowak.

— W jaki sposób?

Nowak usilnie koncentrował się na pewnym pomysłe, który wpadł mu do głowy.

— Musimy zrobić wszystko, żeby zapobiec nadmiernemu obarczaniu partii tą sprawą.

— Nie zrobisz tego ze względu na siebie, Nowakowski, ale wyłącznie dla partii.

— Partii nie zdołasz wyłączyć całkowicie — rzekł Matzeck. — Czy nie widzisz tego, Nowakowski? Wszyscy, którzy w tym uczestniczyli, są dzisiaj w partii. Bez wyjątku, i to na decydujących stanowiskach.

— Pozwólcie mi się wygadać — powiedział Nowak. — Jeśli niektórzy w partii będą musieli przyjąć do wiadomości, będzie to przykre, ale jeszcze nie najgorsze. Najważniejsze, żeby nie zostało tym obciążone ściśle kierownictwo. Rozumiecie? Policja potrzebuje właściwie tylko jednego. Tego, który uderzył. No, najwyżej jeszcze jednego, tego który podzegał. Będziemy musieli wydać obu. Jakkolwiek to przykre. Najważniejsze, żeby zostało nietknięte kierownictwo partyjne. Żebyśmy sami pozostali nietknięci.

— Co to znaczy, Nowakowski? — zapytał Matzeck. — Czy to znaczy, że jesteś gotowy wystawić Leberechta na sztych?

— Kiedy idzie o partię — odparł Nowak — nie powstrzymałbym się nawet w stosunku do własnego ojca.

Ewa trochę niepewnie weszła do pokoju chorego. Alfred leżał i patrzył na nią. Wypchnęła przed siebie Karolka, sierotę,

i uśmiechnęła się. W roli przyzwoitki Karolek nie czuł się zbyt dobrze, był trochę zakłopotany.

— To ładnie, że przychodzicie mnie odwiedzić — powiedział Alfred próbując się podnieść.

Nawet przynieśliśmy ci kwiaty — oznajmił Karolek. Ewa ostrożnie położyła je na kołdrze Alfreda.

— To mieczyki — rzekła. — Chyba lubi pan mieczyki?

— Są bardzo ładne — przyznał Alfred.

— Najlepsze, jakie mogliśmy dostać — zapewniał Karolek. — Uwierz, że to nie było łatwe.

— Najwięcej narwał Karolek — powiedziała Ewa. Karolek przytaknął z dumą.

— Musiałem przeleźć przez trzy płoty. — Zbliżył się do łóżka i popatrzył na Alfreda wielkimi oczami. — Jesteś bardzo błydy — powiedział. Skóra i kości. Jak to możliwe? Przecież zawsze wyglądałeś na zdrowego. Mnie by się to nie przytrafiło.

— Są w życiu sprawy, które potrafią zbić z nóg, Karolku zapewnił Alfred. Zabrzmiało w tym całe doświadczenie jego dwudziestu lat.

— Możliwe, jeśli nie stoi się mocno na nogach — odparł Karolek.

— Najważniejsze, że już panu lepiej — stwierdziła Ewa.

— - Przeszło szybko powiedział Alfred. — Jeszcze wczoraj miałem silną gorączkę, a jutro będę mógł chyba wstać. Mam silny organizm.

— A wiesz, kim ja jestem? — zapytał naiwnie Karolek. — Jestem przyzwoitką.

— Co ci przyszło do głowy? — zawołała Ewa.

— Uszy mam dobre oświadczył Karolek. Słyszałem jak żandarm mówił do ciebie: weź ze sobą Karolka, jako przyzwoitkę.

— Chciałam tylko zobaczyć, jak się panu powodzi — zagaadywała Ewa. Nie chciałam panu przeszkadzać.

— Ależ wcale mi pani nie przeszkadza.

— A nie mówiłem? — ucieszył się swoją mądrością Karo-

lek. — Powiedziałem, że będzie strasznie się cieszył. Widzisz teraz, jak się cieszy? Straszliwie!

— Kiedy pan wyzdrowieje, będzie mógł mnie pan odwiedzić — powiedziała Ewa.

— Też go zaprosisz do swojego pokoju? — zapytał Karolek. — Mogłabyś tak, bez przyzwoitki?

— Możesz być przy tym — powiedział Alfred.

— Jak będę miał czas! — rzekł Karolek nieprzychylnie. — Specjalnie mnie to nie bawi. Znacznie chętniej bawię się z psami. Najchętniej pobawiłbym się z twoim jamnikiem, Alfredzie. To najładniejszy jamnik, jakiego widziałem. Czy nie sądzisz, że byłoby dobrze, gdyby ktoś dbał o niego, przynajmniej dopóki będziesz chory?

— Podoba ci się mój jamnik, Karolku?

— Bardzo go lubię.

— To go sobie przyprowadź. Jest pod opieką stangreta Gottlieba. Tam, na haczyku koło drzwi, wisi smycz i obroża. Zabierz go, jeśli chcesz.

— Naprawdę? — zapytał Karolek robiąc wielkie oczy, w których rozbłysło wpiery zdumienie, potem niewiara, a w końcu szczęście. — Naprawdę?

— Ależ tak. Zrobisz mi wielką przysługę.

Karolek przełknął ślinę.

— Jeśli mam ci tym zrobić przysługę, zaraz go przyprowadzę. — Wstał oszołomiony szczęściem.

— Ja też muszę iść — powiedziała Ewa i szybko się podniosła.

— Proszę, niech pani jeszcze zostanie — poprosił Alfred.

— Nie wiem...

— Możesz spokojnie zostać — rzekł protekcjonalnie Karolek. — I zostaniesz tu chętnie! Zaraz wrócę z jamnikiem i będę mógł cię odprowadzić. — Karolek roześmiał się. — Będziesz miała dwie przyzwoitki. — Rozbawiony wybiegł z pokoju.

— To miły chłopiec — stwierdził po chwili milczenia Alfred.

— Tak — przyznała Ewa. — Wszyscy go lubią. A z pań-

skim jamnikiem będzie się dobrze obchodził. Tego może być pan pewny. Będę uważała, żeby nic się nie przytrafiło.

— Pani jest bardzo dobra dla mnie — powiedział Alfred i spojrzał na nią czule. — Za dobra! Na pewno nie zasłużyłem na to.

— Pan jest chory — powiedziała szybko Ewa. — Trzeba pomagać chorym. Gdybym to ja była chora, też by pan to robił.

— Na pewno.

Ewa spuściła wzrok, a potem zaczęła się rozglądać. Interesowało ją wszystko, co go otaczało. Pokój urządony był skromnie. Łóżko, stół, dwa krzesła, szafa, umywalka, komoda, regał na książki. Wszystko proste, pomalowane na brązowo. Na ścianach wisiały dwa obrazy: na jednym widniały konie ciągnące pług, na drugim drwale w lesie. Z okna widać było podwórze.

— To ojciec tak chciał — wyjaśnił Alfred podążający za jej spojrzeniem. — Mógł mi dać inny pokój, z oknami wychodzącymi na ogród, ale zawsze miałem mieć przed oczami podwórze. Zawsze też słyszałem gwar podnoszony przez zwierzęta i robotników.

— Zapewne myślał słusznie — powiedziała niezdecydowanie Ewa.

— Możliwe, ale ja nie tak to odebrałem. Jak powodzi się dziecku?

— Dobrze — powiedziała Ewa zaskoczona, z trudem ukrywając zmieszanie.

— Ma pani z nim dużo kłopotów?

— Ależ nie — zaprzeczyła. — To w ogóle bardzo miłe dziecko. Całkiem do pana niepodobne.

— Teraz trudno to jeszcze rozeznąć — rzekł Alfred. — Może jest podobne do matki?

— To bardzo ładne dziecko powiedziała z zazdrością Ewa.

— Teraz śpi?

— Nie wiem. Może pan jednak być spokojny. Czuwa przy

nim mój ojciec. Jutro zamierzamy odwiedzić je do Olsztyna
Odpowiada to panu?

Ależ tak.

— Nie interesuje się pan zbytnio tym dzieckiem powiedziała tonem nagany Ewa.

— Nie — przyznał szczerze Alfred. Nie chciałem go. Gdyby nie to dziecko, wszystko byłoby prostsze.

— Ono jednak jest!

— Oczywiście — przyznał Alfred ulegle i cicho. Wpatrzył się w obraz z końmi ciągnącymi pług.

— Nie mówmy o tym — powiedziała Ewa. - Sprawa jest już załatwiona.

— Sprawa nie jest załatwiona — rzekł z zaciętością. — Zawsze będzie istnieć.

— Ja o niej już zapomniałam — zapewniła Ewa.

— Ale ja nie mogę zapomnieć!

— I pan zapomni, Alfredzie. Słyszałam, że pański ojciec jest w trakcie załatwiania całej tej historii.

— Za pomocą pieniędzy! Wiem o tym. Co się jednak w ten sposób załatwi? Oczywiście zachował się wspaniale. Trzeba przyznać, że wyjątkowo wspaniale.

— Pański ojciec to cudowny człowiek.

Alfred nie dosłyszał tego, co powiedziała. Przepelniał go niepokój. Poczł potrzebę wypowiedzenia wszystkich dręczących jego duszę trosk. Ewie zaś ufał.

— Zawsze chciałem mieć siostrę. Taką niemal w moim wieku i znacznie od siebie mądrzejszą. Siostrę, której mógłbym zaufać. Rozumie to pani?

— Zdaje mi się, że rozumiem — odrzekła cicho Ewa.

— Zawsze jednak byłem sam. Często sam się bawiłem, zawsze samotnie płakałem. Zawsze, jak długo pamiętam, żyłem, w tym tu pokoju. Stacja w Olsztynie nie liczy się, a pokój Margot w ogóle nie. Tutaj, w tym pomieszczeniu spałem, czytałem, rozmyślałem. Często stałem w oknie i wyglądałem na podwórze. Obok mnie nie stał nikt.

— Ze mną nie było wcale inaczej — powiedziała Ewa. — Co

dwa, trzy lata ojca przenoszono do innego rejonu. Miałam stąd więcej pokoi, więcej domów, więcej było miejscowości, w których mieszkałam, więcej poznałam ludzi. Ale nie byłam mniej samotna.

— Widzi pani? Dlatego rozumiemy się tak dobrze — rzekł Alfred z zaskakującym ożywieniem.

— I dlatego dziecko przyniósł pan do mnie?

— Oczywiście, że dlatego! — zawołał z przekonaniem Alfred. -- Nie zrobiłem tego jednak całkiem przytomnie. Raczej instynktownie. W ogóle nie wiedziałem, co robię. Niczego nie mogłem też sobie potem przypomnieć. Wiedziałem, że dziecko zniknęło, ale gdzie się znajduje, tego nie byłem już w stanie powiedzieć. Kiedy ojciec opowiadał mi później szczegóły, wszystko znów stało się jasne i oczywiste. Jestem szczęśliwy, że pani się nie gniewa.

— Dlaczego miałabym się gniewać? zapytała Ewa.

Opadł bez sił na poduszki. Zdawało się, że znowu ma gorączkę. Jego twarz jaśniała bledością.

Ewa wzięła ręcznik leżący na łóżku, umoczyła w zimnej wodzie i ostrożnie zwilżyła mu czoło.

Położył dłonie na jej dłoniach trzymających ręcznik.

— To mi pomogło powiedział po chwili.

Trzymała ręce spokojnie i nie mówiła nic. Usta miała lekko rozchylone, włosy jej opadały na czoło.

— Teraz pani rozumie powiedział cicho dlaczego ostatnim razem, tam, w brzozowym lasku, zachowałem się wobec pani... tak niewdzięcznie?

— Staram się rozumieć wszystko.

Ścisnął jej dłonie.

— I co teraz będzie? zapytał.

Zdjęła z jego czoła mokry ręcznik, podniosła się i podeszła do umywalki. Z karafki nalała do miski zimnej wody. Przepłukała ręcznik.

— Pańska narzeczona to efektowna dziewczyna -- powiedziała ponuro.

— To nie jest moja narzeczona — zaprotestował Alfred.

— Ma doskonałą figurę. Czy to ta sama dziewczyna, którą spotkaliśmy w olsztyńskiej kawiarni?

— To ta sama dziewczyna — powiedział. — Ale to nie jest moja narzeczona.

— Szkoda, że tleni włosy. To jej wcale niepotrzebne.

— Nie chcę już mieć z nią nic wspólnego — rzekł szybko. — Ona też ze mną nie chce mieć nic wspólnego. Powiedziała to mojemu ojcu. Ojciec wypłaci jej wysokie odszkodowanie. Poza tym ona nie tleni włosów.

— Jednak ma tlenione włosy.

— Chyba wiem lepiej! Jest naturalną blondynką.

Ewa wrzuciła ręcznik do wody i gwałtownie odwróciła się od umywalki.

— Tak pan to dokładnie wie, Alfredzie? Pomyłka nie jest możliwa?

— Pomyłka jest wykluczona — powiedział. — Ona jest blondynką. Tak samo jak i ja. Kiedy czasem znajdowaliśmy na odzieniu włosy, nie można było odróżnić czyje to.

— Może więc nie jest to pana dziecko — powiedziała Ewa. Alfred usiadł raptownie.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

Ewa podbiegła do niego.

— To dziecko — powiedziała — ma włosy ciemne. Zauważyłam to z miejsca. Jeśli pan i ona macie włosy blond, to...

— Ewa!

— ...to może być i tak, że nie jest to pana dziecko.

* * *

Thiele natychmiast usłyszał stukanie do wejściowych drzwi. Wstał i na palcach opuścił pomieszczenie, w którym spało obce dziecko. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Stukanie do drzwi wejściowych stało się mocniejsze. Pospieszył się więc z ich otwarciem, żeby nie został zakłócony popołudniowy sen dziecka. Zobaczył Frycia Grzeszą, który się doń uśmiechał.

- Niech pan tak nie hałasuje – powiedział żandarm.
- Dziecko śpi.
- Dziecko pańskiej córki?
- Nie jej — poprawił Thiele. — Przyjęła je tylko na kilka dni pod opiekę. — Żandarm pochylił się nieco i powąchał, ale Grzesz wyjątkowo nie zionął alkoholem. — Czego pan właściwie ode mnie chce, panie Grzesz? Jestem ostatni, który dałby panu na alkohol.
- Miałem się do pana zgłosić — powiedział Grzesz, a jego wodniste, niebieskie oczy popatrzyły przyjaźnie na żandarma. Był ogolony, choć niestarannie, i nawet spróbował się uczesać. Jego mizerna postać tkwiła we względnie czystym ubraniu.
- Nie wiem o tym, że miał się pan u mnie zameldować — powiedział nieuprzejmie Thiele. Nie wszcząłem jeszcze przeciwko panu postępowania z powodu pańskiego pijaństwa.
- Kiedy nie chcę, nie muszę pić — mówił Grzesz. — Jeśli piję, to też tylko dla własnej przyjemności. Piję tak samo, jak inni podlewają kwiatki, słuchają radia albo palą papierosy. Mogę przestać w każdej chwili. Ale nie chcę!
- Jeśli o mnie idzie, może pan robić, co się panu podoba — rzekł Thiele. Musi mi pan jednak pozostawić decyzję w sprawie spędzania mojego czasu. Jeśli chce pan paplać, to niech pan poszuka sobie kogoś innego. Teraz jestem zajęty.
- Thiele chciał zamknąć przed Fryciem Orzeszem wejściowe drzwi, ale ten zastawił je nogą.
- Teraz mógłbym sobie po prostu pójść — oświadczył Frycio Grzesz. — Ostatecznie to pan mnie odprawia. Nie chcę jednak zawieść Leberechta.
- Leberechta? zapytał z zainteresowaniem Thiele i znowu otworzył drzwi. — Co to ma wspólnego z pańską u mnie wizytą?
- Przysłał mnie.
- Czemu?
- Jestem przecież mordercą.
- Kim pan jest?
- To ja zabiłem Maternę — powiedział Grzesz nie zmienia-

jąc beztronskiego tonu. — Musiałem obiecać Leberechtowi, że powiem to panu.

— Przecież to nonsens! — zawołał Thiele z niedowierzaniem. Na tego słabowitego, wynędzniałego pijaka i nieroba patrzył z nie ukrywaną niechęcią. — To jakiś nowy chwyt Leberechta. Mógł mi tego oszczędzić. Spodziewałem się, że swoje przyrzeczenie wypełni uczciwie i nie będzie mnie uważał za błazna. Niech mu pan to ode mnie powie.

Thiele znowu chciał zatrzaskać drzwi i znów Frycio Grzesz zastawił je nogą.

— Tylko spokojnie — powiedział Frycio. — Po co zaraz z grubej rury, żandarmie. Niech mi pan pozwoli opowiedzieć, a osłupieje pan. Daj Boże!

— To nie ma sensu — rzekł Thiele. — To całkowicie bezcelowe!

— Czy nie powinniśmy wejść do pańskiej kancelarii?

— Tam zbudzimy dziecko.

— To chodźmy do ogrodu.

— Dobrze już — powiedział Thiele. — Jeśli pan tak bardzo chce, to niech pan popróbuje mnie okpić. Ale ostrzegam pana.

Żandarm wyszedł z domu, zamknął za sobą drzwi i obchodząc budynek ruszył do ogrodu. Frycio ochoczo podążył za nim. Żandarm otworzył furtkę i wszedł do ogrodu. Usiadł na ławce i gestem zachęcił go, by usadowił się obok. Grzesz przycupnął i wpatrzył się w niego swymi wodnistymi oczami. W spojrzeniu tym żandarm niespodziewanie odkrył coś dziecinnego.

— Dlaczego tak wielu próbuje mnie wyśmiewać? zapytał Grzesz. — Dlatego, że mi zazdroszczą. Jestem na swój sposób szczęśliwy, czemu tego mi nikt nie zazdrości? Pan zaś uważa mnie za głupca.

— Do tej pory rzeczywiście uważałem pana za głupca — stwierdził szczerze żandarm.

— Było mi miło — odparł Grzesz. — Mną powinno się z całym spokojem gardzić albo ośmieszać mnie, ale powinno się też dać mi spokój.

— Co jednak, panie Grzesz, skłania pana do tego, żeby podawać się wobec mnie za mordercę? Ile wódki dostanie pan za tę komedię?

— Myśli pan, że robię to dla wódki?

— Niech się pan nie wysila — powiedział wyniośle żandarm. — Znam wielu ludzi pańskiego pokroju. Piją dużo, żeby zapomnieć. O czym pan chce zapomnieć, tego nie wiem. Ich pragnienie jest jednak większe od ich sakiewki, a więc przepijają i dom, i gospodarkę, a w końcu własne sumienie. Panie Grzesz, ile butelek wódki dostanie pan za to swoje zeznanie?

— Na Boga, pan wie lepiej — rzekł ze smutkiem Frycio. — Pan zna życie.

— Wiem, jaki silny może być nałóg.

— Gównu pan wie - odparł Grzesz z całym spokojem i bez cienia pretensji. — O Leberechcie wie pan niewiele, a o mnie nie wie pan nic. Zabiłem Maternę. Butelką wódki.

— A czym by też innym? zapytał drwiąco żandarm. — Na pewno była pusta, bo straty nie ryzykowałby pan.

— Jest pan znakomity powiedział Grzesz. -- Daj Boże! Ma pan coś do wypicia?

— Dla pana nie mam — oświadczył żandarm. - Najwyżej wodę albo mleko.

— Niech pan to schowa dla siebie — zakpił Grzesz. — Jasna głowa będzie panu potrzebna.

— No to do rzeczy! rzucił gwałtownie żandarm. — Pohamuj pan swoje wygłupy, czy też nie? Na bzdury szkoda mi czasu.

— To, Co powiedziałem, uważam za prawdę. Nawet jeśli pan nazywa to wygłupem albo bzdurą.. Pan, żandarmie, nie wie, co się tu dzieje. Leberccht uważa, że powinienem uświadomić pana. Spróbuję, choć to wcale nie takie łatwe. Czy naprawdę nie ma pan dla mnie nic do wypicia?

— Nie - powiedział Thiele. — Ani kropli. Niech pan jednak już nie kręci, niech pan mnie uświadomi.

Frycio Grzesz cicho westchnął. Potem podniósł do oczu prawą, wychudłą dłoń, przeciągnął nią po twarzy i powiedział:

— Leberechta znam tak długo, jak żyję. Byliśmy dziećmi sąsiadów. Razem bawiliśmy się w piasku. W szkole siedzieliśmy w tej samej ławce. Razem kradliśmy jabłka, wypuszczaliśmy w szkole myszy i wrzucaliśmy petardy do sypialni nauczyciela.

— Po prostu wzruszające — rzekł cicho żandarm. — To taka odmiana koleżeństwa, co? Wódczana przyjaźń na śmierć i życie?

Frycio Grzesz popatrzył przez chwilę na żandarma oczami, w których był smutek. Głowę wciągnął między podniesione barki. Wyglądał tak, jakby płakał.

— Dzisiaj jestem pijakiem — powiedział Frycio Grzesz.

— Drżą mi palce, nogi moje są słabe, a głowa ociężała. Wtedy jednak też nie byłem szczęśliwym człowiekiem. Zawsze byłem głupi. Od kiedy pamiętam, zawsze byli tacy, którzy wyśmiewali się ze mnie, a tylko jeden tego nie robił, Leberecht. W całym moim życiu był to jedyny człowiek, który okazał mi dobroć.

Czoło Thielego ściągnęło się w głębokie zmarszczki. Wpatrywał się w ogrodową ścieżkę porośniętą rzadkimi kępami trawy, w żywopłot i w ogrodzenie. Potem spojrział w górę, ku bładoniebieskiemu, rozprazonemu niebu.

— I co dalej, Grzesz — powiedział.

Frycio Grzesz kiwnął głową.

— Pewnego razu bawiliśmy się karabinami Związku Weteranów Wojny, strzelaliśmy w lasach. Kiedy Leberecht manipulował przy karabinie, padł strzał i pocisk przebił mi udo. Myślę, że to nazywa się ciężkim uszkodzeniem ciała. Leberecht omal nie umarł ze strachu. Wziąłem winę na siebie. Zrobiłem to chętnie, bo był moim przyjacielem.

— Dalej — ponaglił żandarm, którego opuściła kpina i cała surowość.

— Do tamtej pory byliśmy tylko przyjaciółmi, potem byliśmy jak bracia. Kiedy nie nadążałem z pracami polowymi, pomagał mi. Rąbałem za niego drzewo, żeby miał czas na dziewczyny. Kiedy chciał mnie ktoś bić, od niego dostawał lanie. Dzieliłiśmy się pieniędzmi i wspólnie spędzaliśmy każdą chwilę naszej młodości. Ja oglądałem się na niego, a on mnie ochra-

niał. Kiedy potajemnie opuszczał Maule, niosłem za nim jego kuferek. Płakałem. Kiedy wrócił, byłem szczęśliwy.

— Był więc pan gotów zrobić dla niego wszystko? — zapytał ostrożnie Thiele.

— Wszystko. On też robił dla mnie, co tylko mógł. Kiedy się żeniłem, był moim świadkiem. Mój pierwszy syn miał nosić jego imię, jego syn nazywa się tak jak ja, bo ja nie mam na imię Fritz, tylko Alfred. Fritz albo Frycio, to moje przezwisko. Kiedy wziął w swoje ręce majątek, zwolnił z długów moją gospodarkę, jako pierwszą. Potem moja żona zaszła w ciążę i krótko przed porodem, po nieszczęśliwym wypadku, umarła. Dziecko też umarło. Syn. Robiliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby ją uratować. Leberecht prawie na śmierć zajeździł konie. Żeby jeszcze w porę przywieźć lekarza. Ale przyjechał za późno. Popatrzył jeszcze na jej ostatnie drgnienia. Przytrzymywaliśmy ją, a ona się wykrwawiła. Razem czuwaliśmy u jej trumny.

Żandarm wstał bez słowa, poszedł do kuchni, wziął butelkę wódki i dwa kieliszki, po czym wrócił do ogrodu. Bez słowa nalał przejrzystego płynu. Wypili w milczeniu.

— Tak, tak to było — powiedział Grzesz. — Zacząłem pić, bo nie mogłem zapomnieć. Zaniedbałem gospodarstwo. Przepiłem je. A Leberecht płacił. Nigdy nie usłyszałem od niego choćby słowa pretensji. Tylko z początku przypatrywał mi się nieraz długo, a ja czułem się winny i piłem jeszcze więcej niż zwykle. Tak to było. Zawsze czułem się jego dłużnikiem i chciałem mu się odwdziaczyć.

— Być wdzięcznym i chcieć spłacić dług, to jest jakieś uzasadnienie --- rzeki w zamyśleniu żandarm Tak był pan wdzięczny, że aż zdolny do morderstwa. Kiedy je zarządził, nie zawałał się pan.

— Nie wydał żadnego polecenia — powiedział Grzesz. — Tego by nigdy nie zrobił. Nic zna go pan, jeśli pan tak myśli. Ja sam to zrobiłem. Zupełnie sam. Z własnej woli. Pomyslałem tylko, że to by jemu odpowiadało.

— Czemu tak pan pomyślał? — Żandarm napełnił kieliszki i znów wypili.

— Czemu? Bo wiedziałem o nim więcej niż ktokolwiek. Materna był świnią. Każdy o tym wie. Bił swoją żonę i mnie też ń! Tu, na głowie, czuje pan? To zablizniona rana. Wniósł do vsi niepokój. Kiedyś, gdy siedzieliśmy razem, Nowakowski, Uatzeck, Grabowski, Schwesig, Wengler i Neuberich, Lebe-
•echt powiedział, że tego Maternę trzeba by zatłuc.

— Poszedł pan i zabił pan tego Maternę?

Grzesz gwałtownie pokręcił głową.

— Nie, nie — zaprzeczył. — Takie proste to nie było. Na Boga! Często używaliśmy takich słów. Nie miały dla nas większego znaczenia. Wyczuwałem jednak podświadomie, już wtedy, że jest w nich coś poważnego. Nie wziąłem ich jednak wtenczas poważnie. Kilka dni później poszedłem odwiedzić Leberechta i usłyszałem głosy dochodzące z jego gabinetu. Usiadłem na tarasie i chciałem zaczekać. Rozmowa była głośna, rozumiałem więc prawie każde słowo. Była u niego Elfrieda Materna i skarżyła się na męża. Kiedy odeszła, Leberecht długo jeszcze siedział w gabinecie. Po kilku minutach *poszedłem* do niego. Płakał. Pan wie, co to znaczyło? Od dziecka byłem z nim razem, ale takim nie widziałem go nigdy w życiu.

Także po twarzy Grzeszą płynęły teraz łzy. Podniósł do oczu obie dłonie i próbował je wytrzeć.

— Niech pan sobie nic z tego nie robi — powiedział. — Jestem pijakiem, a tacy mażą się z powodu byle łajna.

— I zabił pan Maternę.

— Przy pierwszej okazji. W czasie dożynek. Upiłem się. Potem podszedłem do niego i walnąłem go w głowę pełną butelką. Przewrócił się, rąbnął o róg stołu, upadł na podłogę. Nawet nie jęknął i umarł. Chyba pan wie, kto był przy tym. A ja powiedziałem, że to rozkaz z góry! Wszyscy sądzili, że mam na myśli Leberechta, toteż milczeli i pomagali mi zatuzować sprawę. To był udar serca.

Thiele ponownie napełnił kieliszki. Z powagą i niemal determinacją na twarzy podniósł swój kieliszek i trącił się z Grzeszem. Wypili.

— Co mam teraz zrobić? — zapytał żandarm, a zabrzmiało to tak, jakby mówił do siebie. — Co mam zrobić?

— Uwierzyć mi.

— Wierzę panu, panie Grzesz. — Thiele bezmyślnie przypatrywał się zwiędłej zieleni żywopłotu, po którym widać już było, że pleni się w nim jesienne obumieranie. - Zastanawiam się, czy też usłyszałem choćby jedno słowo z tego, co mi pan opowiedział?

— Jeśli pan zeche, będę gotów wszystko zaprzysiąc. To proste zeznanie. Zabiłem go butelką wódki. Może pan to spokojnie wykorzystać.

— A jeśli nie zechcę wykorzystać? — zawołał głośno Thiele. — Jeśli zechcę całą tę historię po prostu pogrzebać?

— Leberecht sądzi, że już pan tego nie może zrobić. Zabrnął pan za daleko.

— To chce być pan skrócony o głowę? Z powodu takiego typu?

Grzesz uśmiechnął się. Cuchnął wódką i zdawało się też, że przez ten krótki czas odrosła mu na brodzie szczecina. Thiele przyglądał mu się zduminy. Człowiek ten znowu był tylko pijakiem. Wydawać by się mogło, że nie powiedział ani jednego ważnego słowa. Wydawać by się mogło, że nie jest zdolny do zbornego myślenia. Nic już nie świadczyło o tym, że szło mu o miłość do jakiegoś człowieka, do jedyne go człowieka, który mu w życiu pozostał. Był pijakiem o pozbawionych wyrazu wódczanych oczach, zwiędłej cerze i zmęczonej twarzy.

— Niech się pan o mnie nie martwi — powiedział Grzesz. --- Niech pan zrobi wszystko, czego nie może pan poniechać. Mnie i tak wszystko jedno. Mam wariackie papiery.

— Co pan ma?

— Chwilami jestem niepoczytalny. Mam to na piśmie. Od trzech lekarzy. Niech pan sam powie, co może mi się stać.

Neuberich zwęszył korzystną aurę. Statek, który jeszcze nie tonął, już zaczęły opuszczać szczury, ale on postanowił zostać. Był ocytany i wiedział, jak wykorzystać słabość innych dla umocnienia własnej siły. Teraz, czuł, szło o to, żeby podzielić innych. Żeby rządzić.

W Maulach nigdy dotąd nie cieszył się uznaniem, żeby nie powiedzieć, iż był lekceważony. Głupi ludek nazywał go zazwyczaj „tyłkotłukiem”. Leberecht, mimo zabiegów, ciągle odmawiał mu czołowej pozycji. Ten tęgi mężczyzna o donośnym głosie zawsze zwykł zachowywać się jak król i nie pozwalał Neuberichowi na udział w rządach. Teraz więc zaistniała jedna możliwość: rewolucja. Sytuacja była zaś dogodna.

Neuberich miał coraz mniej czasu na przypatrywanie się podczas gimnastyki swoim uczniom, a zwłaszcza dziewczynkom, czego, jako postępowy pedagog, nigdy dotąd nie zaniedbywał.

Ogolił się spieszenie, wetknął w surdut partyjną odznakę i wiejską ulicą ruszył na poszukiwanie ofiar. Zrazu nie ujrzał tam niczego, poza kilkoma wałęsającymi się psami.

Pastora Bachusa odnalazł w ogrodzie. Duszpasterz ucinął tam właśnie niedługą, poobiednią drzemkę. Niecierpliwy Neuberich zbudził go.

— Panie pastorze, chciałbym zadać panu ważne pytanie — powiedział.

Bachus z trudem otworzył oczy. Jego zazwyczaj dźwięczny głos zabrzmiał nisko i ochryple.

— Może pan spokojnie pytać.

— Panie pastorze, pan też teraz musi się zdecydować — oświadczył Neuberich.

— Już się zdecydowałem — powiedział Bachus.

— No, to jest pan przeciwnikiem partii?

— Oczywiście, że nie — obwieścił oburzony Bachus.

— No, to jest pan przeciwnikiem Leberechta — stwierdził z zadowoleniem Neuberich.

— Jak to? — zapytał Bachus skonsternowany.

— Bo partia jest przeciwko niemu — powiedział Neuberich. — Ponieważ jest pan w partii, nie może pan jednocześnie opowiadać się za nim. To logiczne! Powiem więc ortsruppenleiterowi, że nasz ruch może w zupełności zdać się na pana.

— Ależ proszę pana, niech pan sobie uprzytomni, że przede wszystkim jestem duszpasterzem — zawołał Bachus.

— Jak mam to rozumieć? — zapytał Neuberich i wyraźnie zdziwiony popatrzył na duchownego. — Czy chce pan przez to powiedzieć, że dla pana ruch nasz znajduje się dopiero na końcu?

— Ależ nie! Jak pan wie, jestem niemieckim chrześcijaninem!

— No to niech pan to okaże — powiedział Neuberich niemal dygocząc z rozkoszy, gdyż zdawało mu się, że zdołał doprowadzić do tego, iż pod pastorem ugięły się kolana.

— W każdym razie partia zachowanie się pańskie w tej sytuacji podda dokładnej analizie. Musi się pan z tym liczyć. Ja jednak jestem pewny pańskiego wiernego przywiązania.

Neuberich wyprężył się, podniósł rękę w geście pozdrowienia i odszedł z godnością. Na jego pomarszczonej twarzy malowało się zadowolenie. Jeśli wodze spoczywają w dłoniach kogoś znamienitego, ludzie pozwalają sobą kierować, on zaś był niemal zdecydowany zrobić to, zwłaszcza po tej niewielkiej, ale przekonującej próbie.

Kiedy tak sobie szedł przez wieś, sprawdzając od czasu do czasu, czy widoczny jest partyjny znaczek zdobiący jego klapę, uśmiechał się zadowolony i świadomy przewagi. Niemal wyłącznie rozmyślał o tym, w jaki też sposób swoją pełną upokorzeń przeszłość zamienić na przepelnioną uznaniem przyszłość. Zdecydowany poszedł do gospody, w której, zgodnie z oczekiwaniem, zastał ortsruppenleitiera.

— Będziemy mogli zdać się na przeważającą liczbę naszych członków — powiedział. — Pracuję nad tym. Ale jeden sprawi nam prawdopodobnie trudności. To Matzeck. I jeszcze może Schwesig. No, ten ma aż nadto zająć ze swoim SA i bawiąc się

w wojsko nie zauważa nawet, jak my tu robimy wielką politykę. Matzeck zechce jednak drzeć pysk. Jak to też można było takiemu właśnie człowiekowi powierzyć tak odpowiedzialną funkcję. Są przecież godniejsi!

— Drogi Neuberich — zaczął Nowak, uradowany, że znalazł kogoś, kto go wyręcza w tej całej niezwykle delikatnej misji — najlepiej będzie, jeśli Matzecka możliwie najszybciej pošlemy do diabła. Jeśli to się uda, pan będzie zastępcą ortsruppenleiters. Już ja to załatwię.

Neuberich zrobił odpychający gest i kiedy się to widziało, mogło się zdawać, że wynika on z czystej skromności.

— Miałem to szczęście, że wówczas, kiedy został zabity Materna, stałem tam oddalony o co najmniej dziesięć metrów, podczas gdy pan i jeszcze paru innych przebywaliście w bezpośredniej bliskości tego zdarzenia. W tym moja przewaga.

— Jako ortsruppenleiter muszę być całkowicie wyłączony z tej sprawy — powiedział Nowak.

— Wszystko będzie zależało od tego, czy pokryją się nasze relacje — wyjaśnił Neuberich. — Przede wszystkim musimy mieć sprawcę, a ten przecież jest.

— Mielibyśmy poświęcić Frycia Grzeszą? — zapytał ostrożnie Nowak. — To nieszkodliwy wariat.

— Co to znaczy poświęcić? — zdziwił się Neuberich. — To, co robimy, jest obroną konieczną. Nie robiąc tego zaszkodzimy sobie. Potrzeba nam oczywistych faktów: zabójcy i podżegacza. Tę dwójkę podamy Thielemu jak na tacy.

— Myśli pan, Neuberich, że tego naprawdę nie da się uniknąć?

— Jeśli tego nie zrobimy, nastąpią przesłuchania, badania i protokoły. Pytaniami wydłubią nam duszę z ciała. Kto wie, co też wówczas wyjdzie na światło dzienne?

— Czy rzeczywiście nie da się pominąć Leberechta?

— Zechciałby go pan pominąć? — zapytał czujnie Neuberich.

Kiedy zaś Nowak nie odpowiedział, twarz kierownika szkoły rozciągnęła się w uśmiechu zadowolenia.

— No, widzi pan! Ostatecznie na głowę pan nie upadł. Panu potrzebne są zabezpieczone tyły. Dopóki Leberecht będzie miał coś do gadania, pozostanie pan pajacem. Czego więc pan chce? Okazja sprzyja!

Neuberich krążył po służbowym pomieszczeniu ortsguppenleiters. Kanciaste gesty miały wyrażać energię.

— Niech pan uważa! Kiedy zapytają pana, powie pan, co następuje, a mianowicie to, że pewnego razu, kilka dni przed tamtym zdarzeniem, usłyszał pan tu, w gospodzie, wczesnym wieczorem, jak Leberecht powiedział: „tego człowieka trzeba by zabić”. Panu jednak nic to nie dało do myślenia, nie wiedział pan też, kogo to dotyczyło.

— Uwierzą mi? — zapytał niepewnie Nowak.

— Zazwyczaj nie wierzą, ale jeśli trzech ludzi oświadczy dokładnie to samo co pan, sprawa będzie załatwiona. W takim wypadku musi się wierzyć.

— No to pięknie — powiedział Nowak. — Niech pan zadba o to, żeby doszło do uzgodnionych oświadczeń.

Neuberich skinął głową, stanął za biurkiem ortsguppenleiters, z wysiłkiem się wyprężył i oparł na biodrze dłoń.

— Kolejny punkt, który wymaga uzgodnienia, jest następujący: pan był przy tym, kiedy Grzesz uderzył. Do tego będzie się pan musiał przyznać, bo nie da się temu zaprzeczyć. Połowa wsi była tego świadkiem. Zaniepokoił się pan, próbował pan udzielić pierwszej pomocy, poczynił kroki, które zapewniły zatrzymanie Grzeszą. Ale diagnoza lekarska stwierdziła, że był to udar serca, pan zaś nie miał podstaw, by nie uwierzyć lekarzowi. Nie miał pan też ciągle spokoju, żywił pan konkretne podejrzenia, ale milczał pan.

— Dlaczego jednak milczałem?

— Bo nikt pana nie pytał. Zaufał pan lekarzowi oraz Leberechtowi. To, że obaj nie są godni zaufania, zmiarkował pan dopiero później. Kiedy więc zażądano pańskiego zeznania, nie ociągał się pan ani przez chwilę. Zgodnie z wiedzą i sumieniem.

— A kto zezna tak samo, Neuberich?

— Grabowski i Wengler. Bachus potwierdzi pańską wiarygodność.

— A pan, panie Neuberich?

— Ja wszystko zorganizuję. Ostatecznie ktoś musi się tym zająć dla dobra partii. Poza tym ja przecież nie uczestniczyłem bezpośrednio. Byłem oddalony o dwadzieścia, dwadzieścia pięć kroków, kiedy się to stało.

— A jeżeli Schwesig i Matzeck złożą zeznania niezgodne z naszymi?

— Nikt ich wcale nie będzie pytał. Niech pan pozwoli, że zatroszczę się o to. O ile znam tego Thielego, będzie chciał sprawę wyjaśnić, a nie skomplikować.

— Co jednak powiemy, kiedy zacznie się mowa, że Materna był, hm, narodowym socjalistą?

— Nic o tym nie wiemy.

— Thiele może jednak dowieść, że był on narodowym socjalistą.

— Mimo to, my o tym nie wiemy. — Neuberich mrugnął porozumiewawczo. — Gdybyśmy wiedzieli, zostaliby przyjęty z otwartymi ramionami.

— Teraz widzę wyraźnie — powiedział z zadowoleniem Nowak — że ma pan wszystkie dane, żeby zostać zastępcą Ortsgruppenleiters.

Neuberich skłonił się, jeszcze zanim się pożegnał, żeby pójść do Wenglera. Był w dobrym nastroju i pomyślał, że ma zostać zastępcą Ortsgruppenleiters. Jeszcze czego! Minęły czasy, kiedy to grał drugie skrzypce. Zawsze był najlepszym człowiekiem w tej miejscowości, a teraz, kiedy skończy się cała intryga i udadzą się zamierzone manewry, zostanie nareszcie w tejże miejscowości człowiekiem numer jeden. Tak czy inaczej, wszyscy mają swój udział w tym świństwie, tylko nie on. Jego ręce są czyste.

Kiedy tak szedł przez Maute, z odkrytą głową, protekcjonalnym uniesieniem dłoni odpowiadając na pozdrowienia i dużym łukiem omijając natrętne, pozbawione respektu, wiejskie psy, na które spoglądał z przyganą w oczach, czego one jednak

nie zauważały, myślał o tym, że ta wioska to jednak chlew. Całkiem zdeprawowana przez Leberechta, który nie tylko go nie doceniał, ale i upokarzał. Tylko Leberecht winien jest temu, że wieś podupadła, a ludzie ulegli zepsuciu. Leniwe typy, żebracy żyjący z jałmużny, pijanice, kłirwiarze. Niezaspokojone baby, flejtuchy, niewyparzone gęby, rozpustne dziwki.

— Już ja temu Leberechtowi wydrę z łap tę wioskę! — postanowił.

Zdecydował też, że kiedy już zostanie ortsgnippenleiterem i sołtysem, przewodniczącym albo honorowym przewodniczącym straży pożarnej i Związku Weteranów Wojny, całe te Maule gruntownie przenicuje. Najpierw trzeba podjąć budowę domu gminnego, z biurami, z salą posiedzeń, biblioteką i splukiwaną ubikacją. Potem trzeba będzie pomalować na nowo szkołę i wymienić w niej ławki. Pod hasłem „Piękno wsi” zorganizuje się współzawodnictwo z nagrodami w formie honorowych dyplomów przyznawanych za najlepszą elewację, za najdokładniejszy ogród i najczystsze obejście. W ogóle wszędzie czystość będzie pisana dużą literą. Czystość kufli do piwa, czystość mundurów i dusz. Narodowosocjalistyczny Związek Kobiet, Hitlerjugend wraz z młodzikami i Niemieckim Związkiem Dziewcząt, do tego Narodowosocjalistyczny Związek Kulturalny.

Jakiś pies wpadł mu pod nogi i Neuberich mocno się potknął. Wyzwał psa, który patrzył nań merdając ogonem. Kopnął w powietrze. Pies zawarczał. Neuberich ominął go i pospieszył do Wenglera. Obrobił go w ciągu pół godziny odnosząc widoczny sukces.

— Jedno musi pan wiedzieć, Wengler, to, że nie będzie pan robił tego dla swojego konkurenta Nowaka, co też nie byłoby dla pana łatwe. Będzie pan to robił dla naszej partii. Ona zaś nie zapomni pańskich zasług.

— Miejmy nadzieję — powiedział Wengler.

— Gdybym ja był tu ortsgnippenleiterem, Wengler — rzekł jakby mimochodem Neuberich — oczywiście natychmiast zrobiłbym pana zastępcą.

— To dla mnie zaszczyt — oświadczył Wengler. — Niech się pan na to zdobędzie!

W dobrym nastroju pożegnał się Neuberich ze skarbnikiem i ruszył dalej, żeby zmobilizować trzeciego koronnego świadka, a tym samym spętać też jednego z konkurentów. Grabowskiego, który złorzeczył i miał podwiniętą nogawkę, zastał na podwórzu.

— A to ci parszywe, bydlackie, psisko — wrzeszczał rozwścieczony Grabowski. — Niucha mi tu po pogorzelsku, wygrzebuje padlinę i jeszcze gryzie mnie w nogę. — Kuśtykał zagniewany i sięgnął po kij.

— W porządnej gminie psy trzeba będzie trzymać na uwięzi. Trzeba będzie wykupić dla nich znaczek i płacić podatek.

— Całkiem słusznie — zawołał Grabowski. — Całe to pas kudztwo przestanie się wówczas włóczyć. Ten parszywy bydlak wgryzł mi się w ciało głęboko. — Podniesionym przed chwilą kijem rzucił w szarobrunatnego zwierzaka, który wytrzeszczając zęby siedział na gruzach spalonego domu.

Wzrok Neubericha padł na warczącego i dziko prychającego psa. Neuberich przestraszył się. Z pyska zwierzęcia toczyła się bladożółta piana. Grzbiet jego był wygięty, ogon podkulony.

— Na miłość boską! — zawołał Neuberich. Schylił się, zaczął sięgać po duże kamienie i rzucać nimi w psa. Ów trafiony zaskowyczał i uciekł.

— Niech pan łaskawie nie rusza moich cegieł — beszał Grabowski. — Jedna taka sztuka kosztuje dwadzieścia pięć fenigów. — Przykuśtykał do Neubericha.

— Widział pan tego psa? — zapytał podniecony Neuberich.

— Nie tylko widziałem to bydle, ale nawet poczułem je — powiedział gniewnie Grabowski.

— Ten pies jest wściekły! — powiedział Neuberich ciężko dysząc.

— Co? — Grabowski zeszywniał.

— Ten pies ma wściekliczną — oświadczył z przekonaniem Neuberich. — Trudno było nie zauważyć objawów. Jeśli to ten

pies pana ugryzł, jest pan zarażony. Niczego pan jeszcze ai%, czuje?

Grabowski zbladł.

— Wścieklizna — powiedział niemal bezgłośnie. Popatrzył na swoją nogę. Z coraz większym przerażeniem przyglądał się głębokiej ranie po ukąszeniu. Nagle wydało mu się, że czuje, jak konwulsyjnie kurczą się mięśnie i ciało jego łydki. Zaczęło mu się zdawać, że czuje wyraźnie, jak zalążki zarazy mieszają się z jego krwią i powoli, powolutku przenikają jego ciało. Zdawało mu się, że zaczyna mieć mdłości.

— Mam wściekliznę — wystękał. Twarz mu poszarzała.

IV]Łozna powiedzieć, że Neuberich z fruującymi połami surduta pobiegł z powrotem do wsi, żeby rozgłosić, iż u Grabowskiego wybuchła wścieklizna. Przypomniał sobie, że przeczytał gdzieś, kiedyś, iż natychmiast trzeba zawiadomić odnośne władze. Nie wiedział jednak, jaką władzę należy uważać za odnośną i całą sprawę postanowił zwalić na barki dziarskiego Thielego.

Thiele siedział bez surduta na swoim podwórku i studiował katalog maszyn rolniczych. Porównywał ceny, badał warunki dostawy i zapłaty. Zrazu nie zauważył nadbiegającego Neubericha.

— Wścieklizna! — zawołał Neuberich, a potem szybko zaczął opowiadać. Thiele co rusz przerywał mu zwięzłymi pytaniami i zmuszał do rzeczowości.

— Jest więc pan pewny, panie kierowniku, że idzie tu o wściekliznę?

— Jestem absolutnie pewny, choć odpowiedzialności nie przyjmuję, gdyż mogę się mylić.

Żandarm przełknął niezbyt uprzejmą uwagę, która cisnęła mu się na usta.

— Dobrze więc. Mimo wszystko będziemy musieli zastosować wszelkie przepisane środki zapobiegawcze.

Thiele pobiegł do telefonu i poprosił o pomoc doktora Gensfleischa. Doktor obiecał, że przybędzie natychmiast, a przedtem zawiadomi właściwe władze.

— Pan, panie kierowniku, zawiadomi sołtysa, który powinien natychmiast ogłosić nakaz koniecznego pozamykania wszystkich psów. Niezastosowanie się do niego będzie karane.

— Zrobię to — powiedział Neuberich . — Zawiadomię też kierownictwo miejscowej grupy.

— Jeżeli uważa pan, że ma ono coś wspólnego z wściekłą, niech pan to zrobi.

Thiele dosiadł roweru i popedałował do Grabowskiego, który leżał w stajni i biadał. Nawet widok zniechęconego żandarma nie złagodził dręczącego go, paraliżującego i odbierającego dech uczucia, któremu się poddał.

— Niestety tylko rzadko nie chodzą w parze — zawołał płaczliwie.

Żandarm bez słowa odkrył Grabowskiego i obejrzał ranę na łydce. Było to głębokie, wyraźnie widoczne ugryzienie. Brzegi rany przybrały ognistoczerwoną barwę.

— Niech pan coś zrobi! — zawołał głośno Grabowski.

— Możliwe, że jest już za późno — powiedział żandarm.

— Za późno — wrzasnął Grabowski. — Co to ma znaczyć?

— Jeśli to był rzeczywiście wściekły pies, co jeszcze nie jest udowodnione, pierwsza pomoc powinna być udzielona natychmiast. W ciągu pięciu minut. Mogło być to mianowicie wypalenie rany rozgrzanym do czerwoności kawałkiem metalu.

— Och! — zawołał z rozpaczą Grabowski. — A teraz jest już za późno?

— Na taki radykalny zabieg, na pewno. Teraz pomoże tylko surowica.

— Niech ją pan sprowadzi! — zawołał histerycznie Grabowski. — Po co pan tu w ogóle jest? Czy myśli pan, że na darmo płacę podatki? Jeśli coś mi się stanie, winę zrzucę na pana. Zaciągnę pana do sądu!

— Niech się pan nie podnieca — powiedział ze spokojem

żandarm. — Jeśli to faktycznie była wścieklizna, ma pan przed sobą tylko godziny życia.

Grabowski krztusił się z wściekłości i strachu. Złorzeczył Thielemu, który przestał go już słuchać. Poszedł na przyprószone popiołem podwórze i rozejrzał się badawczo. Ponad wypalonymi szczątkami murów, ponad zagonami spojrzął ku gospodarstwu za łąką należącemu do Elfriedy Materny.

Wkrótce wróciła ze wsi niosąca kosz Trautka, służąca Grabowskiego.

— Kupiłam mu piwo — powiedziała. — Ma silne pragnienie.

— Nie dostanie nic do picia — zarządził żandarm. — Niech mu pani pozwoli wrzeszczeć, ile tylko zechce. Jeśli lekarz się zgodzi, dostanie piwa.

— Jak pan uważa — powiedziała służąca i wzruszyła ramionami. — Ale będzie wariował.

— Już niedługo — stwierdził oschle żandarm. — Czy widziała pani psa, który ugryzł Grabowskiego?

— Ależ tak — odparła Trautka. — Wałęsa się tu jeszcze. Przed chwilą był za płotem.

Żandarm niezwłocznie udał się na wskazane miejsce. Wydobyl pistolet i przeładował go. Uważnie się rozejrzał pilnie nasłuchując. Zrazu słyszał tylko dochodzące ze stajni skargi i złorzeczenia Grabowskiego, potem zwrócił uwagę na dziwnie syjące, przerywane powarkiwanie.

Przed sobą miał wychudłego, kudłatego i szczerzącego zęby psa. Uniósł pistolet i strzelił. Zwierzę upadło, zadrgało i zdechło. Thiele zabezpieczył pistolet i schował go. Pochylił się badawczo nad zwierzęciem. Nie miał już wątpliwości, że było ono wściekłe.

Thiele wolno wrócił na podwórze, przestąpił zwęglone belki i usiadł na rozworze wozu. Na przybycie doktora Gens fleischa nie musiał już długo czekać.

— Bez wątpienia jest to wścieklizna, panie doktorze.

— No to, Bogu dzięki! — zawołał ów i zeskoczył z furmanki.

— Wygląda na to, że się pan cieszy — zauważył ze zdziwieniem Thiele.

— Zmobilizowałem wszystkie władze — powiedział Gensfleisch. — Surowicę przeciw wścieklicznie mam przy sobie. Dalsze jednostki są już w drodze. Karetka pogotowia również. Z Olsztyna przyjedzie komisja lekarska.

— Na co nam potrzebna komisja lekarska? — zapytał bez entuzjazmu Thiele.

— Mnie pan nie powinien pytać — powiedział z uprzejmym uśmiechem Gensfleisch. — Zgodnie z przepisami zawiadomiłem lekarza powiatowego, a ten chce tu przyjechać. Przypuśćmy, że z poczucia obowiązku, albo z nudów. Możliwe, że szuka okazji do korzystnego zapisania się w pamięci zwierzchników.

— Mnie tam wszystko jedno — odrzekł Thiele. — Najważniejsze, żeby nie przewrócił nam wioski do góry nogami.

— Gdzie leży pacjent?

— W stajni, panie doktorze. To dość brutalne chłوپisko.

— Tego Grabowskiego znam nieźle — powiedział Gensfleisch. — To cwaniak i pyskacz. Do tej pory chorował tylko raz. Ropne zapalenie zatok czołowych. Dopóki leżał w łóżku, był wrażliwy jak dziecko; wył tak, jakby już miał się skończyć. Cierpiał wytrwale, choć sprawa nie była wcale straszna. Trzeba było widzieć panu ten cały teatr! Taki typ nie należy do rzadkości. Wielu jest takich.

— Czy pan, panie doktorze, będzie miał coś przeciwko temu, że mu wygarnę? Wcale mu to nie zaszkodzi, jeśli przez chwilę pozostawi się go w niepewności. Okazja jest korzystna.

— W tym przypadku, jeśli idzie o Grabowskiego, nie mam nic przeciwko temu, drogi Thiele. Uznaję też za godne uwagi, a mówiąc prawdę, cieszę się, że to właśnie pan wpadł na pomysł tak zgodny z tradycją Mauli. Wydaje mi się, że zaczyna się pan z nami zżywać. Chcę się jednak zorientować, w jakim jest on stanie.

— Jest dość dziarski — powiedział z przekonaniem Thiele.

Razem weszli do stajni.

— Doktorze, nareszcie! — zawołał z ulgą Grabowski. — Nareszcie pan się tu zjawił. Mógł pan chyba przyjechać szybciej. Jestem przecież ciężko chory.

— Niech pan będzie cicho — powiedział opryskliwie Gensfleisch. — Proszę pokazać nogę.

— Ale żandarm musi wyjść! — rzekł z naciskiem Grabowski. — Nie ma tu nic do szukania. Ostatecznie to pan jest lekarzem!

— Niech pan pokaże nogę — rozkazał Gensfleisch. Odkrył kołdrę i schwycił Grabowskiego za nogę. — Ależ z pana wieprzak! Kiedy mył pan ostatni raz te nogi?

— Gdybym wiedział, że ugryzie mnie wściekły pies, umyłbym je przedtem. Specjalnie dla pana.

— Rzeczywiście jest pan dziarski — powiedział Gensfleisch.

— Jestem śmiertelnie chorym człowiekiem — podniósł lament Grabowski. Znowu wyglądał na prawdziwie zrozpaczonego i dotkniętego cierpieniem oraz udręką. — Czuję to całkiem wyraźnie. Ból podszedł już aż do bioder. Mam zakażoną krew. Ledwie oddycham. Tylko kiedy patrzę na tego żandarma, zapominam o wszystkim. Niech on stąd zniknie, doktorze.

— Pan Thiele zostanie — zdecydował Gensfleisch. — Jeśli idzie o wściekliznę, to on musi spowodować, żeby przysłano specjalną surowicę. Bez tej surowicy już jest pan nieboszczykiem, uwzględniając oczywiście, że jest to naprawdę wścieklizna.

— To jest wścieklizna — zawołał Grabowski tracąc panowanie nad sobą. — Przecież czuję to!

— Spokój! — nakazał Gensfleisch. Sprawdził puls. Potem jeszcze raz pochylił się nad raną. Nie powiedział nawet słowa. Otworzył torbę, wyjął strzykawkę i napełnił ją. Postępującemu Grabowskiemu wbił igłę w pośladek. Potem przygotował następną strzykawkę i wkuł ją w przegub ręki.

— Nie sądzę, żeby to była wścieklizna — powiedział z namysłem żandarm.

— To jest wścieklizna — rzekł cicho Grabowski. — Czuję to wyraźnie.

— Można się mylić — zauważył ze spokojem żandarm. — Może pan to sobie wmawia.

— Doktorze, pan powinien wiedzieć, co to jest — zawołał Grabowski. — Niech pan mu to powie. Musi załatwić, żeby surowicę dostarczono jak najszybciej. Niech mu pan powie, że to wścieklizna.

Doktor Gensfleisch podszedł do okna magazynu paszy, w którym leżał Grabowski. Wyglądał przez brudne szyby i usiłował powściągnąć uśmiech. Pomyślał sobie, że ten Thiele to strasznie szczwany lis, a głośno powiedział:

— Nie mogę stwierdzić nic pewnego na podstawie moich badań.

Grabowski podniósł się postępując.

— A tymczasem mogę tu zdechnąć — zaskowyczał z wściekłością.

— Na śmiertelnie chorego człowieka nie wygląda pan — powiedział niewzruszony tym Thiele. — Pańskie zachowanie dowodzi, że cała ta sprawa nie jest zbyt groźna.

Grabowski opadł na legowisko. Czuł się zmęczony i rozbity. Kotłowały się w nim wściekłość i strach.

— Pozwoli mi pan umrzeć? — wyjęczał.

— Myli się pan — rzekł łagodnie Thiele. — Tak samo jak ja pomyliłem się przyjmując wersję podpalenia.

— Ach! — jęknął zdruzgotany Grabowski. — To tego pan chce! — Mogło się zdawać, że zaraz się udusi. Cicho, ledwie dosłyszalnie dodał jeszcze: — Jest pan... jest pan...

— Tylko bez komplementów — powiedział Thiele. — Nie potrzeba ich w stosunkach między nami. Wolałbym jednoznaczne przyznanie się.

— Podły z pana typ — powiedział cicho Grabowski. Wyciągnął rękę, ale zaraz ją opuścił. Czuł się nędznie. Powoli uchodził zeń bezmiar złości. Jeszcze na chwilę ożywiła go myśl, że satysfakcję znajdzie w tym, iż przeklnie Thielego na łożu śmierci. Nie była to jednak trwała pociecha. Dostrzegał zbliżający się już a pewny koniec, nieunikniony, jeśli żandarm szybko nie* sprowadzi surowicy. Surowica zaś nadejdzie tylko wówczas...

- Tak — powiedział Grabowski pełnym głosem.
- Co znaczy, tak? — zapytał przyjaźnie żandarm.
- Dostanę surowicę, jeśli...
- Surowica będzie panu zagwarantowana.
- I pomoże mi, panie doktorze?
- Tylko to może panu pomóc w tym przypadku.
- No, dobrze więc — rzekł cicho Grabowski. — **Zrobiljtn**
to. Podpalilem obejście. "
- W jaki sposób?
- Z pomocą świecy o trzygodzinnym czasie spalania.
I z pomocą prochu. I siana.
- Gdzie?
- Na strychu z sianem, nad szopą. Zaraz nad drzwiami.
- Kiedy?
- Na krótko przed drugą.
- W porządku — powiedział przyjaźnie żandarm. — To było niepodważalne i całkowite przyznanie się w obecności świadka. — Skinął na doktora Gensfleischa i chciał wyjść.
- Czy teraz dostanę surowicę? — zapytał całkiem już wyczerpany Grabowski.
- Przed chwilą ją wstrzyknąłem — powiedział doktor Gensfleisch.

Komisja przyjechała mercedesem. Podniósł się wielki kurz. Panowie wysiedli z samochodu i rozprostowywali sobie nogi. Thiele złożył meldunek.

Lekarz powiatowy skinął głową i zarządził, by jego asystent zbadał tak ciężko doświadczonego Grabowskiego, żeby sprawdził działanie surowicy. Wynik był pozytywny. Grabowski aż pozieleniał ze złości. Oczy mu błyszczały i pełnymi nienawiści spojrzeniami obrzucały żandarma.

— Niebezpieczeństwo już minęło — powiedział z zadowoleniem asystent i kiwnął głową w stronę trzęsącego się z gniewu Grabowskiego. — Może pan sobie pogratulować.

— Pierwsze kroki zostały więc poczynione zgodnie z przepisami — rzekł z uznaniem lekarz powiatowy. — Gdzie jest chore zwierzę?

Obejrzeni psie padło.

— To godny uwagi przykład zaawansowanej wścieklizny — stwierdził lekarz powiatowy. Widok choroby, tak samo rzadkiej, jak groźnej, dostarczył mu naukowej satysfakcji.

Do grona dołączył Neuberich, przedstawił się i zakomunikował:

— Wszystkie psy, które udało się schwytać, zostały zamknięte albo wzięte na łańcuch. Podejrzenie budzi pies rolnika Loehnera.

Lekarz powiatowy zwietrzył nowy, interesujący przypadek. Zażądał, by mu przyprowadzono do obejrzenia tego budzącego podejrzenie psa. Natychmiast i z zachowaniem ostrożności.

— Proszę to spowodować, panie wachmistrzu.

Thiele robił to niechętnie. Dobrze znał gorliwość zwierzchnich władz, znał ich manię uganiania się za sprawami, które przyczyniały się do potwierdzenia ważności ich urzędu. Ruszył więc niechętnie i po długiej chwili przyprowadził psa rolnika Loehnera.

Specjaliści rzucili się do gniewnie warczącego zwierzaka i zbadali go. Stwierdzili nadmierną pobudliwość psa. Na jego zębach odkryli pianę i przypatrywali się jej gorliwie.

— No i co? — zapytał asystenta powiatowy lekarz.

— No tak — powiedział ów znacząco — zdaje mi się, że podzielam pańskie zdanie.

— Nie idzie więc tu o pojedynczy przypadek, ale o epizootycję.

— Aha — potwierdził z zainteresowaniem Neuberich. Nie miał o tym pojęcia i nawet nie wyobrażał sobie, co by to miało znaczyć.

— Uważam to za pomyłkę — rzekł poważnie Thiele.

— Możemy jednak obostrzyć izolację poszczególnych psów i prowadzić ciągłą kontrolę.

Powiatowy lekarz ze zdumieniem popatrzył na żandarma.

— Myśli pan,- że to wystarczy? Zechciałby pan wziąć za to odpowiedzialność?

— Chcę — odrzekł Thiele.

— Doceniam pańską dobrą wolę — powiedział powiatowy lekarz, nie ukrywając zdumienia, jakie wywarła na nim wypowiedź żandarma, którą uznał po prostu za nieodpowiedzialną.

— Wygląda na to, że nic pan nie wie o wałęsających się psach.

Potem przeprowadził długie telefoniczne rozmowy. Kiedy się z nimi uporał, ruszył do samochodu.

— Panie wachmistrzu — powiedział — zgodnie z rozporządzeniem pana prezydenta rejencji należy natychmiast wystrzelać wszystkie psy w Maulach.

Thiele uważnie przypatrywał się powiatowemu lekarzowi, Neuberich szeroko otworzył usta. Doktor Gensfleisch odwrócił się.

— Pański bezpośredni zwierzchnik, pan kapitan Riedesel oczekuje, że pan natychmiast wykona to rozporządzenie. Do zmierzchu jest jeszcze pięć godzin. Do tej pory musi pan też zdążyć. Mój asystent zostanie tu jako obserwator.

Komisja wsiadła do mercedesa i odjechała. Pozostał po niej wielki tuman kurzu. Asystent poszedł do szkolnego budynku oznajmiając, że tam założy główną kwaterę.

— Panie wachmistrzu, proszę informować mnie na bieżąco — rozkazał i oddalił się.

Thiele zwiesił głowę i bezradny stał na środku wiejskiej ulicy.

— Doktorze — powiedział — czy wierzy pan w słuszność takiej decyzji?

— W każdym razie jest uprawniona — odrzekł doktor Gensfleisch. — Otrzymaany rozkaz będzie pan musiał wykonać.

— O Boże, to ci będzie zamieszanie! — zawołał przewidująco Neuberich.

Żandarm stał na rozstawionych nogach.

— To by mnie wcale nie obeszło, ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy idzie tu rzeczywiście o zarazę, czy też nie.

— Jeśli mnie pan pyta — powiedział wolno doktor Gensfleisch — to nie wykluczam tego całkowicie. Pora roku jest

szczególnie sprzyjająca. Pies, który ugryzł Grabowskiego, miał i wściekłą wysoko zaawansowaną. Pies rolnika Loehnera, j zbadany przed chwilą, jak się zdaje, również wygląda na zara- ; żonego. Okres od zarażenia do ujawnienia się choroby waha się ogólnie między dwudziestoma a dwudziestoma sześcioma dniami. Sam pan wie, Thiele, że nasze psy niezbyt dobrze wiedzą co to łańcuch i najczęściej biegają luzem. Całkiem więc możliwe, że zaraza rozprzestrzeni się w każdej chwili.

— Jest to możliwe, ale nie zostało potwierdzone - powiedział Thiele.

— Co pan jednak zrobi? — dociekał Gensfleisch, ale nie uzyskał odpowiedzi. Żandarm odszedł bez pożegnania.

— Maule ruszą się z posad — skonstatował podniecony Neuberich zaciskając pięści. — Kiedy im o tym powiem, będą stawać na głowie. Swoje psiska kochają bardziej niż ludzi. Trafi ich szlag.

— Niech pan nie zapomina, że to pan był tym, który nawarzył im tego piwa — powiedział doktor Gensfleisch uśmiechając się powściągliwie.

— Ja? — zawołał z oburzeniem Neuberich.

— Oczywiście — sucho powiedział Gensfleisch. — Przecież to pan zwrócił uwagę komisji na psa rolnika Loehnera. Gdyby się to nie stało, można było przyjąć wersję o jednostkowym przypadku. Tylko z tamtego powodu obowiązują teraz wszystkie czynności związane ze zwalczaniem zarazy.

Neuberich oddalił się protestując i wpadł do gospody, żeby podzielić się z ogółem tym, czego się dowiedział. Doktor Gensfleisch poszedł zaś do Leberechta i złożył mu szczegółowe sprawozdanie.

Thiele natomiast udał się do swojej kancelarii i stał w niej długo. Potem podszedł do podwójnie zamykanej ściennej szafy i wyjął z niej broń: mauzera, parabellum i karabin. Położył broń na stole, a obok amunicję. Potem usiadł.

Wieś ogarnęło tymczasem wielkie wzburzenie. Wieść o tym, że w Maulach mają być wystrzelane wszystkie psy, rozeszła się błyskawicznie. Rolnicy porzucili zajęcia na polach i zaczęli się

naradzać. Na drogach stały opuszczone, na wpół załadowane drabiniaste wozy. Spokojnie pasły się wyprzęgnięte konie. Również kowal przerwał pracę.

W gospodzie zapobiegliwy Nowak kazał wytoczyć za bufet wielką beczkę piwa. Kobiety z ożywieniem rozmawiały przez płot, mężczyźni zebrali się w gospodzie. Znalazł się tam nawet sołtys. Panowało silne wzburzenie. Ten, kto chciał zabijać ich psy, trafiał mieszkańców Mauli w samo serce.

— Musimy coś zrobić! — wołały podniecone głosy. — Nie możemy do tego dopuścić!

— Leberecht musi nam pomóc!

Zbili się w tłum i ruszyli do Leberechta. Ów wysłuchał spokojnie wszystkiego, co mówili. Potem powiedział:

— W normalnej sytuacji pomógłbym wam oczywiście, ale to już nie są normalne Maule. Jak wiecie, ja się już prawie odmeldowałem. Teraz mamy partię i do niej musicie się zwrócić.

— Kichamy na taką partię — zawołali niektórzy ze złością.

— Nie zauważyłem tego — powiedział Leberecht. — Na odwrót. Partię poparliście, a mnie zostawiliście na lodzie. Jak miałbym wam teraz pomóc. Niewiele będę mógł dla was zrobić, dopóki będzie tu ta partia.

Tłum odszedł szemrząc i ruszył do Nowaka, któremu bardzo pochlebilo zaufanie, z jakim się spotkał.

— Na mnie możecie się zdać! — zawołał.

Potem pospieszył do telefonu i kazał połączyć się z powiatowym kierownikiem organizacyjnym. Rozmowa była krótka, ale najwyraźniej wyczerpująca. Nowak odłożył słuchawkę i powiedział parteigenossen, którzy go otaczali:

— On uważa, że nie powinniśmy się mieszać do tego.

Parteigenossen okazali wyraźne niezadowolenie.

— Potem powiedział też, że gównu nas to obchodzi! Mamy raczej uważać, żeby w partii wszystko było w porządku. Powiedział, że zdechlaków, którym z powodu byle drobnostki trzęsą się nogi, nie potrzeba mu wcale.

Ludzie stojący na dworze zaczęli tracić cierpliwość.

— Co to jest? — wołali. — Wyjaśni się ta sprawa czy nie?

Jeśli wszystko wnet się nie wyjaśni, wystrzelają nam nasze psy.

Nowak długo się ociągał, ale w końcu wyszedł do nich, między innymi z obawy o całość swoich sprzętów.

— To przecież dla waszego dobra! — zawołał przekonująco ich.

— Niczego nie załatwiłeś, Nowakowski?

— Partia stoi całkowicie po naszej stronie, ale nic nie może zrobić — powiedział Nowak.

— Ładna ta partia! — zakrzyknęli gniewnie niektórzy.

— Nie zrozumieliście tego właściwie— próbował wyjaśniać Nowak.

— Zrozumieliśmy całkiem dobrze. Wystrzela się nasze psy, bo jakiś facet coś tam bredzi.

— To dla dobra wszystkich ludzi — powiedział ciszej Nowak. — Pomyślcie, że każdy z was mógłby być pogryziony. Że stałoby się z wami to, co z Grabowskim. Uspokójcie się ludzie!

— Do diabła z taką gównianą partią! — zawołał któryś, a tłum zgodnie zawył. — Gdybyśmy zawsze słuchali Leberechta, ominęłoby nas to.

— Do Leberechta! — zakrzyknęli ludzie, zostawili Nowaka tam, gdzie stał, i ruszyli do majątku. Nie zastali Leberechta, a tylko Schwesiga stojącego w bramie.

— Nie naróbcie w portki! — zawołał Schwesig do stłoczonego tłumu. — Na Leberechta możecie się zdać, mimo że wcale na to nie zasługujecie. Teraz my weźmiemy sprawę w ręce. Idźcie do domu i golnijcie sobie po jednym. Resztę my zrobimy.

— Gdzie jest Leberecht?

— W odwiedzinach u swojego przyjaciela żandarma.

Po dalszej wymianie słów tłum rozproszył się. Wszystkich ożywiła nowa nadzieja, bo też zaufanie do Leberechta ciągle jeszcze było znaczne. Niektórzy poszli do swoich gospodarstw, większość ruszyła do gospody. Schwesig zebrał swoich SA-manów i rozdzielił między nich strzelby Związku Weteranów Wojny.

Leberecht, który wszedł do służbowego pokoju żandarma, zobaczył go siedzącego za stołem i wpatzonego nieruchomo w broń oraz amunicję.

— Gotów do mordowania psów? — zapytał.

Thiele nie odpowiedział i mogło się zdawać, że cała ta sprawa wcale go nie obchodzi. Leberecht stanął za nim i położył mu na ramieniu ciężką dłoń.

— Amunicji wystarczy? — zapytał.

— Nie zrobię tego — powiedział z przekonaniem Thiele.

— Uchyła się pan? — zapytał Leberecht.

— Zdecydowałem się! — Thiele wstał, odwrócił się i popatrzył na majątkarza. — Tego nie będę robił — oświadczył.

— To odmowa wykonania rozkazu — powiedział twardo majątkarz, ale uśmiechnął się przy tym.

— Niech będzie! — odparł Thiele zdecydowanym tonem. — Nikt nie może zmusić mnie do wybicia wszystkich psów w naszej wiosce tylko dlatego, że zachodzi jakieś podejrzenie. Tutejsi ludzie dobrze współżyją ze swoimi psami, psy sprawiają im radość i są im wdzięczne. Nie mogę wytluc tych zwierząt!

— Może to pana kosztować stanowisko. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

Thiele skinął głową. Zdecydowany schwycił broń i schował do szafy. Włożył do niej amunicję. Potem zamknął szafę na dwa zamki i wyciągnął klucz.

— Tak — powiedział.

— Jeśli pan tego nie zrobi, znajdą się inni, którzy będą strzelać, pan zaś przestanie być żandarmem.

— No to przestanę — odparł Thiele.

Leberecht uśmiechnął się.

— Chcielibyśmy jednak utrzymać pana tutaj, drogi panie Thiele. Jest pan dla nas człowiekiem właściwym. Zastąpimy więc pana, na swój sposób, żeby mógł pan jeszcze długo od-dychać tutejszym powietrzem.

— Jeśliby wpadł pan na pomysł odkomenderowania ludzi do tego, żeby w moim zastępstwie wystrzelali te psy, pogrzebie

się pan razem z całą pańską wsią. — Thiele podszedł do drzwi, nałożył pas i czapkę.

— Dokąd chce pan iść?

— Idę się upić — powiedział. — To wszystko, co mogę tu jeszcze zrobić.

Wiejską ulicą żandarm szedł do gospody. Głowę wcisnął między ramiona i zdawał się nie dostrzegać nikogo. Dobiegały do niego podniecone głosy. Zbiło się jakieś szkło, ktoś głośno zaklął.

Thiele szedł bez ociągania. Pokonał pięć stopni dzielących go od przedsionka, za którym usytuowany był lokal gospody. Pchnął drzwi i wszedł do wnętrza. Wionął na niego tytoniowy dym, opar piwa i hałas.

Przez sekundę żandarm stał w progu. Usłyszał, że gwar cichnie, stłumiony tak szybko, jakby na tłoczącą się w pomieszczeniu cizbę opadł ciężki, gruby koc. Ktoś głośno się zaśmiał.

— Cóż to, nie uczestniczy pan w mordowaniu? — zawołał jakiś wysoki głos.

Thiele ruszył naprzód. Zrobił sześć, siedem kroków ku narożnemu stolikowi, który był zarezerwowany dla Leberechta. Pas i czapkę powiesił na okiennej ramie. Usiadłszy na krześle zawołał:

— Piwa i wódki!

Obecni patrzyli na żandarma ze zdumieniem. Rozparty w swoim kącie natychmiast opróżnił postawione przed nim naczynia.

— Jeszcze raz to samo — zażądał.

— Jak to jest, żandarmie — zapytał któryś z rolników. — Nie chce pan zabijać rzeczywiście, czy też wpierw się pan pokrzepia?

— Nie jestem na służbie — powiedział nieuprzejmie Thiele.

— Miga się pan — stwierdził rolnik.

— A pan co tu robi? — zapytał Thiele. — Czy nie ma pan psa? Wszystko panu jedno, czy go zastrzela?

— Przeciwno panu moglibyśmy to i owo przedsięwziąć, ale przeciwno SA Leberechta i pod dowództwem Schwesiga nic się nie da zrobić — odparł rolnik i mrugnął do współtowarzyszy, z którymi popijał.

Siedzący za stołem mężczyźni roześmiali się, a Thiele ze zdziwieniem zauważył, że był to śmiech beztroski. Zapytał też sam siebie, czy też to nie wynika z charakteru tych ludzi. A może jest to tym, co nazywano tu stypą, czyli tęgim pijaństwem, które zwykło kończyć się bijatyką i chóralnym śpiewem.

Drgnął, bo na dworze padł strzał. Gwar nagle umilkł, a mężczyźni znajdujący się w lokalu jakby wstrzymali oddech. Znowu padł strzał.

— Zaczynają od folwarku — powiedział ktoś dobrze zorientowany. Inni przytaknęli. Thiele ze zdumieniem zauważył, że nikt się nie oburza.

— To ładnie — zauważył któryś — że żandarm w tym nie uczestniczy. To już coś. Lepiej byłoby jednak, gdyby coś przeciw temu przedsięwziął!

— Ja nie mam psa — powiedział Thiele. — Nie mam. — Palcem prawej dłoni odruchowo przesunął po wilgotnych kręgach pozostawionych przez naczynia na płycie stołu. Niemal obojętnie zaczął przypatrywać się obecnym i mogło się zdawać, że wzrok jego przechodzi przez nich na wylot.

Większości mężczyzn, którzy siedzieli w lokalu, błyszczały oczy. Niektórzy pochylili się, ręce położyli na stole, dotykali się łokciami. Za jednym ze stołów, na końcu lokalu, w pobliżu tylnych okien siedzieli funkcjonariusze partyjni ze swoim ortsgruppenleiterem. Wyglądało na to, że czują się osamotnieni, że inni od nich stronią.

Frycio Grzesz splunął energicznie i wstał. Schwycił kufel i trochę się zataczając podszedł do stolika żandarma.

— Niech ci Bóg błogosławi — zawołał. — I jemu wyrządzo no to, co wyrabia się teraz z najnędźniejszymi spośród jego tworów. Niech mi pan wierzy, żandarmie, że Bóg też lubi psy.

— Proszę przysiąc się do mnie, panie Grzesz — powiedział Thiele. — Niech się pan uważa za mojego gościa.

Frycio kiwnął na zgodę głową i usiadł. Skinął, żeby przyniesiono mu piwa i wódki. Przysunął naczynia blisko siebie i właśnie chciał wypić, kiedy znów dało się słyszeć suche, jak trzaśnięcie z bata, karabinowe strzały.

— Jak on może zabijać psy — rzekł cicho, a Thiele zrozumiał, że owo „on” znaczyło Leberecht. — Nie rozumiem, że on to robi. Taki człowiek jak on nie powinien przecież zabijać psów! Bóg stworzył je, żeby towarzyszyły człowiekowi jako przyjaciele i stróże. Są wdzięczne i wierne, oddane i wesołe. Żeby to ludzie byli tacy!

— Dobrze już — powiedział Thiele i położył dłoń na ramieniu Frycia. — Już dobrze. — Nie wiedział, co by jeszcze miał rzec. Podsunął mu pełny kufel, a Grzesz opróżnił go długimi łykami.

— Widzę przed sobą te psy, które teraz się zabija — ledwie dosłyszalnie wyszeptał Frycio i zaplótł ręce. — Czy i pan je widzi, żandarmie? Patrzą w taki sposób, jakby nie przeczuwały niczego. Węszą. Garną się radośnie do ludzi. Obskakują ich i z podniecenia machają ogonami. A on sięga po pistolet i strzela do nich.

Thiele wychylił kieliszek, a potem wpatrzył się w płytę stołu. Gwar panujący w gospodzie nie przeszkadzał mu w słyszeniu zduszonego oddechu Frycia.

— Strzelają do coraz to nowych psów — mówił Frycio. — One zaś padają, skowyczą i zdychają we własnej krwi. Mężczyzn, którzy je mordują, ogarnia podniecenie. Zaczynają im trząść się ręce, strzelają więc niecelnie i tylko ranią. Strzelają drugi raz, trzeci...

— Niech pan przestanie — powiedział zgnębiony Thiele — niech pan już skończy.

Frycio Grzesz opróżnił wszystkie naczynia, które zdołał dosięgnąć.

— Nawet wówczas, kiedy nie piję, zwiduje mi się krew. Widzę ją naprawdę, kiedy to robię — powiedział. — Widzę

krew płynącą z uda, krew, która sączy się z ciała mojej żony, krew, która na czerwono barwi włosy Materny. A teraz krew tych psów. Tylko one lubiły mnie i zostały przy mnie, kiedy skończył się dla mnie świat. Moje psy! Dlaczego musi się je wystrzelać. Dlaczego?

Thiele ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

— Nie mnie powinien pan pytać.

— Mój Boże — jęknął Grzesz i dłońmi zakrył oczy. — Dlaczego muszę patrzeć na to wszystko. A oni stoją wokół swoich psów i patrzą na ich mordercę, który podchodzi do takiego zwierzaka i pakuje mu w głowę ołów.

Żandarm pochylił głowę i zamknął oczy. Nerwowym gestem położył dłoń na dłoni i słuchał kłębiącego się gwaru gospody. Z dala słyszał też suche karabinowe strzały, dochodził do niego również łamiący się i przebijający przez wszystko głos Frycia Grzeszą.

— W szopie, pod kocem szczeka pies. Wchodzą i znajdują tam sierotę Karolka. W ramionach Karolka kuli się jamnik. Daj tego psa, mówią do Karolka. Karolek uparcie kręci głowę. Wyrwywają mu jamnika. Karolek trzyma go za nogi. Ludzie stoją obok i patrzą. Nie pomagają mordercom, ale nie pomagają też Karolkowi. Stoją. Potem zamykają Karolka w stajni i strzelają do jamnika. Karolek szlocha i woła: mordercy, mordercy!

Grzesz wstał i przeciskając się między krzesłami oraz potrącając ludzi wybiegł z gospody. Wyglądało to tak, jakby był ścigany i biegł, żeby ocalić życie. Krzyknął chrypliwie, potknął się i upadł na wiejską ulicę. Po długiej chwili wstał i zataczając się ruszył w stronę jeziora Policzek.

Thiele siedział nieruchomo. Gwar gospody przycichł. Obecnym patrzyli w jego stronę. Żandarm wyszedł z lokalu. Nad opuszczonym przezeń krzesłem wisiła na okiennej ramie jego czapka i pas.

Żandarm stanął na wiejskiej ulicy i zawołał:

— Leberecht!

Nad Maulami zapadał zmrok. Zdawało się, że horyzont to-

nie w krwistoczerwonym odmiecie. Wyostrzyły się kontury drzew, które konarami rozdierały ciemny błękit nieba.

— Leberecht! — zawołał ponownie żandarm.

— Jestem — odpowiedział donośny głos majątkarza.

Ze skupiska domów na południowym krańcu wioski wyszedł Leberecht, a za nim jego czereda. Śmiali się grubiansko i wyglądali na zadowolonych. Skręcili na wiejską drogę i szli w stronę żandarma, który czekał na nich nieruchomo.

— Wszystko załatwione — powiedział z daleka Leberecht i pomachał ręką. Nakazał swoim ludziom, żeby się zatrzymali, podszedł do Thielego. — Niech pan teraz słucha! — rzekł do żandarma rozkazującym tonem.

W dali czaiła się noc gotowa do zastąpienia wieczoru. Kontury drzew stapiały się z mrokiem nieba. Nad wioską rozciągała się przytłaczająca, dziwna cisza, a Thiele wiedział, co znaczy głębia tej ciszy: we wsi nie było psów.

— Nie ma już psów w wiosce — oznajmił z zadowoleniem Leberecht i skinął w stronę żandarma. — Jako wójt zameldowałem asystentowi lekarza powiatowego, tak zainteresowanemu radykalnym rowianiem, że właśnie dokonało się ono. Nawet wyraził mi uznanie, a potem wsiadł na wóz, który przygotowałem dlań, żeby jeszcze zdążył na wieczorny pociąg. Teraz jesteśmy znów w swoim gronie.

— Pan rzeczywiście to zrobił... — zaczął z pogardą w głosie Thiele.

— Poszło łatwiej, niż się nam zdawało. Asystent okazał się człowiekiem wrażliwym. Nie mógł patrzeć na zdychające psy. Przydzieliłem mu przyboczną straż. Zapał się w szkole, zasłonił notatnikiem i kulił się, kiedy tylko huknęło w pobliżu. Gdy powiedzieliśmy mu, że sprawa załatwiona, uradował się, iż może wyjechać.

— Czy rzeczywiście potrafił pan pozabijać nasze psy?! Leberecht zdziwił się wyraźnie. Podszedł do żandarma i zaczął mu się przypatrywać z najbliższej odległości.

— Za kogo pan mnie właściwie uważa, człowieku? — powiedział.

— Co mam przez to rozumieć? — zapytał zdezorientowany Thiele. — Czy pan nie...

— Oczywiście, że nie! — zawołał Leberecht. — Człowieku! Czy jeszcze do tej pory nie połapał się pan w tym, co się tu działo? Strzelaliśmy po prostu po okolicy, a w tym czasie psy odstawiliśmy w bezpieczne miejsce. Są w lesie, w szopie. To ich kwarantanna. Jutro, z pomocą Gensfleischa, zobaczymy, co wypadnie robić dalej.

— O Boże, jakże się cieszę — powiedział Thiele.

Leberecht mocno klepnął go w ramię.

— Przecież powiedziałem panu, że sprawę załatwimy na swój sposób. Tak też zrobiliśmy. Tak jak zwykle się robić w Maulach!

— Dziękuję panu — rzekł Thiele.

— Nie musi mi pan dziękować — odparł Leberecht.

— Mało brakowało, a straciłbym szacunek dla samego siebie — powiedział Thiele. — Nie mogłem się uspokoić. Nie wystarcza przecież usunąć się na bok. Jeśli uzna się coś za nieprawość, trzeba przeciw temu wystąpić. Kiedy się jednak na to zdecydowałem, wyglądało, że jest już za późno. Ale wyręczył mnie pan. Jestem pana dłużnikiem.

— Niech mnie pan nie wprawia w zakłopotanie, drogi przyjacielu Thiele. Nie dokonałem przecież żadnego wielkiego czynu, a tylko spłatałem figła, zastosowałem podstęp. Na dalszą metę nie uda się to jednak i taka walka z nieprawością, jak pan ją widzi, nie będzie już niedługo możliwa. Czuję to, przyjacielu Thiele. Najgorsze jest to, że zmuszam się, żeby o tym nie myśleć.

Szli wśród nocy. Skręcili na drogę wiodącą obok kościoła do gospodarstwa Materny. Światło, które lśniło w mroku, zdawało się dochodzić z domu Elfriedy Materny.

— Dokąd idziemy? — zapytał Thiele. — Przecież chciał mnie pan odprowadzić do domu.

— A czy to nie jest właściwa droga? — odparł Leberecht. Głos jego zabrzmiał tak, jakby się uśmiechał.

W Olsztynie letni upał wrzał na bruku i wysuszał mózgi.

Powietrze drżało między budynkami, w biurach kurz wpelzał na stoły, regały i akta. Kiedy Leberecht odwiedził kreisleitera, ten właśnie pakował swoje rzeczy.

— Jestem u mety, Leberecht — powiedział kreisleiter.
— Poszło to szybciej, niżli myślałem.

— Nie nadawałeś się, co?

— Do ich celów niezbyt się nadawałem. Nie uwierzyłem w rasę ani w światowe germańskie państwo, a już w nieomylność Hitlera wcale nie. Jestem nieprzydatny.

— Szybko do tego doszli.

— To nie była żadna sztuka, Leberecht. A jak powodzi się tobie? Radzisz sobie z tymi partyjnymi hienami?

— Też nie — powiedział Leberecht. — To jest jak zakaźna choroba, której nie udało się nam w porę rozpoznać. Teraz niewiele już można przeciw niej zdziałać.

— Jakie wnioski wyciągasz z tego, Leberecht? Trzeba wypić to piwo? Zamknąć pysk i tym samym ukorzyć się?

— Przeciw morowemu powietrzu też nie można było nic zrobić. W końcu jednak przemijało. Byli tacy, którzy przeżyli.

— Do następnej zarazy.

— Co chcesz teraz robić? Możesz przyjść do mnie. Podtrzymuję ofertę. Idą wszawce czasy. Łatwiej zniesiemy je wspólnie. Może nawet znajdzie się powód do śmiechu.

— Idę do Wehrmachtu — powiedział kreisleiter. — Potrzebują tam doświadczonych żołnierzy.

— Przynosi mi pan pożądane rezultaty? — zapytał nieuprzejmie kapitan Riedesel. — Najwyższy czas, Thiele.

— Nie przynoszę pożądanych rezultatów — powiedział Thiele.

— Jak długo mam więc czekać! — Riedesel wyraźnie nie panował nad sobą.

— Tego niestety nie potrafię powiedzieć.

— Chyba to jasne, Thiele, że w tych warunkach nie będzie nic z pańskiego awansu, który, jak pan wie, przewidywałem. Przynajmniej na razie.

— Nie przywiązuję już do tego wagi, panie kapitanie.

— Co to znaczy, Thiele! Czy jest pan nienormalny? Mówię o pana awansie.

— Słyszałem — powiedział Thiele. — I mówię, że nie przywiązuję do tego wagi.

Kapitan Riedesel był szczerze zaniepokojony. Nie przypominał sobie, żeby ktoś odważył się kiedykolwiek tak z nim rozmawiać. Podobnego zachowania najmniej spodziewał się po Thielem, który był najlepszym jego funkcjonariuszem. Coś się nie zgadzało z tym człowiekiem. A może został potraktowany zbyt szorstko?

— Niech no pan posłucha, Thiele — powiedział kapitan Riedesel hamując złość. — Nie stawiam panu żadnych zarzutów. Dziwię się tylko, iż rzeczywiście nie udało się panu dochodzenie kończące sprawę Materny?

— To był udar serca — oświadczył Thiele. — Niczego innego nie można udowodnić.

— A podpalenie?

— Nie zajmuję się tym, tylko inspektor Wiltfever. Jeśli wiem, nie osiągnął on żadnego rezultatu.

— To jedna wielka plajta, Thiele! Niepowodzenie na całej linii. A ja uważałem pana za jednego z najlepszych moich funkcjonariuszy. Jest pan zerem.

Thiele przyjął te słowa z godnością.

— Tym łatwiej będzie, panie kapitanie, zgodzić się na moją prośbę o dymisję.

— Na co pańskiego?

— Na moją prośbę o zwolnienie. Cała ta sprawa, to jednak było dla mnie zbyt wiele.

— Szanowna pani Margot — powiedział Leberecht patrząc obojętnie na dziewczynę, która siedziała przed nim zaniepokojona — proponuję, żeby poszła pani ze mną do adwokata i żebyśmy tam kontynuowali naszą rozmowę.

— To po prostu nieprawda, że dziecko ma czarne włosy — powiedziała Margot. — A nawet jeśliby miało czarne włosy, to jeszcze nie dowód, że pański syn nie jest jego ojcem.

— Nie chcę temu zaprzeczać, że mój syn starał się u pani, żeby zostać ojcem — rzekł Leberecht. — Mógłbym mu nawet zazdrościć, gdybym był młodszy. Nie zmienia to jednak faktu, że ktoś inny odniósł większy sukces.

— Nie wolno panu tak ze mną rozmawiać — odparła oburzona Margot. — Jestem ostatecznie matką pańskiego wnuka. Pan tylko nie chce zapłacić i to jest wszystko.

— Zapłaciłbym, gdyby to był mój wnuk — powiedział Leberecht. — Wziąłbym go nawet do siebie. Człowiek nigdy nie ma dość dzieci. Nie pozwolę jednak, żeby mnie pani nabierała, szanowna panno. Żeby było wszystko jasne, powiem, że obstaruję przy badaniu lekarskim na próbę krwi i porównaniem cielesnych znamion. Gwarantuję, że nie dostanie pani ani feniga. Przeciwnie. Zaskarżę panią o zwrot już wypłaconych pięciuset marek i o oszustwo.

— Jest pan bez serca — odezwała się po chwili Margot. — Ostatecznie pana syn mnie kochał.

— Nie jestem idiotą, ale serce jednak mam — stwierdził Leberecht. — Dostanie pani jeszcze jedną pięćsetmarkówkę. U mojego adwokata podpisze pani stosowny rewers i sprawa będzie załatwiona.

— No dobrze — powiedziała Margot. — Nie jestem małostkowa.

— Ale głupia — rzekł ze śmiechem Leberecht. — Nie powinna się była zdarzyć pani ta historia z wmuszeniem dziecka. Dlaczego przynajmniej nie ufarbowała mu pani wło-

sów? Niewykluczone, że wówczas udałoby się. Tę metodę daję pani w prezencie. Może skorzysta z niej pani następnym razem.

* * *

— To istny chlew! — powiedział powiatowy kierownik organizacyjny i wałnął dłonią w stół, co zresztą robił chętnie. — Wcale jednak nie można się dziwić! Kiedy obejmę powiat, oczyszczę go z tego całego gnoju.

— Było to spiętrzenie się nieporozumień — rzekł płacząco Nowak.

— Znam dobrze tego rodzaju nieporozumienia — mówił tak samo surowo nie dający się wzruszyć kierownik organizacyjny — Zawsze myślałem, że jest pan człowiekiem użytecznym, ale i nie zwróciłem uwagi na to, kto pana zarekomendował.

— Niech mi pan uwierzy, że to były tylko nieporozumienia — zapewnił Nowak. — Zobacz pan, jak teraz wszystko sprawnie funkcjonuje.

— Partia musi być czysta, w każdym razie wówczas, kiedy się patrzy na nią z zewnątrz. Ortsbauernführer podejrzany o podpalenie, ortsruppenleiter pośrednio uczestniczący w morderstwie partyjnego weterana, to jednak za dużo.

— To są wszystko nieporozumienia — powtarzał Nowak. Ciągle też pytał sam siebie, skąd wie o wszystkim powiatowe kierownictwo. Patrzył z uległością na siedzącego naprzeciwko zwierzchnika.

Powiatowy kierownik organizacyjny nie mógł się uspokoić, tym bardziej że wcale nie chciał się uspokoić.

— Na czele mojej miejscowej grupy potrzebny mi człowiek niezawodny w każdej sytuacji. Człowiek całą gębą. Taki, który by stał ponad wszelkim podejrzeniem i dostarczał mi nie budzących wątpliwości informacji. Dlatego, na razie, złożę pan swój urząd ortsruppenleiters i przekaże sprawy swojemu następcy.

— A kto będzie moim następcą?

— Neuberich — powiedział sucho powiatowy kierownik organizacyjny.

* * *

Na długo przed umówioną porą Ewa i Alfred spotkali się na rynku, przy studni, obok sklepu z artykułami żelaznymi. Ucieszyli się i podali sobie ręce. Potem poszli napić się kawy.

— Mój ojciec to cudowny człowiek — powiedział Alfred. — Załatwił wszystko.

— Masz rację — przyznała Ewa. — To cudowny człowiek.

Siedzieli w tej samej kawiarni co i przed czterema tygodniami. Dziś było tu przyjemnie, ludzie, którzy ich otaczali, zdawali się do nich uśmiechać.

Ujął jej dłoń, a ona jej nie cofnęła. Opromieniało ich słońce. Stukały filiżanki. Łkały skrzypce. Widać było, że są szczęśliwi.

— Wiesz, co zrobimy ? — zapytała Ewa.

— Co zrobimy ?

— Do wieczora zostaniemy w mieście. Do Mauli wrócimy popołudniowym pociągiem.

— Zgoda — powiedział Alfred. — Nie pójdziemy jednak od razu do domu.

— A dokąd?

— Do naszego brzoźowego lasku.

— Zgoda — powiedziała Ewa i popatrzyła na niego rozpromienionymi oczami.

- Dźwięki dętej kapeli wypełniały pomieszczenie, uderzano silnie w bęben, ale wrzawy czynionej przez obecnych nic nie mogło zagłuszyć. Świętowano doroczne dożynki.

— Jest pan w dobrym nastroju — zauważył Thiele, który

siedział w narożniku, przy jednym stole z Leberechtem i Elfriedą Materną.

— Pan nie jest w dobrym nastroju — powiedział Leberecht. — Oni są tu nazbyt głośni. Z takiej wrzawy lęgną się wielkie bójki. Bijatyki, a nie sprzeczki z rękoczynami. Oni nie są weseli, tylko usilnie starają się o to, żeby się weselić.

W kręgu tanecznym pary ocierały się o siebie. Przez nieuwagę zerwano jedną girlandę i podeptano ją. Od bufetu rozległa się zwulgaryzowana wersja mazurskiego hymnu. Śpiewali tam pierwszą zwrotkę, w której opisane są kolory tej krainy, a brzmiało to następująco:

Niebieskość w bójce podbitego oka
Pijackiego nosa czerwień jak posoka
Włosów od kurestwa strzecha pobielala
To Mazurów barwa cała.

— Za wcześnie zaczęli — powiedział Leberecht. — O wiele za wcześnie. Pili ostrzej niż zwykle. Brakuje im radości. Dzisiaj nie są w uroczystym nastroju.

Dęta kapela zaintonowała bardzo głośno marsza. Niektórzy mężczyźni zaczęli walić do taktu pięścią w stół. Liczne pary usiłowały tańczyć popychanego.

Leberecht, który ze zgarbionymi plecami siedział za długim bokiem stołu, obserwował otaczający go tłum. Na wesole nawoływania tańczących odpowiadał gestem dłoni. Pił dużo, ale był trzeźwy.

— Dawniej twarze promieniały wesołością — powiedział. — Kobiety pachniały jak ziemia. Kiedy świętowaliśmy dożynki, zdawało się, że Bóg jest blisko.

— Ta wioska nie znała nędzy — rzekł zamyślony Thiele.

— Oczywiście — przyznał Leberecht. — Nie znaliśmy nędzy, ale też nie znaliśmy bogactwa. Kto był w potrzebie, zawsze znajdował pomocników. Nie żyłem lepiej niż ostatni rolnik. Kiedy w niedzielę szliśmy do kościoła, mój parobek nie miał na sobie ubrania gorszego niż moje.

— To było przed rokiem — powiedział Thiele.

— Dokładnie przed rokiem.

— Wówczas zabito Maternę — rzekł ostrożnie Thiele. — Podczas takiego święta, o tej godzinie. Czy to miało sens?

— Nie — odparł Leberecht. — To niczego nie powstrzymało. — Muzyka stała się głośniejsza i przytłoczyła ich rozmowę. Leberecht sięgnął po kufel z piwem. Thiele spojrział na Elfriedę Maternę i poczuł zadowolenie, że widzi ją spokojną, prawie wesołą.

Do stołu Leberechta przysunął się pastor Bachus.

— Najwyższy czas, żebym wygłosił mowę — powiedział. — Czy nie podziela pan mojego zdania?

Leberecht podniósł na niego wzrok.

— Nie ma już najwyższego czasu. Przeminał czas na te sprawy.

— Przecież tak zwaną oficjalną część zawsze odbywaliśmy niewiele później. Przyznaję, że dzisiaj nastrój posunął się znacznie dalej niż zazwyczaj, ale ja już przymuszę te moje owieczki do uwagi. Jak pan wie, nie jestem złym mówcą.

— Jest pan za to złym duszpasterzem — powiedział prosto Leberecht.

— Dotychczas z tego powodu nie robił mi pan wyrzutów — powiedział Bachus. Próbował żartować i udawać wesołego.

— Również i to zaniedbałem do tej pory — rzekł Leberecht. — Być może inaczej byłoby w naszej gminie, gdyby nie był pan egzekutorem pieniędzy w boskim imieniu. Do tej pory mogliśmy jednak pozwolić sobie na takiego duchownego jak pan, ale teraz potrzebujemy raczej bojownika o Bożą sprawę. Nie zaś niemieckiego chrześcijanina-samochwałę.

— Chce mnie pan obrazić? — zapytał oburzony pastor Bachus.

— Tak — odparł Leberecht.

Bachus odszedł. Przecisnął się przez tańczących i zbliżył się do stołu na drugim końcu sali, przy którym w kompletnym umundurowaniu siedział komisaryczny ortsgruppenleiter Neuberich. Neuberich czuł się osamotniony, co mu jednak nie przeszkadzało demonstrować niewzruszoną godność. Na tańczących patrzył protekcyjnie i tylko wówczas, kiedy obok

jego stolika przesuwawała się jakaś młoda, ledwie wyrosnięta dziewczyna, oczy jego przyglądały się jej z upodobaniem. Przywitał Bachusa wyjątkowo przyjaźnie, poprosił o zajęcie miejsca przy stole i zaczął wychwalać jego zasługi.

Szynkarz Nowakowski, tym razem bez munduru, stał u wejścia do sali, patrzył, gdzie kufle puste i uruchamiał swoją pomocnicę. Kilka razy okrążył Leberechta, a w końcu wylądował u jego stołu.

— Panie Leberecht, wolno mi zapytać, czy piwo ma właściwą temperaturę?

— Wygląda na to, Nowak.

Ten spojrział z oddaniem na majątkarza.

— Proszę, niech pan mówi znowu Nowakowski.

— Dla mnie nazywa się pan Nowak — powiedział majątkarz. Nie patrzył już na szynkarza, tylko pochylił się do Elfriedy Materny i zapytał. — Może byśmy zatańczyli?

Popatrzyła na Thielego, który skinął głową. Podniosła się więc i ruszyła z Leberechtem w taneczny krąg. Muzyka przerwała marsza, którego właśnie grała, kapelmistrz wykrzyknął do swoich muzykantów nowe polecenie, wykonał w stronę Leberechta coś w rodzaju salutu i uniósł batutę. Zabrzmiał cesarski walc.

Leberecht objął Elfriedę Maternę i przetańczył z nią przez salę. Mieszkańcy Mauli stali dookoła i przypatrywali się im z uznaniem oraz przychylnością. W tej chwili znowu go kochali i wstydzili się trochę, że na pewien czas zapomnieli o nim.

— Tańczcie z nami — zawołał Leberecht.

Posłusznie ruszyli za nim. Stopy szurały do taktu po sfatygowanej podłodze. W sali prawie nikt nie rozmawiał, tylko od bufetu dochodził gwar pijących.

Leberecht trzymał Elfriedę w ramionach lekko i swobodnie. , 1 nie powiedział nawet słowa. Z żalem przypatrywał się jej twarzy, a oczy mu zwilgotniały. Zdawało mu się, że znajduje się właśnie w centrum świata, że zaczęło go okrążać wszystko, co go otacza, coraz szybciej, gwałtowniej, tak że zatarty się kontury, a światła sali owinęły go jak połyskliwe girlandy.

Kiedy walc się skończył, obecni zaklaskali i zawołali:

— Leberecht, Leberecht!

Skinął im głową i poszedł z Elfriedą z powrotem do stołu. Ukłonił się swojej tancerce, a potem Thielemu. Następnie asiadł.

— Drogi przyjacielu Thiele — rzekł — kochałem Elfriedę Maternę.

— Wiem o tym — powiedział Thiele.

— Był taki czas — mówił Leberecht — w którym niczego oie życzyłem sobie bardziej niżli tego, żeby rozpocząć życie od nowa. Z tą kobietą.

— Rozumiem to — powiedział Thiele.

— Dziękuję ci — cicho rzekła Elfrieda — że tak o mnie mówisz.

Leberecht wyciągnął obie dłonie, ujął rękę Thielego, ujął rękę Elfriedy i zbliżył je do siebie.

— Lubię was — powiedział. Potem cofnął swoje dłonie i oparł je o stół. — Co będziecie robili?

— Podziękuję za swoją służbę — odparł prosto z mostu Thiele.

— Dobrze.

— Potem się pobierzemy.

— Dobrze.

— Chcę być rolnikiem.

— Bardzo dobrze.

— On to potrafi — powiedziała Elfrieda. — Potrafi wszystko, co należy do rolnictwa. Kupimy maszyny, opracowaliśmy na następny rok nowy plan zasiewów. Będziemy mieli więcej krów, będziemy prowadzili gospodarkę mleczną. Chcemy też później uprawiać szlachetne warzywa i sprzedawać je w mieście.

— Zanim zostałem żandarmem, byłem rolnikiem.

— Chcę być waszym przyjacielem — powiedział Leberecht. I pomyślał: „posiadanie przyjaciół dobrze robi temu człowiekowi”. — Będę wam pomagał jak tylko potrafię.

Przemógł wzruszenie, które go naszło, przewyciężył żal i ci-

chę zawiść. Potem pomyślał o Fryciu Grzeszu, który był jego przyjacielem, a który rzucił się do wody jeziora Policzek, żeby ugasić wielki ogień płonący we krwi. Śmierć często bywa bardziej miłosierna niż życie. Z życia nic się nie daje wymazać.

— Wypijmy za to.

Muzyka znowu grała z całą mocą. Tłok w kręgu tanecznym jeszcze bardziej się zwiększał. Ewa i Alfred pozwolili, żeby ciżba wpełnęła ich do środka. Ledwie mogli się poruszać. Objęci mocno uśmiechali się ze szczęścia.

— Jacy oni młodzi — powiedział Leberecht. — Tylko im pozazdrościć.

Thiele skinął głową.

— Ukazują nam, jak się postarzelśmy.

Dym, hałas i opary piwa mieszały się i wypełniały salę. Powietrze aż kipiało od gorąca. Zdawało się, że w tym tłoku ciała stopią się z sobą w jedną całość. Ludzie poruszali się jak gdyby w jednym wielkim sennym odurzeniu. Taniec śmierci!

— Odprowadźcie mnie kawałek rzekł Leberecht i wstał. — Chcę już odejść. Przepisnął się przez kłębowisko tańczących, a Elfrieda Materna i Thiele podążali za nim. Zdawało się, że nikt nie zauważył, iż opuścili zabawę.

Na dworze zatrzymali się na wiejskiej drodze. Noc była chłodna. Na łąkach zalegała mgła. Oddychali głęboko. Nad Maulami lśniły gwiazdy. Nieskończenie rozległe niebo rozpościerało się nad nimi granatowe i jasne. Gwar zabawy za ich plecami zdawał się popychać naprzód. Leberecht położył ręce na barkach obojga ludzi, którzy byli przy nim.

— Boję się powiedział.

— Będziemy żyli tak, jak to było zawsze w Maulach rzekł Thiele.

— Nie będziemy już mogli tak żyć — odparł Leberecht. — Teraz przestałem już wierzyć, że Bóg uśmiecha się do nas. Robiliśmy rzeczy, które go zagniewały. Już niedługo będziemy za to pokutować. Wiem, że Bóg nie sypia już tutaj. Pewnego zaś dnia również i nam nie będzie już wolno spać na tej ukochanej ziemi. Boję się.

Leberecht odsunął się od odprowadzających. Skinął im głową. Noc ukryła to, że płakał. Odwrócił się i odszedł.

Od drzewa oderwał się cień. Ruszył za Leberechtem. Był to pies, który szybko podążył za nim.

Masywna sylwetka zdawała rozplýwać się powoli. Ciemność otuliła ją jak płaszcz. Jeszcze tylko słyhać było ciężkie kroki. Potem i one ucichły.

— Kocham go jak brata — powiedział cicho Thiele.